

Teresa Torańska

M

**BEZ RZA
BEZ SEJ
BEZ SENS**

**MINISTER JAN PARYS
OSKARŻA O PRÓBĘ
OBALENIA DEMOKRACJI**

zeta
Wydawnictwo
Lech Wałęsa:
Droży
Crytealicy



**PREMIERE
PAWL**

WYDANIE 2 - ROZSZERZONE
Rozmowa z Tadeuszem Mazowieckim przeprowadzona w 2004r.



iSource S.A. 2012

Teresa Torańska

MY

MKS

Kim jesteśmy?

Teresa Torańska

Kiedy w 1985 roku napisałam książkę „Oni” i wydawnictwa zachodnie zdecydowały się ją publikować, największą trudnością było wymyślenie dla niej nowego tytułu. „Oni” okazał się wyrazem nieprzetłumaczalnym, zwyczajnym zaimkiem, nie przywołującym żadnych skojarzeń, ani historycznych, ani politycznych. Nie był – jak u nas – znakiem rozpoznawczym, ale figurą retoryczną, socjologicznie bezwartościową. Czy więc podział społeczeństwa na ONYCH i MYCH był podziałem sztucznym?

Nie. Bo kim byli ONI w naszej 45-letniej PRL-owskiej rzeczywistej „niereczywistości”? Wierzącymi (mniej lub bardziej) komunistami, którzy służyli obcemu mocarstwu (mniej lub bardziej lojalnie), wypełniali jego dyrektywy (mniej lub bardziej skrupulatnie). Byli w Polsce, czyli przez NAS, traktowani jak obce ciało, które się rozpełzło po naszym wycieńczonym II wojną organizmie, na skutek zdrady w Jalcie i klęski w Powstaniu Warszawskim. Byli dla NAS obcą władzą, która przyjechała na radzieckich czołgach. Opisałam ich w książce „Oni”.

Rozmowy z komunistami, których wtedy spotykałam, a których postanowiłam wysłuchiwać do bebechów, stały się dla mnie bezcennym źródłem wiedzy o człowieku. Że, po pierwsze, można z nim zrobić prawie wszystko, grając na najniższych ludzkich instynktach i odpowiednio wyzwalając w nim strach, próżność, nienawiść. Po drugie: najbardziej niszczącym człowieka i najgroźniejszym dla otoczenia jest jego fanatyczna wiara w ideę - jakąkolwiek, która z jednej strony zawęża pole widzenia, a z drugiej jest źródłem uzasadnienia najcięższych zbrodni. Po trzecie: w każdym człowieku tkwi potrzeba dążenia do normalności i w końcu przychodzi (prędzej czy później) chwila otrzeźwienia.

„Moi” komuniści życiorysy mieli dość typowe dla działaczy budujących pod dyktando Moskwy zręby PRL-u. Część z nich przyjechała ze Związku Radzieckiego, okrutnie doświadczona w sowieckich łagrach lub w posiołkach na zsyłce, zastraszona i często złamana psychicznie i fizycznie. Część – mimo tych przeżyć – nadal była naznaczona fanatyczną wiarą w fałszywą ideę i dla jej urealnienia zdolna posunąć się nawet do zbrodni. Część skutecznie wytłumaczyła sobie, że włączając się w budowę PRL-u, dokonała wyboru mniejszego zła i lepiej, że ten trud podjęła właśnie ONI, bo w ich miejsce przyszliby inni, gorsi.

Większość z nich odeszła po 1956 roku, wszyscy po 1970 i ONI – w powszechnym odbiorze – stali się wówczas nie tyle wyznawcami nie akceptowanej przez nas ideologii, ile członkami rządzącej partii, czyli uprzywilejowaną grupą społeczną, której liczba z każdym rokiem rosła. Rosła, bo przynależność do partii ułatwiała awans zawodowy, pomagała w uzyskaniu mieszkania, telefonu, talonu samochodowego, wyjazdu zagranicznego. Przynależność do partii po prostu się opłacało i nawet jeśli wielu zwiedzionych sloganami (pod wpływem odwilży w 1956 roku, czy na gierkowskiej fali „pomożemy”) zapisało się do niej – to jednak tkwili w niej latami przede wszystkim z oportunistycznego, wygodnictwa, cwaniactwa albo cynizmu.

Zdecydowana większość członków PZPR (że nie wszyscy – twierdzą z ostrożności) wyłącznie z tego powodu brała, a potem – mimo przejrzenia na oczy i świadomości, że uczestniczy w „miazdze” – te legitymacje partyjne zachowywała. Podobny mechanizm działał przy zapisywaniu się do ZSL czy SD. Wstępowało się tam, by przed prawdziwą partią, czyli PZPR, udawać, że się jest partyjnym, czyli wywinąć się od akcesu do przewodniej siły i też robić karierę. No, może trochę mniejszą. Tak było. I nie ma co dzisiaj wstydzić się własnej małości, udawać, że chodziło o jakieś pryncypia, czy wyższe racje. Nie chodziło, bo normalnością było przekonanie, że imperium radzieckie trwać będzie wiecznie, w nienormalności więc należy znaleźć dla siebie w miarę wygodne miejsce, a każdy przecież chciał lepiej żyć, każdy chciał osiągać zawodowe sukcesy i większość... miała żony i dzieci.

Do PZPR, SD i ZSL należało w końcu lat 70. około 4 mln ludzi. Powstała sytuacja, w której ONI byli już prawie w NAS, i ja sama, gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego nie powiększam partyjnych szeregów, umiałabym na swoje wytłumaczenie powołać tylko argumenty irracjonalne, że nie lubię zebrań i chodzenia pod sznurek oraz że nie mogę zrobić przykrości mojej Mamie, bo dla mojej rodziny, jak dla – wciąż jednak – większości polskich rodzin, które partyjniaków oglądały w pracy czy w telewizji, a nie przy niedzielnym obiedzie w domu, zapisanie się do PZPR było nieprzyzwoitością. Przyzwoitością bowiem w tych rodzinach nazywało się nie tylko zaniechanie działań nieprzyzwoitych, ale rezygnację z pokus. Także rezygnację z pokusy zrobienia łatwiejszej kariery. Bo na trudniejszą (w swoich ostatnich dwudziestu latach) PRL pozwalała i każdy bezpartyjny, jak się uparł, mógł zostać profesorem uniwersytetu, dyrektorem fabryki albo wybitnym dziennikarzem czy artystą. Mógł, ale za wyższą cenę. Musiał być po prostu dużo, dużo lepszy od partyjnego, a drogę, jaką chodził, by stać się lepszym, musiał pokonać na własny rachunek. Czyli kosztem bardzo wielu wyrzeczeń osobistych.

Potem przyszedł stan wojenny i bez względu na dzisiejszą jego ocenę: mniejsze czy większe zło, przypomnijmy sobie – bo łatwo się zapomina i ja pierwsza chcę o nim szybko zapomnieć – kto został w partii? Wtedy mówiło się: tchórze, oportuniści, cwaniacy. I takimi byli naprawdę, bo oddanie legitymacji partyjnej wymagało odwagi (trochę już mniejszej niż w poprzednich latach, ale ciągle jeszcze jakiejś odwagi). Oznaczało też rezygnację z pełnienia kierowniczych funkcji, być może na zawsze, czasami groziło zwolnieniem z pracy. Oznaczało kłopoty paszportowe, nieprzyjemności osobiste.

Kim zaś byliśmy MY? W gazetach – masami robotniczo-chłopskimi i inteligencją pracującą. Dla ONYCH – TYMI, którzy jedności moralno-politycznej, zadekretowanej przez partię, przeciwstawiali jedność, definiującą się najlepiej przez pojęcie MY. W rezultacie – byliśmy sponiewieranym społeczeństwem, które przez wszystkie lata PRL-u broniło się, z mniejszym lub większym skutkiem, przed zniewoleniem. Najpierw MY byliśmy społeczeństwem

szantażowanym, więzionym i mordowanym. Potem szantażowanym i wyzyskiwanym. Na koniec znowu szantażowanym, więzionym i bitym. I cały czas straszonym. Albo radzieckimi czołgami, albo odwetowcami niemieckimi. I cały czas oszukiwanym, albo przez pozbawienie informacji, albo poprzez odgrodzenie od świata. I stale poddawany przeróżnym manipulacjom. Dlatego MY nie jesteśmy ONYMI. I w każdej rozmowie z NAMI (a przeprowadziłam ich chyba z pięćdziesiąt, z różnymi osobami, także całkiem mi dalekimi i w sposobie myślenia, i w rozumieniu dekalogu) ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że rozmawiam z ludźmi, którzy wyszli z tego niszczonego przez lata społeczeństwa i którzy (w jakimś momencie) mieli odwagę o jego prawa, godność, niezależność – upomnieć się, a nawet walczyć, a swoją – co najmniej – wygodę dla niego (w pewnym momencie) poświęcić. I że są jednak – co odkrywałam z niepokojem – po tych 45 latach PRL-u zniszczeni. Nasze społeczeństwo jest chore, MY jesteśmy chorzy. Polska jest chora.

MY nawet staliśmy się do ONYCH podobni. MY broniliśmy się przed ONYMI, ale do końca się nie obroniliśmy. Od nich przejęliśmy formy uprawiania polityki, definiowania, czym jest polityka, sposoby traktowania społeczeństwa.

MY przejęliśmy od ONYCH zjadłość w dochodzeniu swego, łatwość w nienawidzeniu niedawnych przyjaciół i sojuszników. Niczym nieuzasadnioną wiarę, że wyłącznie MY mamy patent na rację, mądrość, uczciwość i jeśli ktokolwiek tego nie rozumie, to nie warto mu tłumaczyć, bo głupi i nie dorósł do demokracji. ONI zarazili NAS podejrzliwością i potrzebą szukania wszędzie wroga. ONI skutecznie nauczyli nas swojej spiskowej teorii w ocenianiu świata i swoich niedawnych przyjaciół. Od ONYCH przejęliśmy przeświadczenie, że obraz świata malowany jest w dwóch tylko kolorach.

NAS jako przeciwieństwo ONYCH już nie ma. Pozostaje pytanie, kim jako społeczeństwo jesteśmy?

Teresa Torńska

Gdyby nie Gorbaczow...

Leszek Balcerowicz

(ur. 19 stycznia 1947 w Lipnie) – polski ekonomista (doktor habilitowany nauk ekonomicznych) i polityk, przedstawiciel szkoły ekonomicznej zwanej monetaryzmem, wicepremier i minister finansów w rządzie Tadeusza Mazowieckiego (1989–1991), Jana Krzysztofa Bieleckiego (1991) i Jerzego Buzka (1997–2000), poseł na Sejm III kadencji (1997–2001), prezes Narodowego Banku Polskiego (2001–2007). Drugi przewodniczący Unii Wolności (1995–2000). Kawaler Orderu Orła Białego.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Leszek_Balcerowicz)

*Rozmowy przeprowadzone
w sierpniu 1992 i styczniu 1994 r.*

– Czy wróci do nas PRL?

Nie istnieje taka możliwość, ponieważ PRL załamał się, musiał się załamać z powodu ekonomicznej niewydolności.

– Czyli – według ciebie – nie przez „Solidarność”?

Są dwie teorie dotyczące upadku komunizmu. Obie oparte, oczywiście, na spekulacjach,

bo brakuje dokładnych badań historycznych. Według pierwszej: to Polska i „Solidarność” były zasadniczymi czynnikami zmian w całym obozie. Druga zaś głosi, że bez radykalnych przeobrażeń w Związku Radzieckim, czyli bez Gorbaczowa, który w 1985 roku uruchomił proces, którego skutków – moim zdaniem – na początku sobie nie uświadamiał, żadne otwarcie polityczne w krajach socjalistycznych by nie nastąpiło. Osobiście przychyliam się do drugiej, choć wciąż jest aktualne – oczywiście – pytanie, w jakiej mierze polska rewolucja 1980–81 wpłynęła pośrednio na zmiany, które później dokonały się w – teraz już byłym – Związku Radzieckim. Ja uważam, że Polska nie odzyskałaby niepodległości po I wojnie światowej, gdyby nie wojna między trzema zaborcami i nie odzyskałaby jej w 1989 roku, gdyby nie *perestrojka* Gorbaczowa. I nie pomógłby ani Piłsudski – wtedy, ani „Solidarność” – potem. Oczywiście, gdyby nie Piłsudski czy Dmowski to granice Polski mogłyby być inne i nie wykluczone też, że „Solidarność” przyspieszyła rozkład w całym obozie socjalistycznym.

– Musisz mówić takie herezje?

Dlaczego herezje? „Solidarność” powstała w 1980 roku zupełnie nieoczekiwanie i sam pamiętam wielkie, niesamowite, niespodziewane uniesienie, jakie mnie wtedy wypełniło. Potem w latach 80-tych została wyidealizowana przez historię, obrosła mitologią, bardzo polskim romantyzmem i ludzie znaczenie jej zaczęli przeceniać, bo stała się wartością autonomiczną, silnie przy tym zabarwioną emocjonalnie. Ja zawsze jednak potrafiłem sobie wyobrazić sytuację, że w miejsce Gorbaczowa przyszedłby ktoś, kto próbowałby utrzymać system poprzez zwiększenie terroru i mimo pogarszających się stale głównych wskaźników ekonomicznych, z którymi wiąże się poziom życia społeczeństwa, udałoby mu się. Może na kilkanaście lat, a może tylko na kilka, nie wiem. We wszystkich bowiem krajach socjalistycznych występowały podobne tendencje spadającej efektywności, mierzonej produktywnością kapitału. Czyli inwestycje dawały coraz mniej produktu, coraz mniej dochodu narodowego. Z każdym rokiem coraz mniej i coraz mniej.

– A nie przeceniasz roli ekonomii?

Zadajesz niewłaściwe pytanie, bo mówiąc ekonomia, masz na myśli gospodarka, a to są dwie różne rzeczy. Gospodarka jest częścią rzeczywistości, a ekonomia nauką, która się zajmuje opisem tej części rzeczywistości. Zadaniem zaś intelektualistów, Tereso, nie jest szerzenie błędnego rozumienia słów.

– Więc od kiedy?

Objawy niewydolności występowały od początku, ale gospodarka w latach 40., czy na początku 50. funkcjonowała lepiej i następował wzrost. Dlatego, że po pierwsze: była to gospodarka na bardzo niskim poziomie rozwoju i od niskiego poziomu można się dość szybko odbić, niemal w każdych warunkach. Po drugie: system nakazowy stosunkowo nieźle funkcjonuje w gospodarce prostej, gdyż wtedy nierynkowe mechanizmy mogą jako tako koordynować jeszcze jej działalność. Po trzecie: była bardzo wysoka stopa inwestycji, co w warunkach prostej gospodarki, przynosiło realny wzrost. Kiedy jednak gospodarka stawała się coraz bardziej złożona, a stawała się pod wpływem własnego wzrostu, bo przybywało przecież fabryk i produkowano coraz więcej towarów, wtedy traciła swoją sprawność i w systemie nakazowym zaczęły występować coraz większe zaburzenia. Widać je było wyraźnie we wszystkich krajach socjalistycznych, nie tylko w Polsce i objawiały się w spadającej krańcowej efektywności kapitału, która oznacza, że ilość jednostek przyrostu dochodu narodowego na jednostkę inwestycji jest coraz niższa. Próbowano ją rekompensować podwyższaniem stopy inwestycji, a więc poprzez wydatkowanie coraz większej części dochodu narodowego na inwestowanie i coraz mniejszej na konsumpcję. To jednak prowadziło do sytuacji, że wzrost – owszem – był, ale jałowy, bo wzrost ten trzeba było przeznaczać głównie na samopodtrzymanie gospodarki, żeby się w ogóle kręciła, bez istotnych korzyści konsumpcyjnych.



Warszawa, 1995. Leszek Balcerowicz i Jacek Kuroń podczas konferencji programowej Unii Wolności. Fot. PAP/Paweł Kopczyński.

Pierwsze symptomy kryzysu wystąpiły już w połowie lat 50. Przy czym problem wszystkich krajów socjalistycznych polegał jeszcze na tym, że ze względów ustrojowych od początku na zawyżonym poziomie – w stosunku do możliwości – ustawiono konsumpcję zbiorową, a więc społecznie finansowane wczasy, bezpłatne szkolnictwo, bezpłatną służbę zdrowia itp., co – oczywiście – zawsze jest niewątpliwym awansem cywilizacyjnym, tyle tylko, że żadnego z tych krajów na to nie było na dłuższą metę stać, coraz gorzej więc one z każdym rokiem funkcjonowały i obciążały konsumpcję indywidualną, wywołując niezadowolenie społeczne, bo jej wzrost był przez to coraz niższy.

W latach 60. nadal spada tempo wzrostu i efektywności gospodarki, lata 70. – to życie na kredyt, bez nich kryzys konsumpcji byłby bardzo wyraźny. I wreszcie lata 80., kiedy to za życie na kredyt zaczęliśmy płacić wielkim kryzysem całej gospodarki, w tym i konsumpcji. W innych krajach socjalistycznych występowały na ogół mniejsze wahania, ale tendencje były podobne.

– Jakież? Porównaj.

We wszystkich pogarszały się główne wskaźniki ekonomiczne. W każdym więc malała efektywność gospodarcza, każdy był dotknięty pełzającym kryzysem, objawiającym się w tym, że kiedy kryzys z trudem opanowywano w jednej gałęzi gospodarki przerzucał się on na kolejną itd. Wszystkie próbowały ratować swoją gospodarkę poprzez zadłużanie się. Wszystkie, oprócz Czechosłowacji. Rumunia zaś najpierw się zadłużyła, potem w drastyczny sposób oddłużyła, za co zapłaciła ogromną cenę – zdegradowaniem gospodarki. Bo wprawdzie lepiej nie mieć długów, niż je mieć, ale nie każde oddłużenie jest racjonalne. W Rumunii było nieracjonalne, bo spauperyzowało społeczeństwo i spowodowało, że całe obszary gospodarcze przestały działać z braku importu. Zadłużyli się Węgrzy, Bułgarzy, oczywiście my i Związek Radziecki, choć oni trochę później, bo przyspieszać zadłużenie zaczęli dopiero w latach 80.

Kolejną cechą wspólną wszystkich tych krajów były niekorzystne wskaźniki demograficzne, które są pochodną sytuacji gospodarczej, a także pogarszająca się jakość życia (m.in. alkoholizm).

– W 1989 r., w chwili wybuchu wolności, jaka była sytuacja Polski na tym tle?

Najpierw uwaga ogólna: dzisiaj widać, że upadek dawnego systemu politycznego w różny sposób wpłynął na sytuację gospodarczą. W Polsce, a także w Albanii i Rumunii doprowadził do ogromnego rozchwiania gospodarki, przede wszystkim do bardzo wyraźnego wzrostu płac i silnej inflacji. Natomiast w takich krajach jak Czechosłowacja i Węgry zmiany polityczne nie naruszyły ekonomicznej dyscypliny. Bułgaria znajdowała się pośrodku między tymi dwoma skrajnymi grupami.

Wracając teraz do twego pytania. Od początku uważałem, że sytuacja Polski była generalnie trudniejsza niż na Węgrzech i w Czechosłowacji. Trzy sprawy bowiem określają

sytuację wyjściową. Po pierwsze: wysokość zadłużenia zagranicznego – Polska miała najwyższy w stosunku do możliwości spłat. Po drugie: stopień zreformowania systemu gospodarczego – w tym punkcie Węgrzy byli w najlepszej kondycji, bo mieli na przykład jako jedyni z krajów socjalistycznych przeprowadzoną w 1988 roku reformę systemu podatkowego, obowiązywał więc u nich podatek od dochodów osobistych, podatek od wartości dodanej, czyli już na wstępie mieli mniej rzeczy do zrobienia. W gorszej od Węgrów sytuacji byliśmy my, ale w gorszej jeszcze od nas Rosja, Bułgaria, Rumunia i Czechosłowacja. NRD natomiast miała ortodoksyjny system, z całą pewnością bardziej scentralizowany, niż w Polsce czy na Węgrzech, i w niej na masową skalę, podobnie jak Rumunii, fałszowano statystyki, nie korygując na przykład wzrostu ze względu na ceny, przez co wzrost był pozorny i sporo ekonomistów na Zachodzie uległo złudzeniu, że gospodarka centralnie planowana może jednak jako tako funkcjonować, choć tylko w określonym społeczeństwie, na przykład w tak zdyscyplinowanym jak niemieckie. Co później – po fuzji z RFN – okazało się iluzją.

Po trzecie: o kondycji kraju decyduje stopień zdyscyplinowania gospodarki. Inaczej mówiąc – stopień nierównowagi w gospodarce i chaosu monetarnego, objawiające się w wielkich brakach na rynku, degradujących warunkach nabywania dóbr czyli kolejkach i w ogromnej inflacji, prawie hiperinflacji.

Wielką inflację mieliśmy my, co bardzo nam utrudniło start. W ogromną, prawie hiperinflację, podobną do naszej, wpadły Rosja i Ukraina w dwa lata później, po rozpadzie Związku Radzieckiego, zanim zdecydowały się na przejście w gospodarkę rynkową. Inflacji nie było w NRD, Czechosłowacji i na Węgrzech. Czechosłowacja i Węgry miały też dodatkowo w miarę uporządkowany budżet, czyli stabilną politykę makroekonomiczną.

– Bo naszą zdestabilizował rząd Rakowskiego, prawda?

Myślę, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Proces inflacyjny uruchomiony został w wyniku interakcji dwóch stron – rządowej i społecznej. Obie strony przyczyniły się, że przybrał postać niekontrolowanego żywiołu, galopującej inflacji.

– Ale mówiło się, że to właśnie Rakowski, w sierpniu 1989 roku, zanim oddał władzę, rozpętał hiperinflację.

Bezpośrednią przyczyną wysokiej inflacji była decyzja uwolnienia spod kontroli państwa cen żywności, wprowadzona przez rząd Rakowskiego 1 sierpnia. Decyzja ta była całkowicie słuszna ekonomicznie, ale musiała wywołać taki efekt, ponieważ z jednej strony – podjęto ją w warunkach silnie rozregulowanej gospodarki, rozregulowanej wcześniej, między innymi przez duży wzrost płac, który w pierwszym kwartale 1989 roku był o 120 procent wyższy w porównaniu z rokiem poprzednim, oraz przez ogromny wzrost dotacji do żywności; a z drugiej strony – wprowadzając ją nie obudowano jej równocześnie rygorami powstrzymującymi wzrost płac. Z tym, że rząd Rakowskiego prawdopodobnie zrobić tego już nie mógł, ponieważ inflacyjny wzrost płac został zdecydowany w wyniku ustaleń Okrągłego Stołu i potem w lipcu 1989 roku ustawowo uchwalony przez Sejm, przede wszystkim naszymi głosami, bo Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

– Wiesz, w jaki sposób?

Nie, nie wiem.

– Pełnej indeksacji kategorycznie zażądała Krajowa Komisja Wykonawcza „Solidarności”.

Nie wiedziałem.

– A OKP najpierw prawie stuprocentową większością zdecydowało, że w Sejmie będzie głosowało przeciwko indeksacji. Potem wysłało do Gdańska na rozmowy z Wałęsą Karola Modzelewskiego, bo – jak mi powiedział – na posiedzeniu OKP pyskował przeciw

indeksacji najgłośniejszej, a Lech oświadczył, że otworzenie śluzy inflacyjnej go nie interesuje i chce pełnej. Co Karola zresztą nie zdziwiło, bo Lecha – według niego – nigdy nie absorbowano meritum sprawy, tylko, jak jego decyzja zostanie odebrana na dole: wygwizdzą go czy oklaszczą, oraz jakie ona będzie miała skutki w planowanych przez niego rozgrywkach personalnych. W lipcu 1989 roku uznał, że jeżeli Kuroń i Geremek są przeciwko indeksacji, bo zdecydowanie byli, to trzeba ich postawić w bardzo kłopotliwym położeniu, gdyż są za silni i indeksację poprzeć.

Bardzo ciekawe.

– Znowu odbyło się posiedzenie OKP. Jerzy Osiatyński powiedział, że żądanie KKW jest zarzynaniem gospodarki na ołtarzu polityki, ale widocznie jeszcze raz trzeba to zrobić; Bronisław Geremek, że on prosi, bardzo prosi posłów, by w zaistniałej sytuacji głosowali zgodnie z instrukcją KKW; Jacek Kuroń też nagle zmienił zdanie i wygłosił w sejmie płomienne przemówienie popierające indeksację; a Karol, który dalej głosował przeciwko, stwierdził wtedy po raz pierwszy, że z jego przyjaciółmi dzieje się coś niedobrego.

No, proszę, facet z charakterem. Szkoda, że potem przejął się błędną, dawno zwietrzałą ekonomią.

– Dopóki ona, Leszku, funkcjonuje w społecznej wyobraźni, nie jest zwietrzała i każdy polityk musi o tym pamiętać. Ale powiedz mi lepiej, czy jakkolwiek rząd wytrzymałby wywalczone wtedy przez opozycję przywileje?

Żaden. Porozumienia Okrągłego Stołu – mówię o zapisach socjalnych – były nie do zrealizowania.

– Ale nikt otwarcie tego społeczeństwu nie powiedział, nikt!

Byłem w lepszej niż inni sytuacji. Nie uczestniczyłem w obradach Okrągłego Stołu, więc nie czułem potrzeby tłumaczenia się. Mam też wrażenie, że po stronie solidarnościowej nikt nie liczył skutków rozmaitych ustaleń podjętych przy różnych stolikach. Ponadto istniało chyba przekonanie, że za to wszystko i tak będzie musiała zapłacić władza, a nie społeczeństwo, w którego imieniu się negocjowało.

– Ktoś powinien był powiedzieć.

Po pierwsze: obraz ogółu ustaleń objawił się dopiero po fakcie; po drugie: nie pełniłem wtedy żadnej publicznej roli; po trzecie: mój sceptycyzm nie ograniczał się tylko do indeksacji płac, co przekazywałem niektórym moim kolegom, którzy uczestniczyli w obradach Okrągłego Stołu. Ja w ogóle od samego początku byłem krytycznie nastawiony do tej litanii socjalnej, jaką na obrady Okrągłego Stołu przygotowała „Solidarność”, do tego katalogu roszczeń poszczególnych grup zawodowych, górników, kolejarzy itd., choć rozumiałem, iż ówczesna pozycja „Solidarności” – związku zawodowego, skłaniała do stawiania żądań i nikt w żadnym momencie nie zakładał, że w Polsce nastąpi zmiana ustroju i przekazanie władzy, opozycja więc dążyła do zhumanizowania obowiązującego systemu. Błędem jednak strony rządowej było to, że znając sytuację kraju, stan finansów publicznych, lepiej od opozycji, ustąpiła i te żądania starała się spełnić. Myślę zresztą, że ustępowała wtedy, ponieważ uważała, że nie może się opierać, albo że już nie warto się opierać, czyli z poczucia słabości.

– Nie celowo?

Jeżeli przez działanie celowe rozumiesz, iż ktoś z góry założył, że utrudni pracę następców, bo dopuści do ogromnej inflacji, to moja odpowiedź będzie następująca: nigdy nie będziemy mieli definitywnego dowodu na jedną czy drugą tezę, ale w moim przekonaniu, działań celowych nie było.

– I komuniści nie przygotowywali sobie, według ciebie, miękkiego lądowania?

Jeżeli mieli takie plany, to tempo wydarzeń zdecydowanie je przekreślało. Ale nie, wydaje mi się, że nie mieli. Zwycięstwo „Solidarności” w czerwcowych wyborach było dla strony rządowej wielkim zaskoczeniem. Zresztą dla opozycyjnej również. Myślę, że strona rządowa w ogóle nie liczyła się z możliwością całkowitego oddania władzy, była gotowa jednak do podzielenia się władzą. I tego dowodem był dla mnie Okrągły Stół.

– A spółki? Lawina spółek nomenklaturowych, które rozpełzły się po przedsiębiorstwach państwowych właśnie za Rakowskiego, i w 1990 roku doszło do tego, że oblepiony nimi był prawie każdy zakład?

Przepraszam cię bardzo, nie każdy, w wielu nie było.

– Były w najbardziej znanych: Hucie Warszawa, Stoczni Gdańskiej, Igłopolu, Horteksie...

Ale w Polsce mamy osiem tysięcy przedsiębiorstw. No, dobrze, zgódźmy się, że było ich sporo i co dalej?

– Tworzyły bardzo złą atmosferę społeczną.

Zgoda (*zniecierpliwienie*), tylko do czego prowadzisz?

– Że w powszechnym odczuciu odbierane one były jako niesprawiedliwości, a nawet niegodziwości, akceptowane przez nasz już rząd.

Po pierwsze: nieakceptowane, bo jednym z pierwszych kroków prawnych, jakie podjął rząd Mazowieckiego, było wstrzymanie możliwości zakładania nowych spółek i ich ekspansji, co zresztą natychmiast – to na marginesie – spotkało się z krytyką, iż w ogóle wstrzymujemy prywatyzację, czyli wstrzymujemy proces przemian własnościowych, bardzo ważnych dla zmiany ustroju gospodarczego.

Po drugie: podobne zjawisko prywatyzacji, wystąpiło także na Węgrzech. U nas nazwano ją „nomenklaturową”, a tam prywatyzacją spontaniczną. Rozpoczęto ją jednak przeprowadzać w tym samym czasie – na początku 1989 roku i w podobnym trybie – poprzez zmiany w systemie prawnym przedsiębiorstw państwowych, umożliwiające zakładanie spółek. Jakie intencje kierowały wtedy ludźmi, podejmującymi te decyzje, nie wiem, mogę więc tylko spekulować i moje przekonania są następujące: w postawie Wilczka, Rakowskiego, Sekuły i innych występowało silne dążenie do zreformowania systemu gospodarczego, w ramach postrzeganych przez nich możliwości, czy raczej ograniczeń politycznych – nie wolno zapominać, że był to koniec 1988 roku. Oni, jak sądzę, zdawali sobie sprawę z konieczności przebudowy przedsiębiorstw i chcieli przekształcić je w ramach swego rodzaju menedżerskiej prywatyzacji, która budziła zrozumiałe opory i protesty społeczne, ale w przekonaniu tych ludzi była na swój sposób ewolucyjną formą – być może nie do końca uświadomioną – zmiany systemu, w którym elita poprzedniego wchodzi w skład elity gospodarczej nowego systemu.

Reformy rządu Rakowskiego zresztą, trzeba im to oddać, były na swój sposób radykalne. Były to inne reformy, niż te z początku lat 80., w których na przykład kwestia własności w ogóle nie występowała. W końcu 1988 roku rząd Rakowskiego ją podjął i usunął ograniczenia dla rozwoju sektora prywatnego. Poza tym wprowadził znaczną liberalizację handlu zagranicznego, nie występującą w takiej skali w poprzednich próbach reform, czyli usunął część różnych ograniczeń, utrudniających nasze kontakty ze światem zewnętrznym.

– Ale przecież – mówiło się – że po to, aby rozpętać aferę alkoholową i samemu zarobić na eksporcie wódki.

Nie, nie. Byłem i jestem daleki od doszukiwania się w ludziach ukrytych, podstępnych działań. Według mnie rząd Rakowskiego chciał rzeczywiście zliberalizować handel zagraniczny i na listę produktów podlegających liberalizacji wpisano napoje alkoholowe. Czasami błąd na poziomie urzędnika pociąga za sobą dość poważne konsekwencje. Naprawdę nie jestem skłonny upatrywać w tym jakiejś premedytacji. Tym bardziej, że sam wiem, z własnej późniejszej praktyki, jak dużą rolę – przy wielkim zagęszczeniu zdarzeń, stresie, napiętym terminarzu – odgrywa zwyczajny przypadek, ograniczona zdolność ludzi do bardzo intensywnej pracy przez długi czas.

– Od kiedy właściwie jesteś politykiem?

Są dwa zasadnicze typy polityków, według mnie. Pierwszy typ polityka to człowiek, który zawodowo zajmuje się dążeniem do objęcia stanowisk politycznych i który tak kształtuje swoje działania, żeby otrzymać i utrzymać urząd. A drugi typ pojawia się w szczególnych okolicznościach, tak jak w Polsce, czy w innych krajach postsocjalistycznych w 1989 roku i jest politykiem nastawionym na rozwiązywanie szczególnych problemów, w szczególnej sytuacji, normalnie w takim natężeniu nie występujących. Mnie nigdy nie pasjonowało bycie politykiem pierwszego rodzaju. Mnie nie zależy na piastowaniu urzędów, nigdy nie dążyłem do posiadania stanowisk. Mnie interesowało wtedy z a d a n i e, które podjąłem się wykonać.

– Podobno nagroda Nobla.

(Uśmiech) Nagrodę Nobla daje się teoretykom ekonomii, a nie praktykom. Zgłoszenie więc potem mojej kandydatury było pomysłem dobrze życzących mi ludzi, ale raczej nierealnym. Istnieją zadania, które są nagradzane same przez się, jedni nazywają to satysfakcją osobistą, inni altruizmem, mniejsza o nazwę. Ja – obejmując stanowiska w rządzie – miałem jedną ambicję osobistą, żeby przeprowadzić w Polsce skuteczne reformy; poczucie – tak, użyję tego słowa –

poczucie odpowiedzialności, by sprostać zadaniu oraz najgłębsze postanowienie, że muszę je wykonać.

– **Misję?**

(*Śmiech*) Wolę używać innych słów.

– **Baleś się?**

Tak, bałem się. Bałem się, że mogę wprowadzić program, który nie uzdrowi gospodarki. Bałem się, by nie wykonać ruchu, który spowoduje, że sytuacja gospodarcza na dłuższą metę się pogorszy i całe zadanie zostanie przekreślone. Tego się bałem.

– **Bo „co powiedzą ludzie” – nie?**

Inaczej. Cały czas w pamięci miałem przykład Argentyny, przed laty jednego z najzamożniejszych krajów, którego przywódcy chcąc uniknąć bolesnych reform doprowadzili do jeszcze boleśniejszych skutków. Argentyna zaczęła ześlizgiwać się po równi pochyłej i zaprzepaściła swoje szanse, właśnie wskutek oportunistów polityków.

Celem moim, osobistym niemalże, było nie objęcie określonego urzędu, ale przeprowadzenie w Polsce trwałych reform, które uważałem w świetle swojej wiedzy za niezbędne, aby Polska weszła na drogę trwałego rozwoju. Nie przeżywałem więc dylematów, że muszę za wszelką cenę utrzymać stanowisko, a więc także za cenę rezygnacji z posunięć, które niosą ze sobą ryzyko niepopularności.



Warszawa, 1992. Profesor Leszek Balcerowicz podpisuje swoje książki. Fot. PAP/Zbigniew Szwejkowski.

Od początku wiedziałem, że w naszej sytuacji istnieją dwa rodzaje ryzyka. Jedno, że

podejmę działania ekonomicznie słuszne, ale spotkają się one z oporem społecznym i zostaną odrzucone. A drugie ryzyko polegało na tym, iż w obawie przed oporem społecznym i odrzuceniem podejmę działania mniej radykalne od niezbędnych, zostaną one przez społeczeństwo zaakceptowane, a nawet zjedną mi na krótką metę sympatię, ale nie przyniosą pożądanego rezultatu, czyli nie uzdrowią gospodarki i nie zapewnią jej trwałego rozwoju. Zdecydowałem się podjąć pierwsze ryzyko, bo czasami, aby ratować i uzdrawiać kraj, trzeba iść pod prąd albo trzeba się narazić dużym grupom społecznym. To dotyczy zresztą wszelkich radykalnych innowacji. Znam te sprawy, bo przez długie lata zajmowałem się właśnie tą problematyką.

– Konkretnie czym?

Zajmowałem się badaniem radykalnych reform w innych krajach, nie tylko pod względem ich treści, ale także odbioru społecznego. I to w krajach, które startowały do nich w dużo lepszej sytuacji gospodarczej niż Polska. Spotykały się one na ogół z ostrą reakcją, zwłaszcza w pierwszym okresie, a osoba, z którą je wiązano, wywoływała silne emocje. W Polsce powtórzył się – tylko w większym natężeniu – scenariusz, rozegrany wcześniej w wielu krajach Ameryki Łacińskiej. Otóż rządy, które próbowały opanować zastany chaos w gospodarce, znalazły się pod ostrzałem oskarżeń, iż tłumią produkcję, albo że wiszą na pasku międzynarodowych instytucji. Obejmując więc urząd wiedziałem, iż nie mogę być tak popularny jak na przykład minister spraw zagranicznych i muszę wzbudzać kontrowersje. Ludzie wykonujący podobne do mego zadania, zawsze i wszędzie są podmiotem różnych ataków, gróźb, nawet szantaży moralnych.

– Ale, przepraszam cię, „zabójcy narodu polskiego” i „Mengelego polskiej gospodarki”, tego chyba nie przewidziałeś?

Oczywiście, że wszystkiego nie przewidziałem. Najbardziej jednak zaskakujące było dla mnie to, że w polskiej polityce ujawniła się taka masa demagogów, albo ekonomicznych

ignorantów, licytujących się między sobą, który z nich zdobędzie więcej głosów niezadowolonej części społeczeństwa i w ten sposób potęgujących owe niezadowolenie. Tego, że będą mnie chcieć stawiać przed Trybunał Stanu, też się nie spodziewałem. Forma ataków, tak, forma ataków, zaskoczyła mnie.

– Więc warto było?

No, oczywiście, że warto, absolutnie warto. Dla ratowania kraju warto narazić się nawet dużej części społeczeństwa.

– Bo wiesz, twoją Ewę bolało.

Szczególnie niepokoiłem się z powodu niepokoju mojej mamy. Mama wszelkie ataki na mnie brała śmiertelnie poważnie. Z rana biegła do kiosku po gazety, potem kamieniem siedziała przy telewizorze i ataków na mnie (bo reformy zostały w Polsce strasznie spersonifikowane i moje nazwisko z różnymi przymiotnikami odmieniano we wszystkich przypadkach) – nie potrafiła przyjmować jako rodzaj gry. Niepokoiłem się, czy wytrzyma. Ale na szczęście wytrzymała.

– A ty?

Gdybym ja, Tereso, podejmując się swego zadania miał naiwną nadzieję, że sto procent Polaków będzie mnie kochać, to byłoby mi bardzo trudno psychicznie wytrzymać już po paru miesiącach. Ale takich złudzeń nie miałem. Moim obowiązkiem było nie zajmowanie się w sposób narcystyczny tym, co inni o mnie powiedzą, tylko wykonywanie swojej roboty. Miałem ważniejsze rzeczy do robienia. Trzy razy więcej problemów niż ktoś, kto zajmuje moje stanowisko w innym kraju, i gdybym w sposób znerwicowany czy obsesyjny zajmował się analizowaniem wszystkich krytycznych uwag pod moim adresem, to bym nie wykonywał

podstawowych obowiązków, jakie na siebie wzięłem. Uważałem także, że te wszystkie ataki choć nieprzyjemne, w perspektywie historycznej są drobiazgami bez znaczenia i za kilkadziesiąt lat nikt o nich nie będzie pamiętał. Dla mnie bowiem było oczywiste, że w 1989 roku stanęła przed nami historyczna szansa, jaka w dziejach narodów zdarza się raz na kilkaset lat i wielkim grzechem byłoby z niej nie skorzystać.

– O komunizmie też tak mówiono.

Sięgasz do zgranych chwytów. Są słowa, których – owszem – często nadużywano, ale bez których nie możemy się obejść w poważnej dyskusji. Tak jak nie możemy się obejść bez pojęcia szczęścia, dobra wspólnego, wspólnego interesu. O komunizmie mówiono tak w celach wyraźnie manipulatorskich.

– Bo ty nie?

Nie. Ja stroniłem od sloganów, ale nie rezygnowałem z używania słów lub wyrażeń, które były na miarę sytuacji. Dlatego powtarzam: rok 1989 stworzył Polsce rzadką w historii narodów możliwość wyboru drogi rozwoju. Cały czas miałem tego świadomość. Świadomość, że to co robię, nie jest układaniem przeciętnego budżetu, nie jest układaniem zwykłego programu gospodarczego, ale jest historycznym przełomem, budowaniem ustroju gospodarczego na długie lata, ustroju, który sprawdził się w świecie, który daje najwyższy wzrost i w rezultacie najwyższe zatrudnienie. A więc nie gospodarkę socjalistyczną – centralnie planowaną, nie gospodarkę samorządową, ale gospodarkę prywatną.

– Ale że chodzi ci o kapitalizm, tego głośno jednak nie powiedziałeś.

Mówiłem o gospodarce typu zachodniego, używając takich zastępczych określeń. Być może wynikało to z przeświadczenia, że słowo „kapitalizm” wywołuje emocjonalne negatywne reakcje nawet u ludzi, którzy są przeciwko socjalizmowi, co jest rezultatem historycznych

konotacji. (Słowo „kapitalizm” wynalezione zostało przez socjalistów i od narodzin miało pejoratywne zabarwienie, a potem obrosło różnymi obciążeniami, na które do dzisiaj wielu ludzi reaguje instynktowną – prawdopodobnie – niechęcią.) A być może wpływało z zastosowanej przez nas autocenzury językowej, bo istniał jeszcze Związek Radziecki i występowała pewna ostrożność w używaniu słów. Choć już nie w formułowaniu programów, bo w programie wyraźnie zostało powiedziane, że opanowujemy hiperinflację, wprowadzamy wymienialność złotówki, prywatyzujemy gospodarkę i generalnie zmierzamy w kierunku kapitalizmu.

– Leszek, ale wbrew „Solidarności”, która przez dziewięć lat walczyła o socjalizm z ludzką twarzą, prawda?

Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: w jakiej mierze program „Solidarności” (a raczej jawna lub ukryta gospodarcza ideologia głównych reprezentantów tego ruchu) wynikał z autentycznego przekonania, że jakiś odpowiednio zreformowany socjalizm jest *per saldo* lepszy od kapitalizmu, a w jakiej z samoograniczeń politycznych, opartych na świadomości, że ze względów ustrojowych konkurencyjny kapitalizm nie wchodzi w rachubę, jest w Polsce politycznie wykluczony.

– I wbrew „Sieci” wielkich przedsiębiorstw państwowych, w której pracach sam uczestniczyłeś, bo „Sieć” walczyła przecież o samorząd pracowniczy.

Zgadza się. Ja i część ówczesnych ekonomistów poszukiwaliśmy takich zmian w systemie gospodarczym, która do maksimum wykorzystalaby istniejący wąski margines wolności. Samorząd pracowniczy był więc po pierwsze: formą ucieczki od centralnego planowania; po drugie: z trudem, ale mieścił się w ramach ustrojowych niezmienników, a raczej ustrojowych ograniczeń, więc istniały – według nas – polityczne szanse na jego wprowadzenie i po trzecie: był systemem gospodarczym sprawniejszym niż centralne planowanie, choć do dzisiaj sędzę, że tylko trochę.

– I wbrew społeczeństwu, które, Leszku, wcale nie chciało kapitalizmu.

Wiesz, to takie upraszczające, a więc błędne dziennikarskie stwierdzenie, bo co to jest społeczeństwo? Społeczeństwo to zbiór grup o różnym poziomie wykształcenia i interesach, o różnych wyobrażeniach o tym, co dzieje się w kraju i co powinno się w nim dziać, przez co nie można rzeczy sprowadzać do jednoznacznego stwierdzenia: społeczeństwo chciało, czy nie chciało. Jedni chcieli, inni nie chcieli, jeszcze inni w ogóle nie wiedzieli, czego chcieć. Ale nawet zakładając, że większość nie chciała, kojarząc kapitalizm tylko z dwiema jego cechami – bezrobociem i limitowanym zestawem świadczeń społecznych, to co z tego wynika?

– Że czym jest dla ciebie demokracja?

Demokratyczna polityka nie polega tylko na biernym odczytywaniu masowych nastrojów. W polityce nie można poprzestać na tym, że większość ma takie czy inne pragnienia, ale trzeba dążyć je zmienić.

– Jaśniej, proszę.

Trzeba widzieć i pamiętać o roli politycznego przywództwa, które jest szczególnie ważne w takich właśnie czasach przełomu i które powinno nadawać kierunek zmian.

– Przywództwo – jak pamiętam – obiecywało drugą Japonię.

Niektórzy mówili: popatrzcie na Koreę Południową, na Tajwan, które osiągnęły fantastyczne rezultaty. Rzeczywiście osiągnęły. Ale po pierwsze: tam od samego początku istniała struktura kapitalistyczna, a więc był mocny silnik rozwoju i przedsiębiorstw nie trzeba było prywatyzować, bo były już prywatne. Po drugie: państwo było silne, odporne na grupy nacisku, a przez to zdolne do prowadzenia długofalowej strategii rozwoju. Po trzecie: system

świadczeń socjalnych był tam bardzo ograniczony, a więc nie obciążał w takim stopniu jak u nas przedsiębiorstw i ludzi, którzy muszą przez to płacić wysokie podatki, oraz po czwarte: albo nie było tam związków zawodowych, albo były one kooperatywne i nie hamowały reform.

– Bo u nas hamowały?

Początkowo – nie, na początku ustawiły się na pozycji raczej nieufnych obserwatorów, ale potem – niestety – tak. Przy czym dotyczy to głównie tego, co pozostało z „Solidarności”, czyli związku zawodowego „Solidarność”, którego parlamentarni przedstawiciele w końcu obalili rząd Hanny Suchockiej i w ten sposób otworzyli drogę do zwycięstwa PSL i SLD.

– Upraszczaś. Powiedz mi lepiej, co chciałeś zrobić z tymi świadczeniami i przywilejami.

Polska, o czym już wspomniałem, podobnie, jak i inne kraje postsocjalistyczne, miała nadmierny, jak na swój poziom rozwoju, oraz nieefektywny – uwzględniając nakłady – ekstensywny system świadczeń socjalnych, który działał na podłożu coraz słabszej gospodarki. A gdyby jeszcze próbowano realizować to, co zostało ustalone przy Okrągłym Stole, czyli rozdawnictwo różnych dodatków socjalnych do już przecież rozbudowanego socjalistycznego systemu świadczeń socjalnych, to gospodarka mogłaby iść już tylko w dół. W Polsce powstała sytuacja, że do tych świadczeń nie było z czego dokładać i można było tylko drukować pieniądze. Drukowanie pieniędzy jednak to nie to samo, co tworzenie kapitału. Albowiem kapitał składa się z realnych oszczędności.

– I ciąc trzeba było nawet za cenę utraty poparcia dużej części społeczeństwa?

Takie myślenie, Tereso, jest naprawdę szkodliwą naiwnością. Bo założmy, że rząd, który doszedłby do władzy we wrześniu 1989 roku realizowałby politykę utrzymania indeksacji płac

oraz zachowania potwornego bagażu różnych socjalnych i niewykonalnych oraz krępujących rozwój gospodarczy zapisów, rząd oczywiście bez mojego udziału, bo ja w takim programie bym nie uczestniczył. Czy myślisz, że taki rząd długo zachowałby poparcie? Nie! Oczywiście, że nie. Bo co by nastąpiło? Statystyczne płace realne byłyby sztucznie podwyższane wskutek tego, że wynagrodzenia rosłyby znacznie szybciej niż ceny. W efekcie nie byłoby żadnego wzrostu stopy życiowej, ale gołe półki i inflacja, która by się z każdym miesiącem rozpędzała i sięgnęłaby nie 40 procent rocznie, ale dużo, dużo więcej, coraz więcej i mielibyśmy hiperinflację jak na Ukrainie. Czy myślisz, że nie byłoby wtedy strajków? Strajki wybuchłyby – moim zdaniem – nawet wcześniej, nie po roku, jak przy nas, ale po kilku miesiącach.

– Bo strajkowano – według ciebie – niesłusznie, prawda?

A co to znaczy słuszne strajkowanie?

– Chyba kiedy człowiekowi odbiera się to, co dotąd miał.

Strajkowano, ponieważ są dwa sposoby widzenia rzeczywistości. Jedna intuicyjna, typu potocznego i druga – nie wiem, jak ją nazwać, niech będzie – ekonomiczna. W pierwszej: ludzie porównują to co jest, z tym, co było. W drugiej: to, co jest z tym, co byłoby, gdyby nie wykonano pewnych posunięć. Otóż porównywanie „tego – co jest, z tym – co było” jest nieracjonalne, dlatego że nie istniała żadna, absolutnie żadna możliwość utrzymania poprzedniego stanu i gdyby próbowano, byłoby gorzej.

– Ale tej reformy, jaki właściwie był cel?

Mówiąc lapidarnie, żeby było lepiej aniżeli bez reform. A poważnie: żeby Polska mogła szybciej rozwijać się gospodarczo i żeby w związku z tym warunki życia ludzi były lepsze, tak.

– No właśnie, a ludzie twierdzą, że się im pogorszyło.

Nie zgadzam się. Jednym pogarszało się *per saldo*, a innym *per saldo* poprawiało. Zawsze trzeba porównywać sytuację ludzi, jaka zaistniałaby przy braku reform, jak na przykład na Ukrainie. Albo przy niekonsekwentnych zmianach, jak na przykład w Rumunii. Wtedy widzi się, jak wyraźne korzyści przynoszą reformy radykalne. Dostrzega się też, że głównym kosztem reformy jest utrata pewności zatrudnienia. Gospodarka rynkowa jest bowiem tak zbudowana, że nie sposób w niej osiągnąć w każdym dowolnym momencie idealnej synchronizacji między liczbą osób, które chcą pracować i liczbą miejsc pracy.

Gospodarka socjalistyczna charakteryzowała się innym typem nierównowagi: nadmiernym zatrudnieniem, nazywanym ukrytym bezrobociem, zjawiskiem być może pozytywnym – oceniając je z pozycji jednostki, która nie musi starać się o pracę, zabiegać o nią, szanować ją – ale korzystnym tylko pozornie, bo ktoś musiał za tę bezużyteczną często czy zgoła mało efektywną pracę płacić, i płacił – konsument, a więc ten sam człowiek, tylko w drugim wydaniu. Zasady „czy się stoi, czy się leży” nie da się bowiem pogodzić z regułami sprawnej gospodarki. Każdy więc kto jest za gospodarką rynkową musi się godzić z marginesem bezrobocia, jaki ten typ gospodarki produkuje, bo jest ono jego naturalną, strukturalną właściwością. Nie ma bowiem i nie będzie żadnej realnej gospodarki rynkowej, która zagwarantuje wszystkim pewność zatrudnienia, to trzeba sobie jasno powiedzieć.

Więc albo – albo. Jeśli zaś ktoś chce, aby ten margines bezrobocia był mały, jak na przykład na Tajwanie albo w Korei Południowej, to musi być za dyscypliną płac i za wszystkim, co zwiększa konkurencyjność przedsiębiorstw na rynku międzynarodowym. Czyli za posunięciami akurat odwrotnymi od tych, jakie forsują agresywne związki zawodowe, i jeśli się im ustępuje, prowadzi to do wzrostu bezrobocia i obniżenia poziomu życia.

– Czyli dobry związek zawodowy – to według ciebie – jaki?

Taki, który rozumie, że realne dochody mogą rosnąć tylko wraz z wydajnością pracy, ta zaś zależy od dyscypliny i reform.

Pytałaś, czym różniła się sytuacja Polski od pozostałych krajów socjalistycznych. Wylczyłem trzy wskaźniki ekonomiczne, na starcie niekorzystne dla Polski, nie wspominając o czynnikach, które określiłbym jako społeczne. Otóż pierwszym społecznym czynnikiem, który wyraźnie różnił naszą sytuację od pozostałych krajów postsocjalistycznych był stopień mobilizacji pracobiorców i siła żądań socjalnych i płacowych. Z podobną siłą żądania te wystąpiły w Albanii i Rumunii. Natomiast w Czechosłowacji i na Węgrzech były one zdecydowanie mniejsze.

– Bo u nas wystąpiły przez „Solidarność”?

Masowy ruch, z którym wielu ludzi wiązało emocjonalne oczekiwania, który już w nazwie zawierał hasło, że w życiu publicznym powinny dominować interesy wspólne, a miejsce dla odcinkowych jest na drugim planie i należy z nich rezygnować w imię wspólnego dobra. Ten ruch szermował magicznymi zapisami i nierealnymi w zderzeniu z rzeczywistością ideałami. I przypominał mi do pewnego stopnia socjalizm utopijny. Choć – trzeba mu oddać – był bardziej realistyczny niż socjalizm naukowy (*śmiech*). W sensie ekonomicznym jednak okazał się dziwną mieszaniną różnych koncepcji, ale dominowała chyba doktrynalna zasada, że wszystko czego domaga się pracownik, jest słuszne i wszystko, czego się on domaga, jest dobre nie tylko dla tego pracownika, ale i dobre dla Polski. Co jest – jak wiadomo – jaskrawo błędną tezą, bo na przykład gwałtowny wzrost płac może całkowicie zdestabilizować gospodarkę. Ruch ten na dodatek był z jednej strony: bardzo silny, dobrze zorganizowany w obliczu jednego wroga, jakim był komunizm, partia, Związek Radziecki, ale z drugiej: wewnętrznie podzielony i skonfliktowany, oparty – jak się okazało – na jedności w ramach „my”, z utajonymi, spychanymi poza obręb jawnych dyskusji różnicami w poglądach i interesach, przez co gdy zabrakło wspólnego przeciwnika, sztuczna jedność się zawaliła i musiał on sięgnąć bruku. Ale u nas, sięgnął on tego bruku bardzo szybko, za szybko, co dla wielu okazało się emocjonalnym wstrząsem, trudnym do zaakceptowania. I sięgnął w sposób wyjątkowo niesympatyczny, w przykrym dysonansie do

własnego wizerunku, który poprzednio zbudował. Trzeba więc zapytać, czy musiało się tak stać? Czy ci sami ludzie mogli się zachować inaczej, albo co by było, gdyby na ich miejscu znaleźli się inni ludzie.

– Gdyby nie było Gabriela Janowskiego, na przykład, prawda? Który wykrzykiwał: „Chłopy, macie rację. Rząd nic nie rozumie z ciężkiej doli chłopa” i groził, że na wsi wybuchnie rewolta, a jego związek stanie na czele chłopskiego buntu.

Większą agresywność – zauważ – wykazywały partie, które reprezentowały lub wydawało im się, że reprezentują interesy wsi. Co jest o tyle ciekawe, że właśnie organizacje chłopskie powinny być najbardziej zainteresowane własnym udziałem w urynkowaniu i w prywatyzacji swego otoczenia oraz rozwojem wolnego rynku. Takich działań partie, które ubiegały się o głosy wsi, na ogół jednak nie podejmowały, łatwiej było blokować drogi i wdzierać się do gmachu ministerstwa rolnictwa.

– Albo gdyby nie było Jana Olszewskiego, dla którego niewidzialna ręka rynku okazała się ręką aferzysty, prawda?

Bo u nas, na małej w końcu przestrzeni, jaką jest scena polityczna w niezbyt dużym kraju, ujawniła się zastraszająco duża liczba ambitnych polityków, którzy postanowili walczyć o władzę, odwołując się do ludzkiego niezadowolenia i w różny sposób dezawuuując reformę. Reformę, którą jeszcze do niedawna była niemożliwa, bo istniał Związek Radziecki. I to jest kolejny element polskiej specyfiki: nadmiar ambitnych, nieodpowiedzialnych polityków, czego z kolei pochodną jest nadmiar partii politycznych i wielość rządów. Od końca 1991 roku, a więc od kiedy odszedłem z rządu, do lutego 1994 Polska miała trzy rządy, nie licząc czterotygodniowego epizodu z Waldemarem Pawlakiem oraz miała czterech ministrów finansów, z których trzech zrezygnowało. Mieliśmy też przez te cztery lata więcej niż jakikolwiek inny kraj kampanii wyborczych. Aż trzy w ciągu czterech lat: prezydencką i dwa razy do sejmu, nie licząc samorządowej. Każda zaś – jak wiadomo z doświadczeń innych krajów demokratycznych – jest

w pewnym stopniu kampanią dezinformacji, bo wmawia się ludziom, że jest jeden lub dwa sposoby, które jak się zastosuje natychmiast, uzdrowią sytuację. Wmawia się często skutecznie, co jest bardzo łatwe w czasach nie tyle trudnych ze względu na warunki życia, ile niepewnych, nabrzmiałych oczekiwaniami. Dezinformacja w kraju świeżej demokracji, takim jak Polska jest szczególnie groźna, bo z jednej strony – prowadzi do otumaniania społeczeństwa, z drugiej – podsycza niezadowolenie, a z trzeciej – radykalnie obniża wiarygodność rządu i poziom zaufania do przeprowadzanych reform. W efekcie, zaraz jak powstawał u nas kolejny rząd, to pod Urząd Rady Ministrów przychodziła demonstracja i krzyczała: złodzieje. Nie spotkałem tego w żadnym innym kraju. Ciekaw jestem zresztą, co to są za ludzie?

Trzecim elementem politycznym polskiej sytuacji było silne rozbitcie ruchu związkowego. Po kilka związków w jednym zakładzie i kilka różnych organizacji ogólnokrajowych. Z tego powodu nie było i nie ma nadal jednego partnera do rozmów, bardzo trudno zawrzeć z nimi jakieś porozumienie czy pakt społeczny. Występowały także trudności techniczne, których nie miały Czechosłowacja i Węgry. My musieliśmy wszystkie negocjacje dwukrotnie co najmniej powtarzać, ponieważ „Solidarność” na przykład nie chciała usiąść przy jednym stole z OPZZ. Najpierw więc rozmawiało się z jednym związkiem, potem o tym samym z drugim, oba często konkurowały ze sobą w stawianiu żądań, więc ustalenia z pierwszym negował drugi. Rozmowy te zajmowały czas. A czas ma to do siebie, że jest ograniczony, a więc pozostawało go po prostu mniej na inne sprawy. Czas przy tym w krajach, w których przeprowadza się zasadnicze reformy gospodarcze ma zupełnie inną miarę, dlatego zacząłem w pewnym momencie operować pojęciem czasu podzielonego. Pierwszy, odliczany od momentu wielkiego przełomu, jaki nastąpił w Polsce 1989 roku, był czasem polityki nadzwyczajnej i charakteryzował się: większą niż normalnie gotowością ludzi do akceptacji radykalnego programu, wynikającą z przeświadczenia, że coś znaczącego się stało, jakiś przełom, że uczestniczy się w wielkiej historii, co zawsze łączy się z ekscytującym uniesieniem; onieśmieleniem starych struktur politycznych, które nie wiedząc co je czeka, nie przeszkadzają oraz w budujących się nowych strukturach dominuje silne poczucie dobra wspólnego, wspólnej sprawy, a nie odcinkowego interesu. Ten okres polityki nadzwyczajnej może trwać – sędzę – rok, najwyżej dwa lata. Po nim nastaje czas polityki „normalnej”, co nie znaczy dobrej, a w nim: następuje spadek nastrojów, trudności akceptacji programu rosną, polityczne struktury wewnętrzne coraz bardziej nastawiają się na walkę

polityczną i zaczynają przeszkadzać w realizacji całościowego programu. W Polsce ten okres polityki nadzwyczajnej został wykorzystany. I Polska od końca 1991 roku najwyraźniej zaczęła powiększać swój dochód narodowy i rozwijać się najszybciej.



Warszawa, 1992. Exposé premiera Waldemara Pawlaka, lidera PSL w Sejmie. Obrady prowadził marszałek Wiesław Chrzanowski (ZChN). Fot. PAP/Janusz Mazur.

– Leszku, a twoim zdaniem – muszę cię jeszcze raz zapytać – ludziom się w końcu pogorszyło w wyniku radykalnej reformy, czy nie?

Jeżeli mówimy – pogorszyło, to musimy zapytać: w porównaniu z czym pogorszyło? Czy absolutnie – a więc z sytuacją, jaką mieli na początku, czy relatywnie – przez porównanie z sytuacją innych ludzi. Bo to są dwie różne rzeczy.

– Komu pogorszyło się absolutnie?

Na pewno tym, którzy stracili pracę, jaką mieli poprzednio.

– Czyli?

Ludziom pracującym w tych częściach gospodarki, które były najmocniej związane z socjalizmem. Więc jak socjalizm się zawalił, to i one albo się zawaliły, albo ogromnie obniżyły swoje znaczenie. Do takich części należą na przykład PGR-y, które poprzednio były ogromnie marnotrawne i utrzymywały się kosztem wielkich dotacji. Co z kolei oznaczało, że inni ludzie musieli płacić duże podatki.

Relatywnie zaś pogorszyło się górnikom i robotnikom przemysłu ciężkiego, bo oni porównują swoją sytuację z sytuacją nowych przedsiębiorców, bankowców, maklerów, adwokatów, notariuszy, menedżerów, finansistów itd., którym poprawiło się znacznie bardziej niż im. Co jest faktem. Albowiem każdy system gospodarczy ma właściwą sobie hierarchię płacy i prestiżu. W gospodarce socjalistycznej ci wszyscy adwokaci i menedżerowie mieli stosunkowo niską pozycję, bo nie było na nich zapotrzebowania, w gospodarce rynkowej natomiast popyt na nich ogromnie rośnie, rosą więc ich dochody i prestiż, ponieważ bez nich owa gospodarka nie może funkcjonować. Przechodzenie do gospodarki rynkowej nieuchronnie wiąże się bowiem z wielkimi przetasowaniami dużych grup ludzi i ci którzy przesuwiają się w dół na tej skali płacy i prestiżu, nie mogą najprawdopodobniej być tym zachwyceni.

– Leszku, jakim człowiekiem jesteś? Opisz siebie.

A po co ci to?

– No, chcę wiedzieć, o cechy charakteru mi chodzi.

Ja w ludziach najbardziej cenię myślenie, racjonalne myślenie i sam zawsze staram się tak myśleć. Dodaję przymiotnik „racjonalne”, ponieważ istnieje także myślenie magiczne, czyli brak myślenia.

– Racjonalnego można się nauczyć?

Myślę, że tak, bo rządzą nim proste reguły. Zawsze powinno się sobie najpierw uświadomić, w jakiej tkwisz sytuacji, potem jakie masz alternatywne jej rozwiązania, a następnie te rozwiązania porównać z sobą pod względem: kosztów, korzyści, ryzyka. Istotą bowiem racjonalnego myślenia jest racjonalne porównywanie możliwości, jakie tkwią w danej sytuacji.

– Dziękuję ci.

W świecie podwyższonej schizofrenii

Jan Krzysztof Bielecki

(ur. 3 maja 1951 w Bydgoszczy) – polski polityk, ekonomista, premier Polski w 1991, minister-członek Rady Ministrów ds. kontaktów z Europejską Wspólnotą Gospodarczą w latach 1992–1993, poseł na Sejm X i I kadencji, od 2003 do 2010 prezes zarządu Banku Pekao S.A. Kawaler Orderu Orła Białego.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Krzysztof_Bielecki)

*Rozmowy przeprowadzone
w latach 1991-1993.*

– Powiedziałeś mi, dwa lata temu, podczas pierwszej naszej rozmowy, że wcale nie chciałeś być politykiem. Że „nie chcem, ale muszem”, choć to już zajęte.

Mówiłem, że jestem człowiekiem, który do polityki trafił z poczucia odpowiedzialności, bo powstała sytuacja, iż rzeczywiście musiałem, wydawało mi się, że muszę. A teraz nie muszę. Teraz (*śmiech*) mogę pobyc w Londynie.

– Jako ekonomista?

Mogę być tym, kim być lubię.

– Nie szkoda ci? Bo bardzo urosłeś przez ten niecały rok premierowania.

Czy to pytanie?

– Stwierdzenie.

Bo to ciekawy dla mnie wątek.

– Wiesz?

Janusz Lewandowski już mi to powiedział, więc nie jestem zaskoczony. Janusz jest moim przyjacielem, znam go drobnych lat dwadzieścia i przez te dwadzieścia lat Janusz patrzył na moją osobę niezmiernie ironicznie.

– Jest starszy o miesiąc?

Młodszy o miesiąc i był rok niżej na studiach. Ale Janusz przyjechał na uniwersytet do Gdańska jako prymus Lublina, później był jednym z najwybitniejszych studentów, w czasie studiów wykonał gigantyczną pracę nad sobą i kiedy spotykaliśmy się już jako asystenci uniwersytetu na wychowaniu fizycznym dla pracowników naukowych, asystent Lewandowski na asystenta Bieleckiego patrzył, łagodnie mówiąc, z przymrużeniem oka. Kiedy przestałem być premierem, oświadczył mi, że przeskoczyłem siebie dziesięć razy, co potwierdza wprawdzie twoją tezę, ale nie najlepiej świadczy o Polsce. Bo oznacza, że Polska jest krajem wielkich możliwości, ale i krajem bez konkurencji. Uczyć bowiem powinno się w szkole.

– Bo ty, jaki właściwie wtedy byłeś?

Ma być na poważnie, czy śmiesznie?

– **Najpierw na śmiesznie.**

To z wojska. Na Studium Wojskowym zasłynąłem jako przywódca najbardziej absurdalnych idiotyzmów. Bo kiedy stwierdziłem, że wojsko jest zupełnie bezsensownym, ale nie do omińnięcia epizodem w życiu, uznałem, iż trzeba je potraktować w sposób rozrywkowy. Za najwyższą karę moi kochani oficerowie uważali sprzątanie kibla, no to ja do tego sprzątania zgłaszałem się na ochotnika na każdym obozie. Inną karą, którą stosowali, kiedy chcieli nad jakimś studentem poznęcać się lub mu dokuczyć, było czołganie się w pełnym rynsztunku, czyli w płaszczu chemicznym i masce gazowej, utrudniającej oddychanie. Zgłosiłem się więc do mego ulubionego majora z zapytaniem, czy mógłbym w przerwie zajęć przeciwwić zagadnienie: indywidualny żołnierz w natarciu. On się zgodził, to nałożyłem na siebie te wszystkie świństwa i przez całą 20–minutową przerwę śniadaniową skakałem, biegałem, padałem. Za to na obozie po czwartym roku studiów mianowano mnie dowódcą plutonu. Trochę na zasadzie, że jak najbardziej niesubordynowany żołnierz zostanie dowódcą, to będzie trzymać dyscyplinę. Wtedy wprowadziłem własne komendy wojskowe. Na przykład: raz, dwa, trzy, cztery, płyta! I pluton z pieśnią „ćwierkają wróbelki od samego rana, ćwir, ćwir, dokąd idziesz Marysiu kochana” wparował w którymś momencie do stołówki. Wyskoczył oficer dyżurny i zamiast obiadu kazał nam robić karną musztrę.

– **Jaki masz stopień wojskowy?**

Jestem podporucznikiem rezerwy.

– **Wałęsa jest tylko kapralem.**

Bo ja zawsze twierdziłem, że kwalifikacje w Polsce będą się liczyły, a prezydent uważa, iż tylko talent. Kiedy więc na egzaminie oficerskim powiedzieli mi: no, pokażcie, podchorąży, najdłuższą rzekę w Polsce, ja wskazałem im jakąś z wielkim wahaniem, a kiedy rzekli: a teraz, podchorąży, pokażcie na mapie Kwidzyn, gdzie się akurat znajdowaliśmy, ja bardzo długo nie mogłem go znaleźć, co strasznie się moim oficerom spodobało.

– Bo oni wiedzieli?

No, właśnie. Oni wiedzieli i ode mnie, prawie już magistra ekonomii, byli lepsi, czyli osiągnęli sukces.

– A teraz na poważnie, jaki jesteś?

Na poważnie to problem w moim przypadku jest dosyć prosty. Są ludzie, którzy gdy znajdują się w trudnej sytuacji życiowej, a sytuacja ta dotyczy różnych form życia, a więc tyczy się życia zarówno sportowego, zawodowego czy politycznego – zaczynają ubolewać nad swoim losem. I są ludzie, którzy wtedy wznoszą się na swoje wyżyny, powiem tak ambitnie.

Ja, broń Boże, nie mam wielkiego mniemania o sobie, ale cokolwiek robię w życiu, staram się to robić jak mogę najlepiej i usiłuję maksymalnie szybko się uczyć. Kiedyś, w 1987 roku, zafascynowało mnie wystąpienie papieża na Westerplatte, które było dokładnie zgodne z moją ideologią, jaką mam na własny użytek. Papież powiedział, zwracając się do młodzieży i próbując odbudować jej zdrowie moralne, powiedział coś takiego, że każdy człowiek ma w życiu swoje Westerplatte, taką bitwę – którą musi podjąć, taką sprawę – z której nie może się już wycofać, kiedy nie bacząc na konsekwencje musi być po prostu... dobry, tak to nazwijmy.



Warszawa, 1991. Rozmowy z „Solidarnością”.

Od lewej: Leszek Balcerowicz, Jan Krzysztof Bielecki i Michał Boni.

Fot. PAP/Ireneusz Radkiewicz.

– Jako premier byłeś dobry?

Widzisz, teraz, z perspektywy czasu, myślę, że byłem jednak nienajgorszy.

– Bo najgorszym był kto?

Ten, który nic nie zrobił, czyli Pawlak w swoich 33 dniach. A wiesz, z czego najbardziej się cieszę? Że wszystkim naszym kolejnym ekspremierom odebrałem insygnia władzy. Odebrałem im dożywotnie prawo do oficera ochronnego, kierowcy, służbowego samochodu. Pensji, mieszkania, jakie mieli.

– Sobie też.

Też. I dobrze. Chociaż zdaję sobie sprawę, że w sumie jako premier okazałem się kolejnym przykładem, który był średnioskuteczny w sprawach wewnętrznych, a niezwykle skuteczny na zewnątrz. Czyli zewnętrzne sprawy udało się dosyć szybko załatwić, wewnętrzne – nie.

– Po kolei. Po wyborze Wałęsy na prezydenta miałeś być najpierw nie premierem, ale ministrem przemysłu w pierwszym rządzie Olszewskiego, montowanym przez niego w grudniu 1990.

Była taka propozycja.

– I nie chciałeś?

Wydawała mi się mało konkretna. Miałem zresztą wrażenie, że ludzie formujący tamten rząd są grupą osób, które bardzo chcą zdobyć władzę, ale nie było dla mnie do końca jasne – po co. Czyli co zamierzają z nią zrobić, po prostu. Po roku zresztą, kiedy ją w końcu zdobyli, dokładnie to było widać. Brakowało im programu.

– A ty miałeś?

Po pierwsze: gdybym ja przez rok konsekwentnie zmierzał do zdobycia władzy...

– Jak Olszewski potem, prawda?

...to jednak – odegram się na nim, o! – miałbym coś do powiedzenia, przynajmniej na początku; po drugie: liberałowie mieli wyraźny program – przychodziliśmy ze swoją definicją prywatyzacji uznając konieczność jej przeprowadzenia. Ja dodatkowo przychodziłem z rozumieniem problemów w mikroskali, w mikroekonomii, rozumieniem problemów na poziomie przedsiębiorstwa, co przy Balcerowiczu, który był od makro, mogło przynieść nawet nienajgorszą kombinację. A po trzecie: nie zapominaj, że ja naprawdę zostałem premierem przez przypadek.

– Co mama powiedziała?

Mama? Nic. Była załamana.

– Że co?

Że taki kataklizm biorę na swoją głowę. Była przerażona.

– Nie prosiła: nie bierz?

No wiesz! Moi rodzice, moja najbliższa rodzina nigdy w ten sposób ze mną nie dyskutowała. Wszystkie życiowe decyzje podejmowałem samodzielnie i nigdy ich nie żałowałem. Biografię mam zresztą dość skomplikowaną.

Studiując w Szwecji myłem okna, po sto w jedną noc, pracowałem jako pomocnik kelnera, w Związku Radzieckim budowałem rurociąg, w 1983 roku zacząłem rozwozić drzewo. Mój życiorys to ciągłe wędrowanie, albo wymuszone przez życie, albo wynikające ze świadomego wyboru. Przy czym sytuacje, w jakich się znajdowałem, wymagały ode mnie podejmowania wielu, bardzo wielu decyzji. Podejmowałem je często wbrew zdrowemu

rozsądkowi, tylko w oparciu o własne przekonanie, że tak trzeba. Wszyscy więc właściwie przyzwyczaili się, że jakiegokolwiek rodzinne dysputy na mój temat niczego nie dadzą i jedyne, co mogą zrobić, to mi nie przeszkadzać.

– Dlaczego ty?

Spytaj prezydenta.

– Więc na jakich warunkach?

Nie było żadnych warunków.

– O nie, po pierwsze: przyszedłeś na fali wielkich obietnic, złożonych przez Wałęsę, wyliczyć?

Przyznam ci się, że obejmując tę funkcję nie myślałem w kategoriach obietnic, ale w kontekście programu gospodarczego przedstawionego przez Wałęsę w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej, który w jakimś stopniu współtworzyłem.

– Po drugie: miałeś być zderzakiem.

(Uśmiech) Wałęsa rzeczywiście miał wtedy jakąś taką koncepcję. Potem po powołaniu rządu Olszewskiego znowu ją przypomniał, mówiąc, że „rządy będą jak zderzaki zmieniać”, czyli rząd Olszewskiego miał być kolejnym „zderzakowym” przypadkiem.

– O co chodziło? Po polsku, proszę.

Wałęsa wyobrażał sobie, że powoła rząd, którym będzie sterował ręcznie, a jego kierownicy będą przychodzić i odchodzić, i że Wałęsa będzie ich jak rękawiczki zmieniać. W moim przypadku to jednak nie nastąpiło.

– Nie byłeś pierwszą parą?

Do słów Wałęsy, jak wiesz, nie należy podchodzić emocjonalnie. Tylko ustalić, na czym jego koncepcja konkretnie polega, kto jaką ma suwerenność w procesie podejmowania decyzji. Ja zresztą głęboko wierzę, że on działa spokojnie i jest człowiekiem, który bardzo często potrafi podejmować nie tylko dobre decyzje, ale również poprawnie widzieć rozwój sytuacji. Mogę powiedzieć, że ja od samego początku miałem bardzo dużą swobodę i właściwie nie było żadnych prób ingerencji z jego strony w sprawach dla mnie istotnych.

– A zostawienie Balcerowicza, z którym walczył wałęsowski elektorat, to po trzecie.

Z mojego punktu widzenia usunięcie Balcerowicza w styczniu 1991 roku byłoby krokiem zupełnie niepojętym, bo gdy się wykonuje określony ruch polityczny, to po nim powinny następować operacyjne ustalenia i racjonalizacja działań, czyli kto – zamiast, co i jak. To jest oczywiste. Na te pytania nie znajdowałem odpowiedzi, więc zrezygnowanie z Balcerowicza byłoby pustym gestem. W tym zgadzaliśmy się z prezydentem, bo Wałęsa też był zwolennikiem zostawienia Balcerowicza na stanowisku wicepremiera i ministra finansów.

– Podobno pod naciskiem Waszyngtonu.

Nie było żadnych nacisków.

– To po co Jan Nowak–Jeziorański przyjechał wtedy do Polski i wygłosił

dramatyczne przemówienie na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego ostrzegając, że „Polska nie może zejść z drogi reformy gospodarczej zapoczątkowanej przez Leszka Balcerowicza”.

Teresa (*uśmiech*), myślę, że za dziesięć lat będziemy mogli o tym porozmawiać i będzie to rozmowa o psychologii, a nie o polityce.

Z moim rządem w ogóle jest taka dziwna sprawa, że każdy mi wmawia, iż albo Amerykanie się do niego wtrącali, albo Wałęsa kogoś mi chciał wcisnąć, a nikt nie pyta o osobisty wkład Leszka Balcerowicza. Tymczasem było tak, że gdy Wałęsa mi oznajmił: zostań premierem, zrób jakiś rząd, to ja od razu mu powiedziałem: najpierw trzeba porozmawiać z Balcerowiczem. Poszedłem do Balcerowicza i zapytałem go wprost: co pan o mnie sądzi, bo na moje wyczucie prezydent powoła albo Jacka Merkla, albo mnie, z kim więc pan woli pracować? I dodałem, że to jest dla mnie punkt wyjścia do jakiegokolwiek dyskusji na temat budowania rządu. I on, jak to on, czyli nie wprost, ale dał mi do zrozumienia, że ze mną będzie mu porozumieć się łatwiej. Miał też gotową całą koncepcję rządu od A do Z.

– Łącznie z kulturą?

Łącznie z kulturą. Tylko na ministra ochrony środowiska zabrakło mu konceptu (*uśmiech*) i nie wiedział kogo wstawić. A potem, jak zaczęliśmy dyskutować o konkretach, to on niektórych osób, zwłaszcza tych z układu gospodarczego bronił jak ...niepodległości (*śmiech*). Argumentując, że twardziele: złotówki nie wydadzą, związkowców pogonią, w przywilejach branżowych nie popuszczą i ja mu przy niektórych nazwiskach uległem. Domagał się zostawienia Waligórskiego – co było kompletnym nieporozumieniem, Slezaka – też bez sensu, na ministerstwo rolnictwa bardzo faworyzował Adama Tańskiego – akurat słusznie, Maria Stolzmanowa, z którą się konsultowałem na jego temat, powiedziała mi, że to rozsądny facet. Upierał się jeszcze przy zostawieniu Marcina Świąćckiego i Władysława Baki w banku centralnym.

– A skąd Glapiński i Sidorowicz?

To były, niestety, moje pomysły. Sidorowicza w ogóle nie znałem, rozmawiałem z nimi tylko przez telefon. Oni w rządzie wzięli się stąd, że my, liberałowie nie mieliśmy patentu personalnego na rząd, tym bardziej ja sam i Glapińskiego poleciło mi Porozumienie Centrum, zaś ministra zdrowia i opieki społecznej szukałem przez „solidarnościową” komisję zdrowia, rozmawiałem z Alinką Pieńkowska i Elżbietą Seferowicz, która wydawała mi się poważną kandydaturą na to stanowisko, ale odmówiła, i obie wskazały na Sidorowicza. Skład rządu więc był, jak zawsze, kompromisem. Od liberałów byli tylko Lewandowski i Zawiślak.

– Geremek powiedział o was: „Zwolennicy przyspieszenia zapowiedzieli radykalne przewietrzenie Warszawy, tymczasem przewietrzył się raczej Gdańsk.” Powiedział, oczywiście, złośliwie.

Słuchaj, gdy ja obejmowałem urząd premiera, miałem zupełnie inną ocenę stosunków międzyludzkich. Przedtem spotykałem wprawdzie wielu ludzi, których denerwowałem swoim sposobem bycia – trochę ich zdaniem niepoważnym, którzy nie akceptowali mego stylu mówienia – urywanymi zdaniami, niedopowiedzeniami, których irytowały moje dowcipy – czasami na szkolnym poziomie, przyznaję, natomiast nigdy nie miałem wrogów. Nigdy nie miałem zapiekłych wrogów.

I nagle się okazało, że przestałem być dla ludzi obojętny i że są tacy, którzy z zażartością godną lepszej sprawy zaczynają mnie podejrzewać, często zupełnie bezinteresownie, o najgorsze rzeczy – złe intencje, kumoterstwo, podejrzane interesy. To było, wiesz, niezwykle dla mnie odkrycie. Nagle zobaczyłem to całe towarzystwo, jakie one pokręcone, potłuczone, pełne wzajemnej nieufności – świat podwyższonej schizofrenii, po prostu.

– Nie widziałeś jej przez poprzednie prawie dwa lata posłowania?

Prawdę powiedziawszy nie widziałem. Nie bardzo miałem czas. Dojeżdżałem do Warszawy z Gdańska, udzielałem się w dwóch komisjach sejmowych, zaangażowałem się bardzo mocno w przygotowanie ustawy o joint venture i radiowo-telewizyjnej. Jeździłem intensywnie po świecie, bo nagle było można. Kierowałem oprócz tego gdańską spółdzielnią consultingową „Doradca”, którą założyłem w połowie lat 80. I scenę parlamentarną znałem z telewizji, zachodniej telewizji, gdzie faceci zaciekle walczą ze sobą na sali sejmowej, a potem wychodzą razem uśmiechnięci na obiad. Retoryka gry parlamentarnej nie przekłada się tam na życie osobiste. Być może dlatego, że awans o centymetr, o pół stopnia w górę w poukładanym od dawna świecie polityki jest niezwykle trudny, wymaga ciężkiej pracy, długoletniego zabiegania, pokonywania poszczególnych szczebelków, co z jednej strony – uczy rządzenia państwem i uprawiania polityki w wydaniu makro, które można osiągnąć tylko poprzez praktykę, z drugiej strony – powoduje limitowanie ambicji i facet, który wczoraj przyszedł do parlamentu nie może nawet pomyśleć, że jutro zostanie premierem, a z trzeciej – uczy form rywalizacji, prawdopodobnie także bycia bezwzględny, ale również hipokryzji, przypuszczam. U nas zaś awans ze zwykłego parlamentarzysty na premiera wydaje się być prawie oczywisty (*uśmiech*), mieliśmy już chyba ze cztery tego powtórki w krótkiej historii, i u nas prowadzi się przez to wojny nie lokalne, ale totalne.

– Bo jak elektryk został prezydentem, to każdy może?

Było inaczej: doszedł do władzy ten zwariowany Wałęsa, taki wypadek w historii po prostu i pociągnął za sobą ileś tam przypadkowych osób, choć jak przeczytaliśmy potem w książce Jacka Kuronia „Spoko”, wiadomo, kto miał zasługi w tym kraju, kto przez dwadzieścia lat o tę naszą kochaną Polskę walczył i kto potrafiłby ją zbudować. Ja na dodatek przeczytałem tam na przykład o działaniach, które doskonale znałem, i instytucjach, w których dziesiątki godzin przepracowałem, ale o mnie się nie wspomina, mnie w ogóle w tej książce nie ma. Nie jest to więc tylko sprawa kariery Wałęsy, to jest szereg innych karier, zdaniem wielu – niezasłużonych. Według mnie, jest to taki kompleks – powiem nieskromnie – Bieleckiego, który

sprowadza się do dwóch kwestii.

Po pierwsze: dlaczego Bielecki został premierem, a nie ja; po drugie: jak Bielecki mógł, to ja też mogę. Ten drugi kompleks dotyczył zwłaszcza moich kolegów, którzy się później do mnie przyrównywali, bo oni przecież znali mnie świetnie i często ironicznie wyrażali się o moich umiejętnościach. Michnik też mi kiedyś powiedział: przecież wiesz, że ten wasz Kongres Liberalów nie ma w Polsce żadnych szans, w ogóle się nie liczy, że to jest humbug.

– A nie był?

Był i nie był. Nie był, bo partia miała swój program, trzy lata działalności, choć rzeczywiście niewielu członków.

– Donald Tusk zapewniał, że wystarczy wam dwa tysiące.

To z takiego odjazdowego gdańskiego patrzenia na rzeczywistość. Z przeświadczenia, że członków partii powinien łączyć nie tylko interes polityczny, ale także wzajemne rozumienie się i wiara w podobne ideały. Nie wiem, co było dla nas wtedy ważniejsze: ideały czy zrozumienie, iż Kongres jest grupą bardzo różnych osobowości, zachowujących i szanujących swoją odrębność.

– I był...

I był w tym sensie, że my przychodziliśmy z ulicy, a nie z żadnych szczebli administracji państwowej, szczególnie wysokich szczebli. Przychodziliśmy z Gdańska, co dla polityków z Warszawy oznaczało, że z prowincji, a na prowincji, wiadomo, pustynia. Ja na dodatek nominację otrzymałem niespodziewanie, nie uważałem, że bym do tej roli był najlepiej przygotowany, czego nie ukrywałem i w pierwszym okresie musieliśmy się przyjrzeć, jak rząd w ogóle działa.

Dlatego jak pytasz o Balcerowicza, to tak, ja chciałem pracować i z Leszkiem Balcerowiczem, i z Krzysztofem Skubiszewskim. Dla mnie Balcerowicz – po jednej stronie i Skubiszewski – po drugiej, to były te dwa doświadczone filary, które, wydawało mi się, będą nadawać obraz i tempo pracy mojemu rządowi. Chociaż, oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że zinterpretowane to zostanie jako kontynuacja dotychczasowej polityki gospodarczej, a nie przełom, jak zapowiadał Wałęsa i czego oczekiwali jego wyborcy. Co było dobre w odbiorze zewnętrznym, ale źle przyjęte w kraju.

– I urzędowanie od czego zacząłeś?

Za mnie, powiem tak mało odkrywczo, zaczęto. W kraju toczyła się wielka bitwa o zniesienie popiwku, po kilkadziesiąt strajków dziennie. Nawet na sekundę nie mogliśmy zatrzymać fali niezadowolenia, która ogarnęła cały kraj, nie nastąpiło więc to, co było typowe dla PRL-u, że zmiana premiera powodowała uspokojenie nastrojów.

– Przy Olszewskim i Suchockiej także nie. Tylko Pawlakowi w 1993 roku się udało.

On rzeczywiście zaczął w luksusowej sytuacji, żadnych strajków, nawet gotowości strajkowej nigdzie nie ogłoszono. Przy mnie zaś na dodatek rozpoczęły się same szaleństwa poza granicami, jakich nie miał nawet Mazowiecki, a które powodowały, że czas biegł niezwykle szybko. Agresja sowiecka na Litwę...



Warszawa, 1990. 43. posiedzenie Sejmu RP. Na zdjęciu posłowie w przerwie obrad, od lewej: Zbigniew Janas, Adam Michnik, Jerzy Zdrada. Fot. PAP/Andrzej Rybczyński.

– W przeddzień twego urzędowania.

...później wojna w Zatoce Perskiej

– Piątego dnia...

...potem dramatyczna wizja wojny domowej w Jugosławii, wreszcie pucz w Moskwie. Taka sekwencja. I jeszcze nie do końca załatwione polskie sprawy, które musieliśmy finalizować natychmiast. Z Zachodem – redukcję naszych długów, zwolnienia wizowe z państwami europejskimi, stowarzyszenie z EWG, które wydawało się nam, że podpiszemy już w maju. Oraz wyprowadzenie wojsk sowieckich – z Moskwą. Bardzo absorbujące. Można było dużo stracić. Te

zagraniczne sprawy odciągały moją uwagę od spraw wewnętrznych, ja praktycznie do kwietnia prawie się nimi nie zajmowałem.

Z perspektywy czasu oceniam, że sprawy z Zachodem były w sumie najłatwiejsze do załatwienia.

– Dlaczego?

Z bardzo prostej przyczyny. Ponieważ moja aktywność na zewnątrz i możliwości załatwiania zewnętrznych spraw były oparte: na przejrzystości celów, jakie pragnąłem uzyskać, konsekwentnych działaniach z naszej strony, by je osiągnąć, i na normalnych warunkach, w jakich się poruszaliśmy. Działając też na zewnątrz czułem się – może niesłusznie – ale czułem się człowiekiem, który ma siłę decyzyjną. Sytuacja była dla mnie czysta decyzyjnie, po prostu, w przeciwieństwie do polskiej, cały czas niejasnej. Na przykład przy redukcji naszego długu zagranicznego Balcerowicz najpierw zażądał 80 procent. Weszliśmy w negocjacje. Wiadomo było, że 80 procent nie przejdzie, ale ile zaryzykować i na jakich zasadach. (*Śmiech*).

– Z czego się śmiejesz?

Bo taka noc na przykład. Siedzimy w Urzędzie Rady Ministrów. Janusz Sawicki, wiceminister finansów, który negocjował z Klubem Paryskim, dzwoni do nas z Paryża co dwie, trzy godziny. Wpada Balcerowicz raz, drugi, trzeci, za nim z tyłu biegnie Jurek Koźmiński. Balcerowicz strasznie przejęty, za każdym razem pyta tylko: co jest? co jest? I przeszkadza (*śmiech*). Ja odpowiadam: no, kombinujemy, jeszcze kombinujemy. On oburzony, bo wszystkie słowa strasznie serio traktował: ach, tak nie można! ależ tak nie można!

Balcerowicz nie jest człowiekiem gry, nie umie blefować, oszukiwać, a jakby zaczął, to od razu po nim widać. Sawicki informuje, że członkowie Klubu Paryskiego dochodzą do consensusu, ale na poziomie poniżej 50 procent. Musimy podjąć błyskawiczną decyzję określając

warunki minimalne, przy jakich redukcja długów ma jeszcze dla nas sens. Obstawiamy 50 procent. Szybkie telefony po całym świecie. Mnóstwo telefonów. Budowanie lobbingu. Szukanie porozumienia z ludźmi rozsądnymi.

W Polsce porozumienie jest bardzo często pustym gestem, natychmiast łamanym. Tam, na świecie, wystarczy nieraz przez telefon porozmawiać, żeby dojść do rozwiązań, które będą później rzeczywiście realizowane.

Sawicki nam donosi, że wszyscy się zgadzają, oprócz Japonii. Dzwonię do premiera Japonii, pytam, czy naprawdę muszą blokować porozumienie, na które wszystkie inne kraje się już zgodziły. W przekonywanie Japończyków włącza się David Mulford, o co Japonia do dzisiaj – zdaje się – ma do niego pretensje, główny negocjator tych rozgrywek, amerykański zastępca sekretarza skarbu, bardzo fajny człowiek.

Około 4. nad ranem spisano komunikat o zawartym porozumieniu i wywalczyliśmy nie 30 procent redukcji długów – jak nam sugerowano, ani 40 – do czego usiłowano nas złamać, ale 50 procent, czyli tyle, ile postanowiłem, co było dowodem, że decyzja o wysokości redukcji leżała w moich rękach i jedynym czynnikiem mnie ograniczającym była odpowiedzialność moralna, a nie zawile procedury, wynikające u nas bardziej z układów personalnych, niż racji politycznych.

Postępowałem wtedy prawdopodobnie trochę antydemokratycznie, czy niedemokratycznie, bo być może naszą pozycję negocjacyjną do rozmów o stowarzyszeniu z EWG, na przykład, powinno się przedyskutować nie tylko na poziomie rządu, ale także bardziej wnikliwie na poziomie parlamentu, z komisją współpracy zagranicznej czy komisją zagraniczną. Tutaj na pewno można znaleźć jakieś uchybienia w sztuce z naszej strony, ale gwoli usprawiedliwienia powiem, że zależało nam na czasie, a z Sejmem miałem już pierwsze nie dobre doświadczenia.

– Sejm był wtedy zresztą strasznie zajęty kłótniami o termin wyborów parlamentarnych: na wiosnę, czy w jesieni.

Szkoda, że nie odbyły się na wiosnę. Wielka szkoda.

– Czego szkoda jeszcze?

Że Wałęsa nie został prezydentem pół roku wcześniej w wyniku wyborów przez Zgromadzenie Narodowe. Niestety, nie było siły politycznej.

– Ale wyborów parlamentarnych to Wałęsa przecież nie chciał.

Potem już chciał.

– Ale najpierw nie chciał.

Najpierw nie chciał.

– Skończymy z Moskwą?

W Moskwie byłem w kwietniu. Pierwsza wizyta. Przyjęto mnie dobrze.

– Czyli jak?

Mnie akurat dobrze się z nimi rozmawiało. Może dlatego, że mnie w ogóle odpowiada ich osobowość, ich taka – powiedziałbym – nieufność w stosunku do nas. Ona wynika często z tego, że oni nas traktują jak ludzi Zachodu i mają wobec nas jakieś...

– Kompleksy?

Szukałem łagodniejszego słowa, ale może trzeba powiedzieć, że tak, nawet kompleksy. I kiedy zobaczą, że siedzi przed nimi normalny człowiek, coś w nich pęka. Jak szliśmy do Gorbaczowa uprzedzono mnie, że Gorbaczow to taki facet, z którym nie prowadzi się żadnego dialogu, on nie słucha, tylko mówi, a jeżeli ktoś chce się odezwać, to mu przerywa i wygłasza swoje *exposé*, po czym spotkanie się kończy.

Ze mną tak nie było, chyba potrafiłem przełamać tę konwencję i rozmowę z Gorbaczowem będę pamiętał do końca życia. Ona była niesamowita. Ona miała dwa wymiary. Jeden – powiedzmy – oficjalny, kiedy ja mówiłem o tym, że jeżeli my rzeczywiście mamy zostać przyjaciółmi, dobrymi sąsiadami itp., to po co nam to wasze wojsko, dlaczego wy nie chcecie go wycofać. Oni mi na to, że wszystko między nami idzie dobrze. A ja, że nic nie idzie dobrze. Nie dawałem mu wypowiedzi dyplomatycznych, tylko przygniatające, chcąc po prostu dojść do jakiejś konkluzji. Mówię: harmonogram wycofywania jest, ale jakby go nie było, bo w harmonogramie powinno być napisane, kiedy chcecie się wycofać, ile wojska i w jakim czasie. Gorbaczow, zauważyłem, reagował pozytywnie i widać było, że chce coś z tym zrobić.

– Już nie mógł?

Nie, nie, on czuł się pewnie na stanowisku, ale widoczna była różnica zdań między nim a wiceministrem spraw zagranicznych Kwiecińskim i ministrem Biessmiertnychem. W pewnym momencie zmienił temat i nagle zapytał o polskie reformy. Jak je widzę. Zacząłem mówić, przerwał mi i próbował wytłumaczyć, że oni też robią takie reformy jak my.

Powiedziałem wtedy, że reformy, które oni myślą, że robią, to nie są żadne reformy, bo one w ogóle nie mają aspektu monetarnego, a są jedynie administracyjną próbą ustawienia ceny rynkowej, co z założenia jest niemożliwe. Prawdziwa reforma musi być wsparta polityką

pieniężną, więc najpierw trzeba stworzyć pieniądz, a potem dopiero można mówić o jakimś równoważeniu popytu z podażą. Bo to równoważenie musi się przecież odbywać za pomocą określonych jednostek monetarnych. On wysłuchał mnie, zdawało mi się życzliwie, i miałem wrażenie, że chce o coś popytać. Ale widziałem wyraźnie, że nie bardzo wie, o co konkretnie. On po prostu nie bardzo rozumiał, o czym ja mówię. Jak moja babcia, kiedy usiłowałem jej tłumaczyć, o co teraz w Polsce chodzi. Więc może to kwestia pokoleniowa. Było to nawet dosyć przykre, bo on naprawdę starał się zrozumieć, ale nie potrafił. Dla niego opisywałem inny świat. Z drugiej zaś strony już wtedy miał chyba potrzebę odniesienia sukcesu, szukał go i natrafił na barierę.

– Własnej niemocy czy oporu aparatu?

Chyba własnego braku determinacji. Odebrałem go jako człowieka, który jest wielkim taktykiem, ale nie wielkim przywódcą z dalekowzroczną, długofalową strategią działania.

– Rozmawialiście po rosyjsku?

Nie, był tłumacz, ale ja rozumiem rosyjski, pracowałem przecież rok „na rurze”, jak mówiło się w latach 70., więc czasami wtrącałem rosyjskie zwroty lub coś szybko po rosyjsku odpowiadałem. Ja nie mam żadnych kompleksów, iż jestem z jakiegoś lennego państwa, więc nie ma we mnie oporów mówienia w obcym języku w czasie oficjalnych wizyt. Mogę po rosyjsku i po angielsku, aby się tylko jak najszybciej porozumieć. W czasie rozmowy z Gorbaczowem chodziło mi o to, żeby maksymalnie zagospodarować tę godzinę wyznaczoną na spotkanie, a gdy się zorientowałem, że ono przebiega dobrze, zacząłem przyspieszać rozmowę na różne sposoby, żeby w niej jak najwięcej zostało powiedziane.

– A Rosjan nie denerwowało, że Polacy znowu wszystko wiedzą lepiej?

O tym mi już ambasador Ciosek mówił. Przed spotkaniem z Gorbaczowem zwrócił mi na to uwagę. Sądzę, że to cenna uwaga, ja ją potwierdzam. Dlatego starałem się niezwykle uważać, żeby Rosjanie nie odnieśli wrażenia, że ja tutaj, Krzysiu Bielecki, przedstawiciel małego w końcu państwa w porównaniu z tym imperium, a wszystko wiem lepiej. Ja tylko, jak oni próbowali na okrągło, mówiłem im: panowie, no to teraz, jak już się tak lubimy, dajmy tego konkretne dowody. Po pierwsze: jeżeli ktoś kogoś lubi, to nie musi koniecznie trzymać wojska. Po drugie: jeżeli ktoś chce z kimś robić interesy, na co premier Pawłow cały czas zwracał uwagę, to sprawą nadrzędną w interesach jest wiarygodność. Wiarygodność zaś oznacza, że jak ja panu wysyłam towar, panie Pawłow, to pan mi za ten towar powinien zapłacić, bo jak pan mi zapłaci, to ja wiem, że jest pan dla mnie dobrym partnerem i ja będę chciał z panem kontynuować współpracę. Mówię: panie Pawłow, to zapłać pan za te statki, za które pan dotąd nie zapłacił, najlepiej dzisiaj i będzie to dla mnie konkretny dowód. I oni wtedy sformowali jakąś grupę roboczą, która poszła z Ledworowskim i zaczęła szukać sposobu na spłacenie w dolarach statków, które im dostarczyliśmy.

– Nie mówili, że nie mają czym?

Oni cały czas to mówili! Ale ja im odpowiadałem: panowie, w takim dużym kraju kilkadziesiąt milionów dolarów, powinno się jeszcze znaleźć.

– Znalazło się?

No nie, no nie. To znaczy teoretycznie wyjechaliśmy z załatwioną sprawą, ale transfer pieniędzy nie nastąpił.

– Więc jednak.

Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów i nie wydaje mi się, żeby oni

prowadzili wobec mnie jakąś wielką grę. Oni rzeczywiście szukali sposobu rozwiązania problemu. To zresztą sprawiało wrażenie dosyć humorystyczne, jak ich wicepremier i trzech ministrów szukali z naszym ministrem, razem, ich pieniędzy. Ale wiesz, ja z kolei nie chciałbym, żebyś wyciągnęła z tego wnioszek, że wystarczy tam pojechać, przeprowadzić jednorazową operację i można uzyskać rzeczy, nad którymi trzeba latami pracować. Bo zaufanie się buduje, a nie zdobywa w ciągu jednej nocy. Chyba że będziemy mówili o szczególnej formie zdobywania zaufania.

– A czy Rosjan nie denerwuje, że teraz bliższa nam Ameryka?

No, na pewno.

– Że teraz wolimy wisieć na Waszyngtonie?

Na pewno są nadal obciążeni wielkoruskim myśleniem. Mimo to musimy się starać o dobre z nimi stosunki. Pozyskanie ich zaufania jest przecież dla nas niezwykle istotne z punktu widzenia naszej strategii. Jest to imperium, które bez względu na to, na ile republik się rozpadnie – piętnaście, czy pięćdziesiąt, pozostanie imperium, z którym musimy być w dobrych układach. Stworzenie takich układów zaś wymaga od nas stabilnej i konsekwentnej pracy, i sądzę, że są ku temu realne możliwości. To widać było po tych wszystkich naszych późniejszych spotkaniach z rządami Ukrainy i Białorusi. One zaczynały się od ogromnej nieufności z ich strony, silnych uprzedzeń. I dopiero potem, jak się rozkręcili przy obiedzie wieczornym, wyznali, co było tego przyczyną. Oni myśleli, że my jesteśmy okropnie zadufani w sobie, że jesteśmy...

– „Polskie pany”?

Coś w tym sensie, a tu okazało się, że jesteśmy normalnymi ludźmi. Zaczęli wstawać, przemawiać, nie bacząc na protokół dyplomatyczny. Bo według protokołu to najpierw ja jako

gospodarz powinienem zabrać głos, potem ich premier itd. Ale oni nie lubią albo nie potrafią zachować protokolarnej atmosfery. Nagle wstaje minister kultury Ukrainy i zaczyna śpiewać jakąś pieśń dla uczczenia tego obiadu. Ze strony Ukrainy i Białorusi jest wola dialogu i trzeba ją wykorzystać.

– A Litwy?

No wiesz, często bywa tak, że jak się nie najlepiej zacznie, to później są komplikacje. Myśmy z Ukrainą zaczęli dobrze, ich niepodległość uznaliśmy natychmiast, więc jest dobrze, a z Litwą – zwlekaliśmy, kręciliśmy i mamy, co mamy.

– Landsbergis do Polski przyjeżdżał dwa razy. Za pierwszym razem czekał na spotkanie z Mazowieckim na granicy w Ogrodnikach, za drugim razem – będąc w Warszawie – czekał na telefon od Wałęsy. Mazowiecki w końcu po 10 godzinach dojechał, Wałęsa jednak nie zadzwonił. O co chodziło?

Moim zdaniem między Wałęsą a Landsbergisem doszło do ambicjonalnych problemów.

– Czyli?

Landsbergis po prostu chciał to spotkanie rozegrać za pomocą metody faktów dokonanych. Jadę, przejeżdżam przez państwo polskie, będę tu i tu, chętnie się zobaczę, a jakieś tam sprawy formalno-wizowe mnie nie interesują.

– Czyli jak nas jeszcze przed kilkoma laty.

I wtedy jest pytanie: czy należy zareagować protokolarnie, czy na uchybienia

protokolarne przymrużyć oko.

– Nas przyjmowano.

Zgadza się. Mnie też nie przeszkadzało, że premier Ukrainy przemówił przede mną. Wałęsa jednak Landsbergisa potraktował formalnie. Bo sprawa z punktu widzenia protokołu dyplomatycznego była czysta, Wałęsa nie miał żadnych uzasadnień, żeby się z Landsbergisem spotkać.

– A ty?

On o to nie zabiegał.

– Mogłeś zaproponować.

Nie mogłem. Jeżeli prezydent nie chciał się spotkać lub zachowywał się tak, jakby nie chciał, to gdybym wystąpił z podobną inicjatywą, byłaby ona nieczytelna dla Landsbergisa.

– A może chodziło ci o Wałęsę?

Nie, nie, byłaby nieczytelna przede wszystkim dla Landsbergisa. Bo mogłaby świadczyć o tym, że my chcemy na przykład zdewaluować jego pozycję. Landsbergis był przecież prezydentem i obowiązywała zasada odpowiedniości.

– Z Havlem Wałęsa też długo nie chciał się spotkać.

Jest to problem, który ja nazywam poczuciem własnej siły.

– A może kompleksów?

Ja nazywam – poczuciem siły. Jeżeli ktoś się czuje mocny, nie musi co chwila otrzymywać potwierdzenia własnej mocy, bo on sam ma wystarczającą siłę wewnętrzną, która mu pozwala te wewnętrzne problemy z samym sobą rozwiązywać. Natomiast, jeśli ktoś nie czuje się do końca mocny, wtedy chce mieć dowody swojej mocy i na każdym kroku ich szuka. Chce stałego potwierdzenia, że jest wielkim mocnym człowiekiem i zabiega o autorytet formalny. Autorytet formalny jest naturalnie dobry, ale nie gwarantuje przywództwa. *Leadership* może bowiem polegać albo na tym, że ktoś jest *bossem*, reguluje, zarządza, jest ponad wszystkimi, albo na tym, że jest *coachem*, trenerem, nadaje tempo, przedstawia swoje wizje, wciąga innych do ich realizacji, a w czasie meczu siedzi na linii bocznej i się przygląda. Według mnie, gdy ktoś ma problemy z sobą, wciela się w rolę pierwszą – bossa, który wydaje polecenia, który w zasadzie średnio słucha, co się do niego mówi, i ma potrzebę bycia zawsze ponad innymi.

– Wałęsa słuchał?

„Słuchać” po polsku jest określeniem nieprecyzyjnym, bo oznacza albo przysłuchiwanie się, albo wykonywanie poleceń. Angielski różnicuje te znaczenia, bo jest i *obey*, i *listen*, i jeszcze *keep hold*. Mogę więc powiedzieć, że Wałęsa słuchał, co mówię. Słuchał moich argumentów i czasami je później powtarzał w jakiejś rozmowie, czyli niekiedy osiągałem to, o co w sumie chodziło, bo nie szło mi o autorstwo pomysłów, ale by je realizowano.

– Często go widywałeś?

Tak, tak. Wałęsa stworzył mi pod tym względem znakomite warunki. Przychodziłem do niego niezapowiedziany, kiedy chciałem, albo rano, albo wieczorem.

– I Wachowski dopuszczał?

Ja się, Teresa, Wachowskiego nie pytałem. Po prostu wchodziłem do gabinetu. Albo dzwoniłem. Wystarczyło podnieść słuchawkę i był.

– A rozmowa z nim jak przebiegała, czy jak z ówczesnym ministrem sprawiedliwości, Wiesławem Chrzanowskim?

?

– Nie oglądałeś telewizji. Wałęsa krzychał, że pogoni tych komunistów, tych złodziei, tych aferzystów, z całego 50-lecia, a Chrzanowski, prawnik z wykształcenia, zamiast go poinformować o prawnej procedurze i instytucji przedawnienia, mówił pokornie: tak, tak, panie prezydencie.

Wałęsa nigdy ze mną w ten sposób nie rozmawiał.

– A jak? Wróćmy do Polski, w sprawie popiwku, na przykład?

W sprawie popiwku Wałęsa był zdecydowanie prorządowy.

– A ty? Bo jeszcze rok wcześniej, pracując w spółdzielni „Doradca” uczyłeś jak go omijać.

Jak grać z popiwkiem, tak, tego uczyłem! Bo gdy firma go nie płaci, gorzej jest dla

budżetu, ale może być lepiej dla przedsiębiorstwa. Ja jednak nikogo nie uczyłem, jak doprowadzać własny zakład do bankructwa i upadłości.

– A Wałęsa?

Wałęsa ostro wystąpił przeciwko oświadczeniu swego Komitetu Doradczego, który ogłosił, że popiwek jest zły i trzeba go znieść.



Warszawa, 1992. Spotkanie prezydenta Lecha Wałęsy z premierem Janem Olszewskim. Fot. PAP/Stefan Kraszewski.

– Było inaczej. Nie pamiętasz. Najpierw prezydent podpisał ustawę o popiwku, potem stwierdził, że popiwek jest do niczego, chociaż ty z Balcerowiczem chcieliście go utrzymać, i powołał Komitet Doradczy, w składzie: Jan Olszewski, który bardzo chciał być premierem zamiast ciebie; Zdzisław Najder, który szykował się na stanowisko ministra

spraw zagranicznych; Wojciech Włodarczyk, który widział się już szefem Urzędu Rady Ministrów; Antoni Macierewicz marzący o funkcji ministra spraw wewnętrznych; profesor Jan Winiecki, którego razem z Balcerowiczem wysłałeś wtedy do Londynu, do Europejskiego Banku Rozwoju, z pensją 100 tysięcy funtów rocznie... było tak?

No bo to jest cały Wałęsa! Wałęsa, podobnie jak Jarek Kaczyński, uważa, że ufać można tylko rodzinie (*śmiech*).

– Komitet Doradczy w swoim pierwszym oświadczeniu zażądał zniesienia popiwku. Notabene w dniu, w którym twój rząd przystępował do negocjacji ze związkami zawodowymi. A później, kiedy demonstracje podeszły pod Belweder i Urząd Rady Ministrów, razem z Balcerowiczem udałeś się do Wałęsy na śniadanie. Z mszą?

Bez.

– I Wałęsa po rozmowie z wami wydał oświadczenie, że popiwek jest dobry i on jako prezydent popiera antyinflacyjną politykę rządu. Olszewskiemu, Najderowi, Włodarczykowi chodziło o popiwek?

No, skądże! Najlepszy dowód, że jak doszli do władzy, to go nie znieśli. Rząd Suchockiej też go zresztą nie zniósł. A prof. Winiecki, który wtedy w grupie Olszewskiego pełnił funkcję doradcy ekonomicznego, razem ze Stefanem Kurowskim, napisał w rok później w jakimś artykule, że się pomylił, bo popiwek jest potrzebny. Bardzo to ładnie z jego strony, że w końcu zrozumiał.

– Ale to nie koniec. Komitet Doradczy prezydenta, jak nie udało się z oświadczeniem, wystąpił z pomysłem zwołania konferencji ekonomicznej w Belwederze, oceniającej politykę rządu.

Komitet Doradczy wymyślił zorganizowanie narady, chyba już w lutym, a więc po miesiącu mojego urzędowania, w czasie największej fali strajków.

– A Wałęsa Komitet Doradczy poparł, było tak?

Było. Ale dla mnie, wiesz, największą przykrością okazało się stanowisko Stefana Kurowskiego, którego uważałem za wielkiego człowieka i bardzo ceniłem, bo w 1976 roku odważył się jako pierwszy napisać o doktrynalnych uwarunkowaniach kryzysów w marksizmie. Wtedy jednak przy okazji tej narady belwederskiej odkryłem, że w ogóle nie daje się z nim rozmawiać, tyle było w nim zacietrzewienia. Rozmawiałem za to z Najderem. Najder próbował mnie przekonywać, że ta konferencja ma pomóc rządowi.

– Nie miała?

Nie, absolutnie nie. Ja zresztą Najderowi odpowiedziałem wtedy, zawsze staram się odpowiadać w prosty sposób i zawsze zmierzam do ustalenia konkretów: jeżeli konferencja ma pomóc rządowi, ma służyć rządowi, to rząd musi być jej współorganizatorem, rząd musi wiedzieć, kogo się na nią zaprasza, po co zaprasza i jakie tematy będą na niej omawiane. To są podstawowe sprawy, które z góry muszą być ustalone. A jeżeli nie są, to albo organizowanie konferencji zaczynamy od początku, albo sami ją organizujecie i wtedy jest to „wasza”, a nie „nasza” konferencja. Najder dalej usiłował mnie przekonywać, że to „nasza” konferencja. Powtórzyłem: jeżeli „nasza”, róbmy ją razem, dla mnie to proste jak drut. Ale widzisz, u nas najważniejsza jest gra słów, a gra słów bardzo rzadko sprowadza się do konkretów, z których jasno wynika, o co chodzi. Trudno więc na tym poziomie podejmować jakąkolwiek polemikę. U nas bowiem ktoś coś powie, głośno powie, a najlepiej krzyknie, bo krzyk robi wrażenie, że to jest „nasza” konferencja, i to w zupełności wystarcza, nie trzeba już tego udowadniać.

– W końcu, Krzysiu, nie wystarczyło.

Wtedy wystarczyło, żeby być skutecznym. My cały czas poruszamy się w życiu publicznym na poziomie hasła, sloganu, żeby nie powiedzieć banału. To jest zresztą jakieś pomieszanie z poplątaniem, jakby pojęcia „prawda” i „fakt” nie istniały. Przy prawdzie jeszcze, zgadzam się, można wchodzić w filozoficzne definicje, natomiast fakt jest faktem i jeżeli przed nami stoi filiżanka z kawą, to stoi, nie można udawać, że nie stoi. Jeżeli facet napisał jakiś dokument i ja ten dokument mam, to dla mnie ten dokument jest faktem, a tutaj w naszej polityce facet albo tego dokumentu nie pamięta, a jak mu się przypomina, to wmawia, że albo w ogóle go nie było, albo że nie on go napisał. Trudno rozmawiać, naprawdę.

Ja przy tym w Warszawie byłem sam, fizycznie sam, bo tylko z Jackiem Siwickim, moim przyjacielem z Gdańska, którego zrobiłem swoim sekretarzem. Moi koledzy zostali w Gdańsku, większość nie za bardzo miała ochotę jechać w nieznane, ja też nie wiedziałem, co im mogę obiecać, na jakie funkcje ich zabrać, a nie potrafiłem, jak mój następca, Olszewski, dać każdemu z nich etat i powiedzieć: niech tu siedzą i są pod ręką. Warszawa zaś jest takim światem, w którym obowiązuje może nie dwulicowość, to za mocne słowo, ale podwójny sposób traktowania. Ja jestem bardzo wrażliwy na to, co ludzie mówią i czują, i jeżeli widziałem, iż moi rozmówcy próbują mi schlebiać, albo coś tam gadać na okrągło, tylko dlatego, że ja jestem w tym momencie premierem, to miałem poczucie z jednej strony – okropnej pustki wokół, a z drugiej – kompletnej straty czasu. Miałem wrażenie, że z tych rozmów nic nie wynika, ani dla nich, ani dla mnie i że, owszem, ludzie się do mnie uśmiechają, wszyscy są mili, ale potem prawdopodobnie wychodzą i plują za siebie.

– I pluli. Konferencja – kilkakrotnie przekładana – w końcu odbyła się, w połowie maja i ty – choć zapowiadałeś, że nie przyjdiesz – przyszedłeś.

Przyszedłem z tej prostej przyczyny, że uważałem, iż nie mogę wysłać na nią samego Balcerowicza. On był moim zawodnikiem i ja musiałem przy nim być. To taka prosta zasada. Bo

o co od początku chodziło? Przecież nie o to, by ocenić mechanizm przemian rynkowych, które nie chcą – jak się okazało po ponad roku – kształtować pod wpływem przymusu makroekonomicznego i wywołują w ludziach jedynie frustrację, zdziwienie, lub wyzwalają gesty obronne polegające na nic nierobieniu i oszukiwaniu, o czym dokładnie wiedziałem i mówiłem Najderowi, że wiem.

Już miesiąc wcześniej, pisząc z Tonim Doranem, Amerykaninem, doradcą od angielskiego (*śmiech*) przemówienie na mój pierwszy występ zagraniczny w Davos, gdzie musiałem wystąpić jako chociażby (*uśmiech*) półekonomista, który jakoś tam odbija się od tego uznanego już w świecie Balcerowicza, wymyśliliśmy, że ten *adjustment to the market* to za mało, typowymi chwytami ekonomicznymi zmieni się niewiele, ale potrzebne jest *manage process of transition*, a więc państwo musi trochę przy wolnym rynku pomajstrować. Z Leszkiem Balcerowiczem też bez przerwy rozważaliśmy, kiedy obniżyć stopę procentową od kredytów, w którym momencie zarządzić dewaluację dolara (analizowaliśmy jej skutki już od kwietnia). Wtedy wydawało mi się, że potrzebne są bardziej radykalne działania. Balcerowicz z kolei przekonywał mnie, że albo stopa, albo dewaluacja.

– Mylił się?

Po pierwsze: mylić się jest rzeczą ludzką, a po drugie: to tak nie można jednoznacznie oceniać. Żaden z nas nie czuł się pewny swego zdania, bo przecież my wykonywaliśmy pewien eksperyment, obarczony na dodatek ogromnym ryzykiem.

– Dolar zdewaluowaliście w przeddzień konferencji, wytrącając waszym adwersarzom poważny argument.

Im, Teresa, nie chodziło przecież o dolara. Im wyłącznie chodziło o to, by na tej naradzie zmieść Balcerowicza.

– I upokorzyć?

Dokładnie o to.

– A mieli kogoś na jego miejsce?

Nie mieli, choć najpierw mówili, że mają. Jarek Kaczyński na jakiejś konferencji prasowej wymieniał Glapińskiego, ale potem jak doszli do władzy, to się okazało, że nie mieli. Proponowali wicepremierostwo Winieckiemu, ale odmówił.

– Wiesz, ja dopiero w tym momencie zrozumiałam sens dowcipu o piekle, kotle ze smołą nie pilnowanym przez diabły i o Polakach.

Miałem do wyboru, była długa debata na ten temat: albo wycofać całą ekipę rządową, chodziło mi to po głowie, albo z całą ekipą przyjść.

– Trzeciego nie było?

Myślę, że mogliśmy wtedy zastosować trick personalny i trick finansowy.

– Trick czyli kant?

No tak, celowo używam tego słowa. Mogliśmy wykonać jakiś ruch pod publiczność, pod oczekiwania.

– Chciałeś?

Nie, nie chciałem, wskazuję tylko na pewne możliwości. Finansowy trick polegałby na tym, żeby z pewnymi trudnymi decyzjami, jak z zamrożeniem płac w sferze tzw. budżetowej (ohydne słowo, ale trudno znaleźć lepsze) poczekać spokojnie do jesiennych wyborów parlamentarnych, co dobrze by także wpłynęło na ich wynik, bo dotyczyło lekarzy, nauczycieli, 2,5 mln ludzi, którzy zawsze mieli źle w Polsce – elektoratu dosyć wiernego „Solidarności”, który miał prawo czuć się mocno zawiedziony w sensie materialnym. A trick personalny polegałby na tym, żeby usunąć Balcerowicza i Tańskiego, ministra rolnictwa. Tak w okolicach narady belwederskiej, albo jeszcze lepiej – ciut wcześniej. Co wielu nam sugerowało.

– Kto?

No, Jarek Kaczyński na przykład.

– Znaczący rzucić Balcerowicza masom na pożarcie.

No tak, ryczącemu tłumowi rzucić na pożarcie kolejną ofiarę, co da ileś tam tygodni czy miesięcy względnego spokoju, złagodzi nastroje. Byli ludzie, wielu ludzi, nie tylko Jarek, którzy uważali, że to potrzebne, że skoro nie może być lepiej, to niech się przynajmniej coś dzieje, niech będzie widać jakąś zmianę, że masy chętnie coś zjedzą. Przekonywano mnie, iż masy lubią widzieć, że ich niedola jest związana z błędami konkretnej osoby. Bo masy – tłumaczono mi – szukają przecież uzasadnienia swojej trudnej sytuacji, i jest im o wiele łatwiej i przyjemniej przyjąć założenie, że ta trudna sytuacja wynika z tego, że ktoś coś ukradł, i jak się go zamknie, to się im poprawi, niż przyjąć do wiadomości, że to strukturalny problem. To w końcu stary numer komunistów, ćwiczony przez nich wiele razy, że wystarczyło zmienić premiera, czy kogoś z Biura Politycznego, aby uzyskać jakąś ulgę.

– W 1980 roku z wyrzuceniem Gierka się nie udało.

Bo już wtedy ruszyła fala, której nie dało się zahamować. Za to do lat siedemdziesiątych działał właściwie genialnie, potem rzeczywiście słabiej, ale próbowano go jeszcze w 1988 roku stosować, wyrzucając premiera Messnera i mianując na jego miejsce Rakowskiego.

Balcerowicz mógł być sympatycznym kąskiem, był przecież uosobieniem tych wszystkich trudności. To było widać także po krzywych jego popularności, przedstawianych przez ośrodki badania opinii publicznej.

– **Więc?**

Po pierwsze – ja nie umiem wykonywać gestów politycznie zręcznych, a po drugie – zawsze kieruję się jedną prostą zasadą: albo ulica decyduje, albo ja decyduję. A jeżeli ja decyduję, to muszę mieć przekonanie co do zasadności i uczciwości podejmowanej decyzji. Ja mogłbym się rozstać z Leszkiem Balcerowiczem, ale wtedy kiedy uznałbym, że z punktu widzenia funkcjonowania rządu, byłaby to decyzja rozsądna. Takiego przekonania nie miałem i wszelkie naciski zewnętrzne powodowały we mnie reakcję odwrotną, wyzwały chęć bronięcia Balcerowicza bardziej niż dotychczas. I obroniłem.

Przyszliśmy na naradę; Wałęsa ją otworzył i wyszedł. Winiecki nie dał się wypuścić, czyli nie zagrał jak typowy rozwalacz wszystkiego, czego po nim oczekiwano, ale bardzo rzetelnie w swoim przemówieniu starał się ocenić plusy i minusy planu Balcerowicza, z czym trudno się było nie zgodzić, a potem w ogóle wycofał się z Komitetu Doradczego. Inni zaś niewiele mieli do powiedzenia. Olszewski i jego ludzie z Komitetu ani nie znali się przecież na ekonomii, ani za bardzo się nią nie interesowali i pasjonowała ich głównie gra polityczna, nad którą dyskutowali godzinami, co jest może i dobre, ale w państwie już zorganizowanym w okresie pokoju, a nie w naszym – w budowie.

Balcerowicz został i pomnik mi za to powinien postawić (*śmiech*). Choć być może z

punktu widzenia sytuacji jego i państwa lepiej byłoby, żeby wtedy wiosną lub najpóźniej jesienią przeszedł na stanowisko szefa Narodowego Banku Polskiego. W takiej konstelacji go zresztą w przyszłości widziałem. Balcerowicz jest genialnym facetem, wybitnym ekonomistą, najlepszym jakiego mamy, ale funkcjonować w rządzie – co nagle odkryłem, z dużym zaskoczeniem – może jako numer drugi, to zresztą jego dramat.

– Chodzi o brak politycznej zręczności?

Nie, nie, Leszek oczywiście nie jest zbytnio polityczny, ale to sprawa drugorzędna. Jemu brakuje trochę szaleństwa, trochę niekonwencjonalności, co przy naszym eksperymencie było ważne. On potrzebuje, żeby zrobić samodzielny krok, potrzebuje idei, tak w świecie polityki, jak i gospodarki. Trzeba mu rzucić pomysł, wtedy on genialnie go analizuje, wtedy jest perfekcyjny w swoim ścisłym zorganizowanym sposobie myślenia. On wtedy ten pomysł przepuszcza jak gdyby przez maszynkę, na dziesiątki sposobów bada, jak komputer dosłownie, i przedstawia ciekawą odpowiedź.

W związku z Balcerowiczem wystąpiły w rządzie dwa problemy: przywództwa, co zawsze w zespole jest sprawą fundamentalną, a które przy wielkich indywidualnościach musiało zostać uzyskane w sposób naturalny, a nie osiągnięte przemocą.

– Uzyskałeś?

Spytaj Balcerowicza.

I drugi problem, jak najlepiej wykorzystać tych wszystkich ludzi, którzy tylko z nim chcieli pracować i jego słuchać, a takich było wielu. Ja zaś obejmując stanowisko premiera miałem na początku taką wizję, że premier jest facetem, który musi się na wszystkim zna, i dzięki swojej kompetencji nabija bęben. Na bębnie nadaje tempo do przemarszu.

Zacząłem się więc wszystkim interesować, szukać własnej interpretacji zdarzeń, a o to czego nie wiedziałem, pytać. Wywoływało to zdziwienie, czasami zaniepokojenie i musiałem się uczyć – co przychodziło mi z trudnością – że nie można wszystkiego samemu robić, że musi być zespół ludzi. Przyjąłem w końcu zasadę, iż trzeba przede wszystkim stworzyć maksymalnie dużo przestrzeni do funkcjonowania jak największej liczby osób, które oceniać należy nie na podstawie walorów osobistych, bo można się pomylić, ale pod względem ich przydatności do pracy w konkretnym zespole oraz doceniać należy ich umiejętność tworzenia nowych zespołów ludzkich, które będą wymuszać tempo pracy. Inaczej bowiem, gdybym usiłował sprawdzić, kto czego nie wykonał, trwałoby to miesiąc, a może i dłużej, i wywoływałoby problemy, żeby nie powiedzieć nawet – zatrzymanie w procesie decyzyjnym.

Ja więc w pewnym sensie podświadomie, a może czasem i świadomie przenosiłem atmosferę pracy z mojej spółdzielni consultingowej „Doradca”, gdzie był dwudziesto-, a ze współpracownikami 50-osobowy zespół ludzi. Myśmy tam przedyskutowywali szereg rozwiązań i jak się ustaliło finalne, było ono wykonywane. Nie obowiązywały żadne godziny urzędowe, tylko ta elementarna zasada. Dzięki temu każdy wiedział co robić, był odpowiedzialny za to co zrobił i jeden do drugiego miał zaufanie, że praca będzie w uzgodnionym terminie wykonana.

Żeby jednak te zasady stosować, muszą być spełnione określone wymogi. Potrzebne są: wspólnota realizowanych celów, poczucie pewnej stabilizacji oraz motywacja – materialna, psychologiczna itp. W Polsce bowiem, jak ci wspomniałem, *bossem* naprawdę trudno być. Chociażby z tej prostej przyczyny, że już nie ma ani kija ani marchewki, które pomagają nim zostać. *Bossów*, na dodatek, Polacy nie lubią. Polakami w ogóle z pozycji bossa nie da się rządzić, w moim przekonaniu jest to nawet niemożliwe. My nie jesteśmy społeczeństwem, które ma genetycznie wbudowaną dyscyplinę formalną. Myślę, że tylko poprzez wyrobienie sobie pozycji *coacha* można teraz osiągnąć sukces.

– Próbowałeś i co?

Teresa, administracja państwowa to taki moloch, taka galareta, która strasznie słabo

rezonuje, to jest zupełnie niepojęte. Ta machina ma tak wielką inercję, że człowiek czasami w ogóle nie pojmuje, z czego ona wynika. Bo jeżeli, na przykład, jestem za granicą i dowiaduję się, że właśnie ambasador coś zgłosił sensownego i nikt nie zareagował, że coś nasze przedstawicielstwa handlowe proponowały i ich pisma pozostały bez odpowiedzi, że ktoś w kraju miał jakiś pomysł, który w ogóle nie był rozpatrywany, to tłumaczenie, że to wszystko jest wynikiem niskich płac, selekcji negatywnej, czy wypływa z poczucia tymczasowości, jest naprawdę niewystarczające.

Ja, może wstyd się do tego przyznawać, ale ja dopiero gdzieś w kwietniu, albo w maju, kiedy skończyły się szaleństwa zewnętrzne i miałem wreszcie czas głębiej zająć się sytuacją wewnętrzną, gospodarką, zacząłem dopiero rozumieć, o co właściwie chodzi. My po prostu wciąż tkwimy – psychicznie i fizycznie – w strukturze komunistycznej. Petryfikacja komunizmu nawet postępuje, żadne zmiany strukturalne w Polsce nie nastąpiły.

– Czyli dekomunizatorzy mieli rację?

Zależy, co pod tym pojęciem się kryje. Jestem za łamaniem struktur, tak, ale nie ludzi. Ludzie muszą mieć poczucie bezpieczeństwa.

Wtedy zresztą, w kilka dni później po naradzie, przeżyłem wstrząs, chyba największy w tym niecałym roku urzędowania. Pojechałem do „Ursusa”. Po „Ursusie” nie mogłem się po prostu pozbierać. W biurze siedziałem prawie do rana. Sekretarkę poprosiłem o alkohol, pierwszy raz... To wyglądało, Teresa, to wyglądało jak totalny...

– Sabotaż, powiedziałeś wtedy.

Dzisiaj użyłbym łagodniejszego sformułowania i powiedział raczej: surrealizm, pełny odjazd. Nagle odkryłem, z przerażeniem, że wycinkowy – jak uważałem – obraz Polski, który wyniosłem z działalności consultingowej w „Doradcy”, pokrywa się – niestety – z obrazem

całego kraju, że znajduję się w państwie zacofanym o jakieś 50 lat. Musiałby zegar się cofnąć, żeby zrozumieć co się w tym „Ursusie” działo. Razem z tym Gąsiorowskim, znanym członkiem zarządu spółki Art B, który uchodził wtedy za jego zbawcę, a który muzykiem jest dobrym, natomiast poziom jego wiedzy o finansach i operacjach finansowych świadczył raczej o tym, że on coś gdzieś zasłyszał i wiedział, że dzwonią, tylko nie bardzo się orientował, w którym kościele.

– Przecież w „Ursusie” załoga stale protestowała, albo był wiec, albo strajk, nie wiedziałeś?

No, niby wiedziałem, że jest tam trudna sytuacja. Ale też wiedziałem, że w „Ursusie” bez przerwy siedział któryś z ministrów. Nie chciałem więc stwarzać niezręcznych sytuacji, że oto do jakiejś fabryki przyjeżdżam ja, Krzysiu Bielecki: premier-konsultant, który zamierza techniką ręczną naprawiać Polskę. Z reguły jest zresztą tak, że w każdym przedsiębiorstwie coś dzieje się dobrego i coś złego, i trzeba – aby dodać sobie otuchy – umieć cieszyć się tym dobrym, walcząc jednocześnie ze złem.

Ja jeżdżąc po Polsce miałem taką idée fixe, żeby szukać pozytywnych przykładów. Że skoro przeprowadzamy wielki eksperyment to muszą być dowody sukcesu, które powinno się wręcz w telewizji pokazywać codziennie. Marzyło mi się, aby w Polsce powstały wreszcie przedsiębiorstwa, na przykładzie których można będzie zademonstrować, że zmiany są korzystne także dla ludzi w nich zatrudnionych. Że ten wolny rynek, o którym tyle mówimy, ma konkretne przełożenie na konkretny sukces nie tylko w sektorze prywatnym, ale i w przedsiębiorstwie państwowym, a najlepiej w takim, które samo uporało się ze swoimi kłopotami.

Bo dla Polaka – według mnie – o czym się już przekonałem w tym moim epizodzie rosyjskim przy rurociągu, najważniejsze jest po pierwsze: poczucie godności. Gdy ta godność jest naruszana, nie ma z nim żadnego kontaktu, to jest robot, który na dodatek cały czas myśli o tym, jakby tu się nie narobić i jak przyoszczędzić siłę, by mieć na fuchę. Po drugie: Polak lubi być ważny, lubi się chwalić, trzeba mu więc dawać trudne zadania, ambitne prace, czyli cały czas

stosować wobec niego wzmocnienie pozytywne, jak mówią psychologowie. A po trzecie – trzeba mu zapłacić. Gdy te trzy elementy zagrają, można uzyskać przekładalność gadania na konkrety.

W „Ursusie” zaś, w jednym miejscu skumulowało się wszystko, co może być najgorsze. Skłócona załoga. Trzy związki zawodowe. Niekompetentny dyrektor. Biuro Handlu Zagranicznego, zatrudniające z setkę ludzi, którzy kompletnie niczego nie potrafili załatwić, żadnego kontraktu, natomiast intensywnie jeździli po całym świecie. Tragiczna działalność banku, który zupełnie nie był bankiem, tylko kasą pożyczkową, dawał pieniądze, a przedsiębiorstwo wykorzystywało kredyt inwestycyjny na płacenie sobie wynagrodzeń. I wszyscy intensywnie pracowali, tylko żadnych efektów nie było.

Z pobieżnej analizy dokumentów finansowych wynikało, że „Ursus” w poważnych kłopotach był od roku. Od roku był właściwie bankrutem i rok temu należało działać. Nie działano. W międzyczasie zmienił się minister. Przyszedł Andrzej Zawislak. Nie mógł się w tym belkocie połapać. Ludzie w „Ursusie” oczekiwali decyzji. Jakiegokolwiek. Nie jest bowiem tak, że ludzie narzekają, bo chcą tylko większych pensji czy lepszych warunków pracy, często chodzi im o to, by została podjęta decyzja dotycząca perspektyw ich przedsiębiorstwa, skonkretyzowana w warunkach transformacji do odpowiedzi na proste pytania: jaką przyszłość ma moje przedsiębiorstwo, co stanie się z nim za trzy lata, jak długo będzie ciężko. Tych decyzji nie było i dlatego także zdecydowałem się na tę rzeź po „Ursusie”, bo „Ursus” jest klasycznym przykładem odkładania problemów na dzień następny. Aż dochodzi do eksplozji i wtedy czapką wulkanu się nie zagasi.

– Zwolniłeś dyrektora banku.

Tak.

– I czterech wiceministrów.

Tak. Szybkie podejmowanie decyzji przecina wszystkie deliberacje. Przekonałem się już przy Kaperze, wiceministrze zdrowia, którego, jak pamiętasz, zwolniłem natychmiast po jego słynnej telewizyjnej wypowiedzi, iż AIDS jest chorobą grzechu, a homoseksualiści są dewiantami, za co do dzisiaj spotykam się z wyrazami uznania.

– I ministra.

Dla mnie to była trudna sprawa. Zawiślak jest moim kolegą, którego sam osobiście prosiłem, by został ministrem. Długo go namawiałem, bo nie chciał. Popełniłem błąd. Kiedy się zorientowałem, liczyłem jeszcze, że uda mi się zaaranżować zakończenie lepsze, naturalne. W rządzie był już opracowany projekt ustawy o likwidacji ministerstwa przemysłu i ministerstwa handlu, który w rezultacie spowodowałby konieczność odwołania ministrów, także przemysłu, co byłoby rozwiązaniem umowy dość eleganckim i koleżeńskim. Ta sprawa wlokła się jednak niesamowicie długo, nie mogliśmy jej przepchnąć przez parlament.

– Zawiślak po odwołaniu oświadczył: „Nie chciałem współdziałać w dorzynaniu polskiej gospodarki”, bo „logika premiera Balcerowicza jest logiką z pogranicza surrealizmu”.

W działalności Balcerowicza można, owszem, widzieć pewne błędy, ale ja w tym konflikcie jednoznacznie opowiedziałem się za Balcerowiczem. Obawiam się, że Andrzej stał się rzecznikiem myślenia resortowego, czyli rzecznikiem interesów przedsiębiorstw skupionych w swoim resorcie. Starał się pomagać im wszelkimi sposobami, a każdy polegał na wymuszaniu rozluźnienia finansowego.

Oczywiście, można było żądać od Balcerowicza różnych ulg dla przedsiębiorstw, żądać ulgi w dywidendzie, żądać zawieszenia popiwku, można było od niego oczekiwać wspomaganie kredytowego, ale coś za coś. Czyli za konkretny program rozwoju przedsiębiorstwa. Bo z gadania: ludzie macie rację, wasze roszczenia są zasadne, ale nie ma pieniędzy, nic po prostu nie

wynika.

We mnie też, gdy mi ktoś mówił, że mu ciężko, że trzeba mu pomóc, wyzwalała się reakcja odwrotna. Takiego utyskiwania nie chce mi się słuchać i biadolenie nie robi na mnie większego wrażenia. Ono wynika, według mnie, przede wszystkim z tego, że wiele przedsiębiorstw nie uwierzyło, że coś w Polsce się zmieniło i zagrały w sposób tradycyjny, to znaczy wybrały przetrwanie. U nas okazało się, że rynek, czyli różne warunki, które decydują o losie przedsiębiorstwa, nie mają na niego wpływu, bo przedsiębiorstwo potrafi nie przejmować się swoją przyszłością, nawet w sytuacji, kiedy nie ma na wypłatę dla pracowników. Wtedy dyrekcja jedynie zastanawia się, kogo by tu jeszcze naciągnąć na jakieś pieniądze i jest to jedyny wysiłek, jaki podejmuje. A co będzie dalej, nie wiadomo. Ale żeby państwo mogło w działalność przedsiębiorstwa interweniować, państwo musi odzyskać nad nim władzę.

– Którą utraciło dzięki „Solidarności”?

Niestety. I jest sytuacja taka, że ja mogę tylko prosić przedsiębiorstwo, żeby zrobiło to czy tamto, ale niczego – w świetle obowiązującego prawa – nie mogę od niego wymagać.

– Bo przedsiębiorstwo wreszcie ma swoje trzy „S”, wywalczone przez „Sieć” wielkich zakładów, czyli: samorządność, samofinansowanie i samodzielność?

Byłem w nią bardzo zaangażowany, ale kiedy w 1981 roku walczyliśmy o samorządność, chodziło nam o odebranie komunistom kawałeczka władzy. Dzisiaj zaś samorząd okazał się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla sprawnego zarządzania. Samorząd pracowniczy bowiem to nic innego, jak bardzo ważna struktura, która wymusza decyzje, nie ponosząc za nie żadnej odpowiedzialności. A nie ma nic piękniejszego, jak móc decydować i nie ponosić odpowiedzialności.

Stąd mój późniejszy projekt paktu o przedsiębiorstwie, który wymyśliłem i którego będę

broniał jak ...niepodległości (*śmiech*), bo pakt jest wspaniały. Chodzi w nim o to, by wciągnąć pracowników w proces przemian, stworzyć im maksymalnie dużo ścieżek przekształcenia przedsiębiorstwa, wepchnąć w działania prywatyzacyjne i gdy nie skorzystają z żadnej, po trzech miesiącach ich nieróbstwa przejąć zakład i oświadczyć: teraz ja staję się suwerennym jego właścicielem i władcą waszego losu, waszej przyszłości. Czyli dać szansę, by lepsi, których jest bardzo dużo, wygrali. Bo jak na razie rzecz polega na tym, że słabsi pilnują, by lepsi się nie wychylili, żeby zeszli do takiego samego kanału, w jakim tamci się znajdują, bo uważają, że jak wszyscy będą w dołku, to coś się stanie, nie bardzo wiedząc co konkretnie. U nas bowiem obowiązuje zasada: trzymajmy się równo, nie pozwólmy, żeby ktoś się wychylił.

Z perspektywy czasu zresztą wiele spraw zupełnie inaczej widzę i w ogóle oceniać do tyłu jest łatwo, a wymyślać do przodu jest niezwykle trudno, bo w każdym momencie człowiek w tym eksperymencie przeżywał nowe doświadczenia. Bo ja, widzisz, nagle jak Archimedes dokonałem odkrycia na miarę heureka, że ten kraj należy po prostu przebudować. Generalnie.

– Kiedy?

Gdzieś w lecie 1991 roku. Potem wprawdzie znalazłem jeszcze jeden absurd, kiedy zainteresowałem się przemysłem zbrojeniowym

– Bo zaczął strajkować?

Trochę później, ale on tylko pokrył się z moimi wcześniejszymi tezami.

– No, no?

Ach, przemysł zbrojeniowy to była taka ciekawostka, którą się zajmowali różni ludzie w różnych ministerstwach. W Centralnym Urzędzie Planowania ze dwadzieścia osób, w

ministerstwie współpracy z zagranicą też ze dwadzieścia parę osób, w ministerstwie przemysłu był nawet wiceminister od spraw zbrojeniowych i cały departament oraz oczywiście zaangażowane było w to ministerstwo obrony narodowej i jeszcze KERM, gdzie pracowały nad tym jedna czy dwie osoby. W sumie dawało to pięciu ministrów i kilkadziesiąt osób. Przy czym odkryłem rzecz zupełnie banalną, że wszyscy tym przemysłem się zajmują i nikt się nie zajmuje. Kiedy zarządziłem zbiórkę u siebie w gabinecie przyszło stado ludzi i okazało się, że jeden nie wiedział o istnieniu drugiego. I każdy ciężko pracował od 8. do 16.

Gdyby więc wyrzucić tych urzędników, zostawić paru i tych paru zlokalizować w jednym miejscu, to oszczędności byłyby takie, że można byłoby im godziwie zapłacić i nie byłoby takiego bałaganu, jaki jest, bo oni wtedy potrafiliby działać skuteczniej.

– O czym jeszcze się dowiedziałeś?

Ty mnie chcesz drążyć w tematach, które są dla mnie niezręczne. Bo faktycznie rzecz biorąc, ja przecież miałem zastępcę i on siedząc tutaj dwa lata, ten przemysł zbrojeniowy powinien dawno odkryć. Balcerowicz jednak, z jakichś niejasnych dla mnie przyczyn, polityką gospodarczą faktycznie się nie zajmował. Być może była też w tym jakaś wina Lewandowskiego. Balcerowicz pracy resortów nie koordynował, chociaż siłą rzeczy przy tej strukturze rządu, jaka była, resorty wymagały koordynacji prawie codziennej.

– I co zrobiłeś, wiedząc?

Złożyliśmy do sejmu projekt reorganizacji rządu.

– I co?

Nic. Olszewski w ogóle go nie podjął, a Suchocka podjęła, ale w innym wydaniu. Ona

postanowiła zlikwidować URM w dotychczasowej postaci i zbudować silną kancelarię jako osłonę urzędu premiera, a myśmy proponowali zmiany nie tylko w URM-ie, ale we wszystkich resortach. Wyszliśmy z założenia, że rząd powinien mieć strukturę menedżerską, co jest ważne obecnie, w okresie transformacji, żeby mógł wykonywać szybkie, zdecydowane ruchy, a jego premier miał poczucie sprawnego działania, skuteczności decyzyjnej.

Po pierwsze: premier musi mieć możliwość dokonywania zmian urzędników na stanowiskach w administracji państwowej. Był to zresztą pierwszy projekt ustawy, jaki wysłaliśmy do Sejmu, nie mając jeszcze wizji całości. Chodziło nam w nim, żeby rząd mógł zwalniać ludzi na normalnych zasadach, czyli z trzymiesięcznym, a nie sześciomiesięcznym wypowiedzeniem. Mazowiecki otrzymał od Sejmu takie uprawnienia na rok, nie całkiem wykorzystał, wystąpiłem o jego przedłużenie. Ja bowiem jestem zwolennikiem tezy, w której sens głęboko wierzę, że biednego nie stać na oszczędności i kupowanie tandety, dlatego uważałem, że lepiej mieć dziesięciu urzędników dobrych, niż stu złych, a więc należy pozbyć się złych, radykalnie poprawić sytuację tych dobrych i zatrudnić nowych. Nowym jednak trzeba zapłacić.

Wcześniej odbyłem kilka rozmów ze swoimi kolegami z Gdańska, których kiedyś wychowywałem na uniwersytecie i uważałem, że się nadadzą. Bardzo pouczające rozmowy, bo oni zadali mi pytanie: co może zrobić młody człowiek w Warszawie z pensją 2,5 mln (bo takie wtedy były zarobki w URM-ie) bez mieszkania, za to z żoną i małym dzieckiem. Odpowiedź jest prosta: powiesić się. Pytanie następne: czy nie lepiej zamiast się wieszać, podjąć pracę w jakiejś spółce czy prywatnym przedsiębiorstwie, które godziwie płaci i zarobić 20 milionów? Oczywiście lepiej.

– Bo ty nie mogłeś im dać więcej, oczywiście.

No, właśnie nie. To jakaś zupełna paranoja. Bo ja miałem budżet i to jest dobre, oczywiście, ale kiedy z funduszu płac musiałem zapłacić na przykład 120 mln zł, jak zapłaciłem wiceprezesowi GUS-u, bo tyle mniej więcej wynosił wtedy koszt pozbycia się pracownika,

zgodnie z obowiązującymi ustawami (a to tylko jeden przykład), to już oczywiście nie miałem na etaty dla nowych i podwyżki dla starych. Nasz projekt został przez Sejm odrzucony, bardzo boleśnie to odczułem. Teraz sądzę, że trzeba było stoczyć wielką batalię o tę ustawę, bo jeśli nie odblokuje się możliwości zatrudniania dobrych urzędników, nie pozwoli się płacić im w miarę godziwie, to nie ma szans na stworzenie takiego *task force*, a więc zbudowanie dobrej sprawnej administracji.

Po drugie: należy jasno określić zakres kompetencji poszczególnych ministerstw i ministrów, bo jak dotąd nie ma czystości ról i struktura nie wymusza odpowiedzialności każdego za własną działkę, przez co oprócz normalnych przetargów między urzędnikami (polegających między innymi na tym, że każdy chce być gestorem pieniędzy, bo wtedy do mnie będą inni przychodzić i mnie będą prosić) istnieją strukturalne konflikty między ministerstwami. Na przykład między ministerstwem przemysłu, a ministerstwem przekształceń własnościowych i jeżeli pojawi się silna osobowość na czele ministerstwa przemysłu, to z miejsca musi ona wejść w konflikt z ministrem prywatyzacji, właśnie na tle sposobu sprawowania władzy nad przedsiębiorstwami. I odwrotnie. Brak jasności ról sprawia, że gospodarka nie jest pewną całością.

Trzeci problem do rozwiązania: Polska tkwi w legislacji komunistycznej, jest krajem prawnie przeregulowanym. Z jednej strony mamy niezliczoną liczbę źródeł prawa, jeszcze tego starego, określającego właściwie każdą dziedzinę życia, nierzadko zresztą wzajemnie sprzecznego, co powoduje, że często naruszamy je, nie zdając sobie z tego sprawy. A z drugiej strony brakuje nam precyzyjnych rozstrzygnięć, które są na przykład w Stanach Zjednoczonych, a dotyczą chociażby takiej dziedziny, jak ustalenia, co musi być unormowane przez Sejm, a co przez okólniki czy rozporządzenia. My uwielbiamy robić ustawy i następnie dawać delegacje ustawowe dla aktów niższej rangi, co jest bardzo często dyskusyjne nawet z punktu widzenia demokracji, bo niekiedy delegacja jest tak daleko idąca, na przykład dla ministra finansów, że powstaje pytanie: kto praktycznie rozstrzyga o charakterze tej ustawy – minister finansów, czyli urzędnik, czy posłowie wybrani do tych czynności przez społeczeństwo.

– A czy wiadomo, ile tego prawa w ogóle jest?

Jakaś orientacja istnieje, ale biuro prawne w Urzędzie Rady Ministrów, zupełnie nieźle, nie jest w stanie ogarnąć całości. Bo żeby ogarnąć, potrzebna jest jego komputeryzacja, to po pierwsze. Po drugie: konieczne jest oczyszczenie prawa, a proces ten to olbrzymie zadanie, wymagające silnej pozycji rady legislacyjnej, która dzisiaj jest tylko ciałem opiniotwórczym i doradczym usytuowanym przy premierze. Po trzecie: ten proces musi trwać, bo przecież prawo tworzone było w sposób naturalny i stopniowy, więc my musimy teraz przebyć drogę odwrotną, do tyłu. Po czwarte: prawo, które jest, dostosowane było do centralnego planowania i do systemu totalitarnego, ale całkowicie odrzucić się go nie da. Prawdopodobnie rozwiązaniem najprostszym byłoby anulować wszystko i zacząć od początku, bo zawsze łatwiej jest coś budować, niż naprawiać, nawet w banalnych domowych czynnościach. KPN proponowała takie szaleństwo: ogłosić, że PRL było ciałem nielegalnym i unieważnić wszystkie ustawy. Ale to jest praktycznie niemożliwe do wykonania. Bo co? Wypowiedzieć wszystkie umowy? Anulować dokumenty?



Warszawa, 1991. Posiedzenie Rady Ministrów. Na zdjęciu (od lewej) Jan Krzysztof Bielecki, Leszek Balcerowicz, NN.
Fot. PAP/Andrzej Rybczyński

– Zrównać z ziemią i od nowa, powiedział mi w latach 70. dyrektor kombinatu budowlanego, kiedy wyrzekałam, że źle buduje.

To bardzo głęboka myśl i sędzę, że nowoczesne mieszkanie w bloku, zbudowane z wielkiej płyty, dokładnie jest taką polską rzeczywistością. W nim widać wszystko, co dotyczy makroskali, bo przecież po to się zmienia makro, żeby mikro działało, takie sprzężenie zwrotne, jak w cybernetyce.

Stoi budynek na jakiejś działce, nikt nie wie dokładnie na jakiej, kto jest jej właścicielem. Budynek ten jest kompletnie nieoszczędny, on jest kosztochłonny, zamiast oszczędny, bo prowadzą do niego na przykład jakieś rury, wykonane tandetnie, tak że ubytki w dostawach

ciepła czy wody są na tyle znaczące, że już nie wiadomo, kto powinien za nie płacić. Ten budynek teoretycznie ktoś wewnątrz zaprojektował i wymyślił optymalne układy dla mieszkania na przykład trzypokojowego, co jest kolejną fikcją, bo jak się wprowadza obywatel, to rozwala wszystko, burzy ściany, powiększa pokoje i w łazience wymontowuje umywalkę, żeby pralka się zmieściła. Stara się je po prostu urządzić po swojemu, czyli dobrze.

Oprócz tej modernizacji, czy zmiany układu wnętrza musi także podnieść jakość tego mieszkania, bo wszystko jest w nim tandetne, wymienia więc złączki plastikowe na dobre metalowe, żeby nie pękały i nie zalewały mieszkania, uszczelnia okna, objaja drzwi, czasem ściany, żeby ograniczyć akustykę, bo kwestia ochrony intymności czy indywidualności w naszych mieszkaniach przecież nie istnieje itp. A po iluś tam latach, po dziesięciu, czy dwudziestu to mieszkanie zaczyna się dekapitalizować i nie wiadomo wtedy co z nim zrobić. Ale ono jest faktem i tego faktu nie da się przekreślić.

– A w tym fakcie ludzie.

Dokładnie. Bo co w końcu jest winien człowiek, który wymarzył swoje M4 w bloku, po piętnastu czy po dwudziestu latach czekania dostał wreszcie do niego klucze i teraz okazuje się, że koszty eksploatacji tego mieszkania są większe niż jego możliwości finansowe, bo przydziały mieszkań następowały w oderwaniu od realiów ekonomicznych. Nikt mu przecież takich warunków finansowych na początku nie dyktował. Czyli my robiliśmy kolejną rzecz, która moralnie jest nie do przyjęcia, a musieliśmy ją robić: zmienialiśmy warunki gry w trakcie gry.

Bo widzisz, problem przebudowy państwa technicznie nie jest w zasadzie aż tak skomplikowany, gdyby nie ten „drobiazg”, że w tym państwie żyją ludzie i każda reforma musi prowadzić do naruszania ich interesów i zmiany dotychczasowych przyzwyczajęń. To naruszanie jednym daje awans, a dla drugich oznacza upadek i obniżenie poziomu życia. I tych jest więcej. My mamy bowiem państwo nadopiekuńcze w stosunku do możliwości gospodarczych, z wbudowanym automatyzmem socjalnym, który jest zabójczy dla każdej konstrukcji ekonomicznej. I to jest straszne. My, żeby trzymać się przykładu mieszkań, nie możemy

rozdawać ich za darmo lub pół darmo, bo inaczej w ogóle budownictwo mieszkaniowe nie ruszy.

– To dlaczego od razu wyraźnie się tego nie mówiło, dlaczego na przykład twój minister budownictwa nie powiedział tego ludziom?

Glapiński powiedział, w pakiecie ustaw, które przedłożył rządowi.

– Ale bezdomnym na wiecach mówił co innego.

No wiesz, Glapiński był dość zręcznym człowiekiem, który potrafił stworzyć zespół zupełnie dobrych współpracowników, ale on się uczył swojej nowej roli. A poza tym miał świadomość, że powiedzenie prawdy jest rozbieżne z oczekiwaniami, niepopularne. A nikt nie lubi mówić rzeczy niepopularnych.

– Ale czy to uczciwe?

Widzisz, u nas pojawił się taki obyczaj, już za rządów Mazowieckiego, że ministrowie próbują sobie zdobyć popularność w różnych środowiskach nie będąc do końca jednoznaczni, dystansują się więc od polityki rządu, albo wręcz ogłaszają, że do niego przychodzą, by realizować politykę resortu lub swojej partii. Takie pomieszanie ról, ale także wypływające z nieczytelności struktury gabinetu. Według mnie, taka przebudowa państwa, o jakiej mówię, wymaga bowiem ruszenia ustawy konstytucyjnej. I jeszcze kilku ustaw po drodze.

U nas każda struktura obwarowana jest ustawami, każde ministerstwo trzymane jest przez jakąś ustawę, bez sensu zupełnie, cała administracja jest wręcz konstytucyjnie chroniona i żeby tę strukturę ruszyć, trzeba napisać kilka ustaw, co nie jest trudne, ale potem należy skonsultować je z parlamentem, co jest już bardzo trudne. Absolutna paranoja. Przecież siła Margaret Thatcher, która zaryzykowała przebudowę gospodarki, w daleko mniejszym zakresie niż my, tkwiła nie

tylko w niej, w jej wielkiej indywidualności, polegała również na tym, że ona miała swoich posłów konserwatywnych, którzy jej w tym pomagali. A my często mieliśmy taką sytuację, że nawet w Kongresie Liberalów, który jest stosunkowo najbardziej zwartym ugrupowaniem, czyli jego reprezentacja mówi wspólnym głosem, występuje razem, niekiedy zdarzały się sytuacje, że nasz poseł czy działacz czegoś nie rozumiał, i zamiast pracować przy pomocy swoich nad innymi, my musieliśmy pracować nad swoimi, tłumaczyć im, o co chodzi. Czyli potwierdza się teza, że w dżungli nie da się zbudować nowoczesnej farmy sterowanej przez komputery i że czynnik czasu jest kluczem przemian.

W parlamencie nie miałem żadnego oparcia w koalicji i współpraca z nim była na początku – bardzo utrudniona, a później – stała się wręcz niemożliwa. Zwłaszcza po tym, jak Wałęsa rozpoczął z nim wojnę.

– Wyklócał się o ordynację wyborczą, przez dwa miesiące.

Ordynacja to klasyczny zresztą przykład naszej ignorancji politycznej. Komuniści chcieli wtedy proporcjonalnej, bo się bali, że większościowa i z progiem wyrzuci ich ze sceny parlamentarnej, czyli demokracja demokracją, ale jeśli jest wybór, należy swój interes partyjny zabezpieczyć. My zaś uparliśmy się przy większościowej, wychodząc z założenia, że trzeba ustabilizować scenę polityczną. A kiedy ją uchwaliliśmy, zamiast się jednoczyć, zawierać koalicje, jak zrobili komuniści – mądrze, my dalej graliśmy w rosyjską ruletkę.

Ja zresztą popełniłem dodatkowy błąd (co mi potem Tusk dobitnie wypomniął), bo przepowiadając, że w wyborach 1993 roku Kongres dostanie 3,5 procent głosów, nie walnąłem pięścią w stół, nie kazałem połączyć się z Unią Demokratyczną i nie zatrzymałem tego szaleństwa. A rezultat jest taki, że teraz przyglądamy się tej ordynacji spoza parlamentu. Kaczory (*śmiech*), które o nią walczyły – także. Bo my, widzisz, nie uprawialiśmy polityki, o nie! My budowanie demokracji, wolnego rynku traktowaliśmy jako misję.

– To Mazowiecki, bo ty mówiłeś o służbie, że pełnisz służbę.

Ale też czułem się misjonarzem. Jeszcze jak!

Powiem ci rzecz być może śmieszną, trudną do uwierzenia, ale moja praca w rządzie to było spalanie całego siebie. Ja po dziesięciu miesiącach czułem się wykończony, całkowicie wyczerpany. I proste pytanie: jak długo można tak funkcjonować? To nie kwestia ilości godzin pracy, szesnastu czy osiemnastu na dobę, ale problem życia w tym wszystkim. To jest niezwykle trudne po prostu.

Ja dodatkowo stanąłem przed zupełnie nowym oczekiwaniem społecznym, którego nigdy przedtem nie było. Że ludzie chcieli mnie słuchać, chcieli ze mną rozmawiać. Wiedziałem, że te rozmowy są kluczem do sukcesu reformy. Że ludzie chcą ze mną dyskutować, czasami chcą na mnie nawet pokrzyczeć. Jak ci chłopci, do których pojechałem razem z Tańskim. Przyjeżdżam, ludzie stoją i patrzą. Myśleli pewnie, że do nich nie podejść, bo zaczęli się zachowywać trochę prowokująco. Podszedłem. I był płot, dwumetrowy. Któryś z nich zawołał: a co pan tak z drugiej strony? To ja: dobra i przeskoczyłem ten płot.

– Znaczący każdy w Polsce musi mieć swój płot?

Mój, to przypadek. Interweniowałem zresztą, by wyciąć tę scenę z telewizji, bo nagrali. Żeby nie było demoralizacji.

– Często tak interweniowałeś?

Nie, nie, to moja jedyna ingerencja. Przecież wiesz, że byłem autorem, jeszcze w 1990 roku projektu ustawy telewizyjnej, która odbierała decydującym możliwość ręcznego sterowania programami w telewizji. Właśnie po to, by nie kusiło, bo kusi. A jak zostałem premierem, natychmiast zezwoliłem na sprywatyzowanie „Rzeczpospolitej”, wychodząc z założenia, że

posiadanie przez rząd własnej gazety jest paranoidalnym reliktem przeszłości, za co do dzisiaj są mi wdzięczni, bo i Olszewski, i potem Pawlak mieli ochotę nimi porządzić, ale już się nie dało.

Choć też wiedziałem, że fajnie mieć w swoich rękach gazetę, robić zebrania i pouczać ludzi, co mają pisać, ale te czasy już minęły, bo trzeba byłoby z gazet powyrzucać połowę dziennikarzy i zatrudnić miernoty, które zgodzą się pisać pamflety, czy jakieś bałwochwalcze teksty, co nawet dla władzy jest nieopłacalne, jeśli na problem się patrzy nie wyłącznie z wysokości sprawowanego urzędu. Władza jest przecież absolutnie doraźnym zajęciem. Nawet gdyby się ją wykonywało przez dziesięć lat, to i tak pozostaje kolejnych trzydzieści do przeżycia i wtedy dobrze, żeby – kiedy mnie ktoś kopie – znalazł się jakiś wolny dziennikarz, który zechciałby zapytać, co mam na swoją obronę.

– I co z Tańskim?

Z Tańskim? Tański nie przeskoczył, miał kłopoty techniczne.

– A potem?

Podyskutowaliśmy.

– Dało się?

Z ludźmi naprawdę da się rozmawiać. Ludzie w Polsce oczekują kontaktu osobistego i jasnego wytłumaczenia, o co chodzi. Dla nich przy tym nie jest ważne, że ja byłem zatrudniony na stanowisku „premier Rzeczypospolitej”, zresztą czasowo. Oni oczekują, że jeżeli ja jestem wśród chłopów, będę gadał jak minister rolnictwa, a jak w fabryce to jak minister przemysłu, a jak w szpitalu, to jak minister zdrowia. Widzisz, ja to społeczeństwo – po wielu doświadczeniach – odbieram tak: jest to społeczeństwo łaknące dialogu, społeczeństwo, które ma w sobie wielkie

poczucie własnej godności i podmiotowości oraz społeczeństwo, które chce wyartykułować swoje argumenty i być do czegoś przekonywane.

– Przez „onych”?

Ja bardzo często spotykając się z ludźmi, miałem wrażenie, że rząd dla nich to jest taki klasyczny przeciwnik, ci słynni „oni”, których się nie lubi, podejrzewa o wszystko, co najgorsze i chętnie wręcz nadśluchuje każdego, nie tyle dowodu, ale plotki chociaż, która potwierdzałaby ich przekonanie, że ci rządzący to są właśnie ci „oni”, działający wbrew interesowi społeczeństwa. Ale to nie jest, według mnie, myśl głęboko w ludziach zakorzeniona. Ludzie jednak chcą wierzyć, że władza nie jest zła.

Często po paru godzinach ostrej debaty w różnych miejscach Polski odnosiłem wrażenie, że jeżeli nawet ludzi nie przekonałem do słuszności wszystkich decyzji, to jednak odbudowałem ich zaufanie do rządu. Ludzie między sobą mówili: ten facet jednak wie, o co chodzi i trzeba mu pozwolić to zrobić. Tak było na przykład w łódzkiej „Fonice”, gdzie ludzie strajkowali, byli nerwowo wykończeni i skąd wcześniej wyrzucali kolejno różne znamienite postacie: wojewodów, prezydentów, Krzaklewskiego, a mnie nie tylko że nie wyrzucili, ale w końcu zrobili to, o co ich prosiłem, a co było wbrew ich krótkoterminowemu interesowi.

Bo widzisz, zamiast po świecie jeździć powinno się po Polsce i jak się ma trzy godziny czasu, można dużo wytłumaczyć i nawet uzyskać akceptację w trudnej sytuacji. I nie trzeba, naprawdę nie trzeba kokietować społeczeństwa i zgadzać się na wszystkie populistyczne żądania. Trzeba pokazywać, bo to – według mnie – jest celem każdego spotkania, że przeprowadzane reformy nie są proste, banalnie proste, bo ludziom często się wydaje, że mają jakiś zdroworozsądkowy pomysł i jak się go zastosuje, będzie lepiej.

– Głównie politykom.

Graczom po prostu. Więc wyjaśniam, nie będzie. Bo państwo jest wielkim naczyniem połączonym i jak się coś ruszy w jednym miejscu, to niestety, w drugim wypływa.

Teraz myślę, że można było zaryzykować i te specjalne uprawnienia dla rządu, które proponował Wałęsa, wziąć w maju, albo w czerwcu, może ten parlament dałby się do tego przekonać.

– Ale wtedy nie chciałeś.

No, była we mnie obawa przed nadmiernymi oczekiwaniami ze strony społeczeństwa, które mogłoby z tego wyciągnąć wniosek, że jak już rząd ma dekrety, będzie lepiej.

– Z Wałęsą grałeś na czas. Nie mówileś „nie”, ale decyzję odkładałeś.

Dla mnie szczególne pełnomocnictwa miały dwa wymiary: jeden – ewentualnie pozytywny, że można coś zrobić szybko i drugi – ten twardy, iż czego nie zechce zrobić parlament, to ja będę musiał. Na zasadzie, że ktoś musi. Więc jeżeli parlament nie zechce na przykład uchwalić nowej ustawy emerytalnej, dotyczącej siedmiu milionów ludzi, bo jest dla wielu niekorzystna, a więc nie będzie chciał narazić się swoim wyborcom, to ja będę musiał, żeby ratować budżet, bo ktoś o budżecie także powinien myśleć. Wtedy rodzi się prozaiczne pytanie, czy koniecznie ja muszę to robić? Wolałem dlatego, aby ważne sprawy dla kraju były rozstrzygane przez parlament, a nie kruchy rząd, nie posiadający swojej większości parlamentarnej.

Chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie i tak nie obejdzie się bez jakichś specjalnych pełnomocnictw dla rządu. Po prostu my wiele rzeczy robimy za wolno. Wszystko zaczęło się od zbyt późnych wyborów parlamentarnych, spóźnionych co najmniej o rok. Czesi, którzy ruszyli po nas, zrobili je w lutym, osiem miesięcy przed nami. Przez te osiem miesięcy nastąpiła potworna zmiana sytuacji zewnętrznej. Czas pracuje na naszą niekorzyść.

Polska cztery lata temu była jedynym krajem, który rozpoczął szaleńczą walkę i po wykonaniu wspaniałej szarży, Polakom wydawało się, że odpoczną. Byliśmy wtedy w uprzywilejowanej sytuacji ukochanego jedynaka, który był pępkiem świata, mogliśmy jeździć po świecie, nawet komuniści jeździli wtedy do Ameryki i opowiadali, jakież to reformy my tutaj robimy.

Teraz, po rozpadzie ZSRR i Jugosławii, jesteśmy jednym z trzydziestu – zaokrąglając – krajów, które starają się pozyskać poparcie dla swoich przemian i jest to kompletnie nowa sytuacja. Nie do końca chyba przez Polaków uświadamiana. Okres prosperity już się skończył.

– Bo wojna na górze, Krzysiu, była niepotrzebna i należało zostawić na prezydenturze Jaruzelskiego.

Nie, nie, tak nie wolno mówić. Układ „magdalenkowy” stworzył u nas dosyć silną pozycję prezydenta. Czy wyobrażasz sobie sytuację: u nas Jaruzelski jako prezydent i zamach stanu w Moskwie?

– Tak.

Ja nie. Chociaż można było od początku przypuszczać, że pucz napotka na wielkie trudności – otrzymywaliśmy różne meldunki od naszych służb specjalnych, akurat zupełnie dobre, donoszące, że część wojska reaguje niechętnie na samozwańców – jednak nie wolno było wykluczyć, że na jakiś czas, krótszy lub dłuższy dojdzie w Rosji do władzy Janajew. A wtedy można było podejrzewać, że u nas także wystąpi próba powrotu starego układu władzy. Ja zresztą dwukrotnie miałem przyjemność widzieć Janajewa.

– To jak Leszek Miller.

No, niezupełnie, bo ja nie jeździłem na Krym, tylko spotykałem się z nim oficjalnie. Raz na pogrzebie Układu Warszawskiego. Nie był to człowiek życzliwy naszemu krajowi, ani w

sensie tego co mówił i robił, ani nawet jak na nas patrzył. Kiedy wygłaszałem przemówienie na okoliczność likwidacji Układu Warszawskiego, dosyć twarde przemówienie, Wałęsa siedział obok mnie, Janajew bez przerwy palił papierosy i odniosłem wrażenie, że obserwuje nas niezyczliwie.

– W dniach puczu widziałam go w amerykańskiej telewizji, w CNN, wydał się lekko nieprzytomny.

Bo tutaj dochodzimy do takiego prozaicznego elementu sprawowania władzy, który się nazywa piciem alkoholu w pracy. On dotyczy i ekipy radzieckiej i naszej, sądząc po liczbie butelek, którą tu...

– Chcesz powiedzieć, że...

Że ja nie piłem. Kiedy nastąpił zamach stanu w Moskwie, Andrzej Zarębski rzucił świetną myśl, żeby nie oglądając się na Belweder i MSZ przejąć inicjatywę i strach, jaki padł na Europę spróbować zdyskontować na naszą korzyść. Rozmawiałem wtedy chyba ze wszystkimi premierami najważniejszych krajów i gdyby Janajew utrzymał się jeszcze przez kilka przynajmniej dni przy władzy, prawdopodobnie byłibyśmy już w NATO.

Drugiego dnia postanowiłem też wygłosić płomienne przemówienie do narodu, bardzo byłem przejęty. Chciałem jednoznacznie potępić pucz i powiedzieć, że przemocą się niczego nie osiągnie, że przemoc spowoduje tylko, iż marzenia społeczeństwa o wolności zostaną przytłumione, natomiast nigdy nie zostaną zniszczone i o tym przekona się szybko każda władza i każdy system totalitarny. To było bardzo dobre przemówienie, już je wklepano w teleprompter, ale zrobiło się wokół niego dosyć dużo szumu w Belwederze, no i Belweder był zdania, że to jest – powiedzmy – zbyt radykalne wystąpienie, że trzeba jeszcze poczekać.

– Na wynik, prawda?

Myślę, że prezydent zupełnie się w tym momencie zagubił i szukał schronu, w którym mógłby się schować. Wałęsa lubi po prostu, jak jest dobrze i chce, żeby było dobrze, a kiedy jest dobrze – zdolny jest do bardzo wielu dobrych kroków. Natomiast w sytuacji ataku na niego, czy zagrożenia, gubi się. Jak najszybciej chce przekonać wszystkich, że się głęboko mylą, że tylko on ma rację... To chyba kwestia odporności psychicznej.

– A ciebie nie zawiodła? We wrześniu?

30 sierpnia dokładnie. W swoim dramatycznym przemówieniu powiedziałem w Sejmie, że Polską nie da się rządzić.

– Dzięki Wiesławie Ziółkowskiej, która dzień wcześniej zażądała dymisji rządu.

Tak, tak, kochana z niej kobitka.

– I wtedy zgłosiłeś rząd do dymisji.

Marszałek Kozakiewicz był przerażony możliwością jej przyjęcia. Jak się okazało niesłusznie. Prosił mnie o wycofanie. Nie rozumiał zupełnie, że najzyczliwsze i najserdeczniejsze prośby nie są w stanie odwrócić biegu wydarzeń i że ja nie mogę pozwolić, by wbito mi nóż w plecy i muszę wreszcie zagrać politycznie, bo w moim zgłoszeniu rządu do dymisji na pewno był po części jakiś element gry taktycznej, choć także głębokie przekonanie, iż wyczerpały się możliwości rządzenia Polską, że nie ma instrumentów do sprawnego funkcjonowania władzy, że nastąpił paraliż państwa, że postępuje jego degradacja.

Bo jeżeli przez ponad rok nie ma szefa NIK-u, ponieważ Sejm nie może go wybrać, jeżeli

prawie przez rok nie ma szefa centralnego banku, bo Sejm nie może między sobą ustalić kandydata, to o czym to świadczy? Że Sejm nie rozumie roli banku centralnego w ustroju wolnego rynku. Na dodatek w tym banku doszło do absurdu, że wszyscy pracownicy, którzy cokolwiek umieli – odeszli, bo zawsze w sytuacji niestabilnej, kiedy nie ma prezesa, kiedy nie ma wiceprezesa, najlepsi odchodzą. Parlament też nie chciał uchwalać ustaw, które rząd do niego kierował.

– Parlament twierdził, że nie przygotowaliście dwustu aktów wykonawczych do ustaw już uchwalonych.

Nie dwustu, tylko siedemdziesięciu. Poza tym nie każdy akt wykonawczy należy wydać, kiedy Sejm tego chce, ale kiedy z punktu widzenia funkcjonowania ustawy jest to niezbędne.

– Nie przygotowaliście przepisów wykonawczych do ustawy o odpłatności leków, na przykład.

Zgoda. Wyrzuciłem tego wiceministra, już nie pamiętam nazwiska, który był za to odpowiedzialny, ale jeszcze raz powtarzam, jego nieodpowiedzialność wynikała także z błędów w strukturze.

– Dopuściliście do afer. Za Mazowieckiego była jedna – alkoholowa, przy tobie: papierosowa, benzynowa, rublowa, Art B, FOZZ-u ...

Zaraz, zaraz, ja na każdym spotkaniu próbuję je wyjaśniać i mówię: ludzie, te afery nie powstały za moich czasów, te afery zostały w trakcie mego urzędowania ujawnione, przy naszej, mojej aktywnej roli.

Chociażby sprawa FOZZ-u. Ona była dla mnie niejasna od samego początku. Intencje

utworzenia Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego nie były po prostu dla mnie do końca zrozumiałe. I to dzięki mojej osobistej interwencji tą sprawą się zajęto i dzięki mnie było możliwe zatrzymanie podejrzanych osób, bo to ja na jednego z nich dostarczyłem dowód z zagranicy. Aczkolwiek uważam, że niekoniecznie trzeba było od razu aresztować prezesa centralnego banku...

– **Na dworcu w Warszawie.**

Właśnie, w sposób demonstracyjny.

– **Zakuto go w kajdanki.**

Skuteczność działania polega na tym, żeby winnego ukarać, a nie w sposób widowiskowy go zatrzymywać.

– **A potem po cichu wypuszczać.**

Zatrzymanie jest przecież tylko pewnym krokiem, uregulowanym kodeksem karnym. Ja tego nie rozumiem.

– **Nie? Bo zwolniłeś wtedy Janusza Sawickiego, wiceministra finansów.**

Niezwykłe przykra dla mnie sprawa, muszę powiedzieć. Sawickiego cenilem i nadal wysoko oceniam w sensie zawodowym, uważam też, że to sympatyczny człowiek. Ale musiałem mu wytłumaczyć, że czymś innym jest moja wysoka ocena jego umiejętności i przydatności zawodowych, a czymś innym elementarne poczucie odpowiedzialności służbowej.

Z punktu widzenia odpowiedzialności służbowej sprawa była bowiem ewidentna: jako szef powierzonego mu wycinka administracji powinien był pilnować, by dany odcinek funkcjonował dobrze, a on jako przewodniczący rady FOZZ-u nie dopilnował, bo nastąpiły oczywiste nieprawidłowości, czyli nie dopełnił swoich obowiązków i z tego tytułu musiał ponieść konsekwencje. Razem szukaliśmy rozstrzygnięcia.

– Razem?

Tak. Uważałem, że Sawickiemu za jego dobrą pracę w rządzie taki sposób naszego rozstania się po prostu należy i byłem elastyczny, że tak powiem, na ten czy inny wariant. Przecież nie chodziło o odpowiedzialność karną, są inne organy, by jej dochodzić, ja nie jestem od prowadzenia śledztwa. Te inne organy powinny ustalić, jakie popełniono nieprawidłowości i co się stało ze 180 milionami dolarów.

Ich brak w tej chwili wcale zresztą nie oznacza, że te pieniądze zostały ukradzione. Być może zawłaszczona została tylko ich część, a reszta gdzieś leży, w jakimś banku. Problem polega, jak te pieniądze odnaleźć, bo są to niezwykle trudne, skomplikowane operacje, w których pogubili się także ludzie odpowiedzialni za ich dysponowanie. A u nas wystarczy, że ktoś coś powie, wyjdzie na trybunę i robi się krzyk: mamy kolejną aferę.

– Bo były.

Zgadza się, ale trzeba na problem spojrzeć spokojnie. I najpierw powiedzieć sobie: afery naprawdę nie są uzasadnieniem naszej trudnej sytuacji i nie wolno, jak niektórzy to czynią, kreować absolutnie fałszywego mitu, że gdyby nie było afer, byłoby w Polsce lepiej. Byłoby tych dwudziestu czy trzydziestu bilionów złotych więcej i moglibyśmy wtedy dofinansować oświatę, czy służbę zdrowia.

Jest to całkowita nieprawda. Afery w Polsce były, są i będą. Tak jest na całym świecie.

Afery są w Ameryce, w Wielkiej Brytanii, wszędzie. I to, że je się w Polsce ujawnia, świadczy o tym, że działa mechanizm demokratyczny. On słabo działa, mało skutecznie, nie jest surową ręką sprawiedliwości ludowej, jak się kiedyś mówiło, ale jednak pewne nieprawidłowości wypływają i trzeba je konsekwentnie eliminować, co zresztą się robi.

Po drugie: afery ujawniają niedoskonałości naszego systemu prawnego, istnienie luk prawnych. System nasz jest niedostosowany do nowej rzeczywistości, działa na podstawie fałszywych założeń. Na przykład: czeki osoby fizycznej były w bankach podejrzane i dokładnie się je sprawdzało, ale już transakcje zawierane pomiędzy przedsiębiorstwami państwowymi i państwowym bankiem z zasady były w porządku, pieniądze przerzucało się z jednej kasy państwowej do drugiej i nikt tym czekom się nie przyglądał. Kiedy pojawiło się kilkadziesiąt tysięcy przedsiębiorstw prywatnych i spółek, ten mechanizm nie został jednak zmieniony i niektórzy potrafili to wykorzystać, co łączy się z trzecią sprawą, dla mnie najbardziej bolesną.

Te wszystkie afery wynikają z nas samych, a nie z tego, że są jacyś genialni oszuści. One wszystkie pokazują, że istnieje u nas straszna znieczulica społeczna odnośnie sposobu traktowania majątku państwowego. Majątek państwowy traktowany jest jak majątek niczyj i w związku z tym nikt się nim nie przejmuje, nikt go nie pilnuje. Na przykład, w działalności spółki Art B w sposób bierny uczestniczyło kilkaset czy nawet kilka tysięcy osób. One widziały przecież, że coś dziwnego się dzieje. Że przychodzi do banku człowiek, przynosząc czterdzieści czeków wypisanych na taką samą sumę i na to samo nazwisko, a po paru godzinach znowu się pojawia z nowymi czekami. I jest pytanie, dlaczego kasjerka się nim nie zainteresowała, dlaczego przyjmowała te czeki, dlaczego referentka je akceptowała.

Ja rozumiem, że 50 mld zł na papierze nie robi takiego wrażenia jak 50 mld w gotówce, ale dlaczego nadzór bankowy to dziwne zjawisko tolerował? Odpowiedź jest prosta. Oni wszyscy uważali, że to nie są moje pieniądze, nie mój bank, to co nas to obchodzi. Były, na szczęście banki, które nie zgodziły się otworzyć rachunku dla Art B, co świadczy, że są też w Polsce ludzie, którzy posiadają elementarną odpowiedzialność czy ostrożność. Wielu jednak wykazało kompletny brak wyobraźni i odpowiedzialności. Co jest o tyle zaskakujące, że ci sami ludzie niezwykle boją się utracić pracę, wręcz trzęsą się o nią, a nie zdają sobie sprawy, że ich praca

polega także na dbaniu o majątek, który został im powierzony, w pewnym sensie ich majątek. Przez to afery u nas ujawniają się nie w wyniku rutynowych działań ludzi, tylko albo przez przypadek, albo dlatego, że do danej instytucji nadchodzi sygnał z wielkiej „góry” i zarządzana jest kontrola, przez tę „górze” sterowana.

– Bo nie ma w nas identyfikacji z państwem.

Dokładnie. Pamiętam, jak na początku 1974 roku pisałem artykuł na temat kryzysu energetycznego, który nastąpił w gospodarce światowej w grudniu 1973 roku. Potrzebowałem pewnych dokumentów i poprosiłem swego przyjaciela Anglika, czy by mi ich nie opracował. I on mi odpisał, co wywarło na mnie duże wrażenie, że bardzo przeprasza, ale teraz nie może, ponieważ jest kryzys energetyczny, Anglia cierpi z powodu restrykcji nałożonych przez kraje OPEC, i on nie może przez to pracować w nocy, bo musi szybciej wyłączać światło. Taki bowiem jest apel rządu i my Anglicy musimy być twardzi, zdyscyplinowani itp. Jest to postawa zupełnie nieznaną w Polsce.

– Bo w Polsce rząd trzeba oszukać?

Trzeba oszukać, bo rząd ma.

– Tylko kryje, jak mówiliśmy w 1981 roku, mięso, masło, mąkę, pamiętasz?

Głupio mówiliśmy. Dlatego ja we wszystkich debatach budżetowych wygłaszałem takie zdanie: proszę państwa, rząd nie ma budżetu w ajencji, a szczególnie ja, Bielecki, bo gdybym miał, to bym inaczej z wami gadał.

– I państwo można, na przykład z podatków, okraść?

Można, bo u nas w ogóle – w przeciwieństwie do Zachodu – nie istnieje świadomość, że każdy obywatel utrzymuje państwo z podatków, że każdy jest podatnikiem, że dystrybucja dochodów państwa zależy w dużym stopniu ode mnie. To wszystko jest spuścizną komunizmu, oczywiście, bo przedtem działania przeciwko państwu były społecznie akceptowane.

– I fabrykę, w której się pracuje, wolno naciągnąć?

Wolno, bo nikt nie uważa, że jego zarobek jest uzależniony w ogromnym stopniu od powodzenia zatrudniającego go przedsiębiorstwa, więc o jego kondycję należy dbać. Stocznia Gdańska była na przykład taką genialną fabryką, która wykonywała tysiące usług dla ludności, oczywiście nielegalnie. Stocznia dodatkowo była jedynym miejscem, gdzie znajdował się – w tej gospodarce niedoborów – odpowiedni materiał nie do zdobycia gdzie indziej, odpowiednie narzędzia, i kiedy ktoś potrzebował szpilki do kół, czy jakiejś śruby, szedł do znajomego stoczniowca. On miał dobrą fuchę, a klient część do samochodu o najwyższej jakości. Teraz tę nienormalną sytuację musimy zmieniać. I ona się zmienia, ale opornie.

– Przedtem obowiązywał slogan: „czy się stoi czy się leży...”, a teraz „jak się da, to się robi”.

Bo jest kilka przyczyn, moim zdaniem, historycznych. Pierwsza podstawowa, że nie mieliśmy niepodległości przez 200 lat. Obce było prawo, a więc należało je omijać lub łamać, i obce było państwo, więc trudno je, będąc na statusie półobywatela nauczyć się szanować. Bo nawet w myśleniu skrajnie liberalnym, które jest antyetatystyczne, istnieje potrzeba identyfikacji człowieka z państwem, konieczność współdziałania obywatela z państwem.

Po drugie: Polacy mają w sobie zakodowany, historycznie zakodowany, brak wartości pieniądza. Potrzeba stworzenia pieniądza pojawiła się na świecie ileś tysięcy lat temu. Pecus – bydło – nie było najlepszym środkiem płatniczym, więc wymyślono pieniądz. Pieniądz, z którym

się kojarzą różne brzydkie rzeczy, ale który wyraża także, w sposób najprostszy, najprymitywniejszy, bo taka jest jego siła i słabość – możliwości człowieka. U nas go nigdy nie było, ponieważ jesteśmy krajem, w którym nie istniała waluta narodowa, a jeżeli – to niezwykle krótko. Nawet po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przez ileś tam lat, chyba sześć, do 1924 roku nie mieliśmy waluty narodowej, posługiwaliśmy się marką niemiecką. Potem wprowadziliśmy własny pieniądź, na rok, i nastąpiła słynna tzw. wielka druga inflacja polska, która doprowadziła do załamania złotego, co odbudował dopiero Piłsudski przy pomocy silnych rządów. I to jest cała historia naszego pieniądza.

Po wojnie brak wartości pieniądza komunizm jeszcze wzmocnił, głosząc, że najpierw będzie socjalizm, czyli każdemu według pracy, a potem będzie komunizm, czyli każdemu według potrzeb. A człowiek, który miał pieniądze, to był prywaciarz, cinkciarz, badylarz, absolutny parch, traktowany jak osoba niższej kategorii i często musiał udawać biedniejszego.

– Egalitarni byliśmy, po prostu.

O, bardzo! W efekcie Polacy to dzisiaj ludzie, którzy z jednej strony nie posiadają umiejętności liczenia pieniędzy, nie posiadają umiejętności perspektywicznego myślenia czy umiejętności polegania na sobie samym, i z drugiej strony: mają bardzo sprymitywizowane pojęcie o ważności pieniądza oraz podejmują decyzje finansowe nie na podstawie swoich zasobów gotówkowych, czy realnych możliwości spłaty zaciąganych kredytów, ale kierując się kryteriami potrzeb, dyskutują przede wszystkim o tym, jak te potrzeby zaspokoić.

Ja bardzo lubię takie dyskusje i wtedy mówię, że owszem, potrzeby to ja m u m i to duże, a kiedy zechcę sobie kupić nowoczesny sprzęt sportowy, będę potrzebował milionów. Ale to żarty. Sądzę, że obecnie mamy do czynienia ze zjawiskiem, typowym w sumie, a nie znanym poprzednio, które nazwałbym – żądzą szybkiego wzbogacenia się. Tego jednak kiedyś nie było i pamiętam, jak za czasów Gomułki, chociaż niczego zupełnie nie mieliśmy, a jedynym luksusem osiągalnym na naszym stole był chleb z szynką, moja mama, dziennikarka radiowa, przeżywała jakieś swoje dylematy moralne i one były w domu najważniejsze. Nie pieniądze. I nagle po 1

stycznia 1990 roku nastąpiły czasy, w których w ciągu kilku zaledwie miesięcy powstały głębokie różnicowania.

One wykreowały postawę, że lepiej jest mieć, niż nie mieć. Bo jak się ma, to można odjechać, zostawić znajomych w jednym miejscu i po dwóch latach znaleźć się w zupełnie innym, dla dawnych kolegów nieosiągalnym, co powoduje potworny ich bunt. Bo ludzie się porównują i mówią tak: mieliśmy tyle samo, ja mam taką samą głowę, takie same ręce, nawet te same studia skończyłem, więc dlaczego mam gorzej? Sam, będąc premierem, kiedy urywałem się ochronie i jechałem peugeotem ulicami (śliczny samochodzik, 205, odziedziczyłem go po Kiszczaku, który podobno jeździł nim na polowania i strasznie, niestety, zarznął), łapałem spojrzenia ludzi. Wprawdzie bez agresji, ja zresztą nienawiści do siebie nigdy w ludziach nie odczuwałem, ale były to spojrzenia trochę zazdrosne, a trochę zdziwione, które – wydawało mi się – mówią: facet wyleguje się w peugeotcie, a ja muszę jechać „maluchem”, a przecież dwa lata temu byliśmy w tym samym miejscu i obaj jeździliśmy „maluchami”.

Dlatego to „mieć” chce się dlatego osiągnąć za wszelką cenę, natychmiast, nie bacząc na przepisy czy zwyczajną uczciwość. W Polsce obowiązuje filozofia, aby dzisiaj, filozofia tymczasowości. O jutrze mało kto myśli, bo jutro może być przysłowiowy potop, nie wiadomo, co będzie. Za mało mówiliśmy o moralności w biznesie, o zasadach etycznych, koniecznych do prowadzenia biznesu, nie przekonywaliśmy, że opłaca się robić biznes w sposób moralny. Bo interesów się nie robi raz. Zasada jednorazowego interesu jest zasadą komunistyczną. Biznes polega na zasadzie wielokrotnych kontaktów i jeżeli ja raz zagram nieuczciwie, to nikt ze mną drugi raz grać nie będzie.

– A w ogóle grasz?

Ja? Nie, nie gram.

– Bo niedawno słyszałam, że masz monopol na jaja.

Jakie jaja?

– **Z Sowietów, razem z Wilczkiem zresztą.**

?

– **Skąd więc tyle plotek o tobie, przecież nie z powietrza.**

Prawdopodobnie sam je sprowokowałem. Kiedy zostałem premierem, przedstawiano mnie jako faceta, który umie zarobić na życie, nie boi się trudnych sytuacji, zna się na *small* biznesie, co było prawdą. Zagranicy to bardzo się podobało i prasa krajowa wykreowała mnie – jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie – na przedsiębiorcę, właściciela firmy, choć właścicielem żadnym nigdy nie byłem.

– **Bo gdańskie biuro consultingowe „Doradca” było spółdzielnią?**

Tak. I w związku z tym w ludziach powstało skojarzenie, że jeśli jestem facetem, który ma określoną przeszłość – oznacza, że czas premierowania muszę zdyskontować na korzyści własne. Nieraz zupełnie kuriozalne zdarzenia przeżywam na różnych spotkaniach. Ktoś wstaje i mówi: niech pan powie, czy to prawda, że chce pan kupić pakiet kontrolny w hucie szkła. Jak mam dobry humor, to odpowiadam dowcipnie, a jak zły – to bardzo serio, że nie, bo złodziejstwo i kręctwo były w moim rodzinnym domu szczególnie piętnowane, spotykały się ze strony rodziców z potępieniem.

– **Pomaga?**

Nie, bo w Polsce uważa się, że osiągnięcie sukcesu nie jest wynikiem pracy, wiedzy, nabytych umiejętności, ale jest rezultatem nieczystych kombinacji. I to nie jakichś zawiłych, ale opartych o przywilej. Czyli ja z racji znajomości czy rządowych powiązań mogę załatwić koncesję, a inni, którzy dojść i układów nie mają – nie mogą. Czyli jaki z tego płynie wniosek?

– Że należy zakombinować.

Że w Polsce dorobić się można tylko kradnąc, że w interesach decydują układy, w polityce decydują układy. Nawet taki młody żołnierz, jak Jan Maria Rokita, gdy mu wykladałem jakąś koncepcję, najpierw wzruszył ramionami: ty jesteś naiwny, to nie wyjdzie, trzeba to zagrać politycznie, co w języku polityków oznacza zakombinować, oszukać, a potem nagle pyta chytrze: ale ty właściwie dlaczego mi podpowiadasz? Bo u nas na dodatek wszyscy zrobili się strasznie podejrzliwi. Tłumaczę mu więc: bo mnie na tym rządzie zależy, bo uważam, że jak on będzie miał sukcesy, to wszyscy wygramy, wszyscy zarobimy, taki właśnie mam w tym rządzie własny interes.

– Uwierzył?

Tak, w końcu tak. Myśmy wychowali się w systemie dojść i układów, powiązań nieformalnych i kombinowania, i jeżeli one decydują o sukcesie, to po co się męczyć, po co uczyć, po co czytać jakąś książkę, lepiej cały ten czas przeznaczyć na poszukiwanie dojść. U nas z góry wręcz zakłada się, że osiągnięcie sukcesu, zwłaszcza finansowego, poprzez pracę jest niemożliwe, czyli jaki kolejny wniosek z tego płynie?

– Że nie warto się nawet starać.

No, właśnie, najlepiej leżeć i czekać, aż coś spadnie.

– Po sobie wiem, że to możliwe, ale w wymiarze bardzo ograniczonym.

Bo ty mówisz o pracy umysłowej. A praca głową w Polsce zawsze była czymś śmiesznym. Jeżeli ja napiszę jakiś artykuł i ktoś przedrukuje jego fragment, jako własną myśl, to uważa się to za zjawisko absolutnie normalne, a nawet jest dowodem życiowego sprytu, umiejętności radzenia sobie w życiu. Choć to zwykła kradzież.

Szalenie cierpiałem z tego powodu w spółdzielni „Doradca”. Przychodziłem na przykład do właściciela przedsiębiorstwa i w ciągu pół godziny byłem w stanie podpowiedzieć mu rozwiązanie, które dawało mu oszczędności, powiedzmy dziesięć miliardów złotych, ale gdybym mu oznajmił, że chcę za swój pomysł dwadzieścia milionów, to on by mnie zabił, on by mnie po prostu zabił. On mówił mi tak: panu się należy stawka godzinowa 140 zł razy liczba przepracowanych godzin, jestem elastyczny, więc doliczę panu dojazd, przejazd, razem osiem godzin i zapłacę 10 tysięcy złotych, i koniec.

Myślenie *ad valoram* w ogóle w Polsce nie istnieje. Inna jest za to sytuacja, dotycząca przeniesienia jednego worka z piętra na piętro, albo położenia w łazience pięciu kafelków. Nikomu by do głowy nie przyszło, że można od kogokolwiek wymagać, by robił to za darmo, bo jeżeli nawet po kumpelsku, to musi być rewanż, czyli na fajrant pół litra i kolacyjka. Natomiast praca głową nie jest pracą i nawet nie warto za nią płacić. Ot, facet nic nie potrafi, niczego konkretnego nie umie zrobić, to cóż, to musi biedaczyna ruszać głową. Stąd tyle emocji wzbudzają dyskusje na temat praw własności intelektualnej.

– A nie dlatego, że podważają mit klasy robotniczej?

Oczywiści też, bo u nas w myśleniu ciągle obowiązuje marksizm. Czysty marksizm, który głosi, że wartością jest rzecz materialna, a prawdziwa praca jest pracą fizyczną w produkcji. Z drugiej strony jednak, jak patrzę na awans materialny polityków, którzy jeszcze cztery lata temu przyjeżdżali do Sejmu rowerami, a teraz zajeżdżają zachodnimi samochodami, to sam się

zastanawiam, jak do nich doszli i tę instynktowną nieufność ludzi, ich podejrzliwość naprawdę rozumiem. Ona, według mnie, ma swoje poważne uzasadnienie, bo poprawa życia polityków nastąpiła, i to gigantyczna, a mało jest takich chytrusków, którzy by do banku w Szwajcarii odkładali dla następnych pokoleń. Każdy chce żyć, więc te przyrosty widać.

Popatrz na posłów z PSL-u, nie mówiąc już o byłych komunistach. Albo o naszych. Wielu poprzemieniło się do nowych większych mieszkań, albo pobudowało domy, mało który chodzi w polskiej marynarce, prawie wszyscy pokupowali dobre samochody, co zresztą Niemców szokowało i pytali mnie: dlaczego w Polsce jest tyle luksusowych mercedesów, albo BMW. Nie wiem. Bo przecież tak naprawdę, jakby ktoś chciał być zawodowym posłem za osiem czy dziesięć milionów miesięcznie, mieszkać w Warszawie, mając rodzinę na prowincji, jadać w restauracji sejmowej i jeszcze jako tako wyglądać, to jest to niemożliwe, po prostu niemożliwe. I ja na to mam swoją receptę: on musi z czegoś dokładać i pytanie: z czego?

– Ty ze sprzedanego mieszkania w Gdańsku?

Które już przejedliśmy, a nie byłem zawodowym posłem i miałem oprócz diety pensję najpierw premierowską, a potem ministerialną. A inni? Inni stosują różne wybiegi. Jeden na przykład pod Sejm przyjeżdżał ładą, żeby udawać populistycznego posła i nikogo nie irytować, ale na co dzień używał pięknego mercedesa 300. Prezes Kaczyński też zmienił poglądy, bo w pewnym momencie zaczął zajeżdżać całkiem przyzwoitym volvo, a nie odrapanym polonezem. Moczulski, taki wojownik, również leczy się nie w szpitalu bródnowskim, ale w Szwajcarii, i ludzie to widzą.

– A może my, Krzysiu, może my na żadną niepodległość nie zasłużyliśmy?

Nie, nie, niepodległość my nosiliśmy w sercu 200 lat, ona była ideą w Polsce silnie zakorzenioną, o którą trzeba walczyć, i walczyliśmy, bardzo ofiarnie. Jest to zresztą wartość, co widać teraz wyraźnie na Ukrainie, jak się budzi ni stąd ni zowąd po 300 latach, wartość,

powiedziałbym, sama w sobie, autonomiczna.

– To dlaczego ją straciliśmy 200 lat temu?

Przykre pytanie. Mocarstwem wprawdzie nigdy nie byliśmy, ale z pewnością byliśmy silnym państwem, które nie potrafiło wykorzystać sprzyjającej sytuacji.

– Więc dlaczego?

Właśnie w Moskwie usłyszałem coś takiego, taki komentarz do sytuacji w Polsce. On mnie kompletnie zaskoczył. W Moskwie mówi się o Polsce, że *liberum veto* wróciło. Nie wiem, skąd oni to wymyślili, ale to tragiczne przypomnienie. Myślę, że jest inaczej, myślę, że jesteśmy narodem, który nie radzi sobie w sytuacjach stabilnych. My nie lubimy stabilizacji i nie lubimy iść do przodu krok za krokiem. Najpierw wpadamy gdzieś tam do kanału i potem jakimś cudownym zrywem się z niego wydobywamy. Widocznie na tym, niestety, polega nasza wielka tradycja.

– A może, Krzysiu, wcale nie było tak źle w tym PRL-u?

Ależ co ty mówisz?!

– A może jednak coś dobrego zostało zrobione?

O nie, ja się z tobą w ogóle nie zgadzam. Zostało zrobione bardzo dużo złego i złe rzeczy zdecydowanie przeważają nad dobrymi. Owszem, myśmy dużo zbudowali i dróg, i mieszkań, i fabryk, tylko po pierwsze: cały ten proces budowania nie był związany z logiką ekonomiczną, decyzje podejmowano w oparciu o kryteria polityczne, co się musi zemścić, kiedy przechodzi się

na regulację rynkową. Po drugie: mieszkania, czy fabryki były budowane jak najgorszą technologią i nie ma co teraz z nimi zrobić, one nie wytrzymują zimnych kryteriów rynkowych.

Patrząc historycznie: lata czterdzieste, społeczeństwo było w euforii, pracowało nad odbudową kraju, nie żałując sił i nawet zdrowia, można powiedzieć. Pod koniec lat czterdziestych ogłoszono plan trzyletni, jedyny jaki komunistom udało się zrealizować.

Lata pięćdziesiąte: rozbudowywaliśmy przemysł ciężki, potrzebny do zbrojeń. Rok 1956 – drugi okres wielkiej nadziei, tym razem krótki, bo zaledwie paromiesięczny według moich rodziców, więc właściwie epizod.

Lata sześćdziesiąte: okres ewidentnego zastoju gospodarczego, w ekonomii nazywanego autarkią gospodarczą, czyli izolacją i stanie w miejscu. W tym czasie inne kraje, zwłaszcza zachodnioeuropejskie dokonały u siebie rewolucji przemysłowej, a nam stworzono iluzję państwa, jak nazwał Kornai, „przedwczesnego dobrobytu”, i do głowy wbijano nam, że Polska jest dziesiątą potęgą przemysłową świata, co było kompletną humoreską. A na dowód podawano ilość wydobytego węgla czy wyprodukowanej stali. I gdyby jeszcze enerdowską metodą dodać do tego liczbę medali zdobywanych na olimpiadach, można było wpaść w samozachwyty.

Potem lata siedemdziesiąte, przyszedł Gierek i wymyślił, że trzeba pożyczać pieniądze, wtedy my też się rozwiniemy. Pożyczył 24 miliardów dolarów i dzisiaj musimy je oddawać, co nawet po redukcjach wynosi ponad 40 miliardów. Dla mnie dodatkowo był to okres przeżywania skomplikowanych dylematów moralnych. Moi koledzy postanowili skorzystać z tej koniunktury, jaka się wytworzyła w Polsce, i zaczęli robić błyskawicznie kariery. Ja zaś miałem dylemat: albo iść z nimi, albo zostać w miejscu. Do dziś pamiętam, jak mój wspaniały kolega podsumował te rozterki: bądź realistą – powiedział – a nie jakimś tam ideowcem, a do harcerstwa – jak mówiono na PZPR – i tak będziesz musiał się zapisać, bo to jedyny rozumny sposób postępowania. On się zapisał i zrobił rzeczywiście dużą karierę.

Wreszcie lata osiemdziesiąte: walka polityczna ze społeczeństwem, izolacja zagraniczna i brak dostępu do środków finansowych, narastający dług, drukowanie pustego pieniądza i

kręcenie się w miejscu bez podejmowania jakichkolwiek gospodarczych decyzji.

– Czyli komunizm był tym, czym okupacja hitlerowska w Polsce, tak?

Chodzi ci o moją wypowiedź w Davos?

– Tak, powiedziałeś tam, że rak komunizmu zniszczył Polskę bardziej, niż II wojna światowa, czego ci do dzisiaj wielu nie może zapomnieć.

Powiedziałem trochę inaczej, w szerszym kontekście te słowa nie brzmiały tak ostro. Każdy pretekst dobry, by dokuczyć. Chociaż przyznaję, to był błąd. A popełniłem go, bo widzisz... Nie chcę na nikogo zwałać winy, ale ja otoczony byłem entuzjastami, a nie ludźmi o czujności rewolucyjnej, i oni mnie często wpychali w jakieś zdarzenia, które dla mnie wydawały się normalne i w sformułowania, które wydawały mi się prawdziwe. A u nas cały czas chodzi przecież nie o to, żeby było normalnie czy prawdziwie, ale żeby było czujnie. Bo dla mnie, widzisz, najgorszą rzeczą, jaką przyniósł komunizm, było stworzenie wielu iluzji społecznych.

– „Solidarność” stworzyła ich więcej.

Na pewno nie. „Solidarność” stworzyła iluzję powszechnej szczęśliwości, która jest cudowna, ale nierealna. Natomiast komunizm wytworzył i przez 45 lat ugruntował w społecznej świadomości miliony konkretnych zachowań, które z punktu widzenia empirii są fałszywe. Stworzył iluzję w zakresie pracy, tłumacząc, że ważne są potrzeby, a nie wydajność i że wysokość zarobków powinna wynikać z oczekiwań, jakie się ma, a nie z realnego wkładu pracy. Stworzył mit klasy wielkoprzemysłowej, która powinna zarządzać polską gospodarką, bo tylko ona wie, jak to robić najlepiej.

– Dzięki niemu mieliśmy „Solidarność”.

Zdeptał kwalifikacje. Zniszczył środowisko naturalne, bo ochrony żadnej nie było. Bezpieczeństwo i higiena pracy stały się pustymi hasłami. Doprowadził do olbrzymiej fikcji w naukach społecznych i w nauczaniu tych nauk na wyższych uczelniach. Ja mogę tak wyliczać w nieskończoność. To wszystko razem spowodowało, że znaczna część społeczeństwa, która uczciwie i ciężko pracowała przez wiele lat – wielu straciło zdrowie, niczego się nie dorobiło – dzisiaj staje wobec smutnej refleksji, że jej praca nie miała właściwie żadnego sensu.

– I przyszła „Solidarność”, obiecując mieszkania, wyższe zarobki, po sto milionów dla każdego, w dwa lata.

Oczywiście i to był błąd z naszej strony, olbrzymi.

– Dużo ich jeszcze popelniliśmy, według ciebie?

Dużo. Kolejnym jest zanarchizowanie społeczeństwa. „Solidarność” zmniejszyła poczucie strachu. Strachu, który jako instrument państwa totalitarnego był sposobem na wychowanie, akceptował obłudę, społeczną schizofrenię, ale także tworzył elementarny ład w państwie, dyscyplinował ludzi. I kiedy strach upadł, a upadł, bo był przecież fałszywą wartością, my nic nie mieliśmy społeczeństwu do zaproponowania, a Kościół polski, na który wielu liczyło, zaczął odgrywać jakąś zupełnie dla mnie niejasną rolę.

Nie zapomnę takiej sceny z Sejmu: po kolei wstają nasi posłowie, z Porozumienia Centrum, z ZChN-u, Unii Demokratycznej, Solidarności Pracy, z Solidarności Chłopskiej, Rolniczej i każdy krytykuje rząd, akurat mój, ale nie o to chodzi, bo suchej nitki nie zostawia się u nas na żadnym: że doprowadził kraj do ruiny, że niewidzialna ręka rynku okazała się ręką aferzysty i temu podobne bzdury, i po nich zabiera głos poseł komunistyczny. Mówi: z tego co słyszę, wyciągam wnioski, że najlepiej było za komunistów, bo cały czas w Polsce było dobrze,

tylko przez ostatnie dwa lata mamy do czynienia z katastrofą, w takim razie powinniśmy wystąpić z propozycją przejęcia władzy.

I wiesz, w tym momencie poczułem, że w jego konstatacji tkwi jakaś upiorna logika.

– **Bo jest.**

Wolność dla nas przyszła, po prostu, za wcześnie. Nie byliśmy do niej przygotowani.

– **Ty też nie?**

Ja w życiu w ogóle wszystko robiłem o rok za wcześnie. Za wcześnie poszedłem do szkoły i to od razu do drugiej klasy, za wcześnie na studia, za wcześnie...

– **Wiesz?**

Przyjaciele mi właśnie to powiedzieli.

Nowa Polska czy jeszcze stara?

Jarosław Kaczyński

Jarosław Aleksander Kaczyński (ur. 18 czerwca 1949 w Warszawie) – polski polityk, doktor nauk prawnych, twórca i prezes partii politycznych Porozumienie Centrum oraz Prawo i Sprawiedliwość, senator I kadencji, poseł na Sejm I, III, IV, V, VI i VII kadencji. Od 14 lipca 2006 do 16 listopada 2007 prezes Rady Ministrów. Kandydat na urząd Prezydenta RP w przedterminowych wyborach prezydenckich w 2010.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Jarosław_Kaczyński)

*Rozmowy przeprowadzone
w latach 1990–1993.*

– Zagrałeś się, Jarek, naprawdę.

Nie, moja droga. Powtarzasz starą tezę, że ja się zagram na śmierć, ale to nieprawda.

– To popatrz, najpierw chciałeś mieć solidarnościowego premiera, następnie własną partię i Wałęsę na prezydenta, potem Olszewskiego na premiera...

Miałem, no i co z tego?

– I ty, Jarek..., ty to wszystko straciłeś. Naprawdę.

Och, dziewczyno, ty nic nie rozumiesz! Polska mogła zmienić swoją tragiczną geopolityczną determinację! Polska marnuje – być może na całe pokolenia – swoją szansę, jaka zdarzyła się jej po raz pierwszy od trzech wieków! Polską rządzi układ, którego dalsza dominacja skończy się zanikiem tego państwa, czy ty tego nie widzisz?!

– Już zmarnowała, więc się nie denerwuj, proszę.

Jak mam się nie denerwować, jeżeli ty myślisz...

– ...po bolszewicku, wiem, już mi to mówileś. Od kiedy ten układ rządzi?

Okrągły Stół – tłumaczyłem ci wielokrotnie (*westchnienie*) – miał dwie warstwy. Pierwszą – zawartą w tych wszystkich spisanych porozumieniach, i drugą – w wymiarze psychologicznym.

– Jarek...

Słuchaj! Ja wiem, że żadnych tajnych porozumień w Magdalence nie było. Ja do Magdalenki nie jeździłem, ale mój brat Leszek jeździł, uczestniczył we wszystkich posiedzeniach, mówił, że nic nie było i ja mu wierzę. Ale przecież nie o stenogramy chodzi, tylko o duch tych rozmów, ich podskórny sens. Okrągły Stół miał swoją logikę społeczną i ekonomiczną, nigdzie nie zanotowaną, którą jednak kolejne nasze ekipy rządowe podtrzymywały, a która z perspektywy strony rządowej mniej więcej wyglądała tak: dokonujemy w Polsce zmian, zgoda, są one potrzebne, ale muszą one przebiegać w sposób taki, by nie naruszyły interesów nomenklatury. Te interesy, owszem, zostaną zredefiniowane, czyli naszym

interesem nie będzie już, żeby tutaj rządzić, my z rządu w zasadzie możemy zrezygnować, ale my mamy interesy ekonomiczne, chcemy je zachować i dlatego najlepiej będzie jak nasza nomenklatura zostanie nową klasą średnią, która tutaj zacznie powstawać.



Rybnik, 1992. Konferencja prasowa liderów Porozumienia Centrum – Jarosława Kaczyńskiego i Polskiego Stronnictwa Ludowego Solidarność – Józefa Ślisza. Fot. PAP/Andrzej Rybczyński.

– Jarek...

Nie przerywaj! Ja generalnie nie krytykuję Okrągłego Stołu. Uważam nawet, że w tamtym czasie odegrał pozytywną rolę. Oni go zresztą długo nie chcieli. Uważali, że Rakowski ma kilka dobrych pomysłów i jak je zastosuje, będzie można przeprowadzić reformy bez „Solidarności”, bo że trzeba je przeprowadzić, to oni już wiedzieli. Potem odkryli, że bez „Solidarności” jednak się nie da, a więc „Solidarność” należy do rządu dopuścić, ale nie jako

partnera. Dlatego wcześniej należy ją osłabić. Chcieli nas wtedy wpuścić w nowy strajk w stoczni gdańskiej, zimowy. Byłaś na strajkach, to wiesz, ile można strajkować w zimie, trup, nieboszczyk. Im chodziło, żebyśmy się po pierwsze – skompromitowali i po drugie – żeby Zachód przekonać, iż strajkujemy przeciwko reformom gospodarczym. Nie udało się. Potem zrobili telewizyjne spotkanie Wałęsa – Miodowicz, licząc – jak ogromna większość wykształconych ludzi w Warszawie – że Wałęsa je przegra, ośmieszy się i przepadnie. To też nie wyszło. I dopiero wtedy usiedli do Okrągłego Stołu. Ale i przy nim, w tych rokowaniach, też jeszcze nie rezygnowali i wypróbowywali na nas różne sztuczki. Wiedząc na przykład, że serca naszych ówczesnych doradców, a dzisiaj wielkich mężów stanu nie są – powiedzmy – stalowe, usiłowali ich brać na huk, zastraszyć i parę razy rzeczywiście, wystraszyli.

– Jarek...

To dlaczego nikt nie oprotestował tych łajdackich ustaw Rakowskiego z grudnia 1988, na podstawie których można było przekazywać majątek państwowy za darmo lub, jak elegancko nazwano, na zasadzie nieekwiwalentnej wymiany? Dlaczego w ogóle się o nich przy Okrągłym Stole nie mówiło? Dlaczego nie rozwalono tych złodziejskich spółek? A dlatego że, moim zdaniem, Geremek już wtedy wpadł na horrendalny pomysł zbudowania koalicji z „reformatorską“ częścią PZPR-u, przez co pewnych rzeczy, które można było załatwić – nie załatwił.

– Nie przesadzaj, proszę.

Dziewczyno! Ten sojusz „Solidarności” z PZPR-em wymyślił zresztą nie Geremek i nie Michnik, jak się powszechnie uważa, i nie Czyrek, chociaż chwalił mi się któregoś razu, że to on, ale Reykowski, prof. Janusz Reykowski, który był wtedy członkiem Biura Politycznego PZPR. Bardzo dobry facet, psycholog społeczny, reprezentował mądrzejszą część PZPR-u. Tej głępszej bowiem zdawało się, jeszcze i po wygranych przez nas wyborach 4 czerwca, że „Solidarność” wejdzie do wielkiej koalicji z PZPR-em, chociaż wiadomo było, że „Solidarność” zrobić tego nie

może, bo byłoby to dla niej czystym samobójstwem. Natomiast mądrzejsi mówili: niech „Solidarność” weźmie sobie premiera, niech weźmie nawet większą część władzy, a nas niech tylko dopuści do rządzenia jako swego głównego koalicjanta; my bowiem musimy grać nie na utrzymanie władzy, ale na przetrwanie. Przetrwanie jest naszą jedyną szansą. Lata bowiem będą lecieć, my zyskamy czas na ucywilizowanie się i zmianę skóry, a w społeczeństwie wystąpi zjawisko, które w psychologii nazywa się utopią retrospektywną, polegającą na tym, iż kiedy dużym grupom społecznym robi się ciężko, a że będzie ciężko, wiedzieli wszyscy, zaczynają idealizować przeszłość.

– I nastąpiło. Ale przez nasze oszłomstwo.

Dziewczyno, na jakim ty świecie żyjesz! Zachowujesz się jak dziecko, a nie osoba świadoma społecznie, świadoma istnienia podstawowych mechanizmów społecznych. Oni grali na to od początku. Gołym okiem to było widać. Uważali, że wcześniej czy później taka chwila nadejdzie, a wtedy oni coś będą mogli na tym zbudować. Ja miałem nadzieję, że jednak nie, ale oni byli o tym przekonani. Oni liczyli tylko, iż ta chwila nadejdzie później. Tam padała liczba dziesięciu lat. Żeby przetrwać następnych dziesięć lat, mówili między sobą. Mieli dużo naprawdę młodych polityków, dlatego ten dystans czasowy wcale nie wydawał się im nie do przetrzymania. Kwaśniewski miał wtedy 35 lat, Cimoszewicz, Sławomir Wiatr ze trzy lata więcej, Oleksy, Sekuła to byli ludzie niewiele ponad czterdziestkę. Pierwszy więc cel: przetrwać, a drugi: zdobyć pieniądze, bo dopiero jak się ma forszę, to można się bawić w politykę.

– Skąd to wiesz?

(*Śmiech*) Wiem. Michnik, jak mi potem Czyrek opowiadał, miał swój mały Okrągły Stół z Kwaśniewskim. Bo Michnik wtedy zwariował, on po prostu wtedy zwariował. Kwaśniewski, Miller, Oleksy i jeszcze ich kilkunastu mieszkali w zwykłych blokach na Wilanowie, czyli w reżymkowie, nie żaden luksus.

– **Byłam.**

Ty?

– **Ja, Jarek, chodzę wszędzie. Lepiej niż na Ursynowie, gorzej niż w mieszkaniach, które podostawali niektórzy ministrowie Mazowieckiego.**

Więc to całe towarzystwo dużo wówczas piło, a jak piło, to się przewalało z mieszkania do mieszkania, szczególnie w soboty i niedziele, i bełkotało. W ramach takiego pijaństwa Kwaśniewski potwornie przechwalał się na przełomie sierpnia i września 1989, że będzie w jednej partii z Michnikiem, a Michnik w tym samym czasie opowiadał, że trzeba powołać partię mądrych, w której znajdzie się miejsce także dla Kwaśniewskiego.

– **Przed tobą, Jarek, nic się nie ukryje (*śmiech*).**

Bo człowiekiem, który bez przerwy sypał tę grupę i wynosił pomysły, jakie mieli, był...

– **Nie mów, uczciwy, porządny facet.**

Szczery chłopak, po prostu. Nie należał do ścisłego kierownictwa, ale coś mu tam mówili i on w swojej naiwności powtarzał dalej.

Geremek więc zadawał się wtedy z komunistami, grał na rząd z komunistami, w tę koncepcję bardzo się zaangażował, chociaż oznaczała podtrzymanie PZPR-u i skończyłaby się kompromitacją „Solidarności”. Zaczął ten sojusz montować i nawet by mu się to udało, gdybyśmy nie przeszkodzili.

– **Kto „my”?**

Wałęsa, któremu pomagałem, ja i mój brat Leszek, wchodząc w negocjacje ze Stronnictwem Demokratycznym i Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym.

– Bo ci zgadzali się na wszystko?

Oni mieli poczucie pewnego interesu, i Józwiak, i Malinowski, oraz wiarę, że dogadując się z nami, przejdą w ten sposób przez trudny dla nich okres i wejdą do następnej epoki.

– I ZSL weszło. Ale przy pomocy „naszego” Romana Bartoszcze.

Pamiętaj, że ja rozmawiałem z nimi jeszcze przed upadkiem komunizmu w Czechosłowacji, przed rozwaleniem muru berlińskiego, przed całą wschodnioeuropejską rewolucją, więc ta następna epoka miała wyglądać troszeczkę inaczej, niż w końcu wyglądała. Oni zresztą myśleli, że Wałęsa chce być premierem.

– A chciał?

Nie, absolutnie nie.

– I kogo chciał?

No, właśnie nikogo (*śmiech*). Żeby on kogoś chciał na premiera, to by ten ktoś nim został. Ja nie miałbym takiej siły, żeby go przełamać. Problemem jednak było, że Wałęsa nie chciał nikogo z tej trójki: Mazowiecki, Geremek, Kuroń, która wchodziła w grę, i trzeba go było parę godzin łamać, aby mianował w końcu Mazowieckiego. Nie ukrywam, że to ja osobiście go łamałem.

– Nie chciałeś Geremka?

Wałęsa go nie chciał. Najpierw, pamiętam, po gdańskim strajku w sierpniu 1988 roku podjął decyzję, że będziemy teraz popierać Mazowieckiego. Memu bratu zakomunikował, że teraz stawiamy na Mazowieckiego. A potem, kiedy Geremek zyskał doskonały wynik wyborczy, absolutne poparcie OKP, uznanie w kraju, fantastyczną pozycję w świecie i wszyscy jak do Pana Boga zaczęli się do niego odnosić, zaczął się go trochę bać.

– Ale czy ty chciałeś Geremka?

Nie chciałem, i nie tylko dlatego, że go osobiście – czego nie ukrywam – nie lubię. A nie lubię z kilku powodów. Pierwszy: to sprawa biografii. Ja pochodzę ze środowiska akowskiego, jestem więc człowiekiem z całkiem innej parafii, który od początku wiedział, czym jest komunizm, czym jest PRL. Poza tym mam taką cechę charakteru, że gdy na wstępie nie uzyskam pewnego poziomu akceptacji, to potem nie pomogą żadne zabiegi, by nawiązać ze mną porozumienie. Tej akceptacji na początku ze strony Geremka nie wyczułem i dlatego nie chciałem do niego chodzić, nie chciałem się z nim na kawę umawiać, choć próbowałem, i w ogóle nie chciałem tańczyć wokół niego. A nie chciałem, bo w ogóle nie znoszę nadszkarowania, którego on oczekiwał, i dlatego, że często kręcił, coś rozgrywał i niejednokrotnie różne nieprawdy musiałem mu wytykać. Gdyby więc Geremek nie zrażał do siebie ludzi bez żadnego powodu, gdyby był łaskaw przyjąć, że ludzie spoza jego kręgu towarzyskiego też potrafią myśleć, gdyby zechciał uznać, iż ludzie ci nie zawsze kierują się złą wolą i chęcią szkodzenia, a więc nie są li tylko, jak on mówi, „spoconymi mężczyznami”...

– ...to mówił Celiński.

Geremek wcześniej. To mógł w tym kraju dużo więcej osiągnąć, ze stanowiskiem premiera włącznie i taki ktoś jak ja, nie byłby w stanie mu w tym przeszkodzić. Bo co ja bym mógł zrobić? Nic! Nawet Wałęsa nic by nie mógł.

– Kuroń też nie chciałeś?

Kuroń był elastyczniejszy i chyba jako jedyny z tej grupy normalnie ze mną rozmawiał, bo reszta sprawiała wrażenie obrażonych. Potem zresztą zrozumiałem, dlaczego. Oni czuli się przeze mnie zagrożeni i oceniali mnie wyżej, niż ja sam siebie oceniałem. Wałęsa bowiem, o czym dowiedziałem się później, próbował zmusić „grubych“ doradców, czyli ósemkę (Mazowieckiego, Geremka, Stelmachowskiego, Wielowieyskiego, Frasyniuka, Gila, Bujaka i mego brata), do tego, żeby zrobić mnie marszałkiem senatu.

Pomysł był, oczywiście, zupełnie idiotyczny, bo kompletnie nie do zrealizowania i jak się potem okazało – niszczący mnie. Ja o nim nie wiedziałem i nawet niekiedy zastanawiałem się wówczas, dlaczego raptem Stelmachowski zaczął dziwnie się wobec mnie zachowywać, dlaczego Celiński o mnie wykrzykiwał do Wałęsy jakieś idiotyzmy, dlaczego Geremek szalał. Tylko Kuroń, który jest najbardziej z nich wszystkich realistycznie nastawiony i uważa, że nikt mu nie zagraża, bo i tak jest wielkim człowiekiem, rozmawiał ze mną normalnie. Ja mu nawet w którymś momencie powiedziałem, trochę cynicznie, bo poważnie jego kandydatury na premiera nie brałem: a może ty? I on mi odpowiedział: jak na premiera, to ja, a jak na wicepremiera (bo ja podtrzymywałem, że premierem zostanie Wałęsa i nie ujawniałem, że on nie chce), to Geremek.

Kuroń jednak premierem nie mógł być. Bo primo: nie bardzo się nadawał, a secundo: był nie do zaakceptowania przez koalicjantów. Ja zrobiłem próbę. Rozmawiałem o nim z ówczesnym szefem frakcji w ZSL, Aleksandrem Bentkowskim, późniejszym ministrem sprawiedliwości w rządzie Mazowieckiego.

Ja z nim metodą perypatetycką dyskutowałem, chodząc ulicami wokół Sejmu. Bardzo było zabawnie. Tu, straszne upały, a ja wielki pan senator, prowadzący historyczne rokowania, nie miałem nawet garnituru i dusiłem się w grubej marynarce po moim zmarłym wuju, jedynej eleganckiej, jaką posiadałem. Więc chodziłem z tym Bentkowskim i gdy mu raz wspomniałem o Kuroń, on rzucił się natychmiast biegiem do przodu i zaczął przede mną uciekać. Ja go

dogoniłem, chwyciłem za rękaw (*chichot*) i on wtedy zaczął się tłumaczyć: no, wie pan, ja mam takich głupich ludzi w swojej grupie. Ale o co właściwie chodzi? – zapytałem. No, wie pan – powiedział mi – no, wie pan, Kuroń jest Żydem i oni się nigdy na niego nie zgodzą.

Kuroń akurat Żydem nie jest, ale ja z tej rozmowy zrozumiałem jedno, że jak ja jeszcze raz wrócę do Kuronia, to całe rokowania szlag trafi i do żadnych następnych nie dojdzie. Tym facetom Kuroń kojarzył się z czymś strasznym, oni uważali, że to najgorszy ze wszystkich opozycjonistów.

Pozostawał więc Mazowiecki. Pojechałem do Wałęsy do jego domu na wieś, razem z Leszkiem i Puszem. W Węsiorach klóciliśmy się z nim parę godzin. Wałęsa nie chciał Mazowieckiego. Powiedziałem mu: to może Olszewski. Nie, nie – zaprotestował – znajdź mi kogoś młodszego.

Teraz jestem przekonany, że myślał o mnie, ale ja po pierwsze: jego zamiarów nie wyczułem, a po drugie: gdybym nawet wyczuł, to i tak bym się premierostwa nie podjął. OKP na dźwięk mego nazwiska umarłoby przecież ze śmiechu.

To Hall – zaproponowałem – jest młody, ma pozycję, zaplecze, stoi za nim Ruch Młodej Polski, który stworzył. Ale Wałęsa Halla też nie chciał. Teraz wiem, że dlatego, iż Hall związany był z Mazowieckim i nie jest facetem, który by się go słuchał. Wałęsa bowiem na premiera chciał kogoś, kogo by twardo trzymał, kim by sterował i kto bez niego nie wykonałby żadnego ruchu.

Thukliśmy mu więc do głowy tego Mazowieckiego i on w końcu, miotając słowami powszechnie uważanymi za obraźliwe, zgodził się. Czyli nieprawdą jest, że Mazowieckiego tamci wybrali, że Jaruzelski konkretnie wybrał. Nie, to myśmy go wybrali, tylko Wałęsa, bojąc się ataku histerii Geremka, wymyślił taką bajeczkę i mu ją opowiedział. Niewiele ona pomogła, bo okazało się już wkrótce, że wszystkiemu winien jestem ja, bo ośmieliłem się, nie będąc w tej hierarchii, nie reprezentując odpowiedniego według nich poziomu, najpierw dać się mianować przez Wałęsę jego pełnomocnikiem do rozmów z ZSL-em i SD, a potem zrobić premierem nie tego, kto był tam u nich wtedy bogiem i carem.

W OKP potraktowali mnie jak profana, który rzucił im wyzwanie, i dostali szału. Michnik się na mnie za to śmiertelnie obraził, śmiertelnie, zerwał ze mną kontakty, przestał mi nawet mówić „dzień dobry”; Janusz Grzelak miał pretensje – choć go znałem i skądinąd lubiłem, niewątpliwie wyjątkowo pozytywny człowiek; Ambroziak od tego czasu wojnę zaczął przeciwko mnie prowadzić; miałem też, pamiętam, jakąś taką rozmowę z kilkoma od nich, wyzłośliwiali się na mnie, dokopywali, aż się wściekłem i...

– Trzasnęłaś drzwiami?

Nie, (śmiej), to było na świeżym powietrzu. Więc – dokładnie nie pamiętam – albo im coś niemilego powiedziałem, albo jakimś gestem dałem im wyraz mojej niechęci, albo – jak często w takich sytuacjach postępuję – udałem, że nie słyszę.

To taki świątek, moja droga, ja go dobrze niby znałem, współpracowałem przecież z nimi od początku istnienia KOR-u, ale dopiero wtedy ewidentnie się przekonałem, że z tymi ludźmi się nie dogadasz i to nie jest kwestia różnic politycznych, chociaż one istnieją, ale dlatego, że jest to zamknięte środowisko, myślące własnymi kategoriami, niezdolne w ogóle do jakiegokolwiek weryfikacji swoich poglądów i potwornie agresywne wobec każdego, kto ośmiela się być albo inny, albo mieć własne zdanie.

Dam ci dwa przykłady, może drobne, ale które ich dobrze charakteryzują. W 1977 roku po raz pierwszy zaproszono mnie na duże zebranie KOR-u. Przyszedłem, usiadłem przy stole. Otwierają się drzwi i wkracza czołówka opozycji: Kuroń, Macierewicz, Jan Józef Lipski itp. Patrzę ze zdumieniem, a tu wszyscy, którzy siedzieli przy stole, wstają i przenoszą się pod ściany.

Podniosłem się także, ale by ustąpić miejsce Lipskiemu, który był starszym panem, kolegą mojej mamy i człowiekiem chorym. On jednak usiadł obok, a Kuroń wykorzystując ten moment już wieszał swoją skórzaną marynarkę na moim krześle. Ja jednak spokojnie na nim

usiadłem i miejsca Kuroniowi nie ustąpiłem. Po jakimś czasie poszedłem do Jacka do domu i on piętnaście minut trzymał mnie bez krzesła. Zapamiętał i się zemścił (*śmiech*).

Szczerze ci powiem, gdyby nie silna motywacja, że ja muszę z tym komunizmem walczyć, a więc muszę być w opozycji, to ja bym ją w jasną cholere rzucił, bo tego towarzystwa nie akceptowałem.

Drugi przykład: w strajku majowym w 1988 roku było w Stoczni Gdańskiej paru inteligentów, m.in. Wyszkowski, Hall i Celiński, napisaliśmy dla potomności wspólny list–oświadczenie, podsumowujący naszą w nim obecność. Skończył się strajk, wyszliśmy, list wylądował w św. Brygidzie, przekazano go Wolnej Europie i co się okazało? Że do tego listu na pierwsze miejsce dopisał się Michnik. Był nie w stoczni, a w kościele, ale pał go diabli, niech będzie. On jednak zorganizował akcję, żeby do tego listu dopisało się jeszcze z 60 osób. Dlaczego? Bo skład tej pierwotnie podpisanej grupy był niestosowny z punktu widzenia ówczesnych potrzeb politycznych i nie mógł w Wolnej Europie pójść dokument, który wykazywał, że ci w strajku byli, a tamci nie byli. To także małe przyczynki do tego, dlaczego jedni w 1989 roku dysponowali szeroką, międzynarodową nawet sławą, a inni byli zupełnie nieznanymi.

Nie zrozum mnie źle. Ja nie kwestionuję w tym momencie zasług Michnika. Ja tylko stwierdzam, że jednym z zasadniczych powodów, dla którego ja czy mój brat Leszek byliśmy osobami całkowicie nieznanymi – choć od dłuższego czasu znajdowaliśmy się w kierownictwie „Solidarności” – było działanie takich właśnie mechanizmów. One zresztą nie tylko nie skończyły się w 1989 roku, ale zostały podniesione do którejś tam potęgi. Dlatego powtarzam, dziewczyno, jak powstał rząd Mazowieckiego, dzięki mnie przecież, wszyscy bili brawo, a mnie zaczęto opluwać.

– Mazowiecki nie, Jarku.

Mazowiecki przede wszystkim nie chciał mnie do rządu. On prawdopodobnie

podejrzewał, że go będę nadzorował w imieniu Wałęsy. Dobrze się nawet stało, bo gdybym został ministrem, dużo gorzej bym chyba wylądował. Bo widzisz, było tak: kiedy on wygłosił swoje pierwsze *exposé* w Sejmie i nie wspomniał o Wałęsie, ja do niego poszedłem. Urzędował jeszcze w Tygodniku „Solidarność” i myśmy byli w dobrych koleżeńskich stosunkach. Powiedziałem mu: nie można tak. Zapytał: o co chodzi? No, o Wałęsę – mówię i wyjaśniam. No tak – odpowiada – ja do niego zadzwonię. A potem nagle zadaje mi bardzo dla niego charakterystyczne pytanie, które przez lata zadawał przeróżnym ludziom, m.in. Macierewiczowi w 1980 roku, a mnie zadał wtedy pierwszy i ostatni raz: wobec kogo ja chcę być lojalny? Odpowiedziałem: no, chciałbym być lojalny wobec Lecha i chciałbym być lojalny także wobec niego, bo może wam obu będę pomocny. On: no tak, oczywiście. Ja jeszcze go szczerze po partyjnemu zapytałem: to co, chcecie teraz prostaka wykończyć? On mi odpowiedział: nie, no skąd, co za insynuacje.

I ja w tym momencie wiedziałem, że po pierwsze – chce, a po drugie – że ja praktycznie biorąc jestem out. Następnego dnia Mazowiecki z „Tysola” przeniósł się do URM-u, ja nie dostałem do URM-u stałej przepustki, demonstracyjnie, rozumiesz? – bo przecież i tak potem wchodziłem do znajomych, zostałem odsunięty od rokowań koalicyjnych przy tworzeniu rządu i to działanie nie było wymierzone konkretnie przeciw mnie, ale już przeciw Wałęsie. Mazowiecki bowiem powiedział wtedy publicznie dwie ważne rzeczy, jak pamiętasz. Pierwszą, na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, że „nie będę malowanym premierem” oraz...

– Poczekaj, Jarek! On to powiedział nie pod adresem Wałęsy. Tylko udziału PZPR-u w rządzie. Dokładnie: „Musi być dla wszystkich (także dla PZPR-u) zapewniony udział, otwartość i współodpowiedzialność. Dlatego mówię o szerokiej koalicji, ale ja biorę za nią odpowiedzialność”. I dopiero po tym: „Mogę być premierem dobrym albo złym, ale nie zgadzę się być premierem malowanym”.

No właśnie, on bierze odpowiedzialność. Czyli Wałęsa nie będzie mi tutaj podskakiwał. To było, droga Teresko, skierowane wyłącznie przeciw Wałęsie, uwierz mi, co swoim

późniejszym zachowaniem wobec Wałęsy potwierdził. Był to jego zresztą, jak ktoś zauważył, tektoniczny błąd.

I drugą rzecz, którą powiedział następnego dnia, w *exposé* rządowym, że wprowadzamy „grubą kreskę”, czyli nie zmieniamy układu społecznego.

– O, nie! Powiedział: „Rząd, który utworzę, nie ponosi odpowiedzialności za hipotekę, którą dziedziczy... Przeszłość odkreślamy grubą linią. Odpowiadać będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wydobyć Polskę z obecnego załamania”. I ja, Jarek, z tym się i dzisiaj zgadzam.

To ty, widzę (*uśmiech*), jesteś agentką tamtej strony.

– Skończ z Mazowieckim.

Jak już miał sformowany rząd, wezwał mnie i zaczął przedstawiać różne propozycje. To była moja chyba ostatnia dłuższa z nim rozmowa. (*Śmiech*).

– Z czego się śmiejesz?

Bo najpierw musiałem czekać pod jego gabinetem, gdyż zadzwonił do niego Ireneusz Sekuła, wtedy wicepremier gabinetu Rakowskiego, a u nas obowiązywał taki idiotyczny zwyczaj, że nowo desygnowany premier stawał na czele zdymisjonowanego rządu, więc Mazowiecki Sekułę przyjął przede mną.

A potem, kiedy już do niego wszedłem, zaproponował mi cztery rzeczy, śmiechu warte, i słuchaj, one były tak dobrane, że gdybym ich nawet nie odrzucił, chociaż Mazowiecki wiedział, że odrzucę, to i tak bym nie dostał. Zawsze jednak mógł powiedzieć: ja chciałem, ale niestety,

okazało się to niemożliwe. Jedyłą rzeczą, którą bym dostał, rzeczywiście dostał, ale po to, bym się ośmieszył i żeby ludzie na wspomnienie mego nazwiska pękali ze śmiechu, to było stanowisko szefa (*śmiech*) cen... (*chichot*).

– **Czego?**

Cenzury.

– **Przecież miało nie być.**

Ale jeszcze długo była, bo Mazowiecki wcale nie palił się jej znosić.

Pozostałe trzy rzeczy też były zupełnie idiotyczne, całkiem nieważne, jakiś wojewoda elbląski, oraz zastępca szefa czegoś tam, jakiejś prokuratury, nie ukrywam, że oceniałem się wyżej. Ale w gruncie rzeczy to, co on mi zaproponuje, nie miało dla mnie żadnego praktycznego znaczenia, natomiast znaczenie miało co innego. Mianowicie, że on rozpoczął wojnę z Wałęsą.

– **Według mnie Wałęsa, mianując cię naczelnym redaktorem Tygodnika „Solidarność” wbrew zespołowi.**

No właśnie nie. Wcześniej Mazowiecki starał się pomniejszać Wałęsę, unikać go, nie informować, izolować w Gdańsku i dopiero wtedy Wałęsa mianował mnie naczelnym redaktorem Tygodnika „Solidarność”. Mazowiecki się wściekł, na mnie oczywiście, rozumiesz? Jakiegoś szalu dostał na moim punkcie. Ja zresztą, wchodząc do następcy Mazowieckiego w „Tysolu” – Jana Dworaka, i oznajmiając mu, że będę naczelnym, wiedziałem już, że z Mazowerem mam przechłapanie do końca życia. On jest, jak wiesz, straszliwie pamiętliwy, niesłychanie pamiętliwy.

– **A ty, Jarek, okropnie podejrzliwy.**

To zadam ci pytanie: podobał ci się rząd Mazowieckiego?

– **Coraz mniej. Zabił w ludziach entuzjazm.**

Nie podejmował decyzji. Pod tym względem Bielecki był dziesięć razy lepszy. Ale odpowiedz: tak czy nie?

– **Skrył się do gabinetów, szczelnie chronionych przez Drawicza i Niezabitowską.**

No właśnie. To opowiem ci dwie scenki z 1989 roku z rokowań koalicyjnych w sprawie rządu, w których jeszcze brałem udział, ale tylko w początkowej fazie. Spotkałem się z Leszkiem Millerem i on mi powiedział: telewizja musi być nasza, my w sprawie telewizji nie ustąpimy, niech pan pamięta, w żadnym wypadku nie ustąpimy. Odrzuciłem to. Oni na prezesa telewizji szykowali wtedy, wiesz kogo? Kwaśniewskiego! o tym dowiedziałem się z drugiej rozmowy z jednym ZSL-owcem, ubekiem zresztą, który był w istocie przedstawicielem PZPR-u. Ten ZSL-owiec dociskał mnie na różne sposoby, żeby im zostawić telewizję i zgódź się – przyduszał mnie do ściany – na kolegę Kwaśniewskiego właśnie, zrób go koniecznie jej szefem. Oni bardzo stawiali na Kwaśniewskiego.

Nie zgodziłem się, oczywiście. Tak jak uznałem żądanie PZPR-u, by szefem URM-u był ktoś od nich, za bezczelne i śmieszne, bo oznaczało ubezwłasnowolnienie premiera. I teraz zauważ, telewizja została nasza, ale Drawicz nic w niej przez długi czas nie zmieniał, kierując się – jak zapewniał – przekonaniem, że tak jest demokratycznie. Drawicz awansował bardzo wielu dziwnych ludzi, pozwolił hulać komunistycznym dziennikarzom, aprobował, że w telewizji w dalszym ciągu propagowali oni PRL-owską świadomość społeczną, z fatalnymi skutkami dla kraju. Powiem ci więcej, Drawicz był piątym kandydatem, któremu Mazowiecki zaproponował

to stanowisko. Czterech poprzednich je odrzuciło.

– Słyszałam o Marcinie Królu.

Ty mi Marcina Króla nie przypominaj. Karząca ręka sprawiedliwości go kiedyś dosięgnie (*śmiech*).

– Za co, Jarek?

Jak to za co? Za to, że napisał potem o nas, o Porozumieniu Centrum, w „Gazecie Wyborczej”, coś tam proponując, mniej więcej tak: mogą w tym przedsięwzięciu wziąć udział także ci spośród kierownictwa Porozumienia Centrum, którzy nie zapędzili się w swojej aktywności tak daleko, że ich działalność podlega już nie tylko ocenie moralnej, ale także sądowej. Czyli jesteśmy przestępcami politycznymi. On szau dostał po prostu na naszym punkcie. I teraz mój domysł: Mazowiecki zapraszał kolejnych kandydatów, mówił im, jakie muszą spełnić warunki, i oni mówili: przepraszam, dziękuję. Drawicz się zgodził i później zaczął je realizować ku wściekłości społeczeństwa i różnych środowisk. Ale mówię: te sprawy nie są wynikiem jakichś widzimisię czy chrześcijańskiej miłości, ale są po prostu wynikiem tego układu, który zawarto w Magdalence.

– Nie było układu, Jarek, naprawdę nie było. Były tylko na zakończenie typowo polskie, durne panibractwa, podlane alkoholem.

Tereniu kochana, nie znasz się na polityce, po prostu. Dam ci inny przykład, z Urzędu Rady Ministrów, który jest sercem rządu. To niesłychanie znaczące miejsce, jego szef jest w istocie najważniejszym człowiekiem po premierze. Przy Mazowieckim URM-em rządził Ambroziak, zły duch tego rządu. Taki chwast, ale nasz. Pierwszym jego zastępcą była stara nomenklatura. Szefem sekretariatu stanu do spraw administracji – nomenklatura. Dyrektorem

gabinetu premiera – nomenklatura.

– Tego poznałam, przerwę ci, kompetentny, spokojny, uczciwy, czego chcesz od niego?

Niegroźny, 30 lat, zgadzam się, bo to nie taka ważna funkcja, ale jednak nomenklatura. Obie sekretarki premiera były poprzednio sekretarkami Rakowskiego, Messnera, a może i Jaruzelskiego, maszynistki to samo. Mało tego, spotykam Waldka Kuczyńskiego, który faktycznymi wpływami przewyższył potem Ambroziaka, chociaż formalnie był tylko wiceministrem i szefem doradców premiera. Pytam go: kogo ty tam masz u siebie, jakich doradców wzięłeś? A on mi odpowiada: no, jak to kogo? tych samych, co byli. Pytam go jeszcze: znaczy tych samych, co miał Rakowski, Messner, Jaruzelski? A on normalnie: dokładnie tych samych.

Tam, Teresa, ani jednego człowieka nie zmieniono. I żeby była jasna sytuacja: ja nie krytykuję Mazowieckiego za to, że on ten układ zawarł, bo być może wtedy musiał, nie miał innego wyjścia, ale w kilka miesięcy potem, po upadku komunizmu w Czechosłowacji, w NRD, w Rumunii, rozpadzie PZPR-u, on się powinien z niego wycofać. Oni wtedy dosłownie na czworakach chodzili z przerażenia. Oni się tak bali, że przez ten kontraktowy Sejm można było uchwalić, iż sami sobie głowę ucinają, oni bowiem byli przekonani, że teraz się do nich dobierzemy. Bo oni by tak zrobili, na pewno by tak zrobili, każdy by tak zrobił, kto ma olej w głowie, ale nie nasz szalony premier, niestety. Minął miesiąc, dwa, nic się nie działo, oni umocnili się psychicznie i zupełnie zbeczelnieli. Dlatego założyliśmy Porozumienie Centrum i dlatego rzuciliśmy hasło „przyspieszenia”, które znaczyło przyspieszyć zmiany, przyspieszyć reformy.

Dokładnie były dwie przyczyny naszego rozejścia się z tą grupą, która później powołała Unię Demokratyczną. Pierwsza: oni chcieli własnych rządów i monopartii, a my – wychodząc z założenia, że blok „Solidarnościowy” nie jest związany tylko z jedną KOR-owską tradycją – chcieliśmy dwóch partii. Mówiąc w uproszczeniu chodziło o dokonanie naturalnego podziału

„solidarnościowego” środowiska, czyli uderzenie w mit, jaki funkcjonował w czasach podziemia, wtedy zresztą pożyteczny, w który jednak bardzo wielu uwierzyło, ja – nie, że „Solidarność” jest monolitem. Pamiętam furję, jaka wybuchła w redakcji Tygodnika „Solidarność”, kiedy na pierwszym spotkaniu z zespołem, (jeszcze tym starym od Mazowieckiego, który protestując przeciwko mnie, prawie w całości potem odszedł) powiedziałem: słuchajcie, my nie możemy ciągle żyć w świecie pewnego mitu, który był może piękny, ale nigdy nie był prawdziwy; „Solidarność” zawsze była wewnętrznie skłócona, rozgrywały się w niej różne walki, podchody, trochę rzeczy ginęło, na przykład pieniądze, dokumenty.

Ta moja ocena wywołała straszliwą wręcz wściekłość zespołu. Zupełnie jakbym miał do czynienia z grupą niedoedukowanych dzieci, a nie z ludźmi często bardzo wykształconymi. I to był pierwszy punkt sporu.

Drugi powód rozejścia się dotyczył kwestii: jak przejść przez trudny okres reform, w którym się będzie waliło, paliło, wystąpi bezrobocie, obniżenie stopy życiowej etc. Ich socjotechnika, bo to w kategoriach socjotechniki należy rozważać, była następująca: elity, a więc autorytety intelektualne, artystyczne, moralne, „solidarnościowe”, będą immunizować sytuację, czyli zjednoczą się i będą wywierały presję moralną na społeczeństwo, by primo – prolongowało ono swoją cierpliwość, czyli nie buntowało się, a secundo – gdyby się nawet zbuntowało, to żeby te bunty i strajki miały charakter ruchawek i incydentów bez możliwości politycznej artykulacji. Oni liczyli na to, że społeczeństwo rozbite, niezorganizowane, nic nie będzie znaczyć. Oni liczyli na to, że przy wysokim poziomie dezintegracji społecznej, przy braku jednego wyraźnego przeciwnika, jakim poprzednio był komunizm, braku nadziei i przywódcy – społeczeństwo nie będzie w stanie skutecznie protestować.

Uważaliśmy ten pomysł za fatalny, wręcz dziecinny i zupełnie nie uwzględniający realiów. Pominąwszy trudności z uzyskaniem jedności szeroko rozumianych elit, uznaliśmy, że ich nacisk będzie niewystarczający – na ten zakres napięć, których należy się spodziewać oraz nieskuteczny – ponieważ koncepcja pochodzi z poprzedniej epoki, kiedy jedyną możliwością wyrażania sprzeciwu była aktywność inteligencji, konkretnie – górnych warstw inteligencji, i protestujący literaci czy uczeni byli z samej funkcji społecznej reprezentantami społeczeństwa,

co wraz z narodzinami demokracji skończyło się, powstały inne kanały oporu – OPZZ, „Solidarność 80”, Polska Walcząca itp. Gdyby więc nawet – zakładając hipotetycznie – te elity się zjednoczyły i wywierały nacisk, starczyłby on na miesiąc, bo później i tak by trzasnęło. Bunt, który przewidywaliśmy, ale raczej hipotetycznie – przeszedłby przez „solidarnościowy” mur z dwóch stron, czyli tragedia byłaby większa.

My, tworząc Porozumienie Centrum, wyszliśmy z następującej diagnozy społecznej: społeczeństwa nie należy wyciszać, bo prowadzi to do apatii, ale społeczeństwu trzeba coś dać, bo ma poczucie ogromnego dyskomfortu ekonomicznego i moralnego. Z jednej więc strony – myśląc przyszłościowo – stworzyć należy duży ruch proreformatorski wokół prywatyzacji, co zrobił Klaus w Czechosłowacji, dając społeczeństwu nadzieję uczestnictwa w transformacji systemu i sukcesy materialne. A z drugiej strony, w ramach działań bieżących, trzeba temu społeczeństwu jak najszybciej i jak najwięcej dać w sferze moralnej, co jest możliwe, ponieważ istnieje szereg pozaekonomicznych przyczyn społecznej frustracji.

Pierwszą jest nieklarowność układu politycznego w Polsce na szczytach władzy, najlepiej symbolizowaną przez zestaw dwóch osób Jaruzelski – Mazowiecki, która dla przeciętnego obserwatora naszej sceny politycznej sprowadzała się do niepewności: kto tu rządzi i czy to jest już nowa Polska, czy jeszcze stara. Można to było zmienić. Tylko (*uniesienie*), widzisz! Mazowiecki musiałby wtedy, na wiosnę 1990 roku powiedzieć Jaruzelskiemu, żeby sobie poszedł. I Mazowiecki nie potrafił tego zrobić.

– Podobno prosił Jaruzelskiego, żeby został, gdy ten dwukrotnie – ponoć – podawał się do dymisji.

Jest taka wersja, że Jaruzelski podał się do dymisji w czasie tego słynnego spotkania w Belwederze 1 czerwca 1990, na które zaprosił kilkanaście osób, wszystkich ważnych, oprócz Wałęsy, ale ja dowodu stuprocentowego na to nie mam. Jeżeli jednak tak było, Mazowiecki popełnił zbrodnię po prostu.

– Jak Stalin?

O co ci chodzi?

– O proporcje! Bo Bartoszcze mówi o Balcerowiczu: morderca narodu polskiego, Parys o Mazowieckim: zbrodniarz, Macierewicz o aborcji: holocaust, Łopuszański o kobietach stosujących środki antykoncepcyjne: zabójczynie własnych dzieci.

Nie czepiaj się! Chcieliśmy zresztą załatwić Jaruzela nie demonstracjami ulicznymi, chociaż fachowców od wyprowadzania ludzi na ulicę znalazłoby się bez kłopotu i „Solidarność” ich miała, ale w ramach prawa, czyli podpisami, gierkami, rokowaniami.

– A potem powiesić i ciało wydać rodzinie, tak?

W dwa lata później powiedziałem inaczej, Tereniu, że Jaruzelski jeżeli wprowadził stan wojenny nie z powodu zagrożenia sowieckiego, ale na własny użytek, to dopuścił się tak ciężkiej zbrodni, iż należy go osądzić i wyrok wykonać, co zinterpretowano jednoznacznie, skądinąd słusznie, bo zgodnie z moją intencją, iż żądam wymierzenia najwyższej kary. Czy ty naprawdę zapomniałaś, że stan wojenny dla tego społeczeństwa, mimo jego w zasadzie bezkrwawości, był straszliwym ciosem?

– Zapomniałam, Jarek.

Który złamał je psychicznie, przetrącił mu kręgosłup.

– Ja chcę zapomnieć, Jarek.

Że spowodował – zwłaszcza w naszym i młodszym od nas o dziesięć lat pokoleniu – emigrację tysięcy, setek tysięcy wykształconych ludzi!

Jak ja rozglądam się teraz wokół siebie i nie odnajduję wielu moich kolegów ze szkoły, ze studiów, z dzieciństwa, to mnie ciarki czasem przechodzą. Stan wojenny był zbrodnią. Jeżeli istniała dla niego tylko jedna alternatywa – najazd radziecki i masakra, to zgoda – nie odpowiada, ale jeżeli nie? Jeżeli można było go uniknąć? Jeżeli, jak mi sam zasugerował – a rozmawiałem z nim tylko raz – mówiąc: dzisiaj wydaje mi się, że można było jakoś doczołgać się do pieriestrojki... To wtedy, rozumiesz? Człowiekowi, który stoi na czele państwa, nie może „wydawać się”.

– Zostawmy go historii.

No, właśnie nie. Ja nie chcę upraszczać, ale wszystkie okoliczności powinny być zbadane i ocenione w świetle kodeksu karnego.

– Druga przyczyna?

Drugą przyczyną frustracji, wynikającą z pierwszej i od niej ważniejszą z socjologicznego punktu widzenia, stała się sytuacja na prowincji. Przeciętny obywatel bowiem przychodził do swojej fabryki, hali produkcyjnej czy do swego biura i spotykał tych samych szefów co dawniej, ze stanu wojennego, którzy nadal decydowali o jego losie, o jego zarobkach, często drwili z niego. I ten zwykły człowiek, o zawężonym do codzienności horyzoncie obserwacji, na pytanie: czy w Polsce się coś zmieniło, formułując swoją subiektywną prawdę, odpowiadał: nie, w Polsce nic się nie zmieniło, co było bzdurą, ale psychologicznie uzasadnioną. To też można było zmienić.

– Jak?

Na zasadzie generalnego uderzenia w nomenklaturę. Po prostu: won.

– **Wszyscy?**

Wszystkich nie dałoby się, nie mam złudzeń, ale znaczną część.

– **Ilu?**

Liczebnie niewielu, prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy, może mniej. Ale nie o liczbę chodzi, bo nie ona jest podstawą ich siły, tylko miejsca, gdzie nastąpiła ich znaczna koncentracja i z których powinni zostać usunięci. Ze środków masowego przekazu, z banków, z administracji gospodarczej, z policji, wojska.

– **Jak?**

Ustawą dekomunizacyjną, którą potem opracowaliśmy, z dziesięcioletnim zakazem pracy dla określonych ludzi na pewnych stanowiskach w niektórych instytucjach. Można to było zresztą zrobić bez ustawy dekomunizacyjnej już w pierwszym roku. Trzeba było tylko lepiej wykorzystać uchwaloną wtedy ustawę o wymianie urzędników państwowych; staranniej przeprowadzić weryfikację sądownictwa, która wprawdzie została zrobiona, ale na zasadzie samoweryfikacji, co niewiele dało; ostrzej uderzyć w bezpiekę, czyli po prostu rozwiązać ją, rozgonić i zorganizować od nowa, przyjmując nowych ludzi, co było możliwe, bo trochę ludzi o odpowiednich kwalifikacjach wykształciło się w latach podziemia i na dodatek bardzo chciało tam iść. Dla mnie zresztą była to najbardziej zadziwiająca rzecz, jaką wtedy odkryłem w swoich kolegach: oni koniecznie chcieli pracować w Urzędzie Ochrony Państwa i to nie tylko na stanowiskach kierowniczych, ale i na niższych. Strasznie przebierali nogami, bili się wręcz jak cholera, żeby się tam dostać, zwłaszcza do kontrwywiadu. I to znani politycy, ważne nazwiska,

byłem zdumiony.

Jednych więc wyrzucić, innych wystraszyć. Po to, by trochę uspokoić społeczeństwo. Pokazać mu, że dzieje się sprawiedliwość. By nie mogło mówić: przedtem działo się niesprawiedliwie i obecnie też jest niesprawiedliwie, demokracja niczego w tym zakresie nie zmieniła. Wiele, oczywiście, decyzji byłoby chybionych, złych, niesprawiedliwych nawet, nie ma się co oszukiwać, trochę łobuzów powiązanych układami by zostało, cudów nie ma. Ale bez wywalenia ich, wszystkie reformy możemy sobie sadzą na ścianie pisać, święty Boże nie pomoże, nic nie wyjdzie, a komunizm będzie u nas trwał *ad calendas Graecas*.

Trzecim źródłem frustracji, olbrzymim źródłem, stało się uwłaszczenie nomenklatury, te okropne prywatne spółki nomenklaturowe, których od sierpnia 1988 roku tysiące powstało w państwowych fabrykach i które dalej bezczelnie rozrastały się przez pączkowanie, żerując na majątku ukradzionym państwu. Ja na każdym spotkaniu z wyborcami spotykałem się z atakami furii. I nie tylko ja, pani Kuratowska, na przykład, osoba o zupełnie innych poglądach politycznych i w gruncie rzeczy popierająca konserwację starego układu – także. Ludzie mówili: my byliśmy ofiarami tamtego systemu, a oni byli jego prominentami; oni teraz mają się jak pączki w maśle, a my ponosimy kolejne ofiary; my możemy je ponieść jeszcze raz, ale im ma być zabrane – żądali. I było to żądanie, które mogło być zaspokojone.

– Jak?

Powiedzieć im: panowie, zapłaciliście za ten przywłaszczony majątek? Jak zapłaciliście – w porządku, jak nie – to do tego i tego terminu uzupełniacie, a jak nie uzupełnicie – to przepada.

– A można go było wycenić?

Można, można, nie trzeba żadnej nadzwyczajności, żeby stwierdzić, co warte jest dziesięć milionów, a co miliard. Tylko, widzisz, u nas jak jeden rzuca pomysł, to drugi od razu krzyczy,

że jest on niemożliwy do przeprowadzenia. Dyrektorów też – słyszę – nie można zmienić, bo nie ma lepszych. Czyli to, cośmy przez dziesiątki lat mówili, że tutaj odbywa się negatywna selekcja kadr, było nieprawdą, bo lepszych nie ma, ci mianowani przez komunę są najlepsi. To wszystko bzdury, moja droga.

– Ty, Jarek, przyznaj się, marzyłeś o Rewolucji Październikowej.

Nie, bo my nie chcieliśmy powoływać komitetów rewolucyjnych, ani inspekcji robotniczo-chłopskich i rozstrzeliwać. Wręcz przeciwnie – pragnęliśmy rewolucji uniknąć. Zabezpieczeniem przed nią były dwie rzeczy: że ruch Centrum był bardzo mocno osadzony w pokojowej tradycji „solidarnościowej”, miał te same kadry, które nigdy nie były skłonne do rewolucyjnej aktywności, i że był ściśle związany z Kościołem, z czym się, oczywiście, nie bardzo obnosiliśmy, by biskupów nie stawiać w dwuznacznej sytuacji. Celem więc moich działań nie była rewolucja, ale zmniejszenie niebezpieczeństw wiszących nad Polską.

Pierwszym niebezpieczeństwem było to, że polskie reformy pod wpływem społecznych sprzeciwów w ogóle mogły się załamać. Nie przypuszczałem, iż grozi nam jakaś wielka eksplozja, która rozwali kraj, ale raczej niepokoje, których będzie bardzo dużo, coraz więcej: tu chłopci zablokują drogę, tam zastrajkują górnicy, gdzie indziej włóknarki, bo nie mają za co żyć, i pewnego dnia kurek rządowy z pieniędzmi zostanie odkręcony, a jak raz się odkręci – popłyniemy i znowu hiperinflacja, Argentyna i trzeba będzie zaczynać wszystko od początku.

Drugie niebezpieczeństwo upatrywałem w tym, że wprowadzane reformy nie doprowadzą do urynkowienia polskiej gospodarki, ale do latynizacji Polski. System rynkowy i związany z nim system demokratyczny mogą bowiem działać sprawnie wtedy, jeżeli stopień zakłóceń mechanizmów rynkowych jest stosunkowo niewielki, jeżeli układy pozamerytoryczne nałożone na ten system nie patologizują procesu pozytywnej selekcji ekonomicznej w sposób nadmierny. Bo jeśli patologizują, to może być jak w Ameryce Łacińskiej, gdzie teoretycznie jest gospodarka rynkowa, zabezpieczona systemem prawnym, ale naprawdę działa mechanizm, którego nieefektywność jest porównywalna z komunizmem. Gospodarka jest regulowana w ogromnej

mierze przez siatkę przeróżnych układów, wcale niekoniecznie władzy państwowej i w gruncie rzeczy nie ma konkurencji rynkowej, ale istnieje konkurencja tych układów.

Uważałem, że nam to grozi, ponieważ z jednej strony wprowadzano rynkowy system gospodarczy, a z drugiej: działała dawna siatka zależności i przywilejów od najniższego szczebla począwszy – brygadzysty w fabryce, rozdzielającego robotę dla swoich koleśków od wódki, z partii czy ORMÓ, na prezydencie kończąc i na dodatek układ ten w miarę upływu czasu się petryfikował. Należało go rozwalić, a nie liczyć, że albo reguły rynkowe same z siebie go przebiją, albo zbankrutują wszystkie wielkie przedsiębiorstwa, co byłoby pewnym remedium, ale nieosiągalnym, bo wszystkie by przecież nie padły. Kolejne niebezpieczeństwo ze strony dawnej nomenklatury widzieliśmy w zablokowaniu reform w sferze politycznej. Już wtedy – według mnie – istniała obawa, że w wyborach powszechnych, przy tym stopniu apatii społecznej i przy tej sile finansowej, którą reprezentowała socjaldemokracja postkomunistyczna, wygrają oni któreś kolejne wybory parlamentarne i znowu przejmą władzę polityczną. Dlaczego? Oni mieli dziesięć razy więcej pieniędzy niż wszystkie inne ugrupowania razem wzięte. Ukradli część majątku PZPR-u, część majątku „Solidarności”, nachapali się w aferach: spirytusowej, rublowej, papierosowej, Igłopolu, Horteksu, „Społem”, tych afer było setki, dysponowali więc gigantycznym kapitałem i praktycznie rządzą, za nic jednak nie odpowiadając, bo całe niezadowolone społeczeństwo spływało na głowę „Solidarności”.

Przy tym była to spójna grupa, często powiązana towarzyskimi kontaktami, koordynująca – według mego rozeznania – swoje posunięcia polityczne, która broniła własnego interesu, broniła swoich pieniędzy, wiedząc, iż póki ma pieniądze będzie kontynuować polityczną działalność i jakiś kolejny układ może ich uratować. Uważaliśmy, że nie można żyć z taką bombą nad głową i trzeba to rozwalić.

– Jak?

No, przecież nie policją, pałami i nie metodami pozaprawnymi. Trzeba było ich rozbić legalnie. Należało stworzyć jakieś instrumenty prawne.

– Jakie?

To sprawa pomysłowości prawników, musieliby jakiś chwyt zastosować. Może dekret o konfiskacie majątku.

– Który działałby wstecz?

Instrumenty prawne są kwestią techniczną. Bo kiedy stworzyłoby się odpowiedni nastrój społeczny, czyli nie tej „grubej kreski”: kochajmy się, całujmy się, to zapewniam cię, że ludzie by wiali z OPZZ-tu do nas, „Solidarność” miałaby nie dwa a pięć milionów członków, bo taki już brzydki jest ten świat, że siła przyciąga. „Przyspieszenie” znaczyło więc nie tylko szybciej przeprowadzać zmiany, ale znaczyło także: rozwalić komunistyczny układ, który coraz bardziej wszystko tutaj niszczył i wysysał. Do dzisiaj nie mogę pojąć, dlaczego Mazowiecki tego nie rozumiał, dlaczego jego ludzie tego nie rozumieli. Opluto nas, wyśmiano, wrzeszczano, że jesteśmy awanturnikami, że chcemy z siekierami.

– Wałęsa mówił, że chce.

Z głupoty, siekiera była niepotrzebna.

– Mówił jeszcze: trzeba zrobić wojnę na górze, żeby nie było na dole.

Bzdury mówił, chociaż w tym stwierdzeniu był podskórny sens. Kolejna głupota Wałęsy, którą wyolbrzymiono.

Na początku zresztą trochę udało się nam zrobić. Podzieliliśmy scenę polityczną i

zdołaliśmy w końcu przycisnąć rząd Mazowieckiego na tyle, że jednak zdjął pewną ochronę z nomenklatury. Zmusiliśmy go do przyspieszenia wymiany wojewodów, choć przedtem w ogóle o tym nie myślał; do wyrzucenia Siwickiego z MON-u; do wyrzucenia Kiszczaka z MSW, choć Mazowiecki bardzo przeciw zdymisjonowaniu Kiszczaka się opierał, bo jemu znakomicie z generałem Kiszczakiem się współpracowało, być może dlatego, że w swoisty (*śmiech*) sposób znał go od dawna, a on nie lubi zmian; odwołano – pod naszą silną presją – starych wiceministrów w MON-ie i MSW; uchwalono ustawę, wprowadzie tylko przejściową, obowiązującą do końca roku, ale dobre i to, o zwalnianiu urzędników państwowych na zwykłych zasadach, czyli z trzymiesięcznym wymówieniem, a nie jak poprzednio według enumeratywnie wymienionych przyczyn, co pozwoliło wyrzucić trochę nomenklatury.

Ale z drugiej strony coraz brutalniej nas ośmieszano, zwłaszcza mnie, kłamano w gazetach. Jak ja przedstawiałem w stu co najmniej wystąpieniach, a każde trwało około godziny, półtorej – diagnozę społeczeństwa i mówiłem o rządzących nim mechanizmach, starej administracji gospodarczej, w której panowie urzędnicy powiązani są z dyrektorami przedsiębiorstw interesownie i bezinteresownie, i sprawy załatwiają dzwoniąc do trzydziestu kumpli, bo tak przecież było, to potem pisano, że Kaczyński się awanturuje, że chce rozbijać, rozwalać, ścigać nomenklaturę, chce wyrzucać brygadzystów z pracy.

Do dziś pamiętam, że jak na jakiejś konferencji prasowej powiedziałem, iż te układy komunistyczne, ta społeczna struktura komunistyczna dotarła w latach osiemdziesiątych do poziomu brygady, co było prawdą, i że powodowała negatywną korektę mechanizmów społecznych, mechanizmów pracy, bo następował wtórny podział pieniędzy, to natychmiast gazety wybiły: Kaczyński chce robić czystkę wśród brygadzystów.

– Bo chciałeś!

Ale nie wśród brygadzystów, na miłość Boską!

– Ale jak byś zaczął, to na brygadzystach by się skończyło.

Posłuchaj mnie, dziewczyno! Trzeba było rozwalić starą strukturę. Bo, powiedz, co zbudujesz na całkowicie chorej?

– To zmieniaj te struktury! A odczep się od ludzi.

Ale jak je zmienisz?

– Mielicie koło PC w Sejmie, potem klub, co on uporządkował, z jaką inicjatywą ustawodawczą wystąpił?

Ale po co koło PC miało występować z inicjatywą ustawodawczą?

– No, żeby zmieniać PRL-owskie prawo.

Skoro było OKP, to po co miało występować? Dziewczyno, ty popadasz w ten sam sposób myślenia, który nieustannie proponował Mazowiecki. Jedną ustawę zmienić, drugą. Nie, kochana. Zrozum, tu był komunizm, najpierw potwornie demoralizujący, później rozkładający się.

– Jarek, tu nie było żadnego komunizmu (krzyk)!

To PRL, nie krzycz. Ja na to, co było, mówię komunizm, ale wszystko jedno. Rozpadający się, z patologią społeczną i destrukcją. I na tym chorym systemie zaczęto budować nowy. Przeprowadzono wybory samorządowe; w sferze ekonomicznej dano wolność działania, wprowadzono wolny rynek; dołożono do tego parę działań administracyjnych – RSW „Prasę” rozdano lub sprzedano, państwową spółdzielczość zlikwidowano. Ale zachowana została hierarchia społeczna wytworzona w komunizmie, zachowany został dostęp do środków

produkcji, zdobyty przez pewne warstwy w komunizmie, a przede wszystkim do pieniądza i ten stary układ zaczął wchłaniać i w ogromnej części wchłonął „solidarnościową” elitę.

Najpierw jej górę – rząd Mazowieckiego. I jeżeli Mazowiecki na pierwsze nasze krytyki krzyczał o polskim piekle i że nie dopuści do przyspieszenia, bo nie dopuści do wojny domowej, to dlatego, że on po pierwsze nic z tego, co się dzieje, nie rozumiał, a po drugie – on przedstawiał punkt widzenia warszawsko-krakowskiej elity, której nagle zrobiło się dobrze. Ona już miała wolność, znalazła się przy władzy, jej marzenia życiowe spełniły się i pojawiło się w niej przekonanie, że jest świetnie. Oni zaczęli żyć w stanie rozkoszy, jak mówił mój przyjaciel Piotr Wierzbicki (ja się na niego nie powołuję, bo on często w różnych sprawach przesadza, ale w tym miał rację). Oni żyli w stanie rozkoszy. Ten stan rozkoszy było po nich widać, jak ktoś ich oglądał wtedy z bliska. I przenosili go, subiektywnie i w wielu wypadkach uczciwie, na całe społeczeństwo. A tych, którzy ten spokój zakłócali traktowali jak awanturników.

– Bo byliście nimi, Jarek, naprawdę, swoje cele – zakładam – czyste, opakowując w niedopuszczalną, awanturniczą formę.

Gdzie to widziałas, dziewczyno? W czym!?

– W waszym Tygodniku „Solidarność” na przykład. Biorąc go do ręki czułam się oblepiona nienawiścią.

Jaką znowu nienawiścią?

– Jeden szczuł na drugiego, nie widziałeś?

Widziałem. Tylko że to ja czułam się jedną z głównych ofiar tej agresji. Chyba na nikogo tyle pomyj w tym kraju nie wylano, co na mnie. I to z jakiego powodu? Że inaczej odbierałem

rzeczywistość, niż Michnik czy Geremek!

– Tygodnik, zresztą, szybko zniszczyliście.

Kochana, jego nakład i tak by spadł. Na gazety trzeba mieć pieniądze! I my tych pieniędzy nie mieliśmy! Dlatego założyliśmy spółkę „Telegraf”, chcieliśmy zrobić z niej dużą firmę, która miałaby wystarczające obroty, by przy okazji sfinansować wydawanie dobrego wielonakładowego poważnego tygodnika, co – jak wiadomo – wymaga dofinansowywania przez dłuższy czas. Podniósł się wrzask, obsmarowano nas w prasie, że wzięliśmy forszę od różnych komunistycznych firm.

– Bo wzięliście.

Oni kupili akcje, zgodnie z prawem. Bo widzisz, na tym polega polski fenomen, że pieniądze, duże pieniądze mają tylko oni.

– Ale jak się kooperuje z Tuderkiem, byłym aktywistą PZPR-u, to nie krzyczy się o dekomunizacji!

A dlaczego nie? Zrozum, że w przeciwnym razie nikt by w Polsce nie mógł powiedzieć o dekomunizacji. Zrozum, nam się postawiło alternatywę: albo stójcie z tubą na rogu ulicy, jeśli was będzie stać na tubę, i sobie krzyczcie, co chcecie, albo jeśli chcecie stworzyć tutaj jakąś realną siłę społeczną, do której potrzebne są pieniądze, to weźcie wodę w usta, mówcie, że wszystko jest OK, nie ma żadnych „czerwonych”, nie ma żadnej nomenklatury. Otóż my taki wybór odrzucamy, to jest szantaż, to jest uniemożliwianie prowadzenia działalności politycznej, poważnej działalności politycznej.

– No, dobrze, skończ z tą rozkoszą rządu Mazowieckiego.

W drugim etapie nastąpiło wchłanianie „solidarnościowców” na niższych szczeblach władzy, w województwach. Nasi wybitni działacze – nie wszyscy, oczywiście, ale w swojej masie – zostali najpierw wchłonięci przez stary układ, a potem skorumpowani. Korupcja w Polsce rosła, a rosła dlatego, że w tym niemerytorycznym, korupcyjnym układzie uczestniczyła „solidarnościowa” elita. Chyba się ze mną zgadzasz?

Ja też, a więc jako polityk, który się jakoś tam przebił, mógłbym mieć dostęp do różnego rodzaju dóbr i gdybym chciał na przykład założyć przedsiębiorstwo, to dostałbym kredyt, bez trudu. Bo było tak, że decydujący układ regulacyjny, czyli układ finansowy, układ bankowy, pozostał w rękach komunistów i oni wiedzieli, że jak nie dadzą kredytu elicie „Solidarności”, tym mocnym z „Solidarności”, to ta elita chwyci ich za gardło, więc dawali. Słabych dławili, rozbijali, a mocnym dawali i dzięki temu reszta społeczeństwa została z układu wolnorynkowego, jaki wprowadzono – wyeliminowana. Społeczeństwo nie było w stanie zrealizować swoich aspiracji, swojej energii, bo mówiąc szczerze, czyli po partyjnemu, nie da się jednocześnie zaspokoić interesów społeczeństwa i nomenklatury. Nie da się. Te interesy są po marksistowsku antagonistyczne.

W Polsce powstał taki syndrom, albo spontanicznie z głupoty, albo z głęboko przemyślanej premedytacji – w co mało wierzę, ale nie mogę wykluczyć – który przeciętnego człowieka z góry skazywał na rolę biernego obserwatora, a nie uczestnika zmieniającej się rzeczywistości. A Mazowiecki i spółka, widząc to, albo może i nie widząc, wciąż bajdurzyli o państwie prawa, chociaż prawo to służyło bezprawiu. Musiało służyć, bo jak wiadomo z teorii, prawo – jako zobiektywizowany zespół norm regulujących życie – nie działa automatycznie, ale jest wynikiem równowagi sił, działa więc w społeczeństwie skutecznie wtedy, kiedy występuje zjawisko zwane mediatyzacją, czyli kiedy istnieje dużo skupisk siły, które się wzajemnie równoważą. A gdy równowagi tej nie ma, jak w Polsce, jeśli pewne układy są silniejsze, wyraźniejsze, powiedzenie, iż od dziś przestrzegamy prawa, jest fikcją i zaczyna służyć ochronie tych układów.

Poza tym, o przestrzeganiu jakiego prawa Mazowiecki ciągle mówił? Komunistycznego

w istocie, z tysiącami aktów normatywnych, skonstruowanych na potrzeby komunizmu, które miały służyć ochronie interesów grup powiązanych z establishmentem komunistycznym, grup tutaj dominujących. Liczenie więc na to, że na starej strukturze można zbudować nowe społeczeństwo, było liczeniem dziecinnym, fatalnym. Powtarzam ci – nie można. Nie da się na starej, totalitarnej strukturze zbudować społeczeństwa demokratycznego, nowego państwa, bo nie da się poprzez nieograniczony w gruncie rzeczy rozwój tamtej patologii zbudować czegoś zdrowego. Ten guz trzeba było wyciąć, do dna.

– Najlepiej razem ze zdrową tkanką, by odrosła całkiem nowa, prawda?

Ty masz jakieś dziwne skojarzenia. Poczekaj, opowiem ci na marginesie pewną historię, zupełnie komiczną.

Poszedłem kiedyś do pani Cywińskiej, której w ogóle nie znałem. Siedzę sobie z nią w gabinecie, jest jeszcze Stefan Starczewski, wiceminister kultury, a przedtem mój wieloletni kolega z KOR-owskich czasów i w pewnym momencie rozmowa schodzi na Kuczyńskiego, Ambroziaka i Mazowieckiego. I Cywińska nagle zaczyna się orientować, że ja ich znam osobiście. I nagle ona zaczyna zabiegać u mnie, czy ja bym jej czegoś u nich nie załatwił, bo ona wiedziała, że w rządzie najważniejszy jest Kuczyński i Ambroziak, a ona jako minister praktycznie nie miała do Mazowieckiego żadnego dostępu.

Taka sytuacja, wyobrażasz sobie? To jest – powtarzam – tylko anegdota, skądinąd dobrze charakteryzująca dwie rzeczy: jak się pani minister orientowała w bieżących wydarzeniach politycznych, bo był to przecież czas „wojny na górze”, oraz jakie stosunki panowały w rządzie. Balcerowicz też płakał, że nie może się dostać do Mazowieckiego tygodniami, nie może od niego wydobyć decyzji i skazany jest na pośrednictwo Kuczyńskiego i Ambroziaka.

– Jarek, dlaczego wymyśliłeś Wałęsę na prezydenta?

O co ci chodzi?

– **Czy się nadawał?**

(*Cisza*).

– **No, powiedz, uczciwie.**

Dziewczyno (*westchnienie*), więc jeszcze raz, od początku. W Polsce, w momencie kiedy zaczęła się tworzyć demokracja...

– **w 1989?**

W 1989 i na początku 1990 scena polityczna była – można powiedzieć – jakoś umeblowana, ale to umeblowanie z punktu widzenia przyszłej demokracji było mocno nieporęczne i można było wtedy przyjąć dwa sposoby działania. Albo powiedzieć: demokracja jest taka, taka i taka, i wobec tego idziemy w stronę demokracji, nie przyjmując jakby do wiadomości, że ten układ jest nieporęczny i że trzeba go zmienić, a jeżeli gdzieś ta nieporęczność zawadzała, krzyczeć, że precz z nią itd. Tę drogę wybrał Mazowiecki i potem kontynuowała Unia Demokratyczna. Albo można było się zastanowić, jak radykalnie rozbić cały układ. I to była nasza droga.

– **Czyli rozwalić rząd Mazowieckiego?**

Posłuchaj! Ja jeszcze w lecie 1990 roku mówiłem: proponujemy utrzymanie premierostwa Mazowieckiego, chociaż uważałem, że premierem jest do niczego. Wtedy wystarczyło dokonać kilku dosyć skomplikowanych manewrów.

– Jakich?

Najpierw – co było nieporęczne?

Nieporęczna w istocie od początku była „Solidarność”. Ty mi możesz wierzyć lub nie, ale ja już w 1981 roku dobrze o tym wiedziałem. Żartowałem wtedy, że nawet gdybym nie był pełnomocnikiem Moskwy, a musiał tutaj rządzić, to bym z „Solidarnością” jakoś się rozprawił, bo razem z nią rządzić by się nie dało. Ponieważ ten monstrualny ruch ze względu na swój charakter i konstrukcję, także organizacyjną, do demokracji się nie nadawał.

Przede wszystkim z dwóch powodów. Oparty był na strukturze przedsiębiorstwa, a wyrażał w istocie ambicje polityczne, co jest klasyczną cechą komunizmu, oraz był z samego założenia, w swoich intencjach, ruchem wszechogarniającym, czyli źle tolerującym jakikolwiek pluralizm. Poza tym reprezentował sposób widzenia rzeczywistości zupełnie nie przystający do gospodarki wolnorynkowej. Trzeba więc było coś z nim zrobić, jakoś go podzielić, uporządkować. Bo zapewniam cię, gdyby w 1989 roku „Solidarność” miała siłę z 1981, to w ogóle żadnego normalnego mechanizmu demokratycznego w Polsce by się nie zbudowało, i do dzisiaj dziwię się, że nasi szanowni koledzy tego sobie nie uświadamiali. Oni, według mnie, albo żyli w półrzeczywistości, albo byli bardzo głęboko zakłamanymi, albo – co jest najprawdopodobniejsze – po prostu nie mieli zielonego pojęcia o polityce i nie chcieli się do tego przyznać.

Drugą nieporęcznością był Wałęsa.

– Bo chciał być prezydentem?

Jeszcze jak! Etapami to przebiegało. Twardo zaczął grać o prezydenturę od razu po Okrągłym Stole. Byłem jednym z kilku ludzi, którzy te jego zabiegi z bliska obserwowali.

Leszek, mój brat, który był jego zastępcą, wyjechał wtedy na dłuższy czas do Genewy na posiedzenie Międzynarodowej Organizacji Pracy i ja – jako sekretarz Komisji Krajowej – zastępowałem go, urzędując w „Solidarności” w Gdańsku. Po jednej stronie sekretariatu siedział Wałęsa, a po drugiej – ja z bratem (i zamiast niego).

Wałęsa rozmawiał codziennie ze mną. Widziałem, jak się przymierza do tej prezydentury, zastanawia, jaką rozgrywkę przygotować na sali sejmowej, nawet Jaruzelskiemu powiedział w którymś momencie, że „to ja powinienem zostać prezydentem, a nie pan”. Był zły, gdy nie uzyskał niczyjego poparcia, mojego zresztą także nie. Chyba źle się stało, teraz myślę. Trzeba było już wtedy zaatakować, ale zdawało mi się, iż nie ma szans. To była pierwsza faza.

Później odniosłem wrażenie, że się trochę uspokoił i zrezygnował. Wtedy prezydentem w Czechosłowacji został Havel. No, to była dla Wałęsy sytuacja nie do wytrzymania. Wałęsa jest przecież facetem absolutnie przekonany o swoich niezwykle wysokich umiejętnościach politycznych i w tym przekonaniu przez całe dziesięciolecie był przez wszystkich wokół utwierdzany. Zapytałem kiedyś Basi Labudowej, kiedy zaczęła się mnie czepiać na sali sejmowej, że Wałęsa jest jak nadęty balon: a kto go nadał? kto mu bębenek nabijał? Nie Gdańsk, w którym go wszyscy dobrze znali, a więc nie Aram Rybicki, nie Pusz, nie mój Leszek, nie Krzysiek Wyszowski.

To oni mu podbijali, ta cała „warszawka”. Do dzisiaj, pamiętam, taką scenę, możesz mi w pysk dać i powiedzieć, że jestem świnią, ale ja na głowę mego Leszka mogę ci przysiąc, że jest prawdziwa. Dworzec Wschodni, godzina 10 rano, 1989 rok, pusty peron. Adam Michnik, Janusz Grzelak i ja przyszliśmy po Wałęsę. Nadjeżdża ekspres, zatrzymuje się. Michnik rusza drobnym truchtem wzdłuż wagonów szukać Lecha. Żeby być przy nim pierwszy, wszystkich wyprzedzić, rozumiesz? Wsiada Krzysio Pusz z Lechem. Krzysio niesie walizkę, a Lech idzie z neseserkiem. Michnik wyciąga mu neseserek z ręki i za nim go niesie (*śmiech*). No, przysięgam ci, że tak było.

– To z czego się śmiejesz?

Bo Michnik, jak go potem spotkałem w telewizji, wymówił mi (*śmiech*), że mnie też niósł kiedyś walizkę, jak przyjechałem do Gdańska. I że raz czekał na mnie na dworcu prawie cztery godziny. Prawda, niósł. Ale mnie szajba nie odbiła, a Wałęsie – jeszcze jak!

Wałęsa stał się facetem absolutnie przekonanym o swojej genialności. Przy czym jego umiejętności polityczne – sama przyznasz, bo kawałki jego akcji obserwowałam z bliska – rzeczywiście znajdowały potwierdzenie w latach 1988 i 1989. On przeżywał – uważałem wtedy, bo teraz wcale nie jestem tego pewny – świetny okres. Miał taki swój cykl iluminacji (albo informacji – zaryzykuję dzisiaj) politycznych, który wówczas był dla mnie zupełnie poza dyskusją i który się już u niego potem nie powtórzył, choć w skrytości ducha bardzo nań przez długi czas liczyłem.

Często pewne jego działania przypisywano Leszka lub mojej inspiracji, co z ochotą bym potwierdził, ale to nieprawda. Oczywiście, pomysłem Wałęsy trzeba było nadać kształt polityczny, nie tylko w sensie napisania ich po polsku, ale także zmodyfikowania, bo on na przykład kiedy montowałem rząd z SD i ZSL, potrafił mi przysłać list, w którym żądał, by brać wszystko: resort obrony, policję, sprawy zagraniczne itp., i gdybym tę jego instrukcję chciał wykonać, to następnego dnia nie byłoby już żadnych rozmów, bo komuny na takie ustępstwa nie było stać. Natomiast sam pomysł prowadzenia rozmów, data ataku, cel ataku, były pomyślane znakomicie.

Albo jak pojechałem do niego z Piotrem Szczepanikiem do Sokołowa Podlaskiego, gdzie był u rodziny, trochę go tam podekscytować i próbowałem wyciągnąć z łóżka do Warszawy, a on nie chciał i jak się okazało później, też miał rację, bo dopiero po siedmiu dniach nastąpił moment, kiedy warto było byka za rogi ciągnąć. On miał to wycucie czasu, w którym coś trzeba zrobić, pozadyskursywne politycznie i kompletnie niewytłumaczalne w jakichkolwiek racjonalnych kategoriach. Niewytłumaczalne także przez niego samego, bo on również nie wiedział, dlaczego czegoś chce i po co chce, a później okazywało się, że to on chciał dobrze, a nie jego genialni doradcy, na których się wszyscy powoływali.

Poza tym Wałęsa przez znaczną część, nie większościową, ale najbardziej zaangażowaną

część społeczeństwa, która groziła buntem, był postrzegany jako ten, który potrafi tu rozwiązać wszystkie trudne problemy. Bez przerwy powtarzał: dajcie mi władzę, a ja załatwię wasze sprawy. I oni mu wierzyli, był dla nich autorytetem. Przy tych bólach społecznych, rozgoryczeniu, rozgniewaniu społeczeństwa, jego zapewnienia nabierały szczególnej wagi. Tym bardziej że mówił to facet o wzięciu światowym, światowej sławie, przyjmowany przez wszystkie liczące się głowy państw, owacyjnie witany w Kongresie Amerykańskim. Jaki rząd miał przy nim szansę? Żaden! Żadna władza nie była w stanie mu się przeciwstawić. Wałęsa prezydenturę zdobyłby i tak. Gdyby nie udało się legalnie, to drogą puczu, autentycznego puczu.

Pucz, nie wiem, czy wiesz, w języku politologii nie oznacza zamachu stanu, tylko jest gwałtowną zmianą władzy, w której rzeczywiście biorą udział masy. Te masy wtedy w 1990 roku były potwornie zgorzkniałe i brakowało im tylko przywódcy, który ich krzywdę wyartykułuje. Obawialiśmy się, że Wałęsa stanie na ich czele – taki wariant też wtedy rozpatrywaliśmy między sobą, uznając, iż jest najczarniejszym scenariuszem tamtej sytuacji – że zdobędzie władzę w drodze puczu i przez okoliczności, w których ją zdobędzie, jego władza będzie poza jakąkolwiek kontrolą. Doszło bowiem do tego, iż miał taką pozycję, iż można go było albo zastrzelić, albo zrobić prezydentem. Dlatego my...

– Pistolet masz?

Oczywiście, że mam.

– Umiesz strzelać?

Szkoda, że nie wolno używać amunicji, bo bym ci pokazał.

– I myślałeś...?

Nie, pistolet mam na różnych chuliganów, prześladowców, nie wygłupiaj się. Wystarczy, że inni się wygłupiali.

Zrobić go marszałkiem senatu, był pomysł. Albo prezydentem Morawii. Albo zawrzeć z nim taką transakcję – za pośrednictwem biskupów, bo i ich w te gry wciągnięto – że jak on zrezygnuje, to i Mazowiecki zrezygnuje, i na czele państwa postawi się kogoś trzeciego. Leszka Kołakowskiego na przykład, Turowicza, albo Stelmachowskiego.

– **Skubiszewskiego, była propozycja.**

Ale nam nie był potrzebny starszy, elegancki, światowy pan mówiący sześcioma czy ośmioma językami.

– **Brzezińskiego.**

To już był wynik rozdwojenia jaźni i demoralizacji, jaka jest u nas. Jak można proponować, by prezydentem Polski został obywatel amerykański, mało – Amerykanin po prostu, bo Brzeziński jest *de facto* Amerykaninem, śmiechu warte. Typowy przykład gettowego myślenia warszawskiej grupy, która nie potrafiła zerwać ze swoją hierarchią wartości i której się wydawało, że Wałęsa sam powinien wiedzieć, iż nie może być prezydentem.

Ja – nie ukrywam – chciałem ustrzelić dwie kaczki jednym nabojem. Po pierwsze: załatwić problem Wałęsy, bo tylko polityczny idiota mógł uważać, że problemu Wałęsy nie ma. A po drugie: odczarować go w oczach społeczeństwa. Dlatego myśmy na wiosnę 1990 roku, zawiązując Porozumienie Centrum, zaproponowaliśmy także kalendarz polityczny, w którym najpierw Zgromadzenie Narodowe wybrałoby prezydenta tymczasowego, oczywiście Wałęsę; potem odbyłyby się wybory parlamentarne; następnie nowy parlament uchwaliłby konstytucję, która to konstytucja byłaby zbliżona do francuskiej oraz przewidywała powszechne wybory prezydenckie; i na koniec chcieliśmy zarządzić po roku, półtora – nowe wybory prezydenckie. Ja

osobiście – nie ukrywam – byłem przekonany, że Wałęsa po roku rządzenia te wybory by przegrał.

– **Nasyciłby się?**

Gdzie tam! Ale ludzie by się przekonali, że wielu rzeczy nie umie, żadnych cudów nie dokona, społeczeństwo by zobaczyło, że nie jest Mojżeszem, który jak poprosi pana Boga, to z nieba manna spadnie, że żadnych stu milionów nie da.

– **Ani trzystu, bo potem podbił stawkę.**

Kiedy myśmy wysunęli ten plan, to nastąpiło potworne wycie, że chcemy dyktatury Wałęsy. Obcharkano nas, opluto i skopano. Obóz Mazowieckiego i Geremka nie tylko kompletnie nie potrafił tego planu zrozumieć, ale w ogóle nie chciał przyjąć do świadomości, że istnieje. To zresztą stała ich cecha. Jeżeli coś emocjonalnie jest dla nich trudne do przyjęcia, albo przestają myśleć, albo twierdzą, że rozmowa na zaproponowany temat jest poniżej ich godności. Przestali myśleć i rzucili idiotyczną propozycję wyborów powszechnych.

Potem Mazowiecki tłumaczył mi, że nie mogło stać się inaczej, bo był owczy pęd do demokracji, ludzie znali demokrację z telewizorów, a wybory prezydenckie we Francji czy w Stanach Zjednoczonych są powszechne. Takie tam gadanie, mógł postąpić inaczej. Narzucono więc nam powszechne wybory na prezydenta, Wałęsa pomysł podchwycił i co ja miałem zrobić w tej sytuacji, no co?! Ja musiałem się na nie zgodzić. Chociaż wiedziałem, że nie powinien być normalnym prezydentem na całą kadencję i nie miałem złudzeń, że przyjdzie z nim przeżywać bardzo trudne momenty.

My też przecież zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że on rzeczywiście ma wykształcenie – z punktu widzenia warszawskiego – mniej niż podstawowe, gdyż dwuletnia szkoła zawodowa na prowincji, jaką skończył, oznacza mniej, niż w Warszawie podstawówka. To zresztą był główny

mól tej całej sytuacji. Poza tym pomysły miał czasem na poziomie dziecka, charakter..., no – mówiąc eufemistycznie – miły (*śmiech*) nie jest, i źle mówił po polsku.

Chociaż z tym mówieniem, wcale nie jestem pewny, bo czy pamiętasz jego przemówienie w najbardziej dramatycznym momencie strajku majowego 1988 w stoczni gdańskiej, po informacji o upadku strajku w Ursusie, czyli upadku nadziei, co Wojtek Giełżyński świetnie opisał? Wałęsa coś powiedział, Wojtek nic nie zrozumiał, ja też ni diabła nie zrozumiałem, a robotnicy byli niezmiernie zadowoleni i podniesieni na duchu, i jak potem Wojtkowi mówili, znaleźli motywację do dalszej walki, czyli widocznie zrozumieli.

Liczyłem też, że jak Wałęsa zostanie prezydentem, z jednej strony: zaprzestanie wykonywania swoich numerów w nienajlepszym stylu i będzie wprawdzie prezydentem potwornie niedouczonego, ale niekonwencjonalnym. A z drugiej strony: powprowadza się jakieś bezpieczniki, które by go ograniczały, uwikła w konstytucyjnie uwarunkowany układ instytucjonalny oraz otoczy ministrami stanu, ludźmi przygotowanymi, których wspierać będzie dobry rząd. I wtedy pierwszy raz, zgodnie z ułożonym przez nas planem, usiłowałem przepchnąć Olszewskiego na premiera.

– Co chciałeś załatwić Olszewskim?

No, Olszewski miał po prostu wcielić politykę, jaką zamierzaliśmy wprowadzić, politykę przyspieszenia, politykę odejścia od starego układu, rozbicia go. Wtedy, w 1990 roku, jeszcze przed swoim wyborem, Wałęsa powiedział: Olszewski – nie, i mnie zaproponował stanowisko premiera. Prawdopodobnie by mi go nie dał, przynajmniej w tym momencie by mi nie dał. Ale ja mu odmówiłem.

– Ty?

Ty, widzę, myślisz, jak większość polskich dziennikarzy, którzy do szalu mnie

doprowadzają, bo stale zarzucają mi dwie rzeczy. Pierwszą: przerost ambicji. Na miły Bóg, ja w tym kraju naprawdę z wielu ważnych funkcji w różnym czasie rezygnowałem, mogłem być i premierem, i potem wicepremierem w rządzie Suchockiej, więc gdzie tu jest ambicjonerstwo!

Drugą zaś rzeczą, która mnie do pasji doprowadza, to zarzut prasy, że ja nie chcę zjednoczenia centroprawicy. Ja na uszach w lecie i jesienią 1993 roku stawałem, żeby ją zjednoczyć, dając i Olszewskiemu, i „Solidarności“, i Gabrielowi Janowskiemu znakomite miejsca na wspólnych listach wyborczych, ale – zwłaszcza – Olszewski i „Solidarność“ wszystkie moje propozycje odrzucili, ja im...

– Poczekaj, dlaczego odmówiłeś Wałęsie w 1990 roku?

Bo nie chciałem być premierem, szczerze nie chciałem, mogę ci przysiąc, że nie chciałem. Ja wtedy byłem bardzo mocno zmęczony. Głupio o tym mówić, bo jak człowiek sam wybrał sobie zawód polityka, to jego sprawa, niech się męczy. Ale ja w poprzednich latach ciężko pracowałem, jak nigdy w życiu. Od kampanii wyborczej w czerwcu 1989 zasuwałem właściwie – z krótką przerwą – jak mały parowozik, w ogromnej części bez wolnych niedziel, w strasznym obciążeniu psychicznym. Musiałbym więc przynajmniej chwilę przed tym odpocząć.

Powiedziałem Wałęsie: ja nie, ale Olszewski. Olszewski był wypoczęty i w ogóle odporny jest na zmęczenie, potrafi siedzieć długo w nocy. Kiedy w rok później został premierem, pracował na pewno nie mniej niż Bielecki, albo niewiele mniej, za to nieporównanie więcej niż Mazowiecki, czego ja, nie wiem, ale chyba nie zdzierzyłbym – przynajmniej wtedy – fizycznie. Poza tym nie chciałem być premierem, bo wiedziałem, że mnie będą potwornie gryźć, niszczyć, że mnie by po prostu OKP rozszarpało i stale ośmieszało za każde zająknięcie w przemówieniu, za każdy błąd. Powiedziałem więc Wałęsie: ja nie, ale Olszewski. On się ze mną trochę spierał i wysuwał Bieleckiego, co traktowałem – nie ukrywam – jako czysty chwyt. Olszewski dostał, jak wiesz, obietnicę zostania premierem, po trzech dniach zorientowałem się, że nic z tego nie będzie, a po dziesięciu dniach Wałęsa Olszewskiego odrzucił.

– Dlaczego?

Powiem ci najprościej. Za to, że nie mógł wziąć bezpośredniego telefonu, takiego, co natychmiast się odzywa po podniesieniu słuchawki i powiedzieć mniej więcej tak: Krzysiek, k..., co się tam dzieje. Albo: Krzysiek, przyjeżdżaj natychmiast. Albo: Krzysiek, k..., ilu bandytów dzisiaj złapałeś? Olszewskiemu nie mógł. Wałęsa jest trochę infantylny. Ciągłe żyje w świecie, w którym metryka ma duże znaczenie, i uważa, że starszym od siebie ludziom trzeba okazywać szacunek. Jak dziecko. On nigdy nie przełamał dystansu wobec starych – według niego – panów profesorów, którzy go otaczali. Oni potem nawet chcieli, ale Wałęsa był już na nich obrażony i nie pozwalał im na żadne poufałości.

Geremek, pamiętam, opowiadał mi swoją rozmowę z Michnikiem. Mówili na temat filmu, rozmowy Wałęsy z bratem, który puszczano swego czasu w telewizji, i Geremek powiedział do Michnika: no, to jest na pewno zmontowane, bo przecież Wałęsa nigdy nie klnie. A Michnik się śmieje: do ciebie, Broniek, nie klnie, do ciebie. Bo do Michnika, oczywiście, kłął, to sprawa kolegi. Do Kuronia, myślę też, choć Kuroń dużo starszy, ale ma inny sposób bycia, w dzinsach, który upoważnia.

– A według ciebie, film był zmontowany?

No skąd! Przez sekundę nie miałem wątpliwości, że nie. Mój brat, Leszek, przecież tych wszystkich braciszków Wałęsy znał.

To jest jedna przyczyna, psychologiczna generalnie, dla której on nie lubi Olszewskiego i w ogóle takich ludzi jak Olszewski, oraz woli facetów ze swego pokolenia i młodszych. Czy była także druga, głębsza, że wybrał Bieleckiego i liberałów? Nie potrafię ci powiedzieć. Być może jest, ale nie wiem. Ja wtedy miałem przerwę w kontaktach z Wałęsą, ponieważ mój brat Leszek następnego dnia po wyborze Wałęsy na prezydenta pokłócił się z nim.

– O co?

Na posiedzeniu Komisji Krajowej Wałęsa powiedział: Leszka to ja biorę ze sobą. Leszek odwarknął mu: co to znaczy biorę! Wałęsa się wściekł, a potem w kilka dni później, gdy się spotkali, potwornie się z nim pokłócił, nie pamiętam już o co, i Leszek wyszedł. Przez dłuższy czas nie mieliśmy więc z nim żadnych kontaktów i nie uczestniczyliśmy w tych jego bożonarodzeniowych wyczynach: zostawić stary rząd i wybory parlamentarne zrobić za rok, albo powołać rząd tymczasowy z wyborami na wiosnę, zastanówcie się, co lepsze. Prawdopodobnie były to jego własne pomysły, formułowane przy udziale Drzycimskiego i Wachowskiego. Ja się pojawiłem w Belwederze, dopiero jak Bielecki był już wyznaczony na premiera.

– Żeby montować drugi rząd?

Nie, ja rządu Bieleckiego nie montowałem. Ja tylko walczyłem o swoje. Chciałem – nie ukrywam – wziąć w tym rządzie więcej, ale dano nam po łapach. Sam Wałęsa trzymał mnie, fizycznie trzymał za rękaw, żebym nie szedł porozmawiać twardo z Bieleckim. Bo było tak, że myśmy rzeczywiście przydusili Bieleckiego, on na nas poskarżył do Wałęsy i potem odbyła się komiczna scena. Ja siedzę w fotelu przy Wałęsie w Belwederze, chcę wstać, iść rozmawiać z Bieleckim, a Wałęsa (*śmiech*) chwytą mnie za rękaw, trzyma i mówi: nie, nie, nie idź, nie wygłupiaj się.

– A czego chciałeś od Bieleckiego?

Chciałem go jeszcze trochę przydusić (*śmiech*) i dostać ministerstwo łączności.

– Dostałeś już CUP dla Eysymontta, ministerstwo budownictwa dla Głapińskiego, URM – dla Żabińskiego, wtedy jeszcze z PC.

Nie rozumiesz. My nie chcieliśmy mieć w tym rządzie dużego udziału, bo nie chcieliśmy brać za niego odpowiedzialności. My chcieliśmy mieć w nim mało, za to punktowo, tylko to, co było dla nas opłacalne. A więc Glapińskiego chcieliśmy umieścić nie w ministerstwie budownictwa, ale właśnie łączności. I nie dostaliśmy. Z Glapińskim w ogóle od początku było mnóstwo kłopotów, bo Bielecki go akceptował, ale Glapiński początkowo nie podobał się Wałęsie i zdecydowanie nie chciał go Balcerowicz. Bielecki mi potem tłumaczył, że prawdopodobnie ważyły jakieś sprawy osobiste, ci wszyscy ekonomiści znają się przecież od lat z SGPiS-u. Potem jednak Wałęsa stwierdził, że Glapiński to sprytny facet, nada się i Balcerowicz się zgodził.

CUP zaś nam dano, niemalże bez naszej wiedzy, i z Eysymonttem nie było większych problemów, nikt nie podważał jego merytorycznych kwalifikacji. To w ogóle jest facet mało polityczny i zdystansowany do rzeczywistości. Na samym początku, na posiedzeniu rządu, jak zatwierdzali budżet, naraził się Balcerowiczowi, bo powiedział: panowie, dobrze, ten budżet musimy uchwalić, ale natychmiast bierzmy się za przygotowywanie następnego, bo ten w kwietniu się zawali. I się zawalił, dokładnie tak, jak Eysymontt przewidywał. Ale wtedy Balcerowicz pomachał uszami, że Eysymontt jest nielojalny, że jak minister może takie rzeczy mówić publicznie! że nie masz prawa i w ogóle skandal. A Eysymontt po prostu miał rację.

– To czego jeszcze chciałeś od Bieleckiego?

Dostać w tym rządzie więcej na niższych stanowiskach. Maćka Zalewskiego między innymi wysuwaliśmy na wiceministra w URM-ie. Wszystko się spotkało z odrzuceniem. Bielecki odrzucał, natomiast Wałęsa go w tym odrzucaniu podtrzymywał.

– A dla brata niczego nie chciałeś?

Leszek dostał od Bieleckiego propozycję zostania wicepremierem od spraw socjalnych, ale nie przyjął.

– Dlaczego?

Dość skomplikowana sprawa. Nie przyjął z dwóch względów. Po pierwsze, nie bardzo chciał, bo ta konstrukcja rządu Leszkowi w ogóle się nie podobała: kandydatura Bieleckiego była wtedy nie tylko ogromnym zaskoczeniem dla wszystkich, ale – co tu dużo mówić – wielkim też ryzykiem; a po drugie sądził, że Wałęsa się na niego nie zgodzi, choć Bielecki mi obiecywał, że bierze to na siebie, że go przekona, ale nie byłem pewny, czy dałby radę. Wałęsa tłumaczył, że Unia Demokratyczna i tak doprowadzona jest już do szaleństwa, a jak by jeszcze jeden z Kaczyńskich, których nienawidzi, dostał stołek wicepremiera, to wpadłaby w zupełny obłąd, natomiast Leszek może zostać, proszę bardzo, ministrem sprawiedliwości. Leszek jednak do ministerstwa sprawiedliwości nie bardzo się palił.



Warszawa, 1992. Po przerwie wakacyjnej, Sejm ponownie zajął się ustawą lustracyjną. Na zdjęciu posłowie Lech Kaczyński i Adam Glapiński. Fot. PAP/Paweł Kopczyński.

– Przecież to niezłe stanowisko.

Niezłe. Ale była jeszcze jedna sprawa. Leszek poważnie wtedy myślał o funkcji przewodniczącego związku.

– Wałęsa chciał Borusewicza.

Rzeczywiście bardzo go chciał, mówił publicznie, że Borsuk zajmie jego miejsce. Przy czym ja nie bardzo wiem, dlaczego on go tak strasznie chciał, bo najpierw potwornie go kopnął w czasach, które znasz, w 1988 w stoczni, a potem znowu zaczął o niego zabiegać, te ich stosunki to bardzo skomplikowany rozdział, dla mnie niejasny.

W związku odbyły się wybory, w których startował i Leszek, i Borusewicz, obaj przypadli, wybrano trzeciego – Krzaklewskiego i Wałęsa do dzisiejszego dnia chyba uważa, że Leszek celowo załatwił Borsuka, że pogadał po prostu z ludźmi itd. i uniemożliwił jego wybór. Te zarzuty wobec Leszka wielokrotnie zresztą potem powtarzał.

– Załatwił?

No skąd! Leszek więc nie chciał być ani wicepremierem, ani ministrem sprawiedliwości w rządzie Bieleckiego, tylko chciał zostać przewodniczącym „Solidarności” i ja go – nie ukrywam – w tym zamyśle dość mocno popierałem.

– A „Solidarność” do czego była wam jeszcze potrzebna?

Nie zapominaj, że dla Leszka „Solidarność” ciągle była ważna. Nie zapominaj o związkach lojalności. Leszek, jak wszyscy jej wybitniejsi działacze, czuł się za nią w jakiś sposób odpowiedzialny. „Solidarność” była największym doświadczeniem naszego pokolenia i niezależnie od tego, co każdy z nas jeszcze w życiu zdoła, „solidarnościowe” będzie najważniejsze.

– „Solidarność” już padła.

Słuchaj, ten związek padł między innymi dlatego, że miał takie nieszczęsne kierownictwo, jakie miał, co oczywiście wynikało ze strukturalnych uwarunkowań. Łatwiej zresztą oceniać z zewnątrz, niż z wewnątrz.

Leszek nie sądził, że dokona cudu, ale sądził, że obroni związek przed próbą wejścia w politykę, że zracjonalizuje jego politykę i nie dopuści do przekształcenia go w quasi-partię

polityczną. Leszek bowiem wiedział, że związek nie może odgrywać roli, którą odgrywał poprzednio i którą chciałby odgrywać, czyli podstawowej siły. On go chciał sprowadzić do roli sprawnie działającego związku zawodowego i chciał go w dalszym ciągu używać jako osłony reform. Ale reform w ramach racjonalności, a nie w ramach monetarystycznego szaleństwa.

Nie wiem, czy by mu się to udało, ale pewny jestem jednego: teoretycznie miał szansę, bo między Leszkiem a Krzaklewskim naprawdę jest różnica. Leszek przede wszystkim zna się na pracy związkowej, jest bardzo dobrym negocjatorem, znakomitym prawnikiem, ma realną ocenę rzeczywistości.

– Podobał ci się Wałęsa w roli prezydenta?

Ja, jak wiesz, jakichkolwiek złudzeń co do Wałęsy nie miałem nigdy i dokładnie wiedziałem, jaki on jest. Wielokrotnie ci też mówiłem, że on... mniejsza z tym. Natomiast o tym, że nie ma mowy, aby go jakoś okiełznać przez ludzi przygotowanych, to ja się zorientowałem dopiero po trzech, czterech tygodniach. Początkowo miałem pewne zakłócenia, nie ukrywam. Ja jednak musiałem mieć trochę czasu, żeby się zorientować w sytuacji.

Przychodzę do Wałęsy po dłuższej nieobecności, Wałęsa proponuje mi szefostwo swojej kancelarii prezydenckiej, ja z Wałęsą rozmawiam i nagle widzę Wachowskiego, po raz pierwszy od 1983 roku, wchodzi, wychodzi. Pytam Wałęsę: a co tutaj robi Wachowski, a ten mi: Mietek? polecał po kaptcie, kupić mi kaptcie, bo te co mam – niewygodne.

Wachowski wraca, klęka przed Wałęsą, zdejmuje stare, nakłada mu jeden kapeć, Wałęsa cmoka: dobry, Mietek. Wachowski nakłada mu drugi, jak kamerdyner.

– A skąd ksiądz Cybula?

Zupełne nieszczęście, z czego Episkopat doskonale zdaje sobie sprawę. Cybula był jego

spowiednikiem. I wiesz... odpuszczał mu. W czasach, kiedy Wałęsa miał różne wysoki.

– Drzycimski?

Drzycimski był PAX-owskim dziennikarzem, jak Hniedziewicz i Siwek. Uważali go za pacana. Potem pisał Wałęsie „Drogę nadziei” razem z Kinaszewskim i bardzo spodobał się pani Danucie.

– To ważne?

O, bardzo! Tylko ja nigdy do końca nie wiem, na ile, bo raz Wałęsa wrzeszczy o niej, że się wtrąca i pośle ją do garów, a innym razem, kiedy mówiliśmy mu o Drzycimskim, że rozbił swoje małżeństwo i długo żył z inną damą bez ślubu, to prosił: tylko aby Danusia się nie dowiedziała, że ja zatrudniam takich łobuzów, bo by mi łeb urwała.

Przychodząc do Kancelarii myślałem, że sekretarzem politycznym Wałęsy zostanie Aram Rybicki, który był człowiekiem porządnym i przygotowanym. Sam wypisywałem mu delegację na tę funkcję, znaczy ja wypisałem, a Wałęsa podpisał.

Myślałem, że będzie przy Wałęsie Krzysiek Pusz, który zawsze potrafił mu w oczy powiedzieć najbrzydsze rzeczy. Że będzie Krzysiek Wyszowski, dziwna postać, kobiety za nim szaleją, trochę dziennikarz, nie funkcjonujący w żadnym układzie politycznym, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych, który wobec Wałęsy mógł sobie na bardzo wiele pozwolić.

Myślałem, że przy nim będą tacy ludzie jak mój brat, nie Leszek konkretnie, bo nie chciał, ale do niego podobni. Leszek, kiedy był jego zastępcą w związku i Wałęsa wydał jakąś głupią decyzję, to wzywał do siebie dyrektorów biur, zakazywał ją wykonywać i oni go słuchali.

Powiem ci szczerze, to, co zaczęło się dziać w Belwederze, przeszło moje oczekiwania.

– Jakaś gonitwa myśli. Jednego dnia powoływaliście dwuosobową radę polityczną, drugiego – siedmioosobową radę prezydencką, trzeciego – stanowisko zastępcy prezydenta, to dla ciebie..., ciała oczywiście pozakonstytucyjne.

Była przez to komiczna scena, bo papieżowi, kiedy pojechaliśmy do Watykanu, Wałęsa przedstawił mnie jako swego zastępcę i potem Skubiszewski, który to słyszał, nie wiedział gdzie stawać (*śmiech*), za mną czy przede mną. Wskazałem mu miejsce przed sobą.

– A potem zaczęło się rozdawanie państwowych willi i pałaców byłym właścicielom, załatwianie lokali dla kabaretów...

Co ci mam powiedzieć? Nie ja.

– Kto wymyślił śniadania w Belwederze?

Śniadania były od początku.

– Z mszą?

Tak. I z komunią świętą. Wachowski codziennie zaczął brać komunię świętą, twierdząc, że to służbowa. Ja jestem, jak wiesz, człowiekiem wierzącym i widząc to, odnosiłem wrażenie, że on każdego dnia dopuszcza się świętokradztwa.

– Kto wymyślił te gierkowskie zwiedzanie fabryk?

Że gierkowskie, przesadzasz. Głupie po prostu, bo Wałęsa biegający po hali fabrycznej za jakąś uciekającą robotnicą, co potem pokazała telewizja, chyba tylko po to, żeby go ośmieszyć, wcale nie był podobny do Gierka. Ty go chcesz widzieć przez pryzmat socjotechniki dyktatury komunistycznej, a to naprawdę nie tak. Wałęsa robił może wrażenie despoty, ale nim nie był, bo co to za despota, któremu mówiło się: ty taki owaki, przy kobiecie nie powtórzę.

Z nim rozmowy wyglądały mniej więcej tak: najpierw mu się coś tłumaczyło, siedząc przy stole w jego gabinecie, a on mówił: nie i nie, denerwował się. Nagle zrywał się od stołu, uciekał od rozmówcy i siadał za biurkiem. Przed biurkiem nie było drugiego krzesła, przed Wałęsą należało tylko stać, a żaden z nas by nie stanął, więc dalej siedzieliśmy przy stole i czekało. Wtedy Wałęsa mruczał: no, chodź (*śmiech*), chodź tutaj, zaczynał się łamać i wracał do stołu.

– Kto namówił go na wiece pod kościołem św. Brygidy w Gdańsku, gdzie tłum krzychał „odchwaścić Sejm i Senat”?

Drzycimski. Tak jak na te pseudoamerykańskie konferencje prasowe w ogrodzie. Wałęsa się do nich zupełnie nie nadaje. Czyste komedie. Wałęsa zebrał wokół siebie ludzi bez żadnych kwalifikacji, dokładnie żadnych. Gdyby wziął trzy gospodynie domowe, miałby podobny efekt. Ta grupa facetów nieustannie siedziała na nim w Belwederze, jakieś bzdury plotła, pluła mu w ucho.

– Ty też mogłeś.

Mogłem i nie mogłem. Wałęsa na samym początku dał mi w Belwederze piękny gabinet, w którym kiedyś urzędował Piłsudski, ale nie dał mi oddzielnego sekretariatu. Sekretariat będziesz miał wspólny z Wachowskim – rzekł. Czyli wykombinował, że będziemy mieli wspólne sekretarki i wspólne papiery. Powiedziałem: nie. Wałęsa się trochę spierał, on bardzo chciał, żebym został w Belwederze. On zawsze wolał mnie mieć za sobą niż przeciwko sobie, także potem, kiedy się rozstawaliśmy. Wtedy się zapałem, powiedziałem: dobrze, ja do Belwederu

mogę codziennie na parę godzin przyjeżdżać, ale pod warunkiem, że będę miał własny sekretariat. Wałęsa się nie zgodził i przenieśliśmy się na Wiejską.

– Gdybyś został, też miałbyś na niego wpływ.

To pozory. Aram Rybicki najpierw urzędował w Belwederze, a potem nie mógł wytrzymać ani z Wałęsą, ani z Wachowskim. Wachowski przychodził do mnie na Wiejską i namawiał: odpuść Arama, nie broń go, a my się dogadamy.

Aram zna Wałęsę od bardzo dawna, dawniej od wszystkich innych, tyle co Borusewicz. I znał doskonale Wachowskiego. W końcu pokłócił się z nimi i uciekł do mnie na Wiejską.

Siedząc więc w Belwederze wcale nie miałbym większego wpływu na Wałęsę, a musiałbym się zniżać do ciągłego użerania się z Wachowskim, co w końcu skończyłoby się wielką awanturą, po której szybko bym wyleciał. A wylecieć szybko nie chciałem, bo nie ukrywam, zależało mi na partii, chciałem ją rozbudować.

– Bales się?

Ja? Czego?

– No, rozmawiać, bo jak przychodziłam do znajomych do Kancelarii lub do ich służbowych mieszkań na Parkowej, to albo mówili szeptem, albo włączali radia, a najczęściej szliśmy w miasto.

Bo był podsłuch.

– Czyj podsłuch?

No, Wachowskiego, wszyscy bali się Wachowskiego. W sumie to niesamowite.

– Skąd wiedziałeś?

No, wiesz, ja po kilku już dniach urzędowania w Belwederze nabrałem do niego nieufności i powiedziałem Milczanowskiemu: słuchaj, sprawdź go, dla mnie to podejrzany facet. Milczanowski odpowiedział: dobrze, powołam specjalną grupę operacyjną. Po dwóch dniach, wychodząc od Wałęsy spotykam Wachowskiego, czekał na mnie na korytarzu i mówi: Jarek, co ty się wygłupiasz z tymi grupami operacyjnymi? Daj sobie spokój.

Zaskoczył mnie, bo to że się dowiedział o powołaniu grupy nie było dziwne, mogli go kumple z Urzędu Ochrony Państwa poinformować, bo ich tam miał, wszędzie zresztą miał kumpli, ale to, że wiedział, iż Milczanowski powołał ją z mojej inicjatywy, było bardzo zastanawiające, bo oznaczałoby, że Milczanowski coś komuś zdradził. Widocznie wyższy poziom tajemnic.

– Co na to Wałęsa?



Warszawa, 1992. Spotkanie liderów partyjnych – Jarosława Kaczyńskiego (Porozumienie Centrum), Donalda Tuska (Kongres Liberalno-Demokratyczny) i Tadeusza Mazowieckiego (Unia Wolności). Fot. PAP/Zbigniew Szwejkowski.

Wałęsa, gdzieś tak na początku lipca 1991 roku, kiedy przyniesiono Wachowskiego w nocy do Belwederu, zalanego w trupa, w ogóle nieprzytomnego, powiedział mu: albo przestajesz pić, albo wylatujesz. Bo Wachowski pił i jak czasem zachodziłem do niego do gabinetu, bo na początku trochę z nim jeszcze próbowałem rozmawiać, to natychmiast otwierał lodówkę – miał w niej całą baterię najlepszych whisky, z których był bardzo dumny – i chciał, żeby z nim pić. Ja nie lubię whisky, tylko wino, więc nie piłem, a on pił whisky z coca colą, jak herbatę dosłownie, po chamsku, raz przy mnie wyłopał przeszło butelkę, a potem – wyobraź sobie – normalnie wstał i gdzieś poszedł.

– Po co go trzyma?

Widzisz, to jest pytanie, które sobie tysiąc razy zadawałem. Na pewno Wałęsa psychicznie potrzebuje człowieka, przy którym może się rozluźnić, który jest dyspozycyjny, bo Wachowski dyspozycyjny jest, mnóstwo rzeczy za Wałęsę wykonuje, a którym jednocześnie można w zupełnie dowolny sposób pomiatać. To jedno. Reszta jest w sferze domysłów. Czy on ma coś na Wałęsę? A jeżeli ma, co to jest? Jakaś obyczajówka? Wałęsa w swojej karierze przy końcu „solidarnościowego karnawału” miał różne chwile słabości, o których jego otoczenie wiedziało. A może ma na niego coś innego? I co? Bo materiały na „Bolka” są.

Nie wykluczam też, że Wachowski jest po prostu eksponentem pewnych sił, ukrytego układu politycznego, bo jest człowiekiem bardzo inteligentnym i często robił na mnie wrażenie faceta przeszkolonego. On nie ma zielonego pojęcia o polityce, ale z żelazną konsekwencją realizował pewien program: odcięcie Polski od Zachodu, od NATO, nie przeprowadzanie żadnych zmian w wojsku, tych zasadniczych, wpychania ludzi z komunistycznego układu na ważne stanowiska. W wielu kręgach funkcjonuje przekonanie, które ja osobiście podzielam, że jest to po prostu lub był – agent, tylko pytanie jakiego szczebla: czy KGB, GRU, czy może Stasi, nie wiem.

– Wałęsa wie?

Nie wszystko mogę ci powiedzieć, bo jestem do pewnych tajemnic zobowiązany, zwłaszcza wojskowych, ale obawiam się, że na Wałęsę silnie działało przekonanie o funkcjonowaniu mechanizmu penetracji, które w nim było w różny – prawdopodobnie – sposób podsycane, może szantażem, a może tylko uświadamianiem mu, że istnieje określona sytuacja geopolityczna w planie światowym, strategicznym, którą on traktował jako bezalternatywną i nie próbował stawić jej czoła, podjąć wyzwania, przeciwstawić się, czego dowodem było jego zachowanie w trakcie późniejszych wydarzeń i co okazało się jego błędem.

Czasami odnoszę wrażenie, że działa tu jakaś supermafia i może działa, bo przesłanki –

by sądzić, iż KGB wiele tutaj rzeczy planowało – są. Wiem na pewno, że w 1982 roku, kiedy stan wojenny poszedł tak jak poszedł, czyli bezkrwawo w zasadzie, w KGB doszli do wniosku, że potrzebna jest tutaj głęboka penetracja różnych środowisk, bo ten małorepresywny stan długo się nie utrzyma i Breżniew powiedział Jaruzelskiemu: jeżeli przeciwnika nie wykończycie teraz, to potem będziecie musieli z nim paktować i traktować jak partnera. Dlatego dla mnie wiele elementów polskiej sytuacji jest niejasnych. Choć – oczywiście – jak najdalej jestem od spiskowego myślenia.

– Właśnie widzę.

To, co mówię, to nie są żadne spiski, to gołym okiem widać, przejeżdż się po Polsce. Przy czym, wiesz, dziwna rzecz, zachodni chadecy, ilekroć ich spotykałem, bezustannie namawiali mnie do rozluźnienia stosunków z Kościołem. Bardzo jest też charakterystyczna ta potworna kampania antykościelna, jaka się odbywa w Polsce, prowadzona...

– Przestań! Nie chcę z tobą rozmawiać o Kościele!

(Śmiech) My się czarnych nie boimy, Teresa, nam z nimi dobrze. A ty się boisz, bo jesteś występna libertynka, ot co. Ale na poważnie. Niewiadomych było więc wiele, ale Wałęsa nie chciał na te tematy szczerze rozmawiać, co niesłychanie utrudniało mi z nim kontakt. Tworzyło sytuację jakby coraz bardziej zamkniętą i samonakręcającą się.

– A próbowałeś?

Na początku rozmowy były codzienne, ale nie na ważne tematy, więc nudziły mnie. Potem trzy, cztery razy w tygodniu, też o byle czym. On zazwyczaj mówił: musisz rzucić partię, a wtedy będziesz ministrem; później zostaniesz premierem; teraz nie, bo cię za bardzo nie lubią, ale po jakimś czasie będziesz i Leszek też będzie; prezydentem tylko nigdy nie zostaniesz, bo cię

nie wybiorą; a jak partii nie rzucisz, to nie będziesz rządził.

On w ogóle nie rozumiał, dlaczego mi na tej mojej partii tak zależało i zrozumienie tego przekraczało jego wyobraźnię. Po cichu zaczął ją bombardować już w lecie 1990 roku, nie dopuszczając do rozwoju Porozumienia Centrum. Ze dwudziestu Komitetom Obywatelskim powiedział, żeby się do nas nie zapisywali, bo chcieli, koło PChD na spotkaniu w Sejmie rzekł: działajcie sami, trzeba działać oddzielnie, gdy pytali go o zdanie. A kiedy doszło wtedy między nim a mną do bardzo ostrej sprzeczki na ten temat, nie wytrzymał psychicznie i powiedział: no, to ja już rozumiem o co ci chodzi, biorę swoje zabawki i uciekam, i rzucił się do przodu, chcąc uniknąć dalszej kłótni. Ale nie rozumiał.

Zupełnie jak w *Kręgu Pierwszym* Sołżenicyna, kiedy Stalin się zastanawiał, czym właściwie zajmuje się Bucharin i nie znalazł odpowiedzi. Ja nie chcę się porównywać z Bucharinem, ale w Wałęsie jest coś z tamtego myślenia. On nie wiedział, czego ja chcę i dlaczego ja czegoś chcę. Jemu się wydawało, że ja chcę być ważny, chcę być przy władzy, że ja chcę, aby Leszek był przy władzy i żeby jeszcze kilku moich przyjaciół było przy władzy, i on był gotów tego rodzaju pragnienia zaspokoić, proponując stanowiska i wygodę. Nie zgadzał się tylko na obsadzenie kancelarii dużą grupą osób z Porozumienia Centrum.

Dlatego nie miałem na niego wpływu i Wałęsa lepiej czuł się w towarzystwie tej grupy facetów, która go otoczyła, niż w moim. A oni, bez przerwy coś wyszukiwali i ośmieszali go. A to wysłali do Sejmu jakiś list kompletnie rozwalający budżet, co potem mnie przypisywano, chociaż nie miałem z nim do czynienia, a to wpadli na pomysł wypuszczenia na ulice patroli policyjno-wojskowych, które prasa wykpiła.

– A ty, przepraszam cię bardzo, doktor praw, latałeś w tym czasie do marszałka Sejmu, żeby mianował Tolka Lawinę wiceprezesem NIK-u, chociaż z takim wnioskiem występuje prezes.

Prawda, to był mój pomysł, może błąd, nie będę się wypierał, możesz mnie opisywać.

Dogadałem się z Wałęsą, że trzeba tę imprezę NIK-owską jak najszybciej załatwić, bo miały dwa lata i wciąż na czele NIK-u stał generał, człowiek Jaruzelskiego, który zresztą od dawna zgłaszał chęć przejścia na emeryturę, tylko Sejm nie mógł wybrać jego następcy. Osobiście więc poszedłem do niego i marszałka Mikołaja Kozakiewicza. Powstały jednak dodatkowe okoliczności, których nie do końca rozumiem, a które uniemożliwiły sfinalizowanie sprawy. Z NIK-iem zresztą wiąże się mój pierwszy poważny spór z Wałęsą, moje pierwsze podanie się do dymisji.

– Przez Wiesławę Ziółkowską, była posłankę PZPR-u?

Tak.

– Za to, że Wałęsa udzielił jej poparcia na stanowisko prezesa NIK-u?

Za to. Ja temu publicznie zaprzeczyłem, skrytykowałem i przyjechałem do niego z dymisją. Powiedział: no tak, dobrze, więc ty teraz będziesz bohaterem, a ja lujem.

– Czym?

Lujem!

– A co to luj?

(Śmiech) Taki pijaczyna, mały pijaczyna. I mojej dymisji nie przyjął. Następnym razem podałem się po awanturze, drobnej zresztą, z Andrzejem Kozakiewiczem, wtedy dyrektorem ekonomicznym Belwederu.

– Potem był ministrem, który wysłał do Jabłońskiego, byłego przewodniczącego Rady Państwa, jego zastępcy Kruczka i wdowy po Kliszce, ludzi ponad 80–letnich, żądanie opuszczenia służbowych mieszkań, a w nim: „...Zapewniam pana, że dołożę wszelkich starań, by decyzja o opuszczeniu mieszkania została wyegzekwowana...”. Ładne, prawda?

Bo to cham! Słuchaj, oni w ogóle na początku nie chcieli pisać żadnego listu, tylko przysłać ciężarówkę, załadować to całe towarzystwo i wywieźć.

– Dokąd?

No, właśnie, powstał problem, że nie było dokąd. Kozakiewicz we wszystko się wtrącał, głupi gówniarz. Zdenerwowałem się i napisałem pismo, zakazujące moim podwładnym słuchać Kozakiewicza. Zrobiła się w Belwederze potworna awantura i Wałęsa do mnie zadzwonił, że on tu ma właśnie u siebie Kozakiewicza i żebym wycofał to pismo. Powiedziałem: nie. To przygotuj dla Kozakiewicza – Wałęsa wydał mi polecenie – nominację na ministra stanu. Powiedziałem, że nie przygotuję i podaję się do dymisji. W dziesięć minut później zadzwonił do mnie Rybicki, który jeszcze urzędował w Belwederze, a nie na Wiejskiej, w imieniu Wałęsy tłumacząc, że Wałęsa się uniósł, że wycofuje się z polecenia i w ogóle nie ma sprawy. Kozakiewicz na wiele miesięcy odczepił się ode mnie.

Potem nastąpił pucz w Moskwie i odkryłem, że ja w Belwederze już nie istnieję. Poszedłem do Wałęsy wieczorem, powiedziałem: zwolnij natychmiast Wachowskiego. On do mnie cynicznie: teraz przecież powinienem awansować. To wyszedłem i więcej z nim w dniach puczu się nie kontaktowałem. Wałęsa nawiązał tylko kontakt z Leszkiem, ale też nie dlatego, że Leszek był w tym czasie szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ale z jednego jedyne go powodu, że Leszek znał Janajewa z Genewy i Wałęsa wiedział, bo ktoś mu opowiedział, że Janajew Leszka witał raz entuzjastycznym okrzykiem na całą salę: o, towarzyszu Kaczyński (*śmiech*), tawariszcz Kaczyński. Wałęsa więc chciał rozmawiać z Leszkiem, bo potraktował go jako ewentualnego człowieka, który mógł nawiązać kontakt z Janajewem. Była to według mnie jedyna przesłanka, dla której uznał, że warto z Leszkiem rozmawiać.

Nie bywałem więc wtedy w Belwederze, nie rozdzierałem szat, jak mówiono „na mieście”, by nie dzwonił do Janajewa, czy nie pisał jakichś listów, nie krzychałem, że po moim trupie. Wałęsa ze swoich planów w ogóle się przede mną nie zdradzał, on za dobrze mnie zresztą znał, żeby nie wiedzieć, iż ja te wszystkie jego pomysły wyśmieję. *Ex post* dowiedziałem się, że pismo do Janajewa było naszykowane, że wysłanie go wyperswadował mu Bielecki, który po reakcjach amerykańskich zorientował się, że za chwilę będzie po puczu, po herbacie, bo Amerykanie nie poszliby przecież tak ostro przeciw Janajewowi, gdyby sądzili, że Janajew wygra. Powtarzam, ja wtedy nie odegrałem żadnej roli. I praktycznie po puczu kontakt między mną a Wałęsą ustaje. Ja do niego nie dzwonię i z nim nie rozmawiam, a Wałęsa poza jakimiś bardzo rzadkimi drobnymi sprawami, jakie ma do mnie, przekazywanymi trochę oficjalnym tonem, też nie rozmawia, ale i nie atakuje.

Te nasze kontakty odbudowują się po kilku miesiącach, po rozpoczęciu kampanii wyborczej do sejmu, jesienią 1991. Wałęsa wtedy wyraźnie chce mnie do siebie jakby przekonać. Nagle jednak dzwoni i mówi, że w Kancelarii będzie kontrola NIK-u i zarzeka się, że to rzecz zupełnie normalna. Nie mam wątpliwości, że jest to działanie wymierzone przeciwko mnie, że ta grupa wokół Wałęsy wykombinowała, iż warto, na wszelki wypadek, mieć na mnie jakiś hak. Cała ich twórczość bowiem to wyszukiwanie haków na ludzi i Wałęsa ten NIK przysyła do mnie, licząc, że coś znajdzie i on pod hasłem malwersacji finansowych będzie mnie mógł wyrzucić z Kancelarii przed wyborami parlamentarnymi.

Byłby to straszny cios dla mojej partii, nie ukrywam. Potraktowano by nas jak ludzi, którymi Wałęsa najpierw się posłużył, a potem wykopał na śmietnik, może by nawet partia się rozsypała. Prasa, bo większość prasy zawsze miałem przeciwko sobie, z „Gazetą Wyborczą” na czele, obśmiałyby nas i jazgotała, że utrupięłem własną partię, że popełniłem nadużycia, że afera z „Telegrafem” nie była wymyślona. I przegrałbym z kretesem. Najgorsze, że nie miałem żadnego ruchu, bo przecież nie mogłem się podać do dymisji, chociaż wcześniej zamierzałem, razem z Komitetem Doradczym prezydenta. Tylko oni nie mogli się zdecydować – kiedy, który moment byłby najbardziej optymalny.

Musiałem więc czekać na wynik kontroli i wierzyć, że w mojej firmie jest wszystko w porządku. Po to zresztą, żeby było, ja specjalnie w Kancelarii zostawiłem dwóch starych nomenklaturowych pracowników: Breitkopfa – prawnika i Chociszewskiego – szefa finansów. A zostawiłem ich wyłącznie po to, by pilnowali, ponieważ ja na co dzień nie miałem czasu zajmować się rachunkami, a bałem się, iż nowi ludzie nie potrafią strzec finansów. Wielu naszych kolegów ma bowiem taką „solidarnościową” tendencję, że jak obejmują jakieś stanowisko, to od razu chcą kupować telewizory wielkości szafy, nowe meble, instalować specjalne telefony. A przy tym w tej starej opozycji jest niechęć do wszelkiego rodzaju rygorów, które muszą być przestrzegane, niechęć do biurokracji, do urzędowania. I chyba – u niektórych – brak świadomości.

– Wyposzczenie?

Wyposzczenie może u tych, którzy do lat 80. normalnie funkcjonowali, później wycofali się i swoją nieobecność w życiu publicznym traktowali jak przerwę w życiorysie. Natomiast u wielu ludzi z mego pokolenia jest to raczej potrzeba nadrobienia zaległości, bo czas, w którym normalnie człowiek wspina się, buduje swoją pozycję, także materialną, spędzili oni w podziemiu, bez szans na cokolwiek i kiedy nastał czas, że mogli się zrealizować, chcieli realizować się szybko. Szybko się nachapać, szybko osiągnąć stanowisko. We mnie tego nie było.

– Nie? Bo też uznałeś, że jako prezes ważnej partii nie możesz jeździć polonezem, tylko oplem.

A ty skąd to wiesz?

– I dlatego opla zabrałeś dyrektorowi „Expressu Wieczornego”.

(Śmiech) Czy wiesz, kto decyduje o moich samochodach? Tazio!

– Jaki Tazio?

Mój kierowca. Ja spokojnie mogłem jeździć polonezem, tutaj mnie nie zaskoczysz, chociaż nie ukrywam, lubię dobre wozy i opel jest lepszy od poloneza, ale Tazio nie mógł. Tazio jest ambitny. Jak byłem szefem Kancelarii i Taziowi przydzielono do jeżdżenia lancię i to na dodatek błękitną, bo brązowe uchodziły wtedy za gorsze, ponieważ kojarzyły się Taziowi z kolorem czerwonym, którego nienawidził, wpadł do gabinetu i mnie ucałował. No, taki jest po prostu świat. A kiedy odszedłem z Kancelarii i lancję musiał zwrócić, to nawet Siwek, jedyny facet z naszego topu, który z Taziem jest „na pan”, przyszedł do mnie i powiedział: słuchaj, jak nie załatwisz lepszego samochodu, to Tazio się zastrzeli, więc wziąłem opła, który był własnością Fundacji „Solidarność”, a którym do tego czasu jeździł dyrektor „Expressu”, choć jemu ten opel się należał, bo on te wszystkie dobre wozy dla Fundacji pozalał. Jego żal był więc uzasadniony.

– NIK stwierdził, że nie dopilnowałeś 160 milionów z funduszu dyspozycyjnego prezydenta.

Wyjątkowo niecelny strzał, z którego Wałęsa po kilku dniach się wycofał. Odezwali się świadkowie, którzy nie bali się publicznie zeznać, że ja z jego funduszem dyspozycyjnym nie miałem nic wspólnego, bo nawet nie miałem pełnomocnictw do zarządzania nim. Choć oczywiście, postawił mnie w trudnej sytuacji, musiałem balansować, rozegrać ją tak, żeby do wyborów parlamentarnych ta scysja nie stała się zupełnie jawna, bo jakby się stała, to nasz elektorat – bałem się – wyraźnie prowałęsowski w d... by nas kopnął. Udało się. Rozstaliśmy się po wyborach parlamentarnych.

– Powiedz, czy został mu jeszcze ktoś z dawnych, podziemnych lat, kogo nie kopnął?

Czy ja wiem? Ale, wiesz, w tym kopniaku, jaki mi wymierzył, pierwszym wprawdzie, za to bardzo wyraźnym, było też coś bardzo osobistego do pewnego stopnia. Po wyborach wyrzucił kilkanaście osób z Kancelarii: Rybickiego, Szczepanika, Siwka, mnie też. I w sumie, niewiele mi w gruncie rzeczy zaszkodził, bo Porozumienie Centrum zdobyło 44 mandaty poselskie i stało się szóstą co do wielkości partią w Sejmie.

– I w rewanżu znowu podłożyłeś mu Olszewskiego na premiera?

A co cię dziwi?

– Bo sam mi wcześniej mówiłeś, że Olszewski jest to...

Jest! No i co z tego, co z tego?

– Dlatego chcę cię zapytać, czy się nadawał?

Co to znaczy, nadawał?! Wybór praktycznie istniał tylko między dwiema kandydaturami: Janem Krzysztofem Bieleckim i Janem Olszewskim, przy czym desygnowanie Krzysztofa oznaczało pełną kontynuację tego, co było, czyli dokładną odwrotność tego, czego ja sobie życzyłem, a Jan dawał szansę zrealizowania – po części przynajmniej – mego planu, naszego planu, czyli...

– Wiem, przyspieszenie, dekomunizacja. A sam być premierem nie chciałeś?

Wtedy już chciałem i gdybym mógł, to bym został, ale nie miałem szans. Żadnych. Ani w tamtym układzie politycznym, ani nawet w trochę lepszym. Mnie na premiera nie

zaakceptowałyby ZChN, nie mówiąc już o Wałęsie. Wałęsa nigdy w życiu by się na mnie nie zgodził. Ośmieszyłbym się nawet, gdybym z czymś takim się wychylił.

– Ale na Olszewskiego też się nie zgadzał.

Oczywiście, że się nie zgadzał. Słuchaj, ja w momencie, kiedy zdecydowałem, że Olszewskiego zrobię premierem, wiedziałem, że muszę przeprowadzić dwie zwycięskie bitwy. Gdzie dwie! Trzy! Z Wałęsą, z Unią Demokratyczną i jeszcze z samym Olszewskim.

– Po kolei: z Wałęsą.

Wiedziałem od początku, że kandydaturę Olszewskiego można będzie przeprowadzić tylko za cenę ostrej wojny z Wałęsą i miałem świadomość jednego: idziemy do ataku przeciwko niemu bez zabezpieczenia, czyli wbrew regułom wojskowym, które zna każdy człowiek o wyszkoleniu wojskowym na poziomie dowódczym. Nie wolno przeprowadzać ataku, gdy z góry wiadomo, że w razie niepowodzenia będzie tylko krew, i jak podczas wojny ktoś planuje atak plutonu czy grupy armii, to zawsze musi zadawać sobie pytanie, co stanie się, kiedy ten atak się nie powiedzie, czy mnie otoczą i jak się wycofać z najmniejszymi stratami. Otóż my z pełną świadomością na taki atak bez zabezpieczenia się zdecydowaliśmy...

– Kto „my”?

Porozumienie Centrum. I musieliśmy pokonywać różne zasadzki, które kombinował Wałęsa, na przedszkolnym wprawdzie poziomie, ale które trzeba było przeskoczyć.

– Na przykład?

(*Śmiech*). Na przykład zorganizował spotkanie czwórki: PC, ZChN, KPN, KLD, czyli ja, Chrzanowski, Moczulski i Tusk. Siedzę na nim i dobrze wiem, o co Wałęsie chodzi. Wałęsie przecież chodzi o to, żeby mieć rząd całkowicie sobie podporządkowany, a więc chce z rozmów wyeliminować KPN, doprosić Unię Demokratyczną i „małych chłopów”, i stworzyć rząd złożony z pięciu partii pod wodzą Bieleckiego. Liberałowie też tego chcą, bo oni przecież tak naprawdę nigdy nie grali na Olsza, oni grali na Bieleckiego. (Wałęsa zresztą długi czas liczył na to, że liberałowie wycofają się z poparcia Olszewskiego, że się zbuntują, co w pewnym momencie nawet prawie nastąpiło, i dzięki temu uda mu się nas rozwalić). Inni chyba to też wiedzą.

Wałęsa siedzi naprzeciwko i prezydentowi trzeba powiedzieć zdecydowane „nie”. Ja Wałęsie dziesiątki razy mówiłem „nie”, więc dla mnie to żadne przeżycie, ale inni są w nieporównanie gorszej sytuacji. Jestem gotowy powiedzieć mu „nie” jeszcze raz, ale jednocześnie nie chcę wystraszyć tej reszty. Wałęsa zarządza komiczne tajne głosowanie, kogo wyeliminować z tej czwórki, kartki przygotowane, ksiądz Cybula ma liczyć głosy. Powiedziałem wprost, że nie będę w tym brał udziału, Moczulski się zgodził, a reszta się wykręcała. Wałęsa zaczyna się pieklić, napada na mnie, przy tamtych, że w Kancelarii nie przeprowadziłem dekomunikacji, Wachowski donosi jakieś papiery na tych ludzi, których zatrzymałem, że jeden z nich był komunistą, drugi studiował w Moskwie, trzecia była sekretarką Messnera. Ja zacząłem się śmiać, żartować, a reszta była zażenowana, zdumiona, nie znali przecież Wałęsy.

Wtedy Wałęsa rzucił kandydaturę Geremka na premiera, absolutnie cynicznie, wyłącznie po to, żeby nas rozbić. Przetrzymujemy.

– Nie, walczyście z Geremkiem.

Trochę. Ale wiesz, ta wojna z Unią była właściwie najłatwiejszą potyczką w całej batalii. Geremek nie miał ani jednego promila szansy na utworzenie rządu, naprawdę.

– Nie wiedział?

Widzisz, to jest choroba ambicjonalna całego tego pokolenia 1956, które przez lata utrzymało się w polityce. Wszystkich, łącznie z Janem Olszewskim. Oni mają straszliwe ambicje, ich drażnią cudze sukcesy, oni wściekają się, kiedy w jakiejś akcji są pominięci, obrażają się, gdy nie eksponuje się ich zasług. Geremek straszliwie chciał być premierem.

Kiedy Wałęsa wysunął go na premiera, spotkaliśmy się. Rozmowę zacząłem od stwierdzenia: jeżeli chce pan ze mną rozmawiać o pana premierostwie to jest to rozmowa bezprzedmiotowa, ale jeżeli chce pan ze mną rozmawiać o sprawach Polski, o obecnych zagrożeniach, to oczywiście bardzo chętnie.

I on wtedy próbował mnie brać pod włos. Zaczął opowiadać swój życiorys. A dlatego niby mnie – wytłumaczył, bo pan jest kryształowo czysty – powiedział. Bez względu na to, czy chciał mnie wtedy podpuścić, czy zaszantażować, że jak go nie poprę, to znaczy jestem, no, wiesz kim, mnie było go żal. Żal, że tak bardzo chce być premierem i żal, iż wierzy, absolutnie irracjonalnie wierzy, że nim zostanie. On, według mnie, wcale nie jest dobrym politykiem, bo gdyby był – nie mówię wielkim, ale tylko niezłym – to on nie miał prawa tak przegrać. Przecież on miał piekielne karty w rękach w 1989 roku, w 1990.

– A ty, Jarek, w 1991.

To jest, moja droga, naprawdę zabawne porównanie, zresztą mniejsza z tym. Rządu Geremek nie zmontował, Unia była wściekła, ale miałem do niej stosunek wysoce ambiwalentny.

– Więc Olszewski.

Z Olszewskim zaś było tak, że on kompletnie nie wierzył, iż zostanie premierem i był przekonany, że ja go rozgrywam tylko po to, by podbić stawkę dla siebie. Znaczący, że ja go w pewnym momencie sprzedam Bieleckiemu, za co PC w rządzie Bieleckiego dostanie – powiedzmy – siedmiu ministrów, a ja zostanę pierwszym wicepremierem. Na taki wariant

Wałęsa prawdopodobnie by się zgodził. I miałby rację, bo gdyby zaistniał układ prezydent–premier, tych siedmiu ministrów g... by znaczyło w rządzie, i ja jako pierwszy wicepremier, nawet gdybym był hierarchicznie usadzony milimetr za premierem, też bym nic nie znaczył. Ale Olszewski tego nie rozumiał, ciągle mnie podejrzewał o podwójną grę i jego otoczenie, różnych panów Hniedzewiczów stale go w tych podejrzaniach utwierdzało.

Miałem wtedy charakterystyczną rozmowę przy obiedzie z jednym z posłów z grupy Olszewskiego, zupełnie świeżym człowiekiem, trochę niemotą, i on mi w swojej naiwności powiedział: no tak, to jest taka gra Olszewskim. Co było nieprawdą. Myśmy na uszach dosłownie stawali, żeby Olszewskiego wysforować na premiera. Myśmy robili po pięćdziesiąt różnych manewrów dziennie; osobiście kilkakrotnie prosiłem Bieleckiego, żeby został wicepremierem, uważając, iż w takim układzie personalnym Wałęsa zgodzi się na Olszewskiego; ja nawet w pewnym momencie coś tam obiecywałem Pawlakowi, mówiąc mu: wszystko panu zapewniam, tylko niech PSL poprze Olszewskiego, a potem kiedy poparł, demonstracyjnie mu dziękowałem. A tu wewnątrz mojej partii uprawiano propagandę, że ja chcę Olszewskiego wykończyć, i on w to – sędzę – wierzył. Powiem ci więcej, ja Olszewskiego zrobiłem premierem wbrew sobie.

– Jak to?

Bo ja wiedziałem, że on mnie prawdopodobnie wcześniej czy później zaatakuje. A wiedziałem stąd, że on był na mnie wściekły, iż nie zgodziłem się, by został szefem klubu parlamentarnego PC, zaraz po wyborach. Wprost mu powiedziałem, że się nie zgadzam i dodałem: szefem w mojej partii też nie zostaniesz. Bo i takie miał zamiary, o czym wiedziałem od Włodarczyka, który mi kiedyś, dużo wcześniej, w swojej głupocie politycznej powiedział bez ogródek: no wie pan, my (czyli Komitety Obywatelskie, bo tam wtedy obaj działali) moglibyśmy być w PC, ale ja wtedy rozumiem, że Olszewski zostałby szefem PC. Powiedziałem Olszewskiemu: nie zostaniesz szefem PC, nie tylko dlatego, że się nie nadajesz i że nie ty tę partię stworzyłeś, ale także dlatego, że twoje przywództwo w partii oznaczałoby władzę całej tej grupy, którą ja oceniam całkowicie negatywnie.

– Jakiej grupy?

Co potem odeszła: Hniedziewicz, Anusz, Kostarczyk.

Ja, Teresa, nie jestem człowiekiem nadmiernie ambitnym i gdybym wiedział, że przejęcie przez niego szefostwa partii po pierwsze: czemuś by służyło, jakiemuś szerszemu interesowi publicznemu, a po drugie: nie zmieniłoby układu władzy w partii, to wprawdzie bym się z tej alternatywy nie cieszył, ale poważnie ją rozważył. Być może on by został przewodniczącym, a ja jego urzędującym zastępcą, bo Olszewski przecież jest organicznie niezdolny do urzędowania. On mi jednak proponował w gruncie rzeczy coś zupełnie innego, że ja w partii, którą sam tworzyłem, za co wylano na mnie pomyje, którą traktowałem jak własne dziecko, stanę się mało chcianym gościem, rozumiesz? Bo wszystkie ważne w niej pozycje obsiądą oni, Włodarczykowie, Hniedziewicz i t.

Z rozmowy tej odniosłem wrażenie, że Jan się na mnie zawiódł, że jednak spodziewał się po mnie, iż ja mu swoją partię po prostu dam, że dla mnie powinno być oczywiste, iż to on będzie jej szefem. Bo widzisz, Olszewski ma podobne podejście do ludzi co Mazowiecki i Geremek. Przy potwornych ambicjach, niesamowitym poczuciu wyższości, oni trzej mają to samo przekonanie, że inni ludzie powinni dla nich pracować, że ta ich praca im się należy i jeżeli w zamian za nią zostaną przez nich obdarzeni jakąś formą przyjaźni czy zezwoleniem na pewną poufałość, powinni je traktować jako najwyższe wyróżnienie. Nie rozumiał Olszewski i nie był w stanie zrozumieć ani Mazowiecki, ani Geremek, że stosunki z nimi są dla wielu ludzi, no, nie pierwszorzędne. Że mają oni własne ambicje i własne cele.

– I kiedy zaatakował?

No, wiesz, on nas załatwił w trakcie tworzenia rządu, w sposób wyjątkowo niemiły. Potraktował nas po prostu po chamsku.

– To znaczy nie chciał wam dać jakich stanowisk?

Jednego.

– Bo chciałeś dla brata?

Inaczej. Dla mnie było ważne, żeby w tym rządzie – nie ukrywam – od nas był premier i mój Leszek na stanowisku politycznym. Ze względów nie takich, że to jest mój brat, ale dlatego że jest sprawny. Uważaliśmy, że Leszek będzie bardzo dobrym ministrem. Najpierw planowaliśmy, by został ministrem spraw wewnętrznych.

– Zamiast Macierewicza?

Oj, wołałem Leszka. Tylko szybko się zorientowałem, że Leszka nie da się zrobić ministrem spraw wewnętrznych, bo zaciekle się będzie temu opierał Wałęsa. Macierewicz bowiem bardzo dbał wtedy o to, żeby być w dobrych stosunkach z Wałęsą, a Leszek – nie. Najpierw okropnie pokłócił się z nim na samym początku prezydentury Wałęsy, o czym ci opowiadałem, a potem jak przez kilka miesięcy był u niego w Belwederze dyrektorem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, wszedł z nim jeszcze w dodatkowy ostry konflikt o kształt wojska. Ministrem spraw wewnętrznych Leszek więc nie mógł być. Olszewski zaproponował mi wtedy ministerstwo obrony. Jednak potem, po jakiejś rozmowie z Wałęsą, przyszedł i powiedział nam, że stanowisko to w ogóle nie wchodzi w grę, bo Wałęsa się nie zgadza. Ale jak tam było naprawdę, nie wiem.

– Parys mi mówił, iż Olszewski, kiedy szedł do Wałęsy, zadzwonił do niego i powiedział, że potrzebuje kandydata rezerwowego, bo właściwego ma (myślał o Włodarczyku i twoim Leszku) i Parys, pijąc kawę, rzekł: proszę bardzo, czyli wyświadczył – jak uważał – uprzejmość. Po trzech godzinach Olszewski zadzwonił do niego powtórnie i

oświadczył mu: już nie jest pan kandydatem rezerwowym, ale głównym, prezydent wszystkich od góry skreślił.

Z nimi, Teresa, wiesz, nie dojdiesz. Tam każdy mówi co innego, ale prawdopodobnie stanowisko to było rzeczywiście nierealne i Olszewski nie byłby w stanie Leszka przepchnąć.

– On też mówił mi, że próbował.

Teresa, Olszewski cieszył się, że udało mu się przepchnąć siebie i dalszej wojny z Wałęsą nie miał ochoty prowadzić. Tym bardziej, że szedł na niego silny nacisk, by ministrem obrony został Kołodziejczyk i Olszewski już zaczął wobec Wałęsy wykazywał pewną miękkość. Uważał, że nie może iść z nim od razu na konfrontację, że musi najpierw powołać rząd, odnieść kilka sukcesów i dopiero wtedy zaatakować.

No, to przerwaliśmy się na Urząd Rady Ministrów i wymyśliliśmy, żeby Leszek został szefem URM-u. Nie dlatego, że jest to bardzo ważne stanowisko, nam ono, oczywiście, odpowiadało, ale dlatego, że myśmy się po prostu obawiali, iż Olszewski, który już wtedy był nieformalnym szefem frakcji partyjnej w PC, frakcji, która zaciekle walczyła o opanowanie partii, że on wykorzysta URM do przejmowania partii.

URM pod tym względem jest najlepszym miejscem, bo za pomocą mianowań wojewodów można rozbudowywać organizacje wojewódzkie, do czego nie chcieliśmy dopuścić, a czego wprost nie mogliśmy wyartykułować. Przez co ludziom niewprawnym w polityce trudno było zrozumieć, że wprawdzie z jednej strony Olszewski jest przez nas forsowany na premiera, co każdy widział, z drugiej jednak strony my się z nim w wielu rzeczach nie zgadzamy i on z nami wojuje. Nawet w moim klubie poselskim panowała pełna dezorientacja i miałem ogromne kłopoty, żeby im tę sytuację wytłumaczyć. Olszewski jednak Leszka na stanowisku szefa URM-u nie chciał, wołał Włodarczyka. On Leszka nie chciał po prostu dlatego, że miałby w nim, na pewno lojalnego, ale i bardzo trudnego partnera, z którym musiałby współpracować poważnie,

lepszego od Włodarczyka nie o jedną, nie o trzy, ale o dziesięć klas.

Olszewski, odmawiając Leszkowi tego stanowiska, znowu powołał się przed nami na Wałęsę, że Wałęsa się nie zgadza. Byliśmy elastyczni, otwarci na inne propozycje, nie upieraliśmy się przy Leszku, no bo rzeczywiście, być może Wałęsa się nie zgadzał, a nie chcieliśmy przecież temu całemu przedsięwzięciu szkodzić, chociaż nie ukrywam, że mnie chwilami cholera brała, tak po ludzku.

Wtedy myśmy na szefa Urzędu Rady Ministrów wysunęli Siwka. Kaczyński nie może być, rozumiemy, dajemy Siwka. Nam naprawdę nie chodziło o stołki, nam chodziło o to, żeby zablokować możliwość używania rządu do zadań wewnątrzpartyjnych. I na Siwka Olszewski się zgodził.

– Wałęsa też?

No, wiesz, miało już półtora miesiąca bez rządu i Wałęsa zaczął mięknąć. Tym bardziej, że Olszewski zastosował wobec niego taki typowy, ale dobry chwyt: podał się, jak pamiętasz, do dymisji.

– Ach, dlatego, bo mówił...

Nie udawaj, proszę, że tego nie rozumiesz. Olszewski wyliczył, że dymisja nie zostanie przez Sejm przyjęta i że to odrzucenie bardzo wzmocni jego pozycję. Wałęsa, gdyby mu wtedy nie ustąpił, kompletnie by się ośmieszył, kompletnie. Czyli wszystko w porządku, jest dobrze, działamy razem dalej. Przed posiedzeniem Sejmu, na którym Olszewski miał podać skład Rady Ministrów odbyło się zebranie klubu poselskiego. Na tym zebraniu klubu, do którego należeli także ludzie Olszewskiego, mieli swoje koło w naszym klubie, zostało powiedziane, że trudno i darmo, cokolwiek by się na sali sejmowej działo, będziemy jednogłośnie popierać rząd Olszewskiego.

Anusz – ich człowiek – wybiegł z zebrania, jak się później wywieździeliśmy, przekazał tę informację grupie Olszewskiego, Olszewski był nas już pewny i wyobraź sobie taką scenę: siedzą moi koledzy z PC w ławkach sejmowych, mnie akurat nie było, zaziębilem się i dwa dni leżałem w domu, Olszewski już zaczął przemawiać, za chwilę przedstawi skład rządu i nagle przychodzi do nich kartka, że przepraszamy bardzo, ale szefem URM-u będzie Włodarczyk.

– W jakim ty towarzystwie, Jarek, się obracasz!

Tak nas potraktować, to było zwykle chamstwo. Mogliśmy wtedy postawić sprawę w ten sposób: albo szef URM-u będzie nasz, albo się wycofujemy i g... nas ten rząd obchodzi. Czyli zachować się jak Balazs, który – kiedy Olszewski zaproponował mu w ostatnim momencie, dosłownie na dziesięć minut przed wyjściem na salę sejmową, żeby zrezygnował z objęcia ministra bez teki – odpowiedział: proszę bardzo, ale ja w takim razie nie odpowiadam za sposób głosowania moich dziesięciu posłów. Tych dziesięć głosów, jak się potem okazało, nie miało znaczenia w głosowaniu, ale Olszewski jeszcze o tym nie wiedział i natychmiast się wycofał. PC zrobić tego jednak nie mogło, bo nam na tym rządzie naprawdę bardzo zależało. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że Olszewski będzie się zachowywać racjonalnie, że zrozumie, iż prowadzenie wojny z partią, która go premierem zrobiła, nic mu dobrego nie wróży.

Po tym świństwie chciał się ze mną spotkać, natychmiast. Odmówiłem. Rozumowałem tak: jeżeli pójdę do niego i sprawę postawię na płaszczyźnie politycznej, to nie mam żadnych instrumentów, aby ją rozegrać, bo przecież mu nie powiem, że się wycofam z koalicji; z kolei jeśli postawię ją w płaszczyźnie osobistej – bośmy przecież byli przedtem ze sobą w bardzo dobrych stosunkach przez wiele lat – trochę głupio, bo to w końcu chodzi o politykę, a nie życie prywatne i co ja mu powiem, że jesteś takim a takim synem? Poza tym obawiałem się, iż nasza rozmowa zostanie opacznie potraktowana przez innych: że Kaczyński przyszedł do Olszewskiego i zaakceptował ten stan rzeczy, co było nieprawdą. Ja tego stanu rzeczy akceptować nie zamierzałem, bo uważałem, że będzie on z jednej strony wykorzystywany przeciwko nam, a z drugiej – w rządzie zaczną się szarogęścić i triumfować ludzie bez

kwalifikacji politycznych, czym doprowadzą po paru miesiącach do jego klęski. Postanowiłem czekać, aż sytuacja się trochę zmieni.

– A w ogóle podziękował ci?

No coś ty, coś ty! Nawet jak przyszedł do naszego klubu poselskiego, to ani jednym słowem mi nie podziękował.

– To warto się było tak angażować?

Z perspektywy czasu sędzę, że on cały czas zachowywał się tak, żeby mnie zdenerwować. Myślę, że on robił wszystko, żeby mnie rozgniewać i popełnił – według mnie – fundamentalny błąd. Bowiem w sytuacji, która się wytworzyła, że nie mógł utrzymać całej władzy, że w gruncie rzeczy szereg resortów w ogóle nie kontrolował, nie kontrolował MSZ-u, nie kontrolował telewizji, nie kontrolował ministerstwa finansów w istocie, on powinien był jak najszybciej dokonać głębokiego manewru w kierunku Unii Demokratycznej, co mu wielokrotnie radziłem.

– Przecież mówileś, że z Unią – nigdy.

Ja?

– No, ty. Także do mnie.

Widocznie (*śmiech*) musiałem cię traktować jak ich agentkę. Słuchaj, moja droga, ja mam świadków, że ja chciałem z Unią już w grudniu. Chociaż, oczywiście, wolałem, by Unia weszła do koalicji w drugiej fazie. Czyli najpierw chciałem stworzyć dużą i silną naszą koalicję i do niej dopiero przyłączyć Unię. W grudniu jednak, z ręką na sercu ci mówię, przekonywałem

Olszewskiego, że trzeba im coś dać. I radziłem tak wbrew własnemu interesowi politycznemu, bo gdyby moje pomysły zrealizował, dostałbym w tyłek, ludzie by mnie, nawet w mojej partii, przeklęli, ale uważałem, że dla tego rządu to jedyna szansa na przetrwanie. Dlatego powiedziałem sobie: trudno, to nieważne, najważniejsza jest demokracja.

– Jaka demokracja?

Że rządzi, dziewczyno, parlamentarna większość i wyklucza się wariant: jeśli nie dyktatura, to pół-dyktatura. W Polsce przecież toczyła się walka nie o taki czy inny rząd. W Polsce toczyła się walka o demokrację. Dlatego tak się angażowałem.

– Z kim walka?

Jak to z kim?! Z Belwederem! Przeciwko Belwederowi! Tu, realnie rzecz biorąc, nie było żadnych merytorycznych możliwości sprawowania władzy bez pokonania Belwederu.

– I co chciałeś dać Geremkowi?

Ministerstwo spraw zagranicznych. Niech biorą – powiedziałem Olszewskiemu, aby tylko weszli. A gdyby nie chcieli zrezygnować ze Skubiszewskiego, to dać im jakieś inne poważne ministerstwo. Mówiłem Olszewskiemu: musisz z czegoś zrezygnować, zaproponuj im trzy, no, dwa poważne resorty: MSZ i ministerstwo finansów, nad którymi Olszewski i tak potem nie panował, oraz jeden gorszy, dajmy na to oświatę. Wprawdzie oddanie oświaty byłoby trudne do zgryzienia dla ZChN-u, wiem, ale na ZChN-owców Olszewski powinien był machnąć ręką. Oni – sądziłem wtedy – i tak za dużo od niego dostali. Unia by wtedy weszła do rządu, powiedzmy sobie szczerze, za niewielką cenę. I bez liberałów. Byłem o tym przekonany, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem i Olszewski też nie wiedział, że oni taką alternatywę już rozważali i prezydium Unii podjęło uchwałę, przy trzech tylko głosach przeciw (Kuronia, Geremka i Rokity), żeby do

rządu Olszewskiego jednak wejść. Źle, że tak się nie stało. Same korzyści z tego byśmy osiągnęli. Pierwszą: że ten rząd byłby wtedy trudny do ruszenia i przetrwałby może kilka lat oraz drugą: że Unia szybciej by się rozpadła i Hall, z którym byliśmy w bliskim kontakcie, wyprowadziłby z niej nie sześć, ale co najmniej dwanaście osób. O tym, że miałem stuprocentową rację przekonałem się już w dniu powołaniu rządu, dokładnie 23 grudnia. W jakimś pokoju sejmowym rozmawiałem z kierownictwem PSL-u, konkretnie z Pawlakiem. I Pawlak w pewnej chwili mówi do mnie: proszę pana, czy pana interesuje, nie od razu, ale za jakiś czas, niedługo, reorganizacja tego rządu. Odpowiedziałem: tak, to właśnie mnie interesuje. A była szansa, bo – jak pamiętasz – Olszewski nie powołał w swoim rządzie wicepremierów...

– I czterech ministrów.

Z ministrami akurat miał sto procent racji. Nie powoływanie ich było częścią naszego planu, który nazywaliśmy programem budowy nowego państwa, zamierzaliśmy te cztery ministerstwa zlikwidować, ale wicepremierów nie powołał, bo nie potrafił się na nikogo zdecydować.

Rozmawiam więc z Pawlakiem, a ten pyta mnie jeszcze tak: ale czy pana interesuje reorganizacja łącznie z osobą premiera? W tym momencie uświadomiłem sobie, że PSL chce mieć premiera. Chociaż nie uświadomiłem sobie, że tym premierem zamierza być Pawlak. Zapomniałem po prostu, że w Polsce jest rewolucja i kierowałem się rutynową wiedzą polityczną, z której wynikało, że ludzie w wieku 32 lat, bo tyle miał wtedy Pawlak, nie zostają premierami. Ta rozmowa z Pawlakiem umocniła mnie w przekonaniu, że jeżeli nie chcemy dopuścić, by jakiś człowiek z PSL-u został premierem, a było jasne, że nie chcemy i ja na PSL-owskiego premiera nigdy nie wyraziłbym zgody, trzeba szybko doprowadzić do rozszerzenia koalicji. W przeciwnym wypadku nastąpi klęska rządu. Ja miałem jeszcze jedną przesłankę, żeby tak sądzić. Zupełnie realną, wystarczyło tylko umieć liczyć. Trzeba być idiotą, żeby nie wiedzieć, iż rząd, który nie ma realnego poparcia w parlamencie, długo nie potrwa.

– W grudniu 1991 głosowało za nim 235 posłów.

I co z tego! Ja mówię o twardej koalicji, o twardym poparciu. A tego w Sejmie było mało, razem z chadecką drobnicą ze 155 głosów, a potem – po odejściu PChD – całe zaplecze rządowe zredukowało się do 140 osób. Już w grudniu więc można było dokładnie przewidzieć, kiedy ten rząd padnie. Przy budżecie, oczywiście. Bo rząd może u nas w parlamencie przegrywać wszystkie głosowania, ale tego jednego nie może i niezatwierdzenie budżetu każdy zmusi do dymisji.

Mówiłem więc Olszewskiemu, że trzeba dogadać się z Unią. Miałem też taki pomysł, żeby powołać rząd ocalenia narodowego, do którego oni by weszli i z którego by potem nie mogli bez straszliwej kompromitacji się wycofać. Olszewski się jednak krzywił, tłumacząc, że współpraca z Unią jest bardzo trudna. Oczywiście, że trudna, niezmiernie trudna. Oni przecież mają absolutne przekonanie, że jedynie oni są uczciwi, jedynie oni wykwalifikowani i w ogóle pod każdym względem święci. Ja też nie miałem żadnych złudzeń co do skali trudności tej współpracy, ale uważałem, że jednak można. Zwłaszcza z tymi spod znaku Mazowieckiego. Ale Olszewski nie chciał, tak jak nie chciał wpuścić do rządu nikogo z PSL-u. On uważał, że ten rząd musi być czysty, musi w oczach opinii społecznej stać się symbolem czystości.

– Czego, ręk, krwi...?

Jakiej tam krwi (*śmiech*). Nie chodziło też o ręce, ale o zaplecze, żeby ten rząd miał czyste zaplecze, niekomunistyczne, takie bez wątpliwości. Powtarzam – optymalny moment na wejście Unii do rządu był w grudniu i został stracony, ale opłacało się – według mnie – zaproponować im to też na wiosnę. Wtedy ustępstwa z naszej strony musiałyby być, oczywiście, dużo większe, wątpliwości nie miałem, bo partner był już dużo silniejszy, już otrząsnął się z klęski, jaką poniósł w jesiennych wyborach parlamentarnych. Oni przecież ponieśli straszną klęskę, dostali nie dwadzieścia procent głosów jak planowali, a tylko trzynaście. Nie ukrywam, że dobrze o nich świadczy, że tę porażkę przetrzymali, że się po niej nie posypali, choć wewnątrz partii były różne awantury, wyśmiewanie kierownictwa itp. Nie posypali się, i dlatego na wiosnę

trzeba było za sojusz zapłacić im bardzo poważną częścią władzy. Uważałem jednak, że należało tak zrobić. Olszewski w dalszym ciągu pozostałby premierem, szefem URM-u byłby człowiek od Olszewskiego, tego nikt nie kwestionował, Macierewicz by został szefem ministerstwa spraw wewnętrznych, chociaż musiałby wziąć wiceministrów z innych partii, co według mnie nie zaszkodziłoby temu resortowi i my, czyli PC też musielibyśmy mieć większy udział w Radzie Ministrów.

– Co na to Olszewski?



Warszawa, 1992. Posiedzenie Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Na zdjęciu posłowie na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej I kadencji, od lewej: Aleksander Kwaśniewski (Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej, SdRP) i Donald Tusk (Kongres Liberalno-Demokratyczny, KLD) w kularach. Fot. PAP/Andrzej Rybczyński.

Problem z Olszewskim polega nie na tym, że on jest zamknięty na inne poglądy, ale na tym, że kiedy z nim rozmawiasz, to on ci nie mówi wprost, co myśli o jakiejś sprawie, a przynajmniej mówi bardzo rzadko. Nie powie ci jawnie „nie”, jeżeli się z czymś nie zgadza. On zazwyczaj wykręca się, ześlizguje z tematu i ty wychodzisz z jego gabinetu w przeświadczeniu, że on się z tobą zgadza, bo sprawiał takie wrażenie, ale też podświadomie wiesz, że nic nie zrobi. Poza tym – jak próbujesz przycisnąć go – to potrafi ci w żywe oczy wmawiać, że na przykład on nie ma nic wspólnego z frakcją partyjną w PC, choć ta frakcja bezustannie zbiera się w jego

gabinecie i coś tam knuje. Takich sytuacji było bardzo wiele i ja nie ukrywam, że ten spór wewnątrzpartyjny ciągle naszym rozmowom towarzyszył. No, trudno, żebym się cieszył, iż mi ktoś partię rozbija w zamian za to, żeśmy go zrobili premierem. Za to, że ja go zrobiłem premierem, bo i tak można powiedzieć.

W końcu po wielu przygotowaniach rozpoczęły się rokowania o rozszerzenie koalicji z Unią Demokratyczną i liberałami.

Do stołu usiedli: Olszewski, Mazowiecki, Tusk, ja, ktoś tam z Porozumienia Ludowego, był też chyba Pawlak. Tych posiedzeń dużych, oficjalnych było może pięć, może siedem i na wszystkich bywały momenty, w których panowało milczenie. Najpierw krótkie, kilkuminutowe. Potem jednak doszło do takiego komicznego spotkania, w którym wszyscyśmy siedzieli przy stole i przez kilkanaście minut nikt słowa nie wymówił. Ja jeszcze czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Choć często brałem udział w rokowaniach politycznych. Powtarzam ci, w całym moim doświadczeniu, także tym, znanym z opisów, o niczym podobnym nie słyszałem. Wszyscy siedzieli i ani słowa.

– Kto odezwał się pierwszy?

Nie pamiętam. Mazowiecki zdaje się do dzisiaj ma do mnie śmiertelną pretensję, że te rokowania, które on traktował jako ostatnią szansę wejścia wtedy Unii do rządu, nie wyszły przeze mnie i ja mu celowo podstawiłem nogę, ale to absolutna nieprawda. Żadnej szansy nie było.

– A co takiego powiedziałeś?

No, właśnie nic. Zachowywałem się biernie. A zachowywałem się tak dlatego, ponieważ nie chciałem w te rozmowy zbyt ostro się angażować. A nie chciałem, bo już wcześniej, zanim one się oficjalnie załamały, a załamały – w mojej świadomości wcześniej, przed tą komiczną

sceną – wiedziałem po prostu dwie rzeczy: że z tych rozmów na pewno nic nie wyjdzie, gdyż Olszewski żadnego rozszerzenia koalicji nie chciał i nikt by go do niej nie przekonał. Na naradach wewnątrzkoalicyjnych, gdy ktoś zaczynał coś mówić za rozszerzeniem, złościł się, wręcz zmieniał na twarzy i zdawało się, że jest na granicy choroby nerwowej, a gdy ktoś był przeciw – jaśniał.

A po drugie wiedziałem: że olszewicy moje ewentualne poparcie Unii wykorzystają przeciw mnie wewnątrz mojej partii. Będą mówić: o, to ten, który znowu chce z Unią, co dla członków PC było opcją niesłuchanie trudna do zaakceptowania. Ja i tak ryzykowałem, bo jednak objeżdżając kraj, tłumaczyłem swoim członkom, że tak po prostu trzeba, ale oni tego albo w ogóle nie przyjmowali do wiadomości – to najczęściej, albo przyjmowali bardzo niechętnie.

– Wtedy postanowiłeś skłócić Olszewskiego z prezydentem.

No, wiesz, Olszewski taki głupi już nie jest, żeby nie wiedzieć, iż nie można na dwa fronty wojować. Sądziłem, że jak zaczniesz z prezydentem, będzie miększy na układ z Unią. Był w tym więc pewien zamysł taktyczny, ale także strategiczny. Olszewski bowiem uważał, że największym zagrożeniem dla demokracji w Polsce jest Unia Demokratyczna, a ja uważałem, że prezydent.

– I do rozgrywki wybrałeś Parysa, ministra obrony narodowej?

Nie, przy aferze z Parysem już było niemal po herbacie. Ja poparłem Parysa, bo z jednej strony uważałem, że nie należy go zdradzać, że polityka ustępstw wobec Belwederu do niczego dobrego nie prowadzi, rząd i tak diabli wezmą i będzie tylko kompromitacja; a z drugiej strony, wiedząc, że tzw. masy partyjne lubią mieć jasność kto jest kim, chciałem przed własną partią zademonstrować swoją twardość, że jestem człowiekiem twardym, który broni pewnych zasad, nie poświęca, jak Olszewski, z tchórzostwa kogoś, kto ma rację, bo Parys – nie ulegało dla mnie wątpliwości – miał rację i ta jego racja była wartością autonomiczną.

Dobrze zrobiłem, bo jak wiosną 1992 roku doszło do zjazdu Porozumienia Centrum i protestując przeciwko mnie opuściła go grupa Olszewskiego, około stu osób, to 500 jednak zostało i wybory na przewodniczącego wygrałem w bardzo dobrym stosunku 388 do dwunastu.

– Z działaczem, który za aborcję żądał dla kobiet 25 lat więzienia?

Tobie dałbym czterdzieści (*śmiech*). Czy wy, kobiety, naprawdę nie macie innych zmartwień na głowie?

– My chcemy łykać pigułki, Jarek. Legalnie.

A łykaj sobie! Kto ci zabrania, łykaj sobie, dziewczyno, cztery razy dziennie. Z tym działaczem od aborcji, pomyliło ci się, wygrałem na I Kongresie, z dużo zresztą gorszym wynikiem, niż na drugim, chociaż byłem u szczytu potęgi. Na II zaś otrzymałem niebywałą wręcz owację, pozwolę sobie przypomnieć piękne czasy. Wszedłem na salę, wszyscy wstali i bili mi brawo przez dziesięć minut. Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego, bo właśnie straciliśmy władzę (*głośny śmiech*).

– Skończ z Wałęsą, Jarek.

Więc stosunki z Wałęsą chciałem zaostrzyć wcześniej, jeszcze przed aferą z Parysem. Bo doszedłem do wniosku, że jak rząd nie ma telewizji, która zawsze była traktowana jako instytucja super strategiczna, to nie ma szans; że jak premier nie panuje nad telewizją i jest w niej kopany, to zbliża się jego koniec, a jeżeli na dodatek nie zachodzą żadne zmiany w świadomości społecznej, które powinny zachodzić, to ten rząd w ogóle nie ma sensu. Trzeba więc wykonać jakiś zdecydowany ruch, czyli zabrać telewizję Wałęsie, który gdy nastał, od razu parę stanowisk obsadził według własnego klucza, m.in. telewizję, mianując najpierw Mariana Terleckiego, a kiedy ten się skompromitował, Zaorskiego, owszem, niezłego reżysera, ale słabego człowieka.

Powiedziałem Olszewskiemu: trzeba wyrzucić Zaorskiego.

– I wymyśliłeś Romaszewskiego?

Nie. Ja nie wymyśliłem Romaszewskiego i nawet miałem dość sceptyczny, nie ukrywam, stosunek do tej nominacji. Myliłem się. Żeby było jasne, pierwszą osobą, której Olszewski zaproponował stanowisko prezesa telewizji, był Andrzej Urbański, nie Romaszewski. Urbański odmówił, bo Urbański w ogóle był niezmiernie wściekły na Olszewskiego i bardzo szybko doszedł do wniosku, że nie należy na niego grać. Prawdopodobnie już wtedy skłaniał się ku przekonaniu, że trzeba przejść do innego układu. Znaczący, on odmawiając, powodował się – jak sądzę – bardzo prozaicznymi przyczynami. Pierwszą: ponieważ Olszewski przegrywa, to po co zostawać szefem telewizji w rządzie, który i tak zaraz upadnie. I drugą: jeżeli ten rząd upadnie, to po nim, może przez dłuższy czas, nie będzie już rządzić nasz układ, tylko rządzić będzie inny układ, więc trzeba szybko znaleźć się w tym innym układzie.

– I poszedł do liberalów, zabierając ci z klubu pięciu posłów. Choć pół roku wcześniej mówiłeś, że to twój przyjaciel.

Ja ci tak mówiłem?

– Ty, Jarek. Ty w ogóle masz talent do dobierania sobie marnych ludzi.

O kogo ci chodzi?

– O Siwka, Glapińskiego, Maziarskiego.

Protestuję w sprawie Maziarskiego.

– Jarek, więc nie mówmy o nich, szkoda czasu. Olszewski wiedział, że przegrywa?

Słuchaj, o tym, że ten rząd padnie, wiedzieli wszyscy. Nawet dwudziestoletni dziennikarze, biegający po Sejmie, jego upadek przewidzieli dwa tygodnie wcześniej. Chociaż – dziwne – Olszewski, jak go spotkałem na osiem godzin przed upadkiem, powiedział mi, że jeszcze daje rządowi 50 procent szans, do dzisiaj nie wiem dlaczego. Macierewicz zaś o jego upadku był przekonany co najmniej miesiąc wcześniej. Rzekł do mnie, kiedy go gdzieś zobaczyłem: mamy tylko miesiąc czasu, żeby to zrobić.

– Co zrobić?

No, ujawnić agentów.

– I co mu odpowiedziałeś?

Wiesz, ja przedtem miałem do tego stosunek ambiwalentny.

– Kiedy przedtem?

Rok, półtora roku wcześniej. Nawet powiedziałem wtedy na jakimś spotkaniu przedwyborczym w Lublinie, że znam listy współpracowników UB i nie jestem taki zupełnie pewien tego, co tam jest.

– I co odpowiedziałeś Macierewiczowi?

Że tak, niech robi, że w porządku. Dziewczyno, gdybyś ty znała ten cały repertuar nazwisk, jaki tam jest!

– **Znam te ujawnione.**

Eee, to śmiechu warte, gdybyś znała, jak ja! W rzeczywistości ta lista jest nieporównanie dłuższa. Ja ci jej nie podam, bo po prostu nie mogę, ale gdybyś znała cały ten repertuar, to dopiero byś zobaczyła, co tutaj się dzieje i dlaczego tak dzieje.

– **Są wszyscy?**

Nie, nie wszyscy, ale jak się czyta te materiały, to ma się zupełnie zmieniony obraz historii. Ja dopiero po przeczytaniu tego zrozumiałem, że muszę go zweryfikować.

– **Bo nasze zwycięstwo (*śmiech*) zaprogramowało KGB w Moskwie, prawda?**

Nie ma się z czego śmiać. Podziemie było głęboko, bardzo głęboko spenetrowane, choć mechanizm tej penetracji, szalenie skomplikowany, nie do końca jest dla mnie jasny. Więc jeżeli nie zaprogramowało, to wszystko w dużym stopniu trzymało pod znaczną kontrolą. Od 1980 roku.

– **Rząd Mazowieckiego też?**

Nie. Żeby było jasne, na Mazowieckiego tam nic nie ma. Zresztą nie wiem, czy w ogóle jest jegoteczka. Bo w tych materiałach jest pewna jednostronność. Są środowiska bardziej przeniknięte i są zadziwiająco czyste. Stąd moje wątpliwości co do wiarygodności tych materiałów i stąd postawa, której się wcale nie wypieram, że początkowo miałem sceptyczny stosunek do ich ogłaszania, nie bardzo też wiedząc co z nimi zrobić. Bo z jednej strony

uważałem, że sytuacja, jaka jest – pełnej bezkarności, jest szkodliwa, ale z drugiej strony – dać komuś w łeb, w straszliwy sposób, dla człowieka niewinnego musi być czymś przerażającym, on nawet nie ma jak się bronić. Tak jednak myślałem na początku, kiedy zaczynałem urzędowanie w Kancelarii. Z czasem jednak, zagłębiając się w tę naszą politykę, obserwując różne działania różnych osób, także poznając decyzje Wałęsy, widząc jego zachowanie w czasie puczu moskiewskiego, zacząłem w pewne rzeczy coraz bardziej wierzyć. Ułożyłem je sobie w głowie i doszedłem do wniosku, że trudno i darmo, ale trzeba tę agenturę po prostu rozwalić.

– Uderzając w Wiesława Chrzanowskiego?

W Chrzanowskiego też. Poprosiłem o jego materiały, bo byłem jednak zdziwiony, mało zdziwiony – zbulwersowany. Są, z końca lat 40. i początku 50. oraz z 70. Choć są to raczej materiały tragedii, tragedii człowieka, który chciał coś zrobić, który ciągle był przyciskany.

– Opowiedz.

On w czasach stalinowskich siedział w więzieniu. W celi, gdzie na maleńkiej powierzchni przebywało sześć czy siedem osób, tylko on przeżył. Był sedes i jedyną wodę – dwa wiadra, którą dawano im do picia i prania, wlewano do tego sedesu. Podczas śledztwa rozerwali mu twarz. I tyle.

– Co jeszcze?

On sam kiedyś mi tę historię opowiadał, choć nigdy nie byłem z nim w bliższych stosunkach, jak Macierewicz. Znałem go tylko jako jednego z doradców Wałęsy, dzieliła nas bardzo duża różnica wieku, bo ponad 25 lat, utrudniająca zbliżenie, ale kiedy go spotykałem, przeprowadzaliśmy dosyć długie, sympatyczne rozmowy, niektóre komentowane przez twoich kolegów dziennikarzy pod hasłem: starzy przywódcy prawicy: Chrzanowski i Kaczyński ustalili

... (*śmiech*).

– Jarek, czy uderzyć w starego, ciężko doświadczonego człowieka, to jest po... chrześcijańsku?

No, zrobiono (*westchnienie*), bo wymagał tego interes kraju.

– Kraju?

Interes kraju, interes tego państwa wymagał zniszczenia starego układu i dlatego w stosunku do wszystkich, nawet do uczciwych później działaczy, należało wyciągnąć konsekwencje polityczne. To jest może przykre, trudne do przyjęcia, ale konieczne dla kondycji tego państwa. Ten kraj był przecież powiązany ze Wschodem i struktura tych powiązań była nieporównanie bardziej rozbudowana, niż my sądziliśmy. Gdyby wciągnięci w nią byli tylko pojedynczy ludzie z naszych elit politycznych, to można byłoby im – nie wiem – darować, zapomnieć, przemilczeć. Ale tak nie było. W niektórych dziedzinach nastąpiła ich szczególna koncentracja, co stawało się groźne dla państwa, niebezpieczne dla społeczeństwa. Bo nie zapominaj, że choroba tego społeczeństwa z różnych wynika źródeł, ale także i z tego, że u nas nigdy nie zostało rozdzielone dobro od zła. Nie świętowaliśmy momentu inauguracji, nie przeżyliśmy odkreślenia starych i nowych czasów, zmiany odbywały się w całkowitym pomieszaniu, w takiej szarości, bym powiedział.

– Bo białe i czarne, Jarek, mieliśmy w dużej dawce poprzednio.

Nie masz racji. Ludzie zwykle patrzą na rzeczywistość prosto, do kwalifikowania co jest dobre, a co złe, nie mają często ani kwalifikacji intelektualnych, ani wystarczającej wiedzy, ani nawet czasu. Ludzie chcą prostych rozwiązań, prostych recept. Dlatego trzeba było i w interesie tego społeczeństwa, i w interesie tego państwa usunąć agentów. A jeżeli się ich załatwia, to niestety, droga Tereso, nie można robić wyjątków. Nie może być wyjątków w ujawnieniach.

– Jarek, powiedz, własnego ojca też byś ujawnił?

Gdyby był agentem, to bym ujawnił.

– Czyli jak Pawka Morozow w czasach stalinowskiej czujności rewolucyjnej.

On doniósł na ojca do NKWD, bo ojciec ukrywał zboże, moja droga. Ujawnienie zboża przed rekwizycją jest działaniem na rzecz narodowej opresji, ale nie jest tym samym, co bycie agentem. Nie porównuj rzeczy nieporównywalnych, nie czyn tego co konsekwentnie i z sukcesem czynią komuniści, którzy różne dobre, ale często i złe zjawiska, jakie u nas występują, stale porównują z okresem komunistycznym. I mówią na przykład, że „Solidarność” stworzyła nową nomenklaturę, co jest po prostu oszustwem. Bo nie jest tak, że jakiś pijaczyna, który właśnie zrujnował trzeci zakład, otrzymuje rekomendację z „Solidarności”, jak poprzednio z Komitetu Wojewódzkiego, i zostaje dyrektorem czwartego.

– Tylko jak na trzeźwo rozłożył jeden dziennik, to dostał do zakładania drugi, a jak po roku nie założył drugiego, to został szefem... Wiesz, o kim mówię?

To dureń. I nie zapominaj, że jest on w układzie z Wałęsą, czyli jest to wyjątek od reguły, a nie reguła.

– Ale nasz kolega. Jacy my właściwie jesteśmy, Jarek!

W podziemiu byli różni ludzie, a pieniądze, jakie do niektórych napłynęły z Zachodu, strasznie ich zdeprawowały.

– Ujawnienie list przyspieszyło upadek rządu.

Zupełna bzdura, czysta głupota robić taki spektakl, najczystsza głupota.

– Z czyjej strony?

No tych, którzy rząd obalili. W ten sposób! Dla nas to było korzystne.

– Korzystne?

Bo noc, dramatyczne wydarzenie, telewizja na żywo je transmituje i cała Polska siedzi przed telewizorami. Cała Polska słucha, jak Olszewski wygłasza swoje ostatnie przemówienie, jak rzuca pytanie: czyja jest Polska. Po nim przemawia osiem lub dziesięć osób, ja też mogę się zaprezentować, wygłaszam przemówienie, które zostało bardzo dobrze przyjęte w partii, w środowiskach wokółpartyjnych i szerzej wśród zwyczajnych ludzi. Przy tym image – skończonych łotrów, dla nas było korzystne, że ludzie zaczęli o nas potem mówić pozytywnie, że jednak jesteśmy uczciwi, bo w trudnej sytuacji poparliśmy upadającego, a o tamtych, że popadli w histerię i wykazali się głupotą, czystą głupotą.

– I naprawdę nie widziałeś waszej? Zwłaszcza Macierewicza?

Jeżeli chodzi o Macierewicza, pamiętaj o jednej rzeczy, że jest to człowiek, który na pewno ma swoje wady i podjął wtedy złą decyzję (teraz nie mam co do tego wątpliwości), ale jest to człowiek niewątpliwie zręczny, wykształcony, sprawny intelektualnie, inteligentny i generalnie rzecz biorąc wyrobiony politycznie, u którego w pewnym momencie kariery życiowej coś się zacięło, nastąpił jakiś odjazd. On w 1981 roku zaczął żeglować w tę stronę, gdzie w końcu wylądował.

Być może doprowadziła go do tego jego wojna ze środowiskiem lewicowym, odbierana

przez niego bardziej emocjonalnie niż racjonalnie, nie wiem. Ze mną jednak Macierewicz rozmawiał rozsądnie. Mówił mi: słuchaj, ty żeś wymyślił partię nowoczesną, w stylu zachodnioeuropejskim, odciętą od wszystkich bagaży polskiej tradycji z antysemityzmem i nacjonalizmem na czele, i ja się z tobą – generalnie rzecz biorąc – zgadzam, ale ty nie widzisz tego społeczeństwa. To społeczeństwo – tłumaczył mi – żyło 50 lat w stanie zamrożonym i jest jak gdyby z Sienkiewicza, a nie z końca XX w. i jeżeli ma ono w ogóle być jakoś uporządkowane, zmobilizowane, ma się nie rozlecieć w tym kompletnym zamieszaniu ideowym, to jemu trzeba dać coś, co przystaje do jego świadomości, i ZChN jest właśnie tym, czego potrzebuje. Dalej mi mówił tak: ja mam takie same poglądy jak ty w gruncie rzeczy, tylko ja widzę, że twój zamysł jest nierealny, ty ze swoją partią możesz w wyborach dostać osiem lub dziewięć procent, nie więcej, bo nikt więcej cię tutaj nie zrozumie, trzeba więc – by stworzyć partię masową – działać inaczej, trzeba podchodzić do tego społeczeństwa takim, jakim ono jest, i ewoluować w kierunku nowoczesności razem z nim.

– I z Łopuszańskim na czele?

Łopuszański to cynik, on czuł, że ZChN jest potwornie zagrożone i wymyślił, że musi stworzyć partię prezydencką, bo koniecznie chciał być z Wałęsą, partię czysto religijną, wokół aborcji głównie, która będzie politycznie do wykorzystania, a jednocześnie będzie terroryzować Kościół swoim radykalizmem, bo Kościół nie będzie jej mógł zabronić głoszenia rzeczy, za którymi się opowiada z definicji i nie chce przegrać.

Macierewicz dał mi wtedy przykład Goryszewskiego. Powiedział: jeżeli w ZChN czołowe role odgrywają tacy ludzie jak Goryszewski, skończony idiota, to twoja wina, dlatego że ty odmówiłeś sojuszu z nami, a jak odmówiłeś, to my nie mieliśmy wyjścia i u nas wyrosli, a potem wzmocnili się Goryszewscy. Czyli, krótko mówiąc, Macierewicz uważał, że powinienem wejść na drogę cnoty, zawrzeć z nimi bliski sojusz, albo się połączyć, to oni wyrzucą Goryszewskich i razem będziemy na racjonalnych zasadach budować coś, co z jednej strony przerodzi się w przyszłości w nowoczesną polską prawicę, a z drugiej – wzmocni to społeczeństwo i pozwoli mu moralnie, a także – do jakiegoś stopnia – intelektualnie w sferze

odbioru rzeczywistości społecznej, uporządkować się. Tak mi mówił Macierewicz w 1992 roku. Ja nie wiem, czy on w to wierzył, czy nie. On być może wiedział, że ze mną właśnie tak trzeba rozmawiać, bo gdyby zaczął sprzedawać mi jakieś bajki endeckie, to bym go wyśmiał. Ale jeśli on był w stanie tak rozmawiać, to o czym to świadczy? Że on potrafi dostosować się do sytuacji i że umie myśleć, czyli nie jest człowiekiem całkiem nieodpowiedzialnym. A w ogóle wiesz, co go łączyło z Olszewskim? (*Śmiech*) Że jak obaj umawiali się na godzinę piątą 23-tego, to obaj przychodzili na piątą, ale 24-tego i się spotykali.

– Dzięki niemu Pawlak został premierem po raz pierwszy, na miesiąc, a nam do zagrania pozostał już tylko trzeci akt.

Teresa, bo było tak, że ja zmontowałem małą koalicję pięciu partii: PC, PChD, SLCh, ZChN i PL, aby nie dopuścić do powstania rządu Pawlaka, a oni wiedzieli...

– Co za oni?

No, Unia Demokratyczna. Oni utworzyli koalicję trzech partii: UD, liberałowie i Polskie Porozumienie Gospodarcze, i już wiedzieli, że z Pawlakiem im jednak nie wyjdzie, bo po pierwsze: Pawlak miał wielu przeciwników, a po drugie: nie bardzo im z nim wypadało tworzyć rząd ze względu na jego przeszłość ZSL-owską, a po trzecie: Pawlak nie chciał ustąpić w sprawie programu gospodarczego. I zaczęli się obawiać, że znowu nie wejdą do rządu, a dla nich taka świadomość zawsze jest psychicznie bardzo trudna do zniesienia. Ta sytuacja zmuszała ich do dogadywania się ze wszystkimi. Zaczęli więc też dogadywać się z nami za pośrednictwem Rulewskiego. Z tym, że prawdopodobnie sądzili na początku, iż ta nasza „piątka” jest ważna, i dlatego zaakceptowali w niej obecność PC. Kiedy jednak w pewnym momencie zobaczyli, że w ZChN panuje kompletne rozprężenie, partia przeżywa moralny kryzys i jest niezwykle łatwym do ogrania partnerem...

– Przez Macierewicza, przypominam ci.

Nie, Macierewicz zrobił to, co musiał zrobić, natomiast ZChN się zupełnie rozwaliło i gotowe było uznać przewagę tamtej koalicji, wyższość Unii, jej kierowniczą rolę. Więc jak Unia się w tym zorientowała, to doszła do wniosku, że może zrobić ten rząd bez nas.

– Kto się zorientował?

Na pewno Geremek, choć inni na pewno też. Hall nam potem opisywał bardzo dramatyczną naradę, którą oni odbyli po kilkunastu godzinach negocjacji z nami. Mieli wrócić za piętnaście 15 minut, koniak już stał na stole, żeby opijać sukces.

– Kto przyniósł?

Chrzanowski. I my mieliśmy spotkać się z nimi ponownie o pierwszej w nocy. Siedzimy i czekamy, mija pół godziny, godzina. Myny, mieliśmy – nie ukrywam – nietęgę. Dla nas ten sojusz z Unią był niezręczny, z punktu widzenia kraju korzystny, ale z naszego punktu widzenia – równia pochyła. Wiedzieliśmy, że wewnątrz partii zostanie niedobrze przyjęty. Że nasi członkowie powiedzą: o, ledwo upadł nasz premier i nasz minister spraw wewnętrznych, bo oni tak Olszewskiego i Macierewicza traktowali, a nasze kierownictwo od razu dogaduje się z Unią, która ich obaliła. PC byłoby niesłychanie trudno przekonać do tej koncepcji. Byłby to marsz po linie. Ja oczywiście, ze względu na swoją mocną pozycję w partii w końcu bym ich przekonał, ale wiedziałem, że za plecami by szumieli.

– Otrzymaliście przecież w wyniku rokowań pięć ministerstw!

I jeszcze wicepremiera do spraw politycznych. Czyli dla partii, która miała 31-osobowy klub poselski, był to sukces, ale arytmetyczny, który przyjmowaliśmy – nie ukrywam – z krzywą gębą.

– Kogo dawaliście na wicepremiera?

Siwka. Sławek był naszą kandydaturą na wicepremiera, jeszcze nie do końca zdecydowaną, toczyła się walka między nim a Żabińskim, ale to stanowisko było funkcją absolutnie bez znaczenia. Wicepremier może mieć mocną pozycję albo wtedy, kiedy jest w dobrych układach z premierem, albo kiedy szef URM-u jest jego człowiekiem, czy z nim powiązany, albo też, jeżeli ma bardzo poważne poparcie wewnątrz rządu. Zakładaliśmy jednak, że jak dwóch naszych, bo mieliśmy otrzymać też ministra bez teki, znajdzie się w URM-ie, to może razem będą jednak mieli coś do powiedzenia.

– Sławek chciał?

Oczywiście, że chciał.

– Bo rok wcześniej zapewniał mnie, że zostanie w tym kraju premierem.

No, Sławek lubi być, więc się cieszył, choć krótko (*śmiech*).

– Kogo typowaliście jeszcze?

Głapińskiego – na handel zagraniczny. Tchórzewskiego – na ministerstwo transportu, bardzo dobry facet, długo musieliśmy go namawiać, bo nie chciał, choć w rządzie Olszewskiego gotów był przyjąć funkcję wiceministra, Olszewski się jednak wtedy nie zgodził. Eysymontta – na ministerstwo planowania, od razu zaakceptował.

– Siedzicie i czekacie na przyjście „trójki”, czyli Unii, Liberalów i PPG.

Siedzimy i czekamy. To trwa. Trwa pół godziny, godzinę, dwie godziny. Przyszedł Hall pożegnać się z nami. Po Hallu widać, co myśli, i mina Halla była dla mnie sygnałem, że jest źle. Hall po prostu przegrał, Hall chciał stawiać sprawę uczciwie, nie chciał iść na tę hecę, którą oni zaplanowali.

Inni też już nie chcą dłużej czekać, idą spać, klnąc. Ja też zbieram się do wyjścia. W pewnym momencie słyszę, że tamci zaraz przyjdą, więc wracam, trochę rozeźlony sposobem traktowania.

Wyobrażasz sobie, jakie byłoby oburzenie ze strony Unii, gdybyśmy to my kazali im czekać?

Wkraczają. Mazowiecki idzie sztywnym krokiem, ktoś go podtrzymuje... nigdy nie widziałem go w takim stanie. Mogę ci przysiąc, że to prawda. Geremek jest potwornie czerwony na twarzy...

Przychodzą z Suchocką. Wchodzimy na salę. Pani Suchocka przedstawia się nam jako premier i oświadcza, że wszystkie warunki uzgodnione z nami, a więc także z PC, są nieważne i ona sama zdecyduje, z kim będzie współpracować. Jawnie więc łamie zawarte wcześniej porozumienia. Jestem wściekły, czego w ogóle nie ukrywam. Pięta rano, za kilka godzin mam radę polityczną partii i co ja im powiem? Idiotyczna sytuacja. W środku, w sercu byłem przekonany, że już jest po herbacie, że do rządu nie wejdziemy, bo się zorientowali, że ZChN nas nie poprze. W porządku, to nie wejdziemy. Wstałem, powiedziałem, że tak dalej nie będę rozmawiał. Na końcu języka miałem, że z pijanymi, ale się powstrzymałem i z całą delegacją PC wyszedłem.

– Koniaku żeście nie wypili?

Nic żeśmy nie wypili, poszedłem do domu, o spaniu nie było już mowy, wykąpałem się, przebrałem i pojechałem na zebranie. W poniedziałek i wtorek rozpoczęły się przetargi, czyli nasze rozmowy z panią premier. Nie ukrywam, że zrobiła na mnie jak najgorsze wrażenie, fatalne. Osoby kompletnie nie przygotowanej na to stanowisko, ot, średniego szczebla działaczka Unii Demokratycznej o SD-owskim pochodzeniu.

– A na mnie znakomite.

De gustibus, moja droga. Rozmowę zaczęła ze mną od tego, że: ja sobie nie życzę mówienia o moich kolegach, iż byli po koniaku. Bo ja żartem na konferencji prasowej na pytanie, dlaczego dalej nie rozmawialiśmy o rządzie, powiedziałem: no, bo panowie trochę wypili. Nie mówiłem jednak, że się zataczali. Od tego więc zaczęła, ale bez chęci spierania się ze mną w tej sprawie i potem powiedziała, że to ona decyduje, kto będzie w rządzie, bo jest premierem i nie zgadza się na Glapińskiego jako ministra współpracy z zagranicą.

– Siwka zaakceptowała?

Siwka, tak.

– Eysymontta i Tchórzewskiego również?

I co z tego? Słuchaj, ona zaczęła w rozmowie ze mną stosować dziwne chwytły, między innymi nagłym powiedzeniem, że Glapiński przywracał komunizm w handlu zagranicznym, co było kompletną nieprawdą, bo kiedy był ministrem współpracy z zagranicą w rządzie Olszewskiego, wprowadził – owszem – koncesje na handel paliwami. A wprowadził dlatego, że po pierwsze – on realizował program naszej partii, wykonywał zadania, któreśmy mu wyraźnie postawili; i po drugie – wprowadzenie koncesji było słusznym posunięciem i Suchocka też ich potem nie zniosła. Ja w pierwszej chwili nie widziałem, czy ona mówi poważnie, czy żartuje.

Słuchaj, to była taka rozmowa, że gdybym wcześniej się wahał, czy iść na tę ugodę kapitulacyjną z Unią, czy nie iść, to ta rozmowa utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie warto, bo kolejną osobą do utracenia byłby Siwek, a do rządu i tak byśmy nie weszli.

– Ale odrzuciła tylko Glapińskiego?

Przypomnę więc ci spór o Berlin, który trwał przeszło dwadzieścia lat. I zapytam, czy to był spór o Berlin, czy o Europę? To był spór o Europę! Podobnie rzecz działa się z Glapińskim, to nie był spór o Glapińskiego, tylko o to, czy PC będzie w rządzie, czy nie będzie, w którym Glapiński posłużył za pretekst. A nawet gdyby nie – co byłoby niesłychanie trudno ustalić – to i tak partia nie mogła godzić się z sytuacją, w której kogoś wysyła do rządu, mówi mu: rób to i to, ten ktoś wykonuje jej polecenia, a potem partia go za to karze, bo zrezygnowanie z Glapińskiego byłoby dla niego karą. Takie postępowanie każdą organizację strasznie by zdemoralizowało, dlatego nie mogliśmy ustąpić.

Liberałowie nam wtedy podpowiedzieli, żebyśmy zaproponowali Suchockiej przydzielenie Glapińskiemu innego ministerstwa. Zgodziliśmy się. Gdybyś mogła zobaczyć minę pani premier, kiedy powiedziałem jej: no, dobrze, możemy zrezygnować z Glapińskiego jako ministra handlu zagranicznego, ale przedstawiamy go w takim razie na stanowisko wicepremiera politycznego. Czyli na stanowisko, jak ci mówiłem, całkiem bez znaczenia. Ona to wręcz histerycznie odrzuciła. Ponieważ moja propozycja zmieniała jej koncepcję, która sprowadzała się do zrealizowania tylko jednego zadania: nie wpuścić nas do rządu. Hall zresztą wręcz mi to powiedział. Glapiński był pretekstem, dziewczyno. Wyłącznie pretekstem. Oni interes tego kraju mają za nic.

– Kto oni?

Unia. Z nienawiści do nas nie chcieli Glapińskiego. I z chęcią rewanżu za utworzenie przez

nas „piątki”. Więc odeszliśmy z koalicji i żeby było jasne. Po naszym odejściu wejście do rządu zaproponowano Tchórzewskiemu i Eysymonttowi, świetnym fachowcom. Ale ich chciano do rządu wciągnąć poza partią, więc obaj odmówili.

– I myślisz, że to też robota agentów?

Tereso droga, no, co ja ci poradzę, że elita Polski wygląda tak, jak wygląda. Ja ci powiem więcej, bo historyczną anegdotę, na którą się powoływałem jeszcze w latach 80. W latach 80. w klubie polityczno-towarzysko-dyskusyjnym, tzw. klubiku, do którego chodziłem razem z Janem Olszewskim, toczył się ciągle spór między mną a Olszewskim, czy warto się angażować w podziemie, a szczególnie w jego kierownictwo, ponieważ tkwiło w nas głębokie przekonanie, że musi być ono zagentowane.

Ja wtedy powoływałem się na fragment z dziejów bolszewików – jako że należę do pokolenia, które te dzieje czytało, bo wypadło – że Swierdłow, kiedy przed rewolucją lutową został mianowany szefem jednej z nielegalnych organizacji bolszewików, szybko się zorientował, iż w kierownictwie liczącym pięć albo siedem osób musi być agent, gdyż bez przerwy były jakieś wpadki. Różnymi metodami stosowanymi wtedy w konspiracji próbował wykryć, kto nim jest, i nie mógł. Przyszła jedna rewolucja, druga, bolszewicy zdobyli władzę, Swierdłow uzyskał dostęp do materiałów carskiej ochrony i co się okazało? Że agentami byli wszyscy poza nim. I mimo to bolszewicy zdobyli władzę, a car życie postradał. Dlatego w tych naszych sporach mówiłem: być może agenci są, ale my w podziemie powinniśmy się angażować, bo komunizm musi upaść, nie przewidywałem tylko, że tak szybko. I miałem rację. A Olszewski, który powoływał się ciągle na analogię z latami 40., na dzieje V komendy WIN-u itp., i twierdził, że nie ma sensu, bo skończy się kompromitacją – racji nie miał.

– I jaki wyciągasz z tego wniosek?

A taki, że jak upada system totalitarny, głęboko policyjny, to niepewność kto był, a kto nie był agentem, jest nie do uniknięcia.

– Nie boisz się, że na koniec okaże się, że tylko ty nie byłeś?

Nie, nie boję się. I nie używaj argumentów *ad absurdum*.

– Masz jeszcze nadzieję, że kilka osób się ostanie?

Jest noc. 15 minut po drugiej, więc mogę ci tylko powiedzieć krótką bajeczkę: najpierw byli opresjenci i był naród w opresji. Naród wyimaginował sobie, że jak komunizm upadnie, to będzie miał inną Polskę, dostatnią i szczęśliwą, a „czerwony” pójdzie na pełną degradację, pod nóż niemal i będzie miał źle. A co się stało? „Czerwony” niby oddał władzę, ale całe g..., które wyprodukował przez 45 lat, zwałił na głowę „Solidarności”.

Owszem, zmiana nastąpiła, ale polegała na tym, że my, którzy przejęliśmy po nich schedę, otrzymaliśmy gospodarkę, w której nie było ani pieniądza, ani ceny, w fatalnej strukturze, ze złym zarządzaniem oraz z bardzo wysokim stopniem demoralizacji załóg, nastawioną na zaspokajanie imperialnych interesów Rosji, zużyty w 80 procentach park maszynowy, rolnictwo w tragicznej kondycji, celowo zresztą do tego stanu doprowadzone, nierównowagę popytu z podażą, pogłębiającą się od co najmniej kilkunastu lat, i na do widzenia 1 sierpnia 1989 roku zafundowano nam jeszcze na dodatek bombę inflacyjną z opóźnionym zapłonem. A opresjenci, którzy wtedy zrezygnowali w zasadzie ze swoich funkcji we władzy, w zamian za to uzyskali potężne wpływy w sferze własności, także w strategicznej sferze, jakim są banki, które pozostały w ich rękach, wielką część biznesu, powstałą dzięki liberalizacji gospodarczej, jaką zaczął wprowadzać rząd Rakowskiego, a kontynuował Balcerowicz, zachowali kontrolę nad środkami masowego przekazu (w niektórych regionach kraju mają wręcz monopol) oraz utrzymali bardzo wysokie pozycje w aparacie przymusu, w wojsku, a zwłaszcza w służbach specjalnych, jedynych instytucjach, jakie są tu jeszcze w Polsce sprawne. I dlatego znowu wygrali.

– Nie, Jarek, oni wygrali przez nas.

Tereniu, ja jutro rano mam bardzo ważne spotkanie, dlatego mogę ci powiedzieć już tylko jedno: nie kompromituj się.

Bez złotego środka

Wiktor Kulerski

Urodzony 22 stycznia 1935, polski nauczyciel i historyk, działacz opozycji w okresie PRL, poseł na Sejm X kadencji.

Był współpracownikiem Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a od 1976 Komitetu Obrony Robotników. W 1980 wstąpił do „Solidarności”, do 1981 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze związku. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się, od 1982 do 1989 wchodził w skład podziemnego Regionalnego Komitetu Wykonawczego, w latach 1986-1987 był członkiem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu. (...) W rządzie Tadeusza Mazowieckiego objął stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej.

(za: [http://pl.wikipedia.org/wiki/Wiktor_Kulerski_\(młodszy\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Wiktor_Kulerski_(młodszy)))

*Rozmowy przeprowadzone
w latach 1991–1993.*

– Powiedz, czy tak to miało być?

Kiedy?

– **No, po 4 czerwca 1989.**

Jeśli mam szczerze odpowiedzieć, ja nigdy nie myślałem o przyszłości. Nie chciałem myśleć. Tak ustawiłem się psychicznie. Byłem przekonany bowiem, że moje pokolenie, a być może i następne dokonają żywota w czasach komunistycznych.

– **Ja również.**

Teraz także unikam zastanawiania się nad przyszłością. Być może z nawyku, a być może świadomie, ponieważ mam dojmujące przekonanie, że nasze społeczeństwo zostało straszliwie wyniszczone i zmienione, z czego my do końca, chyba, nie zdajemy sobie sprawy. Przerwana została jego ciągłość historyczna. Jest to inny naród, niż był przed pierwszym rozbiorem Polski czy nawet w czasie zaborów. Tamten skończył się w Powstaniu Warszawskim, kiedy zginęły ostatnie jego zagony.

– **Gorszy?**

Nie chciałbym wartościować. Pod pewnymi względami na pewno znacznie gorszy, pod innymi, daj Boże, lepszy. O czym myślę? O tym, że przez ostatnie 200 lat przechodziliśmy eksterminację selektywną. Osobniki określonego typu szły do powstań, do więzień, na zsyłkę, na emigrację, do piachu. Jest niemożliwością, żeby nie pozostawiło to głębokiego śladu na każdej z populacji. Wiadomo przecież, jak zmienili się Czesi po klęsce pod Białą Górą, kiedy przy życiu ostał się tylko jeden szlachecki ród.

Myślę zresztą nie tylko o wpływie bezpośrednim, bardziej o pośrednim. W Polsce odchodzili mężczyźni w wieku reprodukcyjnym, albo nie zostawiając potomstwa, albo

osamotniając żony i dzieci. Żony odgrywały wtedy podwójną rolę: matki i ojca, ich córki w dojrzałym życiu powielają postawę matki, a chłopcy nie mając wzorca mężczyzny w domu i biologicznie odrzucając – z przyczyn naturalnych – wzorzec kobiety, żyli w przedłużonym infantylnym. I trwało to tak przez pokolenia.

A co z kolei stało się w ostatnich pięćdziesięciu latach? Najpierw hitlerowcy wyrznęli, a potem komuniści w latach 1945-54 dorznięli resztki dawnego narodu, dawnego społeczeństwa. Tych co wracali z emigracji i tych co pozostali z AK. Dobijano młodych ludzi, którzy próbowali przeciwstawić się komunistycznemu podbojowi. Dobijano albo fizycznie, albo psychicznie, dając im w kość, przez co uciekali w prywatność nie chcąc o niczym wiedzieć ani o niczym słyszeć. Pojawił się przez to element w naszej tradycji poprzednio nieznan. Rodzice zaprzestali przekazywać wzorzec postawy obywatelskiej i wiedzę o naszej tradycji, przeszłości, naszej historii. Mój ojciec na temat swoich doświadczeń więziennych i emigracyjnych zaczął ze mną rozmawiać dopiero wówczas, kiedy znalazłem się w opozycji, a więc dopiero w latach 1976-81, a naprawdę mówić o sobie zaczął, kiedy wyszedłem z podziemia.

Ludzie dorośli nie chcieli przekazywać swoich bolesnych doświadczeń, bo się bali, żeby z młodym pokoleniem nie stało się to samo, co z nimi. Bo jakie to były doświadczenia? Mój dziadek, wydawca „Gazety Grudziądzkiej” i polski poseł do Parlamentu Rzeszy Niemieckiej, a później senator II Rzeczypospolitej siedział w trzech więzieniach: w Człuchowie, Płotzensee i Moabicy, gdzie zresztą napisał dla chłopców popularne *Dzieje Narodu Polskiego*. Mój ojciec, działacz przedwojennego Polskiego Stronnictwa Ludowego i członek Rady Narodowej na Uchodźctwie, siedział w dwóch. Pierwszy raz został skazany przed wojną – w 1939 roku w II Rzeczypospolitej, drugi raz – po wojnie, w PRL, na dwanaście lat więzienia, z czego odsiedział siedem. O czym więc mieli mi prawić? O wybijaniu się na niepodległość i demokrację, czy też o tym, co z tą niepodległością i demokracją zrobiliśmy? A może o cenie, jaką się płaci za niepokorność i wolność? Po drugiej wojnie światowej zaczęła się zresztą w Polsce formować zupełnie nowa warstwa społeczna, ni to średnia, ni to inteligencka.



Warszawa, 1990. Posiedzenie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (OKP) w sejmie. Klub zrzesza posłów i senatorów, wybranych z listy Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ Solidarność w Sejmie kontraktowym (Sejm X kadencji). Na zdjęciu m.in. poseł Wiktor Kulerski (trzeci od lewej), poseł Stefan Niesiołowski (czwarty od lewej). Fot. PAP/Ireneusz Radkiewicz.

– Inteligencja pracująca.

Ta, pozał się Boże, w porównaniu z dawną przedwojenną, jest ćwierć-średnia i ćwierć-inteligencka. Jakiś *ersatz*, coś zastępczego, co miało zapęlnić opróżnione pola po dawnych przedsiębiorcach, kupcach, fabrykantach, bankierach oraz po dawnych inteligentach, nauczycielach, lekarzach, adwokatach, *clerkach* rozmaitych szczebli. Zastąpić zaś nie mogła, bo tamta formowała się przez wieki, a tę kształtowano w oderwaniu od korzeni i tradycji, na zasadzie wyciągania ludzi z niższych warstw społecznych.

– Bo „nie matura, lecz chęć szczerą...”

I wychowywano w warunkach systemu komunistycznego, gospodarki państwowej, scentralizowanej, nakazowo-rozdzielczej. Niewątpliwie więc mamy do czynienia z innym społeczeństwem.

– Ale jakim?

Nie chcę oceniać, naprawdę. Nie wiem zresztą, jakie przyjąć punkty odniesienia, w relacji do czego uznać, że jedne cechy są lepsze, a inne gorsze. Prawdopodobnie nasze społeczeństwo jest niesłychanie splebeizowane, o czym by świadczyły wysokie pozycje takich polityków, jak Tymiański, Wałęsa, czy Kuroń – plebejskich w zachowaniu, aparycji, w sposobie mówienia, a nie Suchocka, Balcerowicz czy Geremek. Daj Boże, żeby nie było ono złumpenproletaryzowane.

– Masz jeszcze wątpliwości?

Nie, właściwie już nie mam. Choć na początku, kiedy Wałęsa rzucił hasło „wojny na górze” i sformułował swoją definicję demokracji, że jest to wojna wszystkich ze wszystkimi – miałem. Łudziłem się, że zostaną one przez społeczeństwo odrzucone, jako nieprawdziwe, niesłychanie destrukcyjne i niszczące właśnie demokrację. I popatrz, w innych społeczeństwach polityk, który ośmieliłby się coś takiego powiedzieć, musiałby odejść, byłby w ogóle skończony, a u nas – nie. Dlaczego? Dlatego, że w 1989 roku Polacy poczuli się zagubieni. Przez dwieście lat społeczeństwo było uczone, jak się niszczy, a nie buduje, jak się walczy, a nie współpracuje i raptem się okazało, że walczyć już nie ma z kim.

– I trzeba skoczyć z siekierą na siebie?

Właśnie, nie będziemy się bili z Niemcami, czy Rosjanami, ale ze sobą. Hasło niesłychanie destrukcyjne, ale formułując je Wałęsa wykazał niezwykle zmysł polityczny.

– Przestań!

Zupełnie niezwykle, powtarzam. Trafnie ocenił przyczynę frustracji społeczeństwa, wskazał mu nowego wroga, usankcjonował go, dzięki czemu pomógł społeczeństwu odnaleźć się w zaistniałej rzeczywistości i zręcznie tę bardzo polską umiejętność niszczenia – wykorzystał. Takie rzeczy zawsze potrafił robić lepiej od nas wszystkich.

– Prowokujesz mnie.

Prowokacja jest udana wtedy, kiedy pada na odpowiedni grunt, a jej skutkami nie można obciążać tylko prowokatorów, ale także tych, którzy się jej poddali (*uśmiech*). Jeżeli więc hasła Wałęsy okazały się skuteczne – a się okazały; jeżeli Wałęsa uzyskał przy ich pomocy wpływ na społeczeństwo – a uzyskał, oznacza, że takie właśnie ono jest i obrażanie się na niego byłoby bzdurą. Bo o czym to jeszcze świadczy? Że nasze społeczeństwo jest niezdolne do względnie realistycznej samooceny, do krytycyzmu wobec głupoty, niezdolne do przewartościowania otaczającej rzeczywistości. Powiem więcej: obawiam się, iż powodując się często postawami życzeniowymi zatracą wręcz instynkt samozachowawczy.

Sławek Bielecki postawił w którymś momencie paradoksalną – zdawałoby się – też, że musimy sami się skolonizować, bo nikt za nas nie zechce tego uczynić. Zapytałem go: czy jednak wiesz, co się dzieje, kiedy następuje dekolonizacja? Wzajemne wyrzynanie się – odpowiedział brutalnie – jak w byłych koloniach.

Ale może nie będzie aż tak źle, nie wiem. Bo w obecnym jednak społeczeństwie – gdybyśmy porównywali je do dawnego, wychowanego w dużej mierze w

szlachecko-ziemiańskich tradycjach – wykształciły się niewątpliwie pewne zachowania pozytywne. Na przykład wybory do parlamentu w 1991 roku i 1993 roku pokazały rzecz, której ja się nie spodziewałem, która mnie zaskoczyła, że w gruncie rzeczy hasła rasistowskie i antysemickie w skali społecznej nie odgrywają żadnej roli. Uprawiają je niewielkie grupy, które słyszy się, bo są hałaśliwe, ale slogany te nie znajdują poparcia w odbiorze społecznym i partie je głoszące zdobywają u nas znikomą liczbę głosów. Także uprzedzenia – najłagodniej mówiąc – do Niemców z jednej strony i do Rosjan z drugiej nie są aż tak silne jak w poprzednich pokoleniach i występują na mniejszą skalę. Zauważam też, iż młode pokolenie chce się odciąć od garbów, jakie niosło starsze, od jego ksenofobii, nienawiści, jest bardziej otwarte na świat. To wszystko.

– Zaraz, zaraz, a nauczyciele. Jacy są obecni nauczyciele?

O nauczycielach mogę mówić z pełną odpowiedzialnością, bo miałem dostateczne pole obserwacji, funkcjonując w zawodzie nauczycielskim 22 lata. Zaczynałem pracę wśród nauczycieli wykształconych i wychowanych w latach międzywojennych, więc mam także porównanie. Obecni nauczyciele, wychowawcy młodzieży absolutnie nie dorównują tym sprzed wojny ani formatem intelektualnym, ani charakterem. To obecnie zglajchszaltowana kasta, prawie zupełnie pozbawiona indywidualności, niezdolna, by coś samodzielnie kreować. Dominują w niej takie cechy, jak oportunizm i brak obywatelskiej odpowiedzialności. Jest to warstwa wykazująca dużą siłę inercji i konserwatyzm. Należy więc cieszyć się, że młodzież – między innymi dzięki środkom masowego przekazu – w mniejszym niż poprzednio stopniu ulega jej wpływom.

– Z badań Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych: 0,3 procent nauczycieli chodzi do teatru, 0,4 do kina.

Powiem brutalnie: ja nie przywiązuję większej wagi do tradycyjnych wartości, które u nas wysuwa się na pierwszy plan: do kultury czy etyki. Dla mnie to sprawy wtórne. Podstawową

rzeczą w człowieku – uważam – jest poczucie własnej wartości, świadomość, że coś umie, potrafi skutecznie działać, że potrafi zarobić na życie, potrafi zrobić pieniądze.

Bo widzisz, jak człowiek ma pieniądze, wtedy zaczyna chcieć je wydawać i wydaje, także na kulturę, a to na książkę, a to na teatr, czy na malarstwo. Często ze snobizmu, zgadzam się, ale to dobry snobizm. To samo jest z etyką. Jak człowiek ma pieniądze – zaczyna przestrzegać reguł etyki. Bo postawę etyczną życie na nim wymusza. Kiedy ma dobrą pracę, zależy mu, by być dobrze oceniany i stara się w niej utrzymać, nie chce jej utracić. Nie może więc kombinować, nie może łąć. Musi być punktualny, skrupulatny, musi przyzwoicie traktować ludzi. Do tego pojawia się jeszcze wtedy poczucie pewnej satysfakcji, żeby nie powiedzieć dumy z przynależności do określonej warstwy społecznej, grupy zawodowej, także narodu.

Nasi zaś nauczyciele – poza tym, że niedouczeni – są bierni, chcą by nimi sterowano czy kierowano. Wykazują absolutną niezdolność podejmowania decyzji, całkowite *désintéressement* dla życia publicznego kraju, politycznego, również społecznego, które nie przynosi natychmiastowych realnych korzyści w postaci pieniędzy. Nauczyciele ci tak zostali uformowani, po prostu, i tak, niestety, formują młodzież. Jest to model wychowania, który odziedziczyliśmy po prawie pół wieku komunizmu.

– Ilu lat potrzeba, żeby go zmienić?

Żeby wyszkolić nauczyciela – co najmniej trzy lata. Żeby on zużytkował swoją wiedzę w szkole w średniej – kolejne cztery lata. Efektów więc można się spodziewać dopiero po latach siedmiu. Tylko jest pytanie podstawowe: kto ma ich szkolić?! Kiedy przyszedłem do Ministerstwa Edukacji Narodowej, przekonałem się, że u nas elity sprawujące władzę, sternicy naszej nawy państwowej, zapatrzeni w taktyczne zadania, nie dostrzegają tych świadomościowych przeszkód, które są barierami w wymiarze strategicznym. Miałem też przekonanie, że jeśli nie zostaną one w porę dostrzeżone, zdefiniowane i przełamane, polityka rządu (nawet po chwilowych sukcesach taktycznych) musi – także w sferze gospodarki – ponieść klęskę.

Założyłem, że są co najmniej trzy podstawowe bariery, które musimy przełamać. Pierwsza – najważniejsza, bo wychowawcza: bierność. Najbardziej charakterystyczną bowiem cechą przekazywaną dzisiaj młodzieży przez szkołę jest bierność. Eliminowanie krytycyzmu, samodzielności myślenia, niezależności sądów, wyczekiwanie, by ktoś pokierował ich losem.

Drugą barierą – natury raczej dydaktycznej – jest, że szkoła nie przygotowuje młodzieży do życia w wolności, w ustroju demokratycznym. Nie daje minimum informacji o tym, jak demokracja funkcjonuje, poczynając od najniższych szczebli – gmin, a na parlamencie kończąc. Nie uczy, czym jest samorząd, demokratyczne wybory. Młodzież nic nie wie o wolnym rynku, co to jest bank, kredyt, giełda, przedsiębiorstwo. Nie rozumie, dlaczego w różnych sklepach są różne ceny, dlaczego fachowiec o tym samym przygotowaniu i podobnym stażu pracy zarabia inaczej nie tylko w dwóch różnych zakładach, ale nawet w tym samym. Opuszcza szkołę i jest wzburzona, zdezorientowana i zagubiona, nie umie się odnaleźć w nowej rzeczywistości, w tej nowej geografii. Młodzi ludzie będą więc tracić mnóstwo energii i czasu, żeby zrozumieć o co chodzi, będą działać nieskutecznie i często ponosić porażki z powodu własnej niewiedzy, co dodatkowo powiększy ich frustrację. Otóż my nie mamy nie tylko podręczników, które by to minimum wiedzy im gwarantowały, bo te które są, są marne, ale i nauczycieli przygotowujących ich do życia obywatelskiego, w gospodarce wolnorynkowej, w systemie demokratycznym.

Trzecią barierą jest rozpaczliwa nieznajomość języków zachodnich. Ktoś przyjeżdża i chce rozmawiać – nie ma z kim. Przyjeżdżają – powiedzmy – do zakładu pracy instruktorzy, żeby przeszkolić naszych ludzi w obsłudze nowych maszyn i co? Przez tłumacza mają się porozumiewać? To żaden interes, naprawdę. Zadzwoń ktoś z Europy, a zadzwoni, bo przecież wchodzimy we współpracę międzynarodową i sekretarka nie może się z nim porozumieć, bo nie zna ani angielskiego, ani francuskiego, żadnego języka, mało – ona nawet nie umie obsłużyć komputera. Kiedy w 1989 roku przyszedłem do ministerstwa we wszystkich polskich szkołach było 18 tysięcy nauczycieli języka rosyjskiego i półtora tysiąca nauczycieli wszystkich języków zachodnich. Na około 27 tysięcy szkół.

– Ale wy wystąpiliście do ministerstwa finansów o przydzielenie 26 tysięcy etatów dla

katechetów, prawda?

Proponuję sprawę stosunków państwo-Kościół potraktować jako oddzielny rozdział tej rozmowy, dobrze?

Więc kiedy rozpocząłem swoją działalność w Ministerstwie, przyjąłem, że najważniejsze do pokonania są te trzy bariery, a z tych trzech najmniej trudna jest do przełamania trzecia – bariera językowa, ponieważ mogłem liczyć na pomoc Zachodu. Moją *idée fixe* stało się powołanie w Polsce trzyletnich zakładów kształcenia nauczycieli języków obcych: francuskiego, angielskiego i niemieckiego, do których my byśmy dawali bazę materialną, czyli budynek z podstawowym wyposażeniem i obsługą administracyjną, a Zachód – schemat organizacyjny, programy nauczania, kadre nauczycielską i wyposażenie specjalistyczne. O co mi chodziło? Żeby ci przyszli nauczyciele po trzech latach studiów byli nie tylko specjalistami w nauczaniu języka, ale żeby przez te trzy lata zanurzyli się w środowisko niepolskie. Żeby młodzi ludzie po szkole średniej, bo dla nich je głównie projektowałem, przez trzy lata pofunkcjonowali wśród Amerykanów, Anglików, Francuzów, Niemców. Liczyłem, iż to obce środowisko zmieni ich mentalność, że przestaną patrzeć na świat przez polskie okulary, które obraz tego świata ogromnie zniekształcają, pogłębiając naszą izolację i powodując, iż Polakom wydaje się, że są przysłowiowym pępkim świata, że ich problemy są najważniejsze, uniwersalne, wyjątkowe. Miałem nadzieję, że pozbędą się także kompleksów, z których wynika między innymi potrzeba kompensacji oraz szeregu polskich garbów, choćby takiego jak dominacji personalizmu w myśleniu i w rozmowie. U nas bowiem nie jest ważne, czy prezentowany pomysł jest dobry czy zły, ale kto go postawił i jeśli nie ja – lepiej go skrytykować, a najlepiej utracić, storpedować, bo wtedy dam dowód, że jestem lepszy, mądrzejszy. Otóż nie udało się tego zrobić.

– Zachód nie dał pieniędzy?

O nie, Zachód dawał, ale my nie chcieliśmy. Dlaczego, za chwilę.

Kontynuacją tego pierwszego pomysłu było stworzenie w Polsce uniwersytetu zachodniego. Chciałem mieć jeden uniwersytet amerykański i jeden zachodnioeuropejski, z pięcioletnim cyklem nauczania. I znowu: my byśmy dali bazę – teren, budynek, a oni resztę. I znowu, o co mi chodziło, żeby młodzież wychowywana była w innym klimacie, nie przez naszych nauczycieli. Tego także się nie udało zrobić. Pierwszy pomysł został zrealizowany połowicznie: powstały trzyletnie zakłady kształcenia nauczycieli języków zachodnich, ale w oparciu o polską kadrę z polskich uniwersytetów, uzupełnione przez kadrę z Zachodu, a więc absolutnie nie to, o co mi chodziło, koncepcja zaś powołania amerykańskiego czy zachodnioeuropejskiego uniwersytetu nie została wprawdzie kompletnie zarzucona, ale nie znalazła jakiegokolwiek poparcia ani wśród ekip decyzyjnych: rządowych czy resortowych, ani wśród polskich intelektualistów.

– **Taki uniwersytet powstał. We Frankfurcie nad Odrą.**

Ale nie w Polsce. No widzisz, nie w Polsce. I teraz dlaczego. Najbrutalniej mówiąc dlatego, że zwyciężyła prywata, nasz partykularyzm, ksenofobiczne odruchy, zazdrości i zawiści, i dlatego, że nasze środowiska intelektualne i nasza pedagogiczna kadra poczuły się tymi pomysłami zagrożone.

– **Chodziło o stanowiska?**

Także, bo to przecież przyjemnie zostać dyrektorem lub kierownikiem w nowym zakładzie albo mieć w nim możliwość dorobienia dodatkowych pieniędzy do biednej uniwersyteckiej pensji. To jednak tylko część prawdy, ja bym jej nie upraszczał. Sądzę, że zagrało wiele elementów. Myślę, że po pierwsze: decydenci nie widzieli, szczerze nie widzieli potrzeby powołania w Polsce takich placówek, a wynika to – moim zdaniem – z tego, że ludzie nie chcą i nie są w stanie uświadomić sobie rozmiaru spustoszeń, które w społeczeństwie i w nich samych dokonały minione lata, nie chcą poznać ani rozległości choroby, która ich dotknęła, ani głębokości, z jaką wdarła się w ich organizm. Bo ta świadomość silnie zachwiałaby poczucie własnej wartości, a z tym byłoby im znacznie trudniej żyć, po prostu. To pierwszy element, który

zafunkcjonował: naturalna samoobrona – biologiczna wręcz – u wszystkich. Od ludzi z warstw najniższych do elit naszego kraju.

Drugi element: takie uświadomienie niesłoby w konsekwencji konieczność przyjęcia postawy skromności, pewnej pokory, do czego nie jesteśmy zdolni, z historycznych – według mnie – przyczyn. Pogardę – z jaką się spotykaliśmy od zaborców, najeźdźców, okupantów, nazistów, komunistów; poczucie, że posiadamy status obywateli drugiej kategorii – myśmy wyrównywali narodową dumą, która przeradzała się często w megalomanię narodową oraz w potrzebę odgrywania się na innych. Kiedy rzuciłem ten pomysł, pytano mnie: a co, polskie uniwersytety są złe? polscy naukowcy niedobrzy?

– W ministerstwie?

Też. Przecież w ministerstwie pracują absolwenci naszych uniwersytetów, przesiąknięci kompleksami i potrzebą ich kompensacji, którzy często dowartościowują się tym, że mają wykłady na uniwersytetach zachodnich. I co? I oni nagle mają sobie organizować coś, co będzie zagrażać ich pozycji? To trzeci element: totalny lęk przed konkurencją. Według mnie przez większość nieuświadomiany. Lęk, że powstaną placówki, na które my nie będziemy mieli żadnego wpływu, w których rządzić będą jacyś ludzie z zewnątrz.

– Niezweryfikowani.

Wolni i niezależni. Oni będą mieli więcej od nas pieniędzy, do nich pójdą najlepsi młodzi ludzie, bo mimo naszej megalomanii tkwi w nas kompleks niższości wobec Zachodu, więc młodzież będzie wolała skończyć uniwersytet zagraniczny niż polski. W tej sytuacji każdy, albo prawie każdy profesor w Polsce musi sobie zadać pytanie: jak ja w tej konkurencji wypadnę, mój zakład jak wypadnie. Wszyscy przecież będą porównywać, a więc będę musiał brać udział w ciągłej rywalizacji, której wynik, jeśli będzie dla mnie niekorzystny, osłabi moją pozycję zawodową. Taki stan zagrożenia konkurencją jest bardzo stresujący, prawda?

Czwarty element, który psychologicznie powiązany jest z poprzednimi: nawet najświatlejsi ludzie w Polsce, z którymi miałem do czynienia, dotknięci są ksenofobią, wpływającą z zaściankowości. Naukowcy amerykańscy na przykład – według moich obserwacji – spotykają się z pewnym lekceważeniem ze strony naukowców polskich. Wynika to – moim zdaniem – z tego, że Amerykanie są pragmatycznie nastawieni na sukces. Być może intelektualiści europejscy reprezentują więc wyższy niż Amerykanie potencjał intelektualny i erudycyjny, ale z pewnością Amerykanie potrafią go skuteczniej wykorzystać, są lepiej zorganizowani. Wiem jedno: jeśli umawiam się z Amerykaninem na godzinę 11.15 i zaplanowane jest omówienie tematu w ciągu piętnastu minut, to siadamy o godzinie 11.15 i o godzinie 11.30 temat jest omówiony, wnioski wyciągnięte i każdy wie co robić. Na podobne spotkanie z Europejczykiem potrzebuję już pół godziny, a na spotkanie z Polakiem dwie godziny.

– Bo się spóźni godzinę?

Inaczej. Europejczyk musi opowiedzieć o całym podłożu filozoficznym sprawy, choć dla praktycznego rozstrzygnięcia nie ma ono żadnego znaczenia, a Polak musi do tego dorzucić jeszcze swój życiorys i trochę historycznej martyrologii. Z tych powodów Polakom ogromnie trudno zrozumieć realia zachodnie, zwłaszcza amerykańskie, i przez to powstała sytuacja, że – owszem – chcemy pomocy amerykańskiej, ale wyłącznie w formie przez nas wyimaginowanej, której Amerykanie często nie akceptują, uważając, że jest to marnotrawienie tej pomocy. Rozpoczyna się dyskusja i z własnych doświadczeń wiem, że łatwiej jest wtedy o kompromis z ludźmi z Zachodu aniżeli z Polakami. W Polakach bowiem natychmiast ujawniają się przedziwne ambicje postawienia na swoim, których źródłem są oczywiście kompleksy, a motorem różne lęki.

– Ale ty też przyczyniłeś się do ich pogłębienia, bo urzędowanie w Ministerstwie zaczęliście od weryfikacji.

Czyli temat weryfikacji?

– Tak.

Bardzo dla mnie interesujący. Będą pytania, czy mam podać swoje stanowisko.

– Najpierw stanowisko.

Powiem tak: w ministerstwie, podobnie jak w Sejmie, należałem do jednych z najbardziej zdecydowanych oponentów wobec dekomunizacji i weryfikacji. Uważam, że ludzi, którzy tylko funkcjonowali w tamtym systemie, a był on, jaki był, którym nie udowodniono żadnych przestępstw, którzy nie robili krzywdy, nie działali świadomie przeciwko dobru publicznemu i pojedynczego człowieka, którzy wykazali minimum przyzwoitości, czyli nie byli nieprzyzwoici bezinteresownie, ale co najwyżej w sytuacji przymusu, na przykład zagrożeni utratą pracy, że ludzi tych należy zostawić w spokoju.

Konkretny przypadek. Został mi przysłany pakiet dokumentów osobistych funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, w których znajdował się: jego dowód osobisty z wstemplowanym miejscem pracy czyli Ministerstwem Edukacji Narodowej, jego legitymacja służbowa, wystawiona także przez moje ministerstwo, określająca jego dość wysokie stanowisko w tymże ministerstwie, oraz jego legitymacja służbowa jako funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Zażądałem sprawdzenia, czy taki człowiek u nas pracował. Nie było śladu. Zażądałem sprawdzenia, czy jego nazwisko pojawiała się na naszych listach płac. Nie było śladu. Ja jednak miałem w ręku dokumenty podpisane przez mojego pracownika.



Warszawa, 1981. 2 grudnia, rozpoczynają się przygotowania do zdławienia strajku studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie, którzy domagali się nadania cywilnego charakteru uczelni. Na zdjęciu Wiktor Kulerski (w berecie).
Fot PAP/Teodor Walczak.

Poprosiłem go do siebie. Spytałem, czy w ministerstwie wystawiane były jakieś dokumenty ludziom, którzy w nim nie pracowali. Zaprzeczył. Jeszcze raz wszystko sprawdziłem i poprosiłem go powtórnie. Spytałem, czy kiedykolwiek on sam podpisywał jakikolwiek dokument pracowniczy człowiekowi, który nie pracował w ministerstwie. Oczywiście zaprzeczył. Przemyślałem sprawę i wezwałem go na trzecią rozmowę. Zakryłem wszystkie informacje w tych dokumentach, zostawiając tylko okienko, żeby widoczny był jego podpis i pokazałem mu. Zapytałem, czy to jest jego podpis. W pierwszym momencie zaprzeczył. Później zastanowił się i powiedział: wie pan, to chyba rzeczywiście jest mój podpis. Podziękowałem i więcej wyjaśnień nie żądałem. Wyszedł. Po chwili wrócił. Powiedział: proszę pana, ja panu wszystko powiem.

I powiedział: mniej więcej raz w roku, kiedy trzeba było przedłużać ważność legitymacji służbowych, zjawiał się w ministerstwie funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa z całym plikiem legitymacji i dowodów osobistych. Przychodził do niego, czyli pracownika, do którego obowiązków należało wystawianie takich dokumentów, i żądał podstemplowania ich i podpisania. Pracownik nie wiedział o kogo chodzi, bo dokumenty te albo były czyste i pracownik podpisywał je *in blanco*, albo nazwiska w nich funkcjonariusz SB zakrywał, jak ja to zrobiłem. Procedura była uzgodniona z ministrem oświaty i pracownik, gdyby odmówił wykonania tych czynności, musiałby pożegnać się z karierą w ministerstwie.

– Urzędnik kancelarii naszego już prezydenta, Lecha Wałęsy, co ujawnił burmistrz dzielnicy Warszawa Śródmieście, też przychodził do gminy i żądał wydania mu praw jazdy *in blanco*.

Tak, bo podobnie funkcjonowało to we wszystkich instytucjach państwowych. Funkcjonowało przez 45 lat i stało się normą. Mój pracownik powiedział: nie mogłem nie podpisywać, podpisywanie należało do moich obowiązków i nie chodziło tylko o to, że przychodził do mnie funkcjonariusz SB, ja miałem takie polecenie swego ministra i nie mogłem się jemu nie podporządkować.

Pytam, czy ja powinienem był tego pracownika wyrzucić?

– Nie.

Uważałem podobnie. I on został.

Inny przypadek. Otrzymałem donos na swego pracownika, który poprzednio pracował na jednej z wyższych uczelni. Już nie pamiętam, kto go do mnie przysłał, nie był jednak pismem indywidualnego obywatela, ale jakiejś struktury: albo NSZZ „Solidarność”, albo Komitetu Obywatelskiego. Żądano ode mnie, bym pracownika tego wyrzucił z ministerstwa, ponieważ kiedy był strajk na tej uczelni w latach 80., po Grudniu, to mój pracownik zawiadomił milicję. Zacząłem badać sprawę. Okazało się, że zajmował on na uczelni stanowisko, które zobowiązywało go do informowania władz o sytuacji, jaka w niej panuje. Zasięgnąłem opinii aktualnego rektora uczelni, zasięgnąłem opinii byłego rektora, zasięgnąłem opinii Związku Nauczycielstwa Polskiego i rady pracowniczej. Powiedzieli: ten człowiek spełniał swoją powinność i choć ta powinność była dla nas przykra, on musiał ją wykonać, bo taką miał funkcję. Również i tego człowieka nie zwolniłem.

Były jednak przypadki, w których podjąłem negatywne decyzje personalne. Dotyczyły one ludzi, w których zauważyłem, że po szeregu doświadczeń, po szeregu prób, po wielu miesiącach współpracy, dalej mnie po prostu oszukiwali. Że prowadzili własną politykę personalną, forsując na stanowiska osoby na to niezasługujące, czyli słabe merytorycznie, ale z nimi w jakiś sposób powiązane. Że tendencyjnie dobierali współpracowników, którzy pomagali im w maskowaniu nieuczciwości, jakie występowały i występują w ministerstwie. Być może nie było to w nich – że tak powiem – zawinione do końca, być może zbyt głęboko tkwili w przeróżnych zależnościach i musieli się wypłacać tym swoim dawnym konfratom pewnymi koncesjami. Byli jednak ludźmi, na których urzędniczą uczciwość ja nie mogłem liczyć.

– Ilu ich było?

W skali globalnej, całego ministerstwa wymieniono może dziesięć procent pracowników, w tym trzy czwarte dyrektorów departamentów. I nie od razu po naszym przyjsciu, ale w przeciągu co najmniej kilku miesięcy, każdą bowiem decyzję personalną podejmowałem z dużym namysłem, z wielką ostrożnością, miałem przez to wielu wrogów, wielu przeciwników.

Powiem jednak dzisiaj, z perspektywy, że teraz każdą decyzję personalną podejmowałbym jeszcze ostrożniej aniżeli wówczas. Z czego to wynika? Mianowicie z tego, że zaobserwowałem, iż w znaczącej części ludzi pewnych politycznie, a więc nie związanych z dawną władzą, ideowo antykomunistycznych, sprawdzonych w działalności opozycyjnej...

– ... „naszych” po prostu...

Właśnie, z nowego naboru, nowej fali, w znaczącej części tych ludzi natychmiast po objęciu stanowisk, nowych funkcji, nowych ról, zaszły zmiany przerażające. Ja nawet to rozumiem.

– **Ja nie.**

Rozumiem, bo po pierwsze: byli to ludzie, którzy nie zostali wcześniej przyuczeni i przeszkoleni do funkcji, jakie przypadło im pełnić. W związku z tym mieli poczucie swojej nieudolności, braku przygotowania. Ono wywoływało lęki i obawy przed ujawnieniem tego. Po drugie: otoczeni byli przez rutynowanych urzędników niższych rangą, znających nie tylko swoją pracę i obowiązujące przepisy, ale również zaprawionych w grach personalnych. Wtedy mieli do wyboru: albo postawić na wszystkich ludzi świeżych, pozmieniać na przykład wszystkich dyrektorów szkół i zawalić – przepraszam bardzo za wyrażenie – robotę, albo w jakiś sposób zaufać starej kadrze i zacząć z nią współpracować. Innego wyjścia nie ma.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, co powiedziałem wcześniej, że ci nowi ludzie byli pełni lęku i obaw co do własnych umiejętności, że bali się zrobić fałszywy krok, że bali się wydać decyzję,

z której potem musieliby się wycofać albo ponieść jej konsekwencje, że bali się podjąć decyzje finansowe, bo łączyła się z nimi odpowiedzialność, że byli pełni strachu, iż w końcu ujawni się ich niekompetencja i przez to grozi im pewne lekceważenie zarówno ze strony starej kadry, jak i osób, które powierzyły im te stanowiska, zaufały im, a których w rezultacie zawiedli – to zrozumiemy, że ich sytuacja była niezwykle skomplikowana. Niesłuchanie szybko stawali się arogancy, pod agresją kryjąc swoje lęki. Bezwzględnie potrzebowali psychicznego oparcia, więc na ogół niezmiernie podatni byli na otaczanie się gronem pochlebców i hochsztaplerów, wykorzystujących ich sytuację, ogromnie byli narażeni na uzależnienie od nich. Powstały przez to nowe koterie, nawzajem się wspierające i ludzie ci w błyskawicznym tempie, w ciągu paru miesięcy stawali się kompletnie zdeformowani.

W związku z tym, widząc, co stało się z wieloma osobami, które awansowałem, widząc jak dalece się nie sprawdzili, teraz – mając do wyboru z dwojga złych rzeczy – zatrudnienie nowych: niekompetentnych, sfrustrowanych, rozwichrzonych, czy zostawienie starych, którzy przynajmniej potrafili zapewnić funkcjonowanie urzędu nie gorsze niż poprzednio, uważam, że mniejszym złem było zostawienie starych. Mówię to zresztą nie tylko na podstawie swoich doświadczeń z ministerstwa, ale również z okręgu wyborczego. W gminach, w samorządach gminnych, na stanowiskach wójtów, burmistrzów, prezydentów miast, w województwach, wszędzie zafunkcjonował ten sam mechanizm. Nie wolno więc było zbyt radykalnie wartościować ani tej starej kadry, którą zastaliśmy, bo ona była bardzo niejednolita, jej trzeba było starannie się przyjrzeć i ocalić z niej wartościowych ludzi, ani arbitralnie bardzo wysoko oceniać wszystkich ludzi nowych, którzy poprzychodzili.

– Ale tych braliście z prywatnego kalendarzyka, prawda?

Przyjmuję zarzut, że braliśmy z kalendarzyka i zadam ci pytanie: a skąd mieliśmy brać odpowiedzialnych, na których można polegać? Jak tych najlepszych wyselekcjonować i z kogo? Ja dopiero po roku intensywnych poszukiwań znalazłem rzecznika prasowego.

– Choćby w drodze konkursu.

Konkursy są teraz robione, bo jest to nakaz ustawy oświatowej, ale są one diabła warte, naprawdę. Dlaczego? Pierwsza bariera – finansowa. Wielu ludzi, których ja przyjąłem do ministerstwa, a którzy się jakoś sprawdzili – odeszło. Z bardzo prostej przyczyny. Proszę pana – powiedział mi jeden – ja mogę pracować dla ojczyzny rok, mogę pracować dwa lata, ale nie dłużej, bo ja w spółce polsko-zagranicznej czy w prywatnym przedsiębiorstwie w ciągu trzech dni zarobię tyle, co w ministerstwie przez miesiąc. I mieszkanie, które mi obiecujecie po dziesięciu latach, kupię wtedy po dwóch. Każdy więc, kto posiada kwalifikacje, doświadczenie zawodowe, jakiś potencjał intelektualny, myślę o prawnikach, finansistach, ekonomistach, administratorach, a zwłaszcza o takich, którzy znają obcy język odchodzi z instytucji państwowych. I nie zgłosi się na konkurs.

A jakie są konkursy? Zrobiliśmy na kuratorów, na dyrektorów szkół i mogę ci przytoczyć mnóstwo przykładów na to, że w ich wyniku przeszli ludzie, którzy absolutnie nie powinni przejść, i odwrotnie.

Konkretny przykład: ogłoszony został konkurs na kuratora, wziął w nim udział jeden z kandydatów, o którym sądziłem, że się nadaje, przy wszystkim wadach, jakie posiadał. Był jakoś tam sfanatyzowany, jakoś mało tolerancyjny, trochę personalny w swojej polityce, zresztą z przeciwnego mi politycznie obozu.

– Z ZChN-u?

No, nie aż tak, ale prawie.

– Czyli z PC.

Ale miał on jedną niezwykle ważną cechę – inicjatywę i niezależność w podejmowaniu

decyzji, czyli błędy, które by popełniał – popełniałby na własny rachunek. To rzadkie dzisiaj cechy, dlatego poparłem go. Zgłosił się na konkurs. Pada pierwsze pytanie: dlaczego chce pan zostać kuratorem? Mój kandydat odpowiada, szczerze: ja wcale nie chcę. I komisja, zamiast zadać mu kolejne pytanie: to po co startuje pan w konkursie? Dzięki czemu uzyskalaby być może ciekawą odpowiedź, jego szczerłość potraktowała jako przejaw absolutnej arogancji, lekceważenie urzędu i wszystkiego co najgorsze.

Tę postawę doskonale znałem ze szkoły. Kiedy mój uczeń, którego byłem wychowawcą, spóźnił się raz na lekcje i nauczycielka zapytała go: dlaczego, a on odpowiedział: proszę pani, bo zasnęłam, to nauczycielka z wymysłami wyrzuciła go z klasy, bo zachował się arogancko. Tłumaczyłem jej potem: proszę pani, wcale nie arogancko, on przecież powiedział prawdę, tylko prawdę.

Padło drugie pytanie: jak pan sobie wyobraża organizację pracy w kuratorium. Odpowiedź: żebym nie był w nim potrzebny. Doskonała odpowiedź, bardzo przytomna. I to był gwóźdź do trumny. Komisja poczuła się dotknięta, zagrały urażone ambicje i wiele trudu mnie kosztowało, aby ją przekonać, że jednak właśnie ten człowiek powinien zostać kuratorem. Co jednak zdumiało mnie najbardziej? To, że przeciwko tej nominacji był wspaniały działacz z podziemia, bardzo wartościowy pracownik, taki *self-made man*, dla którego miałem przez lata współpracy konspiracyjnej najwyższy szacunek, i nagle w nim także ujawnił się jakiś brak elastyczności, nieumiejętność oceny człowieka nietypowego, który zachowuje się nieszablonowo. Czyli jeden z polskich kompleksów, syndrom polskiej choroby, która draży to społeczeństwo od najniższych warstw.

– W tobie jej nie ma?

Na pewno też jest, aczkolwiek ja miałem w sobie dużo przeciwności, które zresztą nie zawsze okazały się dobre, ale to inna sprawa. Przebiccia nie mam, na przykład, hucpy nie znoszę.

Drugi przypadek: zgłosił się kandydat, który przedstawił poparcie związków

zawodowych, Porozumienia Centrum, czyli swojej partii politycznej, samorządu oraz Kościoła. Proszę pana – powiedziałem mu – to jakieś nieporozumienie, nas nie interesuje, że pan ma poparcie partii, związków zawodowych i przewodniej siły Kościoła Świętego, Matki naszej, pan pomylił epoki (*uśmiech*). Nie zrozumiał.

Konkursy więc są dobre, ale może w przedsiębiorstwie, w fabryce, gdzie łatwiej sprawdzić umiejętności zawodowe, ale nie w tak nieprecyzyjnej dziedzinie, jaką jest pedagogika, jaką jest wychowanie młodego człowieka, kiedy efekty są widoczne dopiero po latach. I kiedy nie wiadomo, jacy ludzie powinni zasiadać w komisjach konkursowych, z kogo ją po prostu skompletować, jakie kryteria ocen wprowadzić dla kandydatów, jakie wymogi im stawiać.

– A testy, jak na Zachodzie?

Ależ gdyby je odwzorować, nikt by nie przeszedł, nikt! I nigdzie! Wymagają więc adaptacji do naszych warunków. Adaptacja zaś wymaga czasu, pieniędzy, ludzi, którzy to zrobią. I przełamania tradycyjnego myślenia, bo u nas – kiedy mowa o testach – od razu pojawia się lekceważący uśmiezek: testy? Co tam testy! Amerykański wymysł! Więc jest to także sprawa przeskoczenia pewnego progu kulturowego, cywilizacyjnego.

– Czyli pozostaje bolszewicka weryfikacja? Za „naszych” czasów przeprowadzono trzy.

Niestety, niestety, weryfikacja, ta największa, z wiosny 1991 była przerażająca. W pierwszej myśmy – w możliwie wysokim stopniu – starali się nie ulegać presji otoczenia, by ciąć radykalnie, choć dzisiaj uważam, że mimo wszystko była ona ostrzejsza, niż powinna być. Natomiast druga ten nasz błąd pogłębiła. Uważam, że po pierwsze: trzeba awansować dotychczasowych pracowników i to – kiedy byłem w ministerstwie – zaczęliśmy robić, ponieważ z mojego oglądu wiem, że znacznie lepiej sprawdzali się ludzie, którzy nie przyszli ze środowisk kombatanckich, nie byli zanurzeni w działalność konspiracyjną, związkową, czy opozycyjną, ale

gdzieś tam pełnili jakąś funkcję, byli albo skromnymi nauczycielami, albo kierownikami jakiejś sekcji, wykonywali uczciwie pracę, na której się znali, i kiedy spotykał ich awans, potrafili dać z siebie wiele.

I po drugie: przyjąć zasadę, którą ja przyjąłem, że nie usuwam rutynowanych, doświadczonych, wyszkolonych urzędników, którzy dawnemu systemowi byli podporządkowani w sposób urzędniczy, zakładając, że będą oni równie przykładowie funkcjonować w nowym systemie, jak funkcjonowali w starym i dać im minimum poczucia bezpieczeństwa, doceniając ich pracę, ich kompetencje, a tym samym utrwalając w nich lojalność. Po trzecie: skończyć z wszelkimi weryfikacjami. Są w dłuższej perspektywie czasowej – nieopłacalne. Ludzie nie mogą żyć z takim biczem nad głową.

Problem weryfikacji drastycznie zresztą wypłynął w przypadku sędziów. Wielu było szubrawcami, robiło poprzednio straszne rzeczy, ale co? Odwołać ich? I co wtedy z niezawisłością? Kiedy raz się odwoła ze słusznych powodów – stworzy precedens, i następnym razem będzie można odwołać każdego z powodów niesłusznych.

A popatrzmy na dziennikarzy, co stało się z nimi, w prasie, telewizji. Nie chcą stracić pracy, to normalne, i bardzo uważają na koniunktury polityczne. Patrzą tylko, skąd wieje wiatr i dobrze muszą główkować, jak się sytuacja polityczna będzie rozwijała dla środowiska, na którym zawiesili swoje nadzieje w uzyskaniu profitów za wierną służbę. U nas funkcjonuje paracenzura, na szczeblu redakcji, i co najzabawniejsze, została ona zaprogramowana w ostatnim okresie komunizmu. Czyli jestem za położeniem „grubej kreski”, tak?

– **Tak.**

Ale tę mamy już przeciwioną, prawda? Z negatywnym rezultatem.

– **Wasza wina, że z takim.**

Ja myślę, że nieuchronny był jej negatywny odczyt w społeczeństwie. Banalnie mówiąc i skrótowo, powiem tak: w tym upodlonym, zniewolonym, sfrustrowanym społeczeństwie człowiek mówił sobie – nie jestem bogaty, nie jestem piękny, nie jestem silny, ale nie jestem Żydem. Później Żydów zastąpili kułacy, fabrykanci, ziemianie. W 1989 roku ich rolę mieli przejąć komuniści. I nagle Mazowiecki wyskoczył z „grubą kreską”, czyli chciał odjąć temu społeczeństwu ostatnią kategorię ludzi, od której mogło się ono czuć lepsze. Nasuwa mi się w związku z tym anegdota: przyszedł kiedyś Pan Bóg do bardzo biednego człowieka i powiedział: modliłeś się długo, prosząc mnie o pomoc, dzisiaj jestem i spełnię każde twoje życzenie, z jednym warunkiem, iż wszystko to, co dostaniesz, twoi sąsiedzi dostaną podwójnie. Biedny człowiek pomyślał i rzekł: panie Boże, to pozbaw mnie jednego oka.

Z „grubą kreską” u nas było podobnie. Nie ma Żydów. O fabrykantach i ziemianach mówi się już dobrze. Od kogo więc ci biedni ludzie mieli być lepsi, przepraszam bardzo?

To była przyczyna podstawowa, a na nią nałożyły się także inne. Dodam kolejną: natychmiast znalazła się u nas grupa demagogów i populistów, która postanowiła – wykorzystując tę psychologiczną słabość społeczeństwa – sprzeciwić się „grubej kresce”, zdyskontować ją na własną korzyść. W sposób skrajnie nieodpowiedzialny, kierując się prywatą, niektórzy politycy pobudzali kompleksy, jakie tkwią w naszym społeczeństwie. W sposób zimny i cyniczny – w tym kraju niesłychanie zrujnowanym i rozgrabionym – zbijali oni na nich kapitał polityczny, nie licząc się z konsekwencjami, jakie przyniesie to Polsce w przyszłości. Bazowali przy tym na najniższych uczuciach. I zyskiwali poklask, oczywiście, bo demagogia, populizm, słowne fajerwerki, blichtr zawsze są efektowne. Efektowniejsze od zwyczajnej pracy.

Są bowiem dwie kategorie ludzi: kreatywni, twórczy, którzy nawet w obozie koncentracyjnym czy w więzieniu zaczynają coś robić, a to organizują jakieś kursy, a to zakładają ruch oporu. I są ludzie, którzy mają dwie lewe ręce, nie potrafią znaleźć sobie zajęcia, nie mają pomysłów, brak im intelektualnych możliwości, nudzą się, niekiedy donoszą, ale mają silną potrzebę zaistnienia. I w jaki sposób mogą najłatwiej? Niszcząc. Krzycząc, że działania pierwszych są błędne albo oszukańcze, że są powodowane prywatą albo wręcz przestępcze.

Torpedując wszelkie inicjatywy.

Zawsze tak zresztą było, jak świat światem. Jedni zyskiwali swoją pozycję budując, inni niszcząc. A do historii przeszli i ci, który zbudowali Akropol, i ten szalony szewc, który żądny rozgłosu podpalił świątynię Artemidy w Efezie. I Cezar, i Herostrates.

Ta matryca powtórzyła się w Polsce. Przecież to nie jacyś komuniści czy naziści niszczą ten kraj, ale my sami. Swoje własne państwo, ledwo odrodzone, zaczęliśmy natychmiast szantażować strajkami, szarpać je blokadami i demonstracjami. Obalamy kolejne rządy, zanim cokolwiek zdążą zrobić, bez przerwy zmieniamy wojewodów, burmistrzów, siejąc zamęt i niepewność, uchwalamy sprzeczne ze sobą ustawy, odwołujemy dopiero co uchwalone prawa, rozpętujemy „wojny na górze” i palimy publicznie kukłę jednego, a potem i drugiego, „naszego” prezydenta. Uważam za rzecz skandaliczną – formę, w jakiej społeczeństwo odnosi się do Wałęsy. Nie szanując Wałęsy, nie szanując poprzednio Jaruzelskiego, nie szanujemy samych siebie.

Ale czy tego już w Polsce nie było? Było. Prezydent Narutowicz został zamordowany, do Witosa – trzykrotnego premiera naszego państwa w najtrudniejszych okresach potrafią wołać: chamie do wideł, do gnoju. My po prostu oczerniamy, szkalujemy, nie zachowując umiaru, eliminujemy z życia publicznego najlepszych z nas. Pozbyliśmy się Łętowskiej, Balcerowicza, Suchockiej, Skubiszewskiego. I ciągle tęsknimy za jakąś czystką, lustracją, dekomunizacją, weryfikacją, przeglądem kadr, wszystko jedno jak się to nazywa, które przyniosą nam katharsis, niczym procesja Bożego Ciała. Dlatego nie chcieliśmy grubej kreski.

– Ale wam, rządowi Mazowieckiego, zabrakło zdecydowania i konsekwencji w tłumaczeniu, czym ona jest.

Ale zastanówmy się, czy mogło być inaczej.

– Mogło.

Nie mogło. Choć ten zarzut o braku komunikacji ze społeczeństwem, o złej polityce informacyjnej rządu i Mazowieckiego, i Bieleckiego, i następnych jest słuszny. Tylko ja się pytam: kto miał to robić, gdzie miał się tego nauczyć. Do tłumaczenia, czy tworzenia image partii na Zachodzie wynajmuje się fachowców, a u nas po pierwsze: nie ma specjalistów, a po drugie: nie ma tradycji. U nas na dodatek reklamowanie polityka uważane jest za rzecz do pewnego stopnia wstydliwą, za rodzaj sprzedawania się, jest źle w odbiorze społecznym przyjmowane.

Przykład: duże spotkanie Unii Demokratycznej przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi w 1991 roku, zebrała się elita naszych intelektualistów, tworzone są jakieś deklaracje, oświadczenia. Bardzo mądre i słuszne. Ale ze względów socjotechnicznych popełniane są w nich kardynalne błędy, wpisuje się niedopuszczalne zbitki słów, które w pospiesznym społecznym odbiorze zostaną wykrzywione i brutalnie wykorzystane przez przeciwników. Zabrałem głos, poddając krytyce te deklaracje i powiedziałem: musimy wynająć jakieś przedsiębiorstwo, albo chociaż jednego człowieka, który nie zna się na polityce, ale zna się na reklamie, na propagandzie, niech on albo poprowadzi naszą kampanię w całości, albo przynajmniej niech kontroluje, czy konsultuje, co robimy. Jedynym człowiekiem, który mnie poparł, był Andrzej Szczypiorski, reszta – wielcy profesorowie, intelektualiści – oburzyła się: no jak to, pan więc uważa, że my nie umiemy napisać deklaracji czy oświadczenia? Wynik wyborów znany – poniżej oczekiwań i możliwości. I proszę, odpowiedz mi: czy naprawdę był to błąd, którego można było uniknąć? Nie, nie można, bo taki jest stan świadomości.

Chciałaś zapytać o religię w szkole. Z nią stało się podobnie. Był to błąd nie do uniknięcia.

– Więc jednak błąd.

Powtarzam: był to błąd, który był błędem nie do uniknięcia. Dlaczego? Rzecz pierwsza: rząd Mazowieckiego był od początku rządem słabym, nie mającym należytego poparcia ze strony

sił politycznych.

– Chodzi ci o Kościół?

Nie tylko. Myślę także o NSZZ „Solidarność”, o Lechu Wałęsie, KPN-ie, ugrupowaniach postkomunistycznych, czyli o Stronnictwie Demokratycznym i Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym. Mazowiecki nie miał także poparcia w Kościele, tak było.

– Ale miał społeczne, naprawdę miał.

Poparcie społeczne! Czy myślisz, że hierarchia kościelna jest tak nierozsądna, żeby nie wiedzieć, jak jest ono ulotne i kruche? Bo i trudności ekonomiczne, i „gruba kreska” niechętnie widziana. Episkopat doskonale wiedział, że ten rząd potrzebuje wsparcia codziennego, że Kościół spełnia rolę jęczyczka u wagi i że odmówienie mu tego poparcia skazuje go na klęskę. Poza tym sama osoba Mazowieckiego budziła w hierarchii wiele zastrzeżeń. Mazowiecki bowiem należy do środowiska, które ja nazywam środowiskiem oświeconego katolicyzmu i które jest przez hierarchię uważane za najpoważniejsze – jak sądzę – zagrożenie dla Kościoła.

– „Tygodnik Powszechny”?

I jeszcze „Znak”, „Więź”, Laski. Po drugie: wchodząc do rządu miałem świadomość, że za chwilę będzie on atakowany ze wszystkich stron. Pamiętam rozmowę, jaką miałem z Lechem Wałęsą tuż przed czerwcowymi wyborami do Sejmu, w 1989 roku. Ważni wówczas ludzie, jak na przykład Adam Michnik, przekonywali go wtedy, nie wiem co mając na celu i czym się kierując, ale to sprawa drugorzędna, przekonywali Lecha, że powinien kandydować do Sejmu, albo do senatu. Przedstawiłem mu własne zdanie. Lechu – powiedziałem – dzisiaj w żadnym wypadku nie możesz kandydować. Z jednego powodu. My wszyscy jesteśmy przeznaczeni na odstrzał, ponieważ ta orka, którą musimy wykonać w tym kraju, będzie tak kosztowna i tak

ciężka, że wszyscy odczują jej trud i jej dotkliwość, nie widząc jeszcze owoców, bo owoce przyjdą o wiele później. I my za nią zapłacimy. W tej sytuacji każdy przytomny dowódca powinien zostawić sobie odwody. Ty jesteś autorytetem, ty więc nie możesz umoczyć się ani w parlamencie, ani w rządzie, ty musisz być czysty bez względu na to, co nam zarzucą i czym nas obciążą.

– Nie oni, ale on.

Znam (*śmiech*) Lecha od 1980 roku, a więc nie od dzisiaj i byłem przekonany, że tak się stanie. Episkopat słabość rządu również postanowił wykorzystać. Bo na czym polegały i polegają założenia jego polityki? Wykorzystać wszystkie słabości, wszystkie, do pozyskania terenu. Kościół taką politykę prowadził od dawna i konsekwentnie. W Polsce roku 1990 pojawiła się przed nim nie lada szansa. Polska jest w 90 procent krajem katolickim. Komunizmu już nie ma. I nie ma jeszcze tej nieznośnej dla Kościoła – nieznośnej równie jak komunizm – liberalnej demokracji zachodniej. Czyli jest okazja, by spróbować stworzyć w Polsce coś nowego. Myślę, że Kościół od początku upatrywał w Polsce pewną szansę na zbudowanie tutaj demokracji katolickiej.

– W miejsce socjalistycznej?

I zamiast demokracji liberalnej, funkcjonującej na Zachodzie. Moim zdaniem, od początku wszelkie działania Episkopatu szły w tym kierunku. Stąd uporczywe, konsekwentne, bezwzględne wykorzystywanie słabości władzy w Polsce, stąd wymuszanie decyzji, które dawały mu okazję do zajęcia kolejnych pól. Stąd – według mnie – daleko idąca zmiana tonacji w wystąpieniach papieża podczas jego pobytu w Polsce w 1991 roku i kompletnie odmienna od poprzednich homilia wygłoszona w czasie mszy na Agrykoli w Warszawie.

Sytuacja teraz jest jasna, ale rok wcześniej, dwa czy trzy lata wcześniej, kiedy Kościół wystąpił z żądaniem wprowadzenia religii do szkoły, nie była jasna i Mazowiecki, bo on

właściwie był kluczową postacią tej decyzji, nie mógł odmówić.

– **Mógł.**

I o co zostałby oskarżony? On! z piętnem lewicowości, które przypisywane jest całemu ugrupowaniu, do którego należy. Przecież ci wszyscy wielcy politycy: Kuroń, Geremek, obarczeni są pewnym garbem przeszłości. Bardzo łatwo Kuronowi czy Geremkowi wytykać komunistyczną przeszłość.

– **Samsonowiczowi, ministrowi edukacji, także.**

Ja abstrahuję od rozważań, czy jest to słuszne, czy nie, chcę zwrócić uwagę na problem psychologiczny, że ta przeszłość rzutuje na ich postępowanie. Oni muszą przez nią być często skrzępowani wewnętrznie, nawet jeśli nie do końca zachowali świadomość, że jednak w pewnym momencie rękę przyłożyli do tego, co było. Muszą o niej myśleć.

– **Prymas Glemp im zresztą ją wtedy wypomniał, głosząc w telewizji, kłamliwie notabene, bo w uproszczeniu, że przeciwko wprowadzeniu religii do szkoły są ci, którzy ją poprzednio usunęli.**

No, właśnie. Jeszcze trudniejszą sytuację miał Mazowiecki, człowiek głęboko wierzący. Pomijam jego uzależnienie uczuciowe od Kościoła, ale czy pamiętasz artykuły Mazowieckiego, które napisał on w początkach lat 50.?

– **Jeden, uzasadniający skazanie biskupa Kaczmarka na 12 lat więzienia.**

Przedrukowała je prasa podziemna w latach 80. Były straszne. Po prostu straszne. Jeżeli ktoś coś podobnego w życiu popełnił, ktoś uczciwy, a Mazowiecki jest człowiekiem z gruntu

uczciwym, to nie zapomni tego do końca życia, zawsze będzie się czuł napiętnowany. Tak więc i on, i Kuroń, i Samsonowicz byli psychicznie predestynowani – w sposób zupełnie od nich niezależny – do ustępstw wobec Kościoła.

Poza tym, jeśli już jesteśmy przy zależnościach, trzeba uwzględnić otoczkę psychospołeczną: ludzie Kościoła – wbrew pozorom – byli głęboko powiązani z poprzednim systemem, z prominentami komunistycznego reżymu. Ja nawet – zanim przyszedłem do Ministerstwa – nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak głęboko. Wysoko postawieni członkowie hierarchii kościelnej uważali za rzecz normalną, bo widocznie – jak sądzę – przez lata byli do tego przyzwyczajeni, rekomendować na stanowiska różne osoby, na przykład pana Sławińskiego, który kompromitował ministerstwo lansowaniem między innymi kary cielesnej jako metody wychowawczej. Dzwonili też do urzędników ministerstwa i interweniowali na przykład w sprawie nie zwalniania tego czy innego pracownika lub dyrektora, choć powody do ich zwolnień były ewidentne, bo powiązani byli oni ze Służbą Bezpieczeństwa i mieliśmy na to dowody. Taki czy inny wysoki urzędnik resortowy był po prostu dla Kościoła przydatny, więc się go chroniło, na różne sposoby. Ci sami hierarchowie uważali także za stosowne dzwonić z dyspozycjami, że taki a taki departament powinien zostać zlikwidowany, albo że należy powołać inny, co nas wprowadzało w osłupienie, bo rzecz dotyczyła przecież struktury organizacyjnej ministerstwa. Hierarchowie także decydowali o tym, kto z członków kierownictwa resortu będzie reprezentował ministerstwo w rozmowach z Episkopatem na temat rozporządzeń wykonawczych dotyczących wprowadzenia nauki religii w szkołach, na przykład. Te telefoniczne interwencje, które oni traktowali jako naturalne, powtarzały się nie tylko w moim ministerstwie, w Ministerstwie Zdrowia, o czym wiem, także.

– I Finansów. Z tego, co wiem.

Kiedyś mówiło się, że każdy szlachcic ma swojego plebana i swojego Żyda, każdy pleban ma swego szlachcica i swego Żyda oraz każdy Żyd swojego szlachcica i swojego plebana. Coś takiego funkcjonowało w Polsce komunistycznej, w innej tylko konstelacji. Także więc dlatego Mazowiecki nie miał właściwie żadnego ruchu i sądzę – pomijając jego wszelkie emocjonalne

uzależnienia i kompleksy – sędzę, że realnie ocenił sytuację, iż nie może wejść w konflikt z Kościołem.

– **Bylby?**

Oczywiście, że tak. Oczywiście, że tak.

– **No to bylby!**

I ten rząd skończyłby się w szybkich abcugach.

– **I tak się skończył.**

Ale wtedy nie było jasne, kiedy! Przecież nie było wiadomo, czy przez to ustępstwo Mazowiecki zyskuje rok czy tylko kilka miesięcy.

Rozważ inną sytuację, że nie ustąpiłby, wszedł w konflikt. Jestem przekonany, że znalazłoby się wtedy wiele osób, które by powiedziały: idiota, co zrobił? powinien był odpuścić, zyskałby więcej czasu. Bo przecież to była walka o czas. Walka o czas. Było coś do zrobienia w tym kraju, była rozpoczęta jego przebudowa. I każdy przytomny, odpowiedzialny polityk, który przewodzi gabinetowi rządowemu, może różne ruchy wykonywać, ale zawsze musi zadawać sobie pytanie: co z tych moich posunięć wyniknie.

– **No właśnie, wy religię wprowadziliście instrukcją ministerialną, łamiąc kilka ustaw łącznie z konstytucją po drodze, a przecież miało być państwo prawa.**

Polityk zobowiązany jest przestrzegać prawa, tak. Ale z drugiej strony wymaga się od

niego pragmatyzmu i skuteczności działania. Baczenia na to, by dobro publiczne – pojmowane przez niego w najlepszej wierze – uchronić przed uszczerbkiem. Oczywiście są pewne granice. Więc: prawo – raz, pragmatyzm i odpowiedzialność – dwa i trzeci element – klimat, w jakim polityk działa, uwarunkowania zewnętrzne, oceniane bezstronnie, a więc nieemocjonalnie, nie zabarwione naszymi pragnieniami czy niechęciami.

– A ja wierzyłam wam, że chcecie budować państwo prawa.

Ależ posłuchaj, trzeba być realistą. Budować państwo prawa to coś innego, aniżeli funkcjonować w państwie prawa. My zaczęliśmy je budować, konstruując jego pierwsze zręby i te załączki łatwo mogły ulec zniszczeniu. Z jednej strony przez nagminne lekceważenie prawa, ale z drugiej strony również przez bezmyślny puryzm prawniczy, kiedy chcąc strzec litery prawa, zapomina się, jak bardzo jest ono dziurawe i niekompletne. Dlatego ja zawsze boję się takich zbyt drastycznych i jednoznacznych sądów, jak twoje. Państwo prawa – tak, owszem, ale obowiązuje hierarchia ważności spraw. Ja – podejmując decyzje – najpierw muszę wiedzieć, co chcę osiągnąć i jaką drogą pójść, by prawa nie łamać. Potem jednak zadaję sobie pytanie: zdążę to zrobić, czy nie zdążę i wtedy wybieram.

– Mniejsze zło?

To podam ci inny przykład. Należę do tej siódemki posłów, która w lipcu 1989 roku podczas wyborów prezydenta przez parlament oddała na Jaruzelskiego głos nieważny. Dla mnie był to wybór dość dramatyczny. Więcej: moment wyborów był jednym z dwóch najbardziej dramatycznych momentów, jakie miałem w życiu. Oto jestem w Sejmie, odbywa się głosowanie. Przedemną leży kartka: u góry moje nazwisko, niżej – za, przeciw, wstrzymuje się. Muszę zakreślić jedną z trzech możliwości i muszę tę kartkę oddać. Jaruzelski może przejść i może nie przejść. Według mojej sondy, którą przeprowadziłem, raczej to drugie. Biorąc pod uwagę całą historię mego życia zdawałoby się, że nie mam żadnych podstaw, by przejście mu ułatwić, a wręcz odwrotnie, wszystko w nim przemawiało za tym, bym głosował przeciwko. Ale jest lipiec

1989 roku. Wprawdzie w Związku Radzieckim rządzi Gorbaczow, który ogłosił pierestrojkę, ale stoi mur berliński i NRD, trzyma się Czechosłowacja, wojsko polskie znajduje się w rękach Jaruzelskiego, a aparat bezpieczeństwa – Kiszczaka. Siedziałem nad kartką i zadawałem sobie pytanie, co stanie się, kiedy Jaruzelski przegra. Dwa pytania dokładnie. Pierwsze: czy Jaruzelski albo Kiszczak nie ulegną wtedy pokusie, by jeszcze raz użyć wojska oraz aparatu bezpieczeństwa i utrzymać władzę. I drugie: jeśli nawet oni pogodzą się z porażką i opozycja wywalczy własnego premiera i własnego prezydenta, jak zachowa się generalicja i bezpieczeństwo. Czy Jaruzelskiego i Kiszczaka nie potraktują jak przegranych, nie wymówią im posłuszeństwa i same – wbrew ich woli – nie użyją wojska i aparatu bezpieczeństwa przeciwko społeczeństwu?

Sekretarz Sejmu wywoływał posłów do głosowania, alfabetycznie, każde kolejno wyczytane nazwisko zbliżało mnie do mojego. Niektórzy posłowie demonstracyjnie wychodzili na korytarz bojkotując głosowanie. Ja wychodzić nie chciałem, ta forma nie odpowiadała mi. Myślałem: po pierwsze – nie mogę wykluczyć ani jednego ani drugiego rozwiązania, a nawet odwrotnie, w aktualnej sytuacji międzynarodowej są one prawdopodobne; po drugie – sukcesy, jakie odnieśliśmy w walce i atuty, które zdobyliśmy po Okrągłym Stole są zbyt wielkie, żeby kontynuować tego pokera. W każdej przecież grze jest bowiem tak, że do pewnego momentu się wygrywa i w każdej – w rulecie czy w pokerze – przychodzi moment, kiedy człowiek zaczyna myśleć: grać dalej czy przerwać i, niestety, często wtedy sobie mówi „a może jeszcze raz” i ...traci wszystko. Po trzecie – pytałem siebie, bo zawsze przy podejmowaniu decyzji takie pytania sobie zadaję – kto poniesie konsekwencje nie wybrania Jaruzelskiego, przecież nie tylko ja i posłowie, one spadną na całe społeczeństwo, a więc odpowiedzialność za ten krok spoczywa na każdym, kto się do tego przyczyni, także na mnie.



Davos, 1990. Wizyta prezydenta Polski Wojciecha Jaruzelskiego w Szwajcarii. Sesja plenarna Światowego Forum Gospodarczego. Na zdjęciu od lewej: kanclerz Austrii Franz Vranitzky, przewodniczący Komisji Europejskiej Raymond Barre, Wojciech Jaruzelski, premier NRD Hans Modrow, premier Czechosłowacji Marian Calfa, premier Bułgarii Andrej Łukanow.

Fot. PAP/Grzegorz Rogiński.

Umiem podejmować ryzyko i wielokrotnie je podejmowałem, ale tylko wtedy, gdy jego skutki dotyczyły tylko mnie. Kiedy sekretarz zaczął wyczytywać nazwiska na literę „K” zdecydowałem: dokonałem skreśleń, które unieważniały kartkę, wstałem i wrzuciłem do urny.

– Wiedziałeś, że podobnie zachowają się Wielowieyski, Stelmachowski, Trzeciakowski, Paszyński, Miłkowski i Stanisław Stomma?

Nie, nie wiedziałem. Nie było czasu na żadne uzgodnienia.

– Ale wcześniej?

Wcześniej rozmawiałem tylko z jedną z najbardziej szanowanych przeze mnie osób, które znałem jeszcze sprzed KOR-u. Spytałem ją: jak pan profesor będzie głosował i on mi powiedział: no, niestety, musimy głosować na Jaruzelskiego. Później się okazało, że głosował przeciw i bardzo był wobec mnie z tego powodu zażenowany.

– Czemu więc nie głosowałeś za?

Nie mogłem. Nie miałem aż tak wielkiego uznania dla Jaruzelskiego, żeby móc zdobyć się na otwarte poparcie, ale z drugiej strony wiedziałem, że ten człowiek potrafi na tym stanowisku zachować się odpowiedzialnie i przytomnie. Dlatego wybrałem formę pośrednią: zmniejszyłem liczbę ważnych głosów i ułatwiłem przejście Jaruzelskiemu. Późnym wieczorem odczytano wyniki: Jaruzelski przeszedł jednym głosem. Poczułem ogromną ulgę. Wyszedłem do kularów sejmowych. Jeden z posłów, z mojego okręgu wyborczego i z mego klubu poselskiego, podszedł do mnie, czerwony na twarzy, zaciętrzewiony: to, co zrobiłeś – powiedział – jest skurwysyństwem. W porządku – odpowiedziałem – gotów jestem to kupić, to mi akurat naprawdę najmniej przeszkadza.

– Dziś postąpiłbyś tak samo?

Oczywiście. A tak na marginesie – chcesz wiedzieć, co ja naprawdę myślę o Jaruzelskim?

– Wyłączyć magnetofon?

Dlaczego?

– Bo jak twój partyjny kolega chciał coś o nim dobrego powiedzieć, prosił o wyłączenie.

(*Śmiech*) Nie trzeba. Uważam, że Jaruzelski jest człowiekiem, który w określonym czasie, na określonym stanowisku, w określonych warunkach i sytuacji, potrafił się zachować w sposób odpowiedzialny i przytomny, mając na uwadze dobro publiczne. I co najmniej, podkreślam – co najmniej – nie przysporzył krajowi tylu szkód, ile mogliby przysporzyć inni, będąc na tym stanowisku co on.

– 13 grudnia 1981 roku – także?

Także. Być może nie wybrał rozwiązania najlepszego, ale rzadko znajduje się rozwiązanie najlepsze. Wiem jedno, że gdyby on chciał spacyfikować ten kraj, to mógł. Ale on postąpił dokładnie wbrew Machiavellemu. Tragedią jest śmierć każdego człowieka, ale gdzie wprowadzenia stanu wojennego odbywa się kosztem stu zabitych! Elita została. A dalej, całe jego postępowanie, czego finałem był Okrągły Stół, przemawia na jego korzyść.

– Przecież zmarnował ci siedem lat życia.

A czy on sam nie miał wielu lat życia zmarnowanych? Też miał. Takie rzeczy dzieją się wszędzie. A zresztą po pierwsze: nie on mi je zmarnował; po drugie: wcale nie był to czas zmarnowany; a po trzecie: ja nie musiałem pięć lat ukrywać się, nie musiałem działać w podziemiu i jeżeli to robiłem, to z własnego wyboru.

Wybór Jaruzelskiego na prezydenta i religia w szkole to dwa wydarzenia, różnej rangi, ale łączy je jedno: polityk musi znać cenę, jaką gotów jest ponieść za ustępstwo, i mieć świadomość, kto będzie ten rachunek płacić, że jego kosztami może być obciążony nie tylko on sam, ale całe

społeczeństwo. A rachunek może być wysoki. Tych wysokich rachunków w Polsce było płaconych dużo, za dużo i starczy! Dlatego bardzo ostrożnie bym oceniał decyzje innych. I dlatego w sprawie religii będę bronił Mazowieckiego.

– Więc trzeba było przekazać projekt do Sejmu. Od tego on jest.

Można było, tak. Tylko ja się pytam, po co?

– Żeby zachować procedury prawne, po prostu.

No tak, no tak, jest pewna rzecz, której ty, jak wszyscy chyba ludzie, z zewnątrz oglądający politykę, nie chwytają. Oglądasz westerny? Albo filmy kryminalne? Nikt w nich nie bawi się w zbieranie dowodów, ani w żadne tłumaczenia: to nie ja, to on, nie moja wina. Tam coś się stało i wiadomo, wszyscy wiedzą: kto to zrobił, dlaczego zrobił i że należy przedsięwziąć odpowiednie środki w celu unicestwienia przeciwnika. Podobnie jest w polityce. Mazowiecki stanął wobec problemu: czy żądania Episkopatu odrzucić wprost, czy skierować do parlamentu. Gdyby Mazowiecki skierował sprawę do Sejmu, Kościół wiedziałby, co jest grane. Obie strony wiedziałyby, co jest grane. Bo albo wychodzi się żądaniom na przeciw, albo nie, prosta sprawa. Episkopat stwierdziłby, że po takiej zagrywce, to przepraszam, tego rządu nie mamy powodu chronić. Kościół bowiem nic nie miał do kupienia u Mazowieckiego, było odwrotnie. Bo jak wyglądały realia? Realia wyglądały tak, że minister Samsonowicz w pierwszej wersji zaproponował, abym ja negocjował z Kościołem warunki wprowadzenia religii do szkoły. Kościół – według posiadanych przeze mnie informacji – nie zgodził się. Wtedy wytypowana została pani wiceminister Anna Radziwiłł. Po dwóch czy trzech spotkaniach z panią Radziwiłł Kościół zażądał zmiany negocjatora, ale na to nie zgodził się już Samsonowicz.

– A Kościół domagał się religii w szkole jako normalnego przedmiotu ze stopniami, także na świadectwie maturalnym, co uzyskał zresztą, tylko rok później od Stelmachowskiego, prawda?

Wtedy wynegocjowano dobrowolność i my byliśmy gotowi podać się do dymisji. Ja – sekretarz stanu, i wszyscy podsekretarze. My wszyscy bowiem byliśmy przeciwko wprowadzaniu religii do szkoły. I jeżeli zostaliśmy, jeżeli nie odeszliśmy, to z jednego powodu, wyłącznie z jednego powodu: chcieliśmy być lojalni wobec Samsonowicza i pośrednio – wobec Mazowieckiego. Bo nasza dymisja, co by oznaczała? Że minister także musi się podać do dymisji albo kompletować nowy zespół. I jest afera na całą Polskę. A co ona by z kolei oznaczała? Że członkowie rządu podważają politykę premiera, bo byłoby to przecież odczytane jako wotum nieufności dla polityki Mazowieckiego. I w konsekwencji – być może – nasza dymisja zapoczątkowałaby upadek rządu, z czego Episkopat prawdopodobnie byłby zadowolony.

Nie mogliśmy na to pozwolić, trwała już przecież „wojna na górze” rozpętana przeciwko Mazowieckiemu przez Wałęsę. Dlatego nie podaliśmy się do dymisji, wbrew sobie. Ja dodatkowo zadawałem sobie pytanie: a gdybyś był na jego miejscu, co byś zrobił, jaka byłaby twoja decyzja, znając jej konsekwencje.

– Dzisiaj jaka?

Dzisiaj jest zupełnie inna sytuacja.

– Rozmawiałeś potem z panią Radziwiłł?

Nie.

– A z Samsonowiczem?

Także nie.

– Nie masz potrzeby?

Zapytaj inaczej: czy w ogóle mam potrzebę rozgrzebywania przeszłości? Otóż nie, bo po pierwsze uważam, że Polska jest zagadana na śmierć; po drugie: z polskich rozmów najczęściej nic nie wynika; po trzecie: nie staje mi czasu, ciągle mam ręce pełne roboty, więc uczestniczę – co zabrzmi może nieładnie – tylko w takich spotkaniach i imprezach, z których wynika coś konkretnego, które moją pracę posuną naprzód, a nie w których każdy będzie chciał się dowartościować przez pogadanie; po czwarte: sytuacja dzisiaj, jeśli chodzi o Episkopat, jest jasna. Dzisiaj karty zostały wyłożone na stół. Dzisiaj nie ma żadnej już niepewności i niejasności, jakie są jego polityczne cele i przy pomocy jakich środków starać się będzie je osiągnąć. Mamy także większe doświadczenie co do wypłacalności kontrahenta i już wiemy, że kolejnymi ustępstwami, kolejnymi koncesjami nic nie uzyskamy.

– Ty wiesz, Wiktor, ale inni – jak patrzę – nie.

Rzeczywiście, nie.

– Bo nie warto?

Nie. Nie było warto. Episkopat nie poparł Mazowieckiego w wyborach prezydenckich i religia w szkołach okazała się tylko jednym z etapów, prowadzących do zaplanowanego celu, po którym miały nastąpić dalsze żądania.

– I nastąpiły: ustawa oświatowa, o radiu i telewizji, ustawa o zwrocie majątków kościelnych, projekt ustawy o ministrze obrony narodowej, który powinien być chrześcijaninem; do tego – ustawa o zakazie aborcji, walka o kościelne zapisy w konstytucji, o konkordat. Wiadomo było, że nastąpią.

Teraz wiadomo, bo teraz – powtarzam – karty zostały wyłożone na stół. Ale wtedy, nie mogę powiedzieć, że wiedziałem na pewno, iż nastąpią, bo nie wiedziałem, choć byłem przekonany – ale było to tylko moje wewnętrzne przekonanie nie poparte dowodami – że religia jest pierwszym krokiem.

– A inni uważali, że na niej się skończy?

Chyba tak. Z silnej potrzeby wiary, prawdopodobnie.

– Rozumiałeś tę wiarę?

Tak, oczywiście, że tak. Znowu sięgnę do paraleli. Pamiętam komunistów, którzy w pewnym momencie zobaczyli, co zrobili, komu pomagali, z jakimi konsekwencjami, ale mając lat 60 czy 70 nie byli w stanie poddać rewizji swojego postępowania, znaczy powiedzieć to, co w pewnym momencie powiedział Jaruzelski.

– Że przeprasza? i że „każda krzywda, ból, niesprawiedliwość”, których było nie mało, tkwi w nim „jak cierń”?

On powiedział rzecz dla mnie jeszcze ważniejszą, za co go cenię. Miałem z nim rozmowę, dość długą i bardzo osobistą, i on mi w pewnym momencie powiedział: proszę pana, mój świat zawalił się trzykrotnie: pierwszy raz, kiedy znalazłem się w Rosji – zawalił mi się świat przedwojenny; uznałem wtedy, że tamten się skończył, że rzeczywiście nie ma innej drogi, jak zaakceptować nowy i próbować w nim coś robić; potem – kiedy zobaczyłem, co się dzieje, zawalił się i ten; teraz jestem w trzecim i ten też się wali. Może ja niedokładnie cytuję jego słowa, ale taki był sens jego wypowiedzi. I widzisz, żeby się przyznać do tego, iż przeszłość była

pomyłką, przyznać przed sobą samym – trzeba odwagi i nieprzeciętnej osobowości. Po prostu formatu.

– Z komunistów przyznało się u nas wielu i dużo wcześniej: Celina Budzyńska, i Stefan Staszewski, i Romana Granas, i Władysław Bieńkowski..., a Walenty Titkow na przykład zrezygnował z wszelkich oferowanych mu stanowisk i poszedł pracować jako zwykły lekarz, choć miał pięćdziesiąt kilka lat, studia ukończone przed trzydziestu laty i był to rok pozbawiony nadziei – 1968.

W skali zjawiska to były jednak jednostki i chyba się zgodzisz, że na takie rozliczenie z przeszłością niewielu się decyduje. Bo oznacza ono przekreślenie ich całego dotychczasowego życia, odejście od środowiska, w którym przebywali, samotność. Jaruzelski zdobył się dodatkowo na śmielszy krok: on – na swoim stanowisku – wytrwał, opluwany, obsypywany wyzwiskami, poniżany, dzięki czemu zmiana ustroju odbywała się u nas w sposób względnie uporządkowany, bez chaosu.

Dlaczego jednak podałem przykład Jaruzelskiego? Bo teraz w podobnej sytuacji psychicznej znalazło się wielu „naszych”. Ci, którzy na daleko idące koncesje wobec Episkopatu poszli w najlepszej wierze, w zawierzeniu – nawet bym powiedział – i nagle zorientowali się, musieli się zorientować, że zostali przez hierarchię wykorzystani w sposób instrumentalny, przeżywają więc prawdopodobnie mniejszy lub większy zawód, mniejsze lub większe rozczarowanie.

– Kiedy się zorientowali, według ciebie?

Wielu – kiedy stanęła sprawa uchwalenia ustawy oświatowej.

– Czyli konkretnie, kiedy Kościół zażądał, by młodzież wychowywać i edukować w duchu wartości chrześcijańskich?

Według mnie wtedy. Dla mnie te „wartości” mają zresztą wyraz symboliczny. Paradoxem historii, a może nie paradoksem, nie wiem, jest to, że powtórzyła się sytuacja z 1989 roku, z obrad Okrągłego Stołu. Tylko *à rebours*. Otóż jednym z podstawowych starć przy Okrągłym Stole dotyczącym oświaty była sprawa wyeliminowania tzw. ideałów wychowania socjalistycznego ze szkoły.

Po stronie rządowej zasiadali moi późniejsi koledzy posłowie, między innymi poseł Roman Ney i Marek Bartosik. I właśnie Marek Bartosik zarzucił mi, że jeśli chcemy usunąć ideały wychowania socjalistycznego, oznacza to, iż chcemy wychować ludzi bezideowych. Bo co proponujemy w zamian? Czy coś jest złego w ideale wychowania socjalistycznego? Nie uważałem, że jest coś złego, ale oponowałem, ponieważ termin ten jest niezdefiniowany i niesprecyzowany, przez co wykorzystywać go można instrumentalnie do usuwania ludzi niewygodnych i nieposłusznych. Przed zarzutem wychowywania niesocjalistycznego nikt nie ma szans się obronić. Bo po pierwsze: nie wiadomo czym ono jest, jak powinno wyglądać. Po drugie: kto ma być sędzią? Specjaliści od socjalizmu, znaczy pierwsi sekretarze?

Znalazłem się w trudnej sytuacji, ja i cała nasza strona, bo wprawdzie uważałem, że niepotrzebne są jakiegokolwiek określenia, ale tamci uważali, że w odbiorze społecznym dobrze są one widziane. I wtedy zaimprovizowałem, przyszedł mi, na szczęście, pewien pomysł. Powiedziałem: proszę pana, jest jedna rzecz, na którą możemy się powołać – Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, chyba zgodzimy się, że młodzież należy wychowywać w duchu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka? Był to dość ciężki argument i został przyjęty.

– Z PZPR-owcami więc wygrałeś, a ze swoimi?

Przegrałem, swoisty figiel historii, bo minął rok i na jedno z pierwszych posiedzeń sejmowej komisji edukacji narodowej, opracowującej ustawę oświatową zaproszono przedstawicieli Episkopatu.

– Kto zaprosił?

Komisja, w wyniku głosowania, które w tej sprawie przeprowadzono, a samo zaproszenie wystosował prawdopodobnie przewodniczący komisji, prof. Roman Ney, mój przeciwnik przy Okrągłym Stole (*uśmiech*). Przyszedł ks. Tadeusz Pieronek, późniejszy sekretarz Episkopatu i zażądał, by do ustawy wstawić zapis o przestrzeganiu wartości chrześcijańskich. Zapytałem: po co? Przecież cała Powszechna Deklaracja Praw Człowieka jest zbudowana na wartościach chrześcijańskich? On mi na to oświadczył, że no tak, ale w niej nie jest to zaznaczone *explicite*, co było prawdą.

Nic nie odpowiedziałem, bo zrozumiałem, że jemu nie tyle chodzi o treści, jakie będzie zawierała ustawa, o jej ducha, o rzeczywiste wartości chrześcijańskie, którymi ją wypełnimy, ale o obecność w niej odpowiednich słów. W przerwie obrad podszedł do mnie jeden z posłów i zapytał: słuchaj, co ty właściwie robisz? Dlaczego ty powołujesz się na Powszechną Deklarację Praw Człowieka? Zaskoczył mnie: to chyba oczywiste – odpowiedziałem. On roześmiał się: ale nie dla Kościoła. Ja: jak to, dlaczego? A on: ty chyba nie wiesz, z czego zrodziła się Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, jej antycypacją była Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela wykreowana podczas Rewolucji Francuskiej. No, dobrze – mówię mu – ale co z tego? Bo naprawdę nie widziałem związku. I on mi wtedy przypomniał, jaką rolę odegrał Kościół w Rewolucji Francuskiej, jak ją potępiał i jaką cenę zapłacił, kiedy przegrał. I podsumował: wobec Kościoła nie możesz wysuwać nic bardziej prowokującego, niż właśnie Powszechną Deklarację Praw Człowieka i zauważ – dodał – mimo jej humanistycznych, chrześcijańskich treści Kościół raczej o niej nie wspomina i w swoich przeróżnych oświadczeniach jej istnienie zρέcznie omija.

Nie posłuchałem go, oczywiście, i – przygotowując pierwszy punkt ustawy oświatowej – umieściłem sformułowanie, że wychowanie powinno być zgodne z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka i młodzież należy wychowywać w duchu tej deklaracji. Episkopat wtedy – już oficjalnie – zaproponował zmianę. Za wszelką cenę dążył do wprowadzenia terminu „w duchu wartości chrześcijańskich”. Przewodniczący sejmowej komisji edukacji, prof. Roman Ney,

otrzymał list od prymasa Glempa. Prymas sugerował – na razie sugerował – by do ustawy wprowadzić kilka przygotowanych przez nich zapisów. Zaprotestowałem, najpierw w komisji, a potem z trybuny sejmowej.

Podjąłem walkę z własnym środowiskiem, z tych samych pozycji i używając tych samych argumentów, co poprzednio, przy Okrągłym Stole. Mówiłem, że wartości chrześcijańskie nie są skodyfikowane i pytałem: kto miałby oceniać, co jest zgodne z tymi wartościami, a co nie? Czy biolog mówiący o teorii Darwina narusza je czy nie? Czy lekarz opowiadający o antykoncepcji łamie te wartości, czy nie? Przypomniałem o wspólnotach muzułmańskich żyjących w Polsce w Bohonikach czy w Kruszynianach i znowu pytałem, jak byśmy zareagowali, gdyby w Turcji w polskiej wsi Adampol tureckie władze nakazały wychowywać młodzież według „wartości mahometańskich”? Na koniec poprosiłem o informację: kto w razie czego ma rozsądzać spory? Chociaż wiadomo było kto – znowu specjaliści, a więc tym razem księża katecheci. Bałem się tego samego, co poprzednio, że określenie „wartości chrześcijańskie” będzie instrumentalnie wykorzystywane do usuwania ludzi niewygodnych.

Praca nad ustawą trwała dalej i dalej trwały zakulisowe naciski Episkopatu. Z posiedzeń komisji sejmowej zniknął ksiądz Pieronek i jako przedstawiciel Episkopatu pojawiła się siostra Maksymiliana, szara eminencja w Ministerstwie Edukacji Narodowej, zajmuje się przede wszystkim sprawami kadrowymi (*śmiech*). Przed głosowaniem „wartości chrześcijańskich” w komisji ogłoszono przerwę i siostra Maksymiliana podeszła do mnie. Proszę pana – powiedziała – ja mam taką prośbę, proszę, żeby pan ją spełnił. Ja: oczywiście, siostrze, proszę powiedzieć o co chodzi. I ona: proszę, żeby pan po przerwie nie wrócił na obrady, chciałabym, żeby pan był nieobecny podczas głosowania.

Ja oczy otworzyłem szeroko, patrzę na nią, ona to zauważyła. Więc niech pan chociaż – zaproponowała – niech pan chociaż wstrzyma się od głosowania.

Ależ dlaczego, siostrze? dlaczego? I ona mi wyjaśniła, całkiem spokojnie: bo ja widzę, proszę pana, że pan się cieszy wśród posłów tej komisji dużym autorytetem, osobistym autorytetem i posłowie – niezależnie od partii jaką reprezentują, słuchają pana, więc jeśli pan nie

będzie głosował albo będzie pan nieobecny, to są duże szanse, żeby zapis o wartościach chrześcijańskich przeszedł.

– **Szczerze.**

Bardzo szczerze. Odpowiedziałem jej: dziękuję siostrze za tę informację, ale ja muszę być na głosowaniu, bo muszę spełniać swoje obowiązki poselskie i nic siostrze nie mogę w tej materii pomóc. Byłem na posiedzeniu komisji i głosowałem, oczywiście, przeciwko. Wartości chrześcijańskie w komisji odrzucono.

Potem odbyło się głosowanie ustawy w Sejmie. Ustawę uchwalono i wartości chrześcijańskie także nie przeszły.

– **Dzięki byłym PZPR-owcom głównie, którzy głosowali przeciwko.**

Zaraz, zaraz, to jeszcze nie koniec. Starania Episkopatu były bowiem tak daleko idące, że nawet mnie zaskoczyły. Ustawa znalazła się w senacie. Wtedy do przewodniczącego komisji senackiej przyszedł list od arcybiskupa Dąbrowskiego, daleko bardziej bezwzględny niż do naszej komisji od prymasa Glempa, bo już nie z sugestią, ale z żądaniem umieszczenia w niej zapisów w formie podanej przez Episkopat.

Sytuacja w komisji senackiej nie była jednak ciągle dla Kościoła jednoznacznie przychylna, więc biskup Orszulik osobiście pofatygował się do marszałka Stelmachowskiego. Rozmowa – z tego co wiem – nie była przyjemna. Senat przegłosował, że zapis o wartościach powinien znaleźć się w ustawie. Ustawa znowu wróciła do Sejmu. Wtedy marszałek Stelmachowski udał się do marszałka Kozakiewicza.

– ?

Tak, właśnie tak to było robione. Przypuszczam, że w sprawie zapisu o przestrzeganiu wartości chrześcijańskich w ustawie o radiu i telewizji – także. Kiedy ustawa oświatowa ponownie stanęła w Sejmie, atmosfera na sali była diametralnie inna niż przy poprzednim głosowaniu i „wartości chrześcijańskie”, jak wiesz, tym razem zostały uchwalone i to głosami lewej strony. Czyli to, co wygrałem poprzednio, w dwa lata później straciłem. Przeciw tym zapisom konsekwentnie głosowała tylko część Unii Demokratycznej, natomiast za ustawą, w formie, w jakiej życzył sobie Kościół, głosowało nie tylko PSL, czyli dawne ZSL, nie tylko dawne SD, ale także znaczna część posłów Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej, czyli SdRP, czyli lewicy, a więc ci, którzy poprzednio byli przeciwko.

– Według ciebie, dlaczego?

Mogę się tylko domyślać, że po pierwsze: liczyli, jak zwykle ludzie liczą, na pewne koncesje ze strony Episkopatu, które uzyskają w zamian i oczywiście tych koncesji nie dostali i nie dostaną, tak jak nie dostała ich Unia czy Mazowiecki wcześniej. A po drugie przypuszczam, że podobne naciski jak na marszałka Stelmachowskiego czy marszałka Kozakiewicza lub jak na przewodniczących komisji sejmowej i senackiej, czy na mnie osobiście – hierarchia kościelna wywierała także na lewicę, że odpowiednie rozmowy z nimi się odbyły, tak jak odbyły się w klubach SD i PSL.

– Że PSL – rozumiem, ale ...

Ja nie, bo PSL nie jest tak słabą partią jak inne ugrupowania, ma największy potencjał, największe doświadczenie polityczne. Rozumiem, że PSL nie może zaryzykować otwartego konfliktu z Episkopatem, bo zmniejszy mu to elektorat, który z jednej strony jest katolicki, czyli chłopstwo uprawia obrzędowy katolicyzm, chodząc regularnie do kościoła, ale nie jest to też elektorat klerykalny, a nawet wręcz przeciwnie – to elektorat antyklerykalny z historycznymi konotacjami, czego przykładem jest Witos, który był w permanentnym konflikcie z Kościołem.

PSL nie musiało więc iść w sojusz z Kościołem, nie musiało tak daleko posunąć się w swoim konformizmie.

– Ale mnie interesuje SLD, czyli była PZPR, oni już przecież nie musieli się bać Kościoła. Im powinno być wszystko jedno.

Mam w tej materii swoje obserwacje. Bo zwróć uwagę na jedną rzecz. SLD – próbując zachować swoją tożsamość ideologiczną – wchodzi lub pozwala sobie wchodzić w spory ideologiczne z Episkopatem, które powiedzmy sobie otwarcie, tak naprawdę nie są dla niego ważne. Ale przepraszam, powiedz mi: czy SLD kiedykolwiek ujawniło mechanizmy ingerowania Episkopatu w życie polityczne? A przecież musi mieć swoje doświadczenia, bogatsze od nas, także z dawnych PZPR-owskich lat. Zwróć uwagę na jeszcze jedną rzecz: czy w prasie SLD kiedykolwiek zostały opisane naciski, jakie stosował i stosuje Kościół, gdy zależy mu na przeprowadzeniu swojej woli?

– Na przykład, jak doszło do uchwalenia w 1988 ustawy regulującej stosunki między Kościołem a państwem, bardzo korzystnej dla Kościoła, prawda?

Nigdy. A dlaczego? Ponieważ ujawnienie tych mechanizmów byłoby demaskowaniem Kościoła jako siły politycznej, która dąży do określonych ziemskich celów i SLD doskonale wie, że biskupi przełkną opozycję ideologiczną, że przełkną konfrontację ideologiczną, wszystkie takie rzeczy, bo nie są one dla nich w sumie groźne, ale nie przełkną demaskacji i SLD dlatego – łagodnie mówiąc – postępuje bardzo ostrożnie wobec Kościoła i wiedząc na jakim polu byłby groźny konflikt – nie narusza granic tego pola. Zauważ też, że z drugiej strony Episkopat też wobec SLD zachowuje pewną ograniczoną neutralność, a nawet – powiedziałbym – pewną polityczną lojalność, choć prawdopodobnie lewica liczy na więcej. Że w czasie na przykład wyborów parlamentarnych w 1991 roku, kiedy w kościołach wywieszano informacje, kiedy księża z ambon nawoływali, na jakie partie nie głosować, to głównym ich przeciwnikiem, głównym ich wrogiem nie było SLD, ale Unia Demokratyczna.

– Mazowiecki, a nie Sekuła.

Ale to akurat zrozumiałe. Największymi wrogami zawsze są nie ci, których od początku dana grupa społeczna czy partia, traktowała jako obcych, odmiennych, ale jej byli członkowie, których w przypadku nieposłuszeństwa posądza się o zdradę, secesję, najgorsze rzeczy.

– Jak w PZPR rewizjonistów.

Bo – widzisz – ostatnio bardzo często odnosiłem wrażenie, że przeżywam sytuacje, które wykazują podobieństwo z minionymi czasami. Bardzo często. Jestem na przykład na zebraniu regionalnym Unii, dużo ludzi, bardzo żywa dyskusja, w której padają dość mocne – jak mówiliśmy w czasach komunistycznych – dość mocne głosy przeciwko klerykalizacji życia politycznego i społecznego w Polsce. I nagle wstaje przyzwoity, inteligentny człowiek, związany oczywiście mocno z Kościołem, jeden z czołowych przywódców Unii i żeby przeciwważyć te ataki mówi zdanie, żywcem wyjęte z PRL-owskich czasów: słuchajcie, ale my nie możemy postrzegać Kościoła jako monolitu

– Bo są w nim struktury poziome?

Bo w Episkopacie są jastrzębie, ale są tam również myślące, światłe osoby, o bardziej liberalnym nastawieniu.

– I trzeba wzmocnić to skrzydło (*śmiech*).

Tak, dokładnie tak, jak pamiętamy z dyskusji sprzed dziesięciu, piętnastu laty. Tę grę przerabialiśmy przez 45 lat. Tylko z innym partnerem. Mówię o tym z przykrością, wielką przykrością. I wstydem. Przed Sierpniem 1980 byłem jednym z tych, którzy organizowali akcję

zbierania podpisów pod petycjami domagającymi się mszy świętej w radiu. Wielokrotnie korzystałem z pomocy księży w latach podziemia. Więc nie śmiej się, bo to co się stało, nie jest śmieszne, ja przestałem się śmiać. Muszę też ci powiedzieć, że po tych doświadczeniach z innej perspektywy oceniam dawnych komunistów, którzy zapatrzeni w ideologię, długo nie mogli dostrzec zagrożenia, płynącego ze struktury szermującej tą ideologią. Przykra to konstatacja – jak rzekł w którymś z wywiadów generał Jaruzelski. Bo widzisz, my...

– Poczekaj. Czym jest dla ciebie polityka?

Każdy człowiek, a więc i każdy polityk rzadko ma możliwość wyboru między dobrem i złem, między czarnym a białym, najczęściej musi wybierać między mniejszym a większym złem, co nie jest łatwe...

– Wiktor, mówisz jak Ochab, dawny pierwszy sekretarz

...choć wszyscy, oczywiście, tęsknimy do idealnego rozwiązania, złotego środka, którego nie ma.

My, po uchwaleniu ustawy oświatowej i radiowo-telewizyjnej w szybkim tempie zaczęliśmy ewoluować w kierunku państwa wyznaniowego. Mieliśmy już rząd z ZChN-em, co jeszcze dwa lata temu wydawało się niemożliwe. Dużo miejsca w życiu publicznym zajęli ci, którzy – powiem bardzo wyraźnie: wykorzystywali Kościół instrumentalnie do swoich celów politycznych, którym cel pomieszał się z instytucją, bo instytucję Kościoła, jej siłę, jej znaczenie, jej duchowy potencjał zaczęli wykorzystywać do zdobywania politycznych ziemskich wpływów i dla ich poszerzenia gotowi byli nawet go poświęcić; którzy nie cofali się przed użyciem metod i środków, jakie przystoją partiom politycznym, ale nie Kościołowi niosącemu Ewangelię; którzy misyjne zadania Kościoła przenosili na płaszczyznę formalno-prawną, stosując nie działania propagujące czy przekonujące, ale różnego rodzaju narzędzia nacisku, by zasady te umiejscowić w strukturach państwowych, by zmusić opornych do podporządkowania się im. I pamiętasz, ile

agresji przy tym wykazywali, ile nietolerancji, ile niechrześcijaństwa! I co to spowodowało?
Proces polaryzacji. Bardzo niebezpieczny proces.

– Też znany z PRL-u.

Też. Po jednej stronie znalazły się siły, które nazwałem reformatorskimi, dążącymi do przeobrażenia Polski w normalny kraj europejski. Do nich zaliczam Unię Demokratyczną, Liberalów i różne „piwa” czy porozumienia gospodarcze. Po drugiej zaś znalazły się siły antyreformatorskie, a w nich główną rolę odgrywa – niestety – Kościół katolicki z jej hierarchią, najpoważniejsza z pewnością instytucja polityczna w tym kraju, wspierany przez różne partie i partyjki, które usiłują kupić od niego przychylność. Jedne zresztą popierają go, bo uwierzyły w swoją misję, swoje posłannictwo, jedynie słuszną rację, i z pełną świadomością chcą wepchnąć Polskę w pułapkę ksenofobii, zaściankowości, fanatyzmu i nacjonalizmu; inne – są zbyt słabe, by mogły zachować swoją tożsamość i szukają oparcia w silniejszym, by w ogóle utrzymać się na scenie politycznej; a jeszcze inne uruchamiały hasła walki z komunizmem, którego już nie ma i nie będzie, jako zasłony dymnej, wyłącznie po to, by pod tym chwytliwym sloganem osłonić właściwe cele – ewolucję Polski w kierunku państwa wyznaniowego.

– A większość milczała i czekała... na wybory?

Większość, sądzę, po prostu się bała. Bo co jeszcze wtedy zauważyłem? Że do naszego społeczeństwa zaczął wracać lęk.

– Ten sam, co poprzednio?

Bardzo podobny. Ja zresztą wcale nie uważam, żeby sam lęk był czymś złym. Brak lęku – według mnie – dopiero jest groźny i może prowadzić do samozagłady. Podstawowym bowiem celem ludzi jest przetrwać, nie dać się zniszczyć, biologicznie, psychicznie. Lęk jest więc

elementem instynktu samozachowawczego, ostrzega przed niebezpieczeństwem, przed zagrożeniem.

Ludzie boją się różnych rzeczy, boją się burzy, ciemności, więc dlaczego nie mają się bać opinii społecznej, albo kogoś kto tę społeczną opinię kreuje? Przedtem bali się komunizmu i ja to rozumiałem, a potem zaczęli się bać Kościoła i mnie to także nie dziwiło. Bo przecież tak, jak poprzednio komunizm, Kościół mógł ich zniszczyć ekonomicznie, społecznie, prestiżowo, więc każdy przytomny normalny człowiek musiał zadawać sobie pytanie o koszty, jaką cenę zapłaci, gdy się wychyli, co uzyska za wymuszony kompromis. I jeżeli w szkole dyrektor wiedział, że utrzymanie przez niego stanowiska czy możliwość awansu zależy nie od jego pracy, ale wyłącznie od jego dobrych stosunków z klerem, wtedy zaczynał sobie pozwalać na samowolę, na arogancję wobec prawa, na lekceważenie nauczycieli i dalej – uczniów. Nauczyciele – bojąc się utracić pracę – poddawali się lękowi, gdyż on przynosił im wymierne korzyści, on się im opłacał.

Nie zapomnę pewnej sceny w Sejmie, która była odbiciem klimatu politycznego, jaki się u nas wytworzył. Mój kolega, znany działacz z podziemia zagłosował przeciwko zrównaniu praw emerytalnych i rentowych dla chłopów. Podeszedłem do niego i zapytałem: słuchaj, czy ty naprawdę uważasz, że chłopci powinni być dyskryminowani w emeryturach w porównaniu z robotnikami z miasta? On mi mówi: nie, oczywiście, że nie. To dlaczego, do cholery, dlaczego głosowałeś przeciwko? No – odpowiedział mi – bo tak kazała Komisja Krajowa „Solidarności”.

Czyli nieważne, jakie były jego przekonania, co on o tej sprawie myślał, ale jakie były dyspozycje Biura Politycznego.

– Cynizm?

On wiedział, że jeżeli da się traktować instrumentalnie, to dalej będzie posłem, jeżeli zaś przeciwstawi się zwierzchności, zostanie wcześniej czy później wyeliminowany z życia politycznego, choćby był najbardziej kompetentnym, najlepszym fachowcem.

Lęk bowiem, który zaczął do nas wracać, bardzo konkretny lęk, nie tylko wymuszał na ludziach przyjmowanie postawy oportunistycznej czy konformistycznej, ale ostrzegał przed ujawnianiem swoich poglądów, w ogóle zamuroвывał im usta, on doszedł – moim zdaniem – do granicy, poza którą jednych ośmielał w agresji, drugich ograniczał w możliwości działania, a trzecich – zmęczonych lękiem prowokował do wyprostowania się, jak w PRL-u, czyli do ujawniania postaw dysydenckich, opozycyjnych. Czyli doszedł do granicy, poza którą stał się niebezpieczny społecznie.

Dam ci przykład. Zaproponowano mi kandydowanie do wyborów parlamentarnych 1993, odmówiłem. Uprzedzając twoje pytania, powiem ci, iż dlatego, bo w polskim życiu politycznym nie ma miejsca dla outsiderów, jakim ja jestem, outsiderzy są stopniowo i konsekwentnie eliminowani, polskie życie publiczne oparte jest na koteriach, układach personalnych, w których obowiązują sztywne reguły: kto, komu, za co, serwituty i koncesje.

A to co nazywamy dobrem publicznym traktowane jest instrumentalnie, do rozgrywania partykularnych gier, do osiągnięcia sukcesów personalnych. Więc ja odmówiłem i wtedy jedno z miast z mojego byłego okręgu wyborczego wystawiło znakomitego – moim zdaniem – kandydata, młodego, prężnego, z inicjatywą i gdy martwiłem się o jego szanse, usłyszałem: nie przejmuj się, prezydent miasta ma dobre znajomości i już omówił sprawę z biskupem.

– Pomogło?

Nie pomogło, już nie pomogło. Bo co się w Polsce stało? Otóż polityka Kościoła okazała się bumerangiem, który Kościół rzucił. Cały czas obawiałem się, że on wróci i uderzy w Kościół, zastanawiałem się tylko, kiedy to nastąpi, w którym miejscu my jesteśmy. Czy bumerang ten jeszcze leci do przodu, czy już wraca, by uderzyć. Teraz wiem, że wraca. I to chyba wszystko, prawda?

Żaden układ nie jest wieczny

Jacek Merkel

(ur. 20 listopada 1954 w Toruniu) – polski polityk, przedsiębiorca, w latach 1989–1993 poseł na Sejm X i I kadencji.

W sierpniu 1980 uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej. Następnie został członkiem władz „Solidarności” (...). W stanie wojennym internowano go na okres ponad roku. Brał udział w obradach Okrągłego Stołu. Kierował sztabem wyborczym Lecha Wałęsy w 1990, a po jego zwycięstwie do 12 marca 1991 zajmował stanowisko ministra stanu do spraw bezpieczeństwa narodowego w Kancelarii Prezydenta RP.

Od 1989 do 1993 pełnił funkcję posła na Sejm kontraktowy z ramienia Komitetu Obywatelskiego i I kadencji jako członek Kongresu Liberalno-Demokratycznego. (...)

W 2001 wraz z Maciejem Płażyńskim, Donaldem Tuskiem i Andrzejem Olechowskim zakładał Platformę Obywatelską, został pełnomocnikiem okręgowym tej inicjatywy, wkrótce jednak wycofał się z bieżącej polityki.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Jacek_Merkel)

*Rozmowy przeprowadzone
w latach 1988-1993*

– No i się doczekaliśmy. Już nie mówi się, że możesz zostać premierem.

Normalne, nie? Jak rządzi lewica, to prawica w głębokiej defensywie.

– I jak się z tym czujesz?

Świetnie. Naprawdę czuję się świetnie.

– Bo przedtem, ile razy to słyszałeś?

Daj spokój!

– Nie. Pierwszy raz w podziemiu. Twoje koleżanki Marysia Machnikowska z Ewą Piwowar – nudząc się – wymyśliły któreś nocy skład rządu niepodległej Polski. Ty miałeś być premierem, a Krzysio Bielecki wicepremierem.

Tak? nie wiedziałem.

– Zapytaj je, chyba jeszcze z nimi rozmawiasz.

Oczywiście, dlaczego miałbym nie rozmawiać?

– No wiesz, teraz większość siebie nienawidzi. Potem o tobie – jako kandydacie na premiera – powiedział publicznie Wałęsa.

Jeżeli chcesz wiedzieć dokładnie, następną osobą był Mazowiecki, nie Wałęsa. W moim przypadku Mazowieckiemu udało się Wałęsę wyprzedzić (*śmiech*). Powiedział mi o tym w czerwcu 1990, kiedy rozpoczęła się „wojna na górze”, a środowisko gdańskie wymyśliło, że za wszelką cenę należy doprowadzić do spotkania Wałęsy z Mazowieckim i ja bardzo silnie zaangażowałem się w jego organizowanie.

– Wałęsa chciał?

Przystał, tak bym określił. Szczegóły tych moich zabiegów pamiętam jak przez mgłę, jak przez mgłę, ale na pewno bez jego zezwolenia, gdyby powiedział: nie rób tego, nie załatwaj, to by żadnego spotkania się nie organizowało. Chyba było tak, iż najpierw z kolegami ustaliliśmy, że – należy, potem przyszedłem na posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności”, albo jakiegoś innego ciała związkowego, na którym Wałęsa siedział w prezydium i kiedy się skończyło, wymieniliśmy ze sobą kilka zdań i przedstawiłem mu sprawę. Wałęsa nie powiedział: nie, więc zacząłem dzwonić. Do Woźniakowskiego albo do Wóycickiego, raczej do Wóycickiego. Już po pierwszej rozmowie wyraźnie wyczułem, że Mazowiecki chciałby, owszem, ale żeby Wałęsa przyjechał do niego do Warszawy jak do premiera; Wałęsa z kolei, o czym wiedziałem wcześniej, wołał widzieć Mazowieckiego w Gdańsku, bo Gdańsk to – w odczuciu powszechnym – kolebka „Solidarności” i siedziba przewodniczącego, a więc rolę grały takie tam małe ambicyjki. Obaj bowiem: i Mazowiecki, i Wałęsa strasznie byli na swoim punkcie przewrażliwieni. Zaproponowałem, żeby spotkali się gdzieś po środku, w Toruniu albo w Łańsku. W rozmowie z Wóycickim, pamiętam, chodziło o znalezienie miejsca, które byłoby do zaakceptowania przez obu dżentelmenów, i Toruń jawił się nam jako taka realna możliwość. Akurat coś miało się tam zdarzyć, jakaś uroczystość, i była szansa, aby przy okazji zainscenizować ich niby przypadkowe zetknięcie, które by dla postronnych osób – bo o nich przecież głównie chodziło – wyglądało na zderzenie dwóch niezależnych polityków, których działania publiczne zazębiają się akurat w Toruniu.

– Bardzo skomplikowane. I co?

Nic. Nic z tego – oczywiście – nie wyszło i odniosłem wrażenie, że z jednej strony: obu dżentelmenom na takim spotkaniu nie zależało; a z drugiej: otoczenie Mazowieckiego nie wykazało dość inicjatywy czy determinacji, by do niego doprowadzić nawet wbrew oporowi swego szefa. Z tego, co pamiętam, miałem chyba nawet do nich pretensje, że od początku kulawo załatwiali. Poprosiłem wtedy Mazowieckiego o osobiste spotkanie. Zaproponował mi przyjazd do Lasek pod Warszawę. Było Boże Ciało, Mazowiecki uczestniczył w procesji, czekałem na niego w jednym z domków. Po procesji przyszedł. Zwróciłem mu uwagę na konieczność dogadania się z Wałęsą, zaakceptowania go, zrozumienia. Mazowiecki – wyprzedzając jakby moje argumenty – powiedział: to nie jest tak, że ja jestem premierem dzięki Wałęsie, bo przecież, można też powiedzieć, że Wałęsa zaistniał dzięki nam. Okropne spętlenie.

– Ale i prawda.

Jasne, że prawda, tylko mało w tym momencie istotna. Mazowiecki zapytał mnie: czy ty chciałbyś z telewizji dowiedzieć się, że Polska jest członkiem NATO? (Wałęsa coś wówczas głosił publicznie na ten temat.) Nie – odpowiedziałem mu – oczywiście, że nie, sytuacja nie do pozazdroszczenia. Ale Tadeusz – tłumaczyłem – Tadeusz! Wałęsa jest nie do omińnięcia, coś trzeba zrobić. I on zadał mi wtedy pytanie: czy ty chciałbyś być premierem pod prezydentem Wałęsą? Powiedziałem mu: Tadeusz, przecież znamy Wałęsę, więc nie o to chodzi. To nie jest tak, że ja ciebie nie rozumiem, że ja nie przyjmuję twoich argumentów, tylko sytuacja wygląda tak, że Wałęsy nie da się ominąć, że Wałęsa jest nie do omińnięcia. Kilka razy powtórzyłem: nie do omińnięcia.

– Nie był rzeczywistością?

Wiesz, Lech Kaczyński wtedy mówił – bardzo słusznie – że oprócz 100 powodów, dla których Wałęsa musi zostać wybrany prezydentem, jest jeszcze 101., że nie może być nie

wybrany. Przeanalizuj sytuację, konkretnie tamtą sytuację.

– No właśnie, wszyscy mu wmawiali, że jest genialny. Brzeziński nazywał go najlepszym Polakiem, Miłosz mówił mu w telewizji: panie Lechu, pan jest jak Piłsudski, Jan Paweł II...



Warszawa, 1989. Obrady Okrągłego Stołu, strona społeczna, od lewej: Jacek Merkel, Mieczysław Gil, Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Władysław Frasyniuk. Fot. PAP/Zbigniew Matuszewski.

Ja nie, zresztą nie jestem Miłoszem. Za to wiedziałem, że Kazimierza Wielkiego u nas, niestety, nie ma. Rozmowa z Mazowieckim była dla mnie bardzo trudna. Mazowiecki postrzegał

we mnie człowieka Wałęsy, co ewidentnie było prawdą. Wystąpiłem przecież w roli jego emisariusza, nie mogłem być przez to zupełnie obiektywny. Ale nawet mimo tych okoliczności, Mazowiecki – którego znałem jako człowieka przesadnie ostrożnego, często niezdecydowanego, który woli mniej zyskać, niż zaryzykować utracenie tego, czym już dysponuje – zaskoczył mnie swoją sztywnością oraz poczuciem siły.

– Był przekonany, że w wyborach prezydenckich będzie miał poparcie Kościoła, właśnie zgodził się na lekcje religii w szkole. Prymas Glemp w Boże Ciało publicznie to oznajmił.

Nie wiedziałem o tym, nie wiedziałem. Zaskoczył mnie też swoim przekonaniem, nie pamiętam czy zwerbalizowanym, ale wyczuwalnym w tonie i sposobie argumentacji, że to on reprezentuje całą Polskę, a Wałęsa tylko związek „Solidarność”, dlatego pretensje Wałęsy są niczym nieuzasadnione, a długi wdzięczności skasowane. Zupełnie też, zupełnie nie widział potrzeby porozumienia się z Wałęsą. Nie wiem już, czy wyraził to wprost, czy tylko dał mi to do zrozumienia (przekazuję ci jedynie klimat tej rozmowy, a nie konkretne słowa), Mazowiecki powiedział coś w tym stylu, że – ja mogę Wałęsę przyjąć w Urzędzie Rady Ministrów, że – ja przywódcę jednego z ważnych związków zawodowych chętnie przyjmę u siebie w gabinecie, w każdej chwili. Mazowiecki – odniosłem wrażenie – czuł się pewnie na swoim stanowisku, zdecydowany był przeciwstawić się Wałęsie i wierzył, iż z nim wygra.

– A szans według ciebie nie miał?

Nie, nie miał. Dlatego w lipcu 1990 roku, kiedy ogłoszono powszechne wybory prezydenckie, wystąpiłem na posiedzeniu OKP. Ja rzadko w sejmie zabierałem głos, ale wtedy wstałem i powiedziałem, że trzeba także przeprowadzić wybory parlamentarne, i to jak najszybciej, najlepiej w październiku. Dla mnie bowiem było oczywiste, iż Wałęsa zostanie prezydentem i obawiałem się, że jak zostanie, to nastąpi sytuacja braku równowagi między nim – wybranym w wyborach powszechnych, a Sejmem kontraktowym, i w pewnym momencie

wyciągnięciu przeciwko Sejmowi ten swój mandat, tę swoją legitymację polityczną i powie: pokraczny pomiot Okrągłego Stołu, nie wiadomo skąd się wziął.

– I wyciągnął, w rok później pod kościołem św. Brygidy.

Zderzyłem się z całkowitym niezrozumieniem. W moim klubie! Ku memu zaskoczeniu zobaczyłem, że wszyscy są przeciwko mnie i usłyszałem, że na wybory parlamentarne jest jeszcze za wcześnie. Panowie – gardłowałem przeciwko wszystkim, jak groch o ścianę – to jest 50 lat za późno, po co ta gadanina. I kilku szacownych posłów replikowało: pan chyba zwariował, czy pan sobie wyobraża, co to jest zrobienie wyborów?

– Nic trudnego, okazało się. Były od tamtej pory, dwa razy: w 1991 i 1993.

Epizod, z perspektywy czasu, może bez znaczenia, nie wiem, bo tamtych może jeszcze nie, ale następne wybory i tak byśmy przegrali. O wyniku zadecydowałby fakt sprawowania władzy, czyli obciążenie nas odpowiedzialnością za niezrealizowanie nierealnych oczekiwań. I jeszcze nasza niekompetencja, nasze rozdrobnienie...

– Ale wtedy, Jacek, premierem, w końcu chciałeś być czy nie?

A po co, Teresiu? Ja chciałem spokojnie pracować. Szczerze mówię. I na to, że wtedy ani nie oczekiwałem, iż będę premierem, ani nie pragnąłem, mam dowód. Latem 1990 Wałęsa powiedział mi: napisz projekt rządu, jak powinien wyglądać skład rady ministrów. I ja wymyśliłem...

– Że co sobie przydzielasz?

...ministerstwo łączności, a Bieleckiemu ministerstwo przemysłu, ale to nieważne. Ja wymyśliłem naprawdę świetną rzecz: premier – Balcerowicz. Wałęsa, jak mu pokazałem listę, aż zachnął się w pierwszej chwili: co ty wymyśliłeś! – rzucił się na mnie. A ja: popatrz, wszyscy cię atakują, nie? Że jesteś za populizmem, że inflacja wróci, że rozpieprzysz cały ten tworzący się w bólach układ gospodarczy, a ty twardo to wytrzymujesz i następnego dnia po wyborach mówisz: Balcerowicz. I wszyscy padają na kolana. Bo działa prosta konstrukcja cepa. Wałęsa się zastanowił i powiedział: wiesz, to jest myśl. Wydawało mi się, że ją złapał.

– I też nic?

Nic. Pomysł był świetny, ale pod dwoma warunkami: że do końca utrzymany będzie w tajemnicy i że nominacja Balcerowicza na premiera ogłoszona zostanie następnego dnia po wyborach prezydenckich. Wtedy jest dopiero szok, jest zwanzig, nie?

Co tak na mnie patrzysz?

– Nie wierzę ci.

Bo co?

– Bo w naszym kraju, Jacek, każdy chce być premierem. Chociaż przez miesiąc.

Teresiu, ja wtedy miałem 36 lat. I ja w ogóle jestem z Torunia.

– Jak Bielecki i Balcerowicz.

A człowiek z Torunia nadaje się przede wszystkim do roboty. Ja jestem pełnym

Pomorzaninem, z urodzenia i wychowania. Moja żona też. Z dziada pradziada. A Pomorze to jest inny świat. Zawsze powtarzam: między Toruniem a Gdańskiem jest różnica ilościowa, a między Toruniem, a takim Włocławkiem chociażby, który przynależał do Kongresówki – jakościowa.

– Na czym polega?

Wyższa cywilizacja po prostu – garnitur musi być, krawat, pełna klawiatura w uzębieniu, miasta porządniej wyglądają, gęstsza sieć kolejowa. Nie ma też bojaźni przed Niemcami, bo u nas na Pomorzu się mówi: Niemcy? a co to za problem? przecież to sąsiedzi, z którymi różne chwile się przeżywało, różne historyczne sytuacje, mego dziadka rozstrzelali w Piaśnicy, Donald Tusk stracił połowę rodziny w Sztutowie, ale to nie powód, żeby się bać, bo po co? Inny jest też stosunek do pracy, do której trzeba przychodzić na wyznaczoną godzinę, a nie z wielominutowym opóźnieniem. Widzisz, ja kocham robotę, ja jestem szalony, jeśli chodzi o robotę, na zasadzie: zadanie – wykonać.

– Każde?

O czym myślisz?

– Bo szybko je dostałeś. Wałęsa zrobił cię szefem swojej kampanii wyborczej.

Nie, nie każde. Za kogo mnie masz! Ja nie jestem facetem, który kiedykolwiek służył diabelskiej sprawie i o tym doskonale wiesz.

Kiedy Wałęsa poprosił mnie o zajęcie się kampanią, powtórzyłem mu tylko to, co wielokrotnie już mówiłem: podejmuję się tego zadania, wykonam je, ale nie dla ciebie, Lechu, tylko dlatego, iż uważam, że jest korzystne dla Polski. A potem, kiedy mnie pytano, dlaczego zgodziłem się zostać szefem kampanii wyborczej Wałęsy odpowiadałem: czego się nie robi dla

kolegi ze stoczni. I tak właśnie było! Ja nie mogłem Wałęsie odmówić. Wałęsa przecież był moim kolegą. Ze stoczni, do której trafiłem od razu po studiach i choć inżynierem byłem w niej krótko, tylko przez dwa lata, bo potem wciągnęła mnie działalność związkowa, później był stan wojenny i więzienie, a po internowaniu wyrzucono mnie, cały czas jednak czułem się psychicznie z nią związany. Wałęsa był więc moim starszym kolegą ze stoczni – bardzo ważnego dla mnie miejsca i przewodniczącym stoczniowej „Solidarności”, która politycznie mnie ukształtowała, czyli jest to ponad dziesięć lat wspólnej pracy...

– Która różnie przebiegała, zapomniałeś?

Różnie, zgadza się.

– Aramowi Rybickiemu, swemu sekretarzowi w czasach podziemia potrafił powiedzieć: przekop mi ogródek. Złotówie, który przez wiele lat robił u niego za kierowcę, płacił jak za usługi transportowe, według licznika, zapomniałeś?

Bo, widzisz, Wałęsa nigdy nie wykazywał dbałości o ludzi, z którymi współpracował, płacił im grosze, albo wcale, on w tych ludzi nie inwestował, przez to – kto był przy nim – decydował nie jego świadomy wybór, ale dobór naturalny: kto się trafił i kto z nim wytrzymał. Geremka i Mazowieckiego też nie on wybrał na swoich doradców, to oni go sobie dobrali. Geremek mu zresztą raz powiedział: jak pan będzie tak postępować, to u pana nie będzie żadnych radców, zostaną sami ordynansi. Podejrzewam jednak, że w jego postępowaniu była pewna myśl, której jednak nie potrafił zrealizować – on nie chciał być od nikogo uzależniony.

– A z tobą jak załatwił, też wtedy zapomniałeś?

Nie, nie, ze mną było jednak zupełnie inaczej. On nie miał zamiaru mnie upokorzyć...

– Tylko przywołać do porządku, prawda?

Nawet chyba nie on, ale raczej doradcy warszawscy. Było tak: w 1987 roku razem z Biurem Brukselskim „Solidarności” wystąpiliśmy do Kongresu Amerykańskiego o milion dolarów na pomoc dla związku. Załatwiamy własnymi kanałami z Jurkiem Milewskim i Andrzejem Milczanowskim tę darowiznę. Mamy wielu przeciwników, którzy uważają, że „Solidarność” od Kongresu pieniędzy nie powinna brać. Wałęsa przychyliła się do ich zdania, przegrywam, pieniądze zostają przeznaczone na jakieś fundacje, a nie na związek. Ja podejmuję jeszcze jedną próbę, załatwiamy z Ameryki drugi milion, znowu uzyskujemy sukces, i znowu otrzymuję w łeb. Tylko mocniej, bo zostaję wyrzucony z biura Wałęsy.

Wtedy zdarzenie to oceniałem oczami człowieka silnie, bardzo silnie zaangażowanego, widziałem tylko swój wysiłek w załatwianiu trudnej sprawy, sukces i w łeb. Dlatego odebrałem je jako krzywdę. Dzisiaj patrzę na nie inaczej. Po pierwsze dlatego, że jestem menedżerem i już wiem, że racje zawsze są podzielone i że kierując firmą czasami trzeba podjąć decyzje na przykład personalne, które przez ludzi w niej zaangażowanych będą odebrane jako głęboka, niezawiniona przez nich krzywda, natomiast z punktu widzenia interesów firmy wiadomo, że każde rozwiązanie ma ograniczoną ilość wariantów i zastosowanie któregoś będzie kogoś bolało.

Po drugie: samo pojęcie krzywdy jest problematyczne i to co jest krzywdą dzisiaj, może w przyszłości okazać się jeśli nie dobrodziejstwem to doświadczeniem, które człowieka – jeżeli w pierwszej chwili nie załamie, a chodzi o to, żeby nie załamało – cholernie hartuje. Mnie zahartowało. Po trzecie: przekonałem się, że uprawianie polityki nie jest rzeczą ani łatwą, ani przyjemną i że w polityce ogromnie się liczy umiejętność gry. A tej mi okropnie brakuje, to moja wada zresztą.

– To polityka jest dla ciebie grą?

Jest, według mnie, jednym z najtrudniejszych zawodów na świecie, bo polityk, dobry polityk, czyli skuteczny, musi być jednocześnie graczem, organizatorem, trybunem ludowym, mediatorem, w zależności od układu i okoliczności.

– Aktorem? Jak papież i Reagan?

Nigdy aktorem. Ale reżyserem. Tak, reżyserem.

– Do rozstawiania innych?

Poczekaj, bo ty chyba mnie nie rozumiesz i wpuszczasz w drugorzędne, czyli taktyczne sprawy. Polityk przede wszystkim powinien mieć sumienie, bo musi cały czas pamiętać, czemu jego działania służą, jaki jest ich cel.

– Ideę?

Oczywiście, oczywiście. Jeśli polityk dąży do zdobycia władzy, to musi wiedzieć, do czego mu ta władza potrzebna i mieć wizję, w jaki sposób powinna być ona realizowana. Musi mieć też wyobrażenie, jak ta Polska powinna być zorganizowana i jak on chce ją zorganizować. Bo inaczej jego działania są puste, uprawia sztukę dla sztuki, czyli kręci się wokół własnego ogona.

– Ale idea łączy się z wiarą w słuszność jednej racji.

Powiedziałbym raczej, że łączy się z pewnym uzależnieniem od tych racji. Są zresztą dwie kategorie polityków: cynicy, dla których władza jest funkcją celu i gotowi są dla jej osiągnięcia czy utrzymania każdą bzdurę powiedzieć, jakkolwiek nieuczciwą metodą się

posłużyć, oni często osiągają lepsze wyniki we wszystkich partyjnych grach, są w nich skuteczniejsi, bo – nie skrępowani ideologicznymi racjami, a często nawet i etycznymi normami – rozgrywają je na zimno, zdolni są do większej elastyczności w kompromisach.

Drugą kategorią polityków są politycy z sumieniem, do których siebie zaliczam. Ja mam określoną wizję rozwoju Polski (zorganizowania społeczeństwa, sposobów funkcjonowania państwa), głoszę je publicznie, bo – widzisz – mam jedno życie i nie wyobrażam sobie, bym mógł w nim zafundować sobie taki dyskomfort, by co innego mówić, a co innego robić i chcę wraz z moją partią wygrać wybory po to, by móc naszą koncepcję państwa zrealizować.

– Bo uważasz, że jest najlepsza?

Inaczej. Przez pięć lat studiów na politechnice wbijano mi do głowy, że nie ma rozwiązań idealnie dobrych i całkiem złych, są tylko rozwiązania mniej lub bardziej różne od optymalnego. Czyli celem jest zbudowanie konstrukcji, najbardziej zbliżonej do rozwiązania optymalnego. Optymalne bowiem z samej definicji musi kojarzyć w sobie sprzeczne tendencje. I tak: nie można zbudować statku, który byłby jednocześnie najdłuższy i najszybszy, gdyż uzyskanie jednej cechy eliminuje drugą. Konieczne są więc: wybór kryteriów, jakim poddamy dane rozwiązanie, określenie celów, jakie chcemy osiągnąć, i ustalenie ceny, jaką gotowi jesteśmy za wdrożenie jednego z nich zapłacić. Jeżeli chcemy nasz statek zwiększyć, by tanio przewoził dużą ilość towaru, musimy zmniejszyć jego szybkość i odwrotnie. Zwiększenie szybkości nastąpi albo kosztem jego wielkości, albo mocy, albo zużycia paliwa itd. Obowiązuje zasada: coś za coś, czyli ekonomia. Ta sama, którą stosuje się w rozwiązaniach politycznych, w działalności partyjnej, czy w życiu w ogóle. Jeżeli chcemy stworzyć organizację sprawną i zborną, powinna być ona zhierarchizowana. Poprzez zhierarchizowanie zyskujemy dyspozycyjność jej członków, a więc większą sterowność, możliwość skuteczniejszego działania, szybszego reagowania na wydarzenia. Pozbawiamy się jednak korzyści, które wynikają ze stosowania reguł demokratycznych, czyli indywidualnych inicjatyw poszczególnych ludzi, ich zadowolenia płynącego ze współuczestnictwa, ich identyfikowania się ze wspólnotą. Dlatego jak pytasz mnie, czy uważam program swojej partii za najlepszy dla Polski, odpowiem ci: tak, uważam, iż jest dla

niej optymalnie najkorzystniejszy.

– No, właśnie. Problem w tym, że naszych 213 partii też mają najkorzystniejszy.

Dlatego mamy wybory, w których naród wydaje werdykt, jaką partię wybiera. Demokracja jest mechanizmem, który poprzez wybory feruje wyroki. Demokracja parlamentarna, czy prezydencko–parlamentarna na pewno nie jest rozwiązaniem optymalnym, bo optymalne powinno kojarzyć trzy sprzeczne ze sobą tendencje: skuteczność funkcjonowania państwa, bezpieczeństwo obywateli i wolność każdej jednostki, a jak wiadomo – nie kojarzy, można ją więc z różnych pozycji krytykować, ale każde inne rozwiązanie ustrojowe jest jeszcze dalsze od optymalnego – według mnie. Demokracja więc, jak mawiał Churchill, ma same wady i jedną zaletę, że nikt niczego lepszego nie wymyślił.

– W porządku, tylko co zrobić z Janem Olszewskim, Markiem Jurkiem, Kaczyńskim, a teraz i z liberalami?

W demokracji przecież jest miejsce dla opozycji. Zadaniem tych, którzy znaleźli się w mniejszości jest krytykowanie, szukanie dziury w całym, czyhanie na potknięcia partii sprawującej władzę. Opozycja pełni rolę homeostatu, mówiąc językiem cybernetycznym, czyli bezpiecznika. Utrzymywanie tego systemu homeostatycznego jest obciążeniem dla rządzącej partii i oczywiście – kosztuje, bo wszystko w życiu kosztuje, w sensie materialnym i psychicznym, ale kosztuje mniej niż władza dyktatorska, bo w systemie dyktatorskim, gdy cały aparat państwowy i energia społeczna jest podporządkowana spełnieniu jednej wizji, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że błąd w wyborze drogi rozwoju czy kierunku reform oraz nie krytykowana, nie kontrolowana jego realizacja może państwo doprowadzić do katastrofy, co już przerabialiśmy.

– W 1990 roku kampanię prezydencką – wygrałeś.

Co chcesz, dobrze wykonana robota. Czas tamtej kampanii wspominał zresztą bardzo miło. Zebrałem świetnych ludzi, był to jeden z najlepszych zespołów, jaki udało mi się skupić wokół siebie. Ja zresztą lubię pracę w zespole, lubię być wśród osób, które mają do siebie pełne zaufanie. W pracy zespołowej zawsze przyjmuję zasadę, że jeśli deleguję ci jakieś uprawnienia, przydzielam zadanie, a ty popełnisz błąd, to jest to mój błąd. Ja ciebie, oczywiście, bronię, a jeśli obronić do końca nie potrafię – lecimy wszyscy. Nie uznaję zasady szukania kozła ofiarnego.

– W przeciwieństwie do szefa.

Wałęsa lubił powtarzać publicznie: jak będzie sukces – to medal dostanę ja, a jak będzie porażka – to wy polecicie. Ale przede wszystkim różnica między nami polegała na tym, że ja jestem człowiekiem, który ma tendencje do ostrożnego szacowania sił i możliwości, a Wałęsa woli zagrywki pokerowe. I ja, gdy w strajku sierpniowym 1988 roku uczestniczyło pięć tysięcy osób, publicznie mówiłem – cztery tysiące, a Wałęsa – sześć tysięcy.

– No, właśnie i naprawdę uważałeś, że ma kwalifikacje na prezydenta?

Opowiem ci trzy sceny. 1982 rok, pierwsze po wyjściu z „internatu” jego spotkanie z Tymczasową Komisją Krajową „Solidarności”. Lech siedzi na kanapie w skarpetkach, zadowolony, że po kilku wcześniejszych nieudanych próbach, uciekł wreszcie esbekom. Siedzi i kręci kostką Rubika. Przed nim reprezentanci regionów, podnieceni chwilą, stają na baczność i zdają sprawozdanie z działalności. Że Małopolska zorganizowała ileś tam demonstracji, że Śląsk ma tyłu i tyłu członków itd. Lech kręci kostką Rubika. Staje Pinior, Dolny Śląsk to – recytuje – siamto, owamto, lecą kolejne sukcesy, skończył. Lech się zrywa i do niego z kostką, pokazuje: popatrz, tylko dwóch brakuje. Pinior zrobił się zielony i poważnie się obawiano, że dostanie zawału serca.

– Wałęsa grał?

Coś ty! To prawdziwek. On po prostu wiedział, zwyczajnie wiedział, że w tym momencie nie żadna „Solidarność” jest ważna, ale fakt, iż jemu udało się uciec i milicja po całym kraju go szuka. I miał rację, oczywiście.

Druga scena, 16 grudnia 1983 roku. Trzeba iść pod pomnik, składać kwiaty. Wałęsa leży w łóżku chory i składa volkswagena, zabawkę dla dzieci z cyklu „zrób to sam”, w jednym miejscu przykręcić jedną śrubkę, w drugim – drugą. Tak, tak, pójdę – mówi. I dalej kręci tymi śrubkami. Zdenerwował mnie. Chłopie – mówię – przecież to kompromitacja, żeby przewodniczący 10–milionowego związku zabawką dla dzieci się bawił. Rzucił się na mnie: ja bym zwariował, gdybym stale o tym myślał. Też miał rację. Bo popatrz, Jan Paweł II najpierw był księdzem, potem biskupem, później został profesorem, arcybiskupem, kardynałem, a Wałęsa jednego dnia stał się Wałęsą, a drugiego dnia cały świat o nim mówił. Jaki mózg by to wytrzymał! A on, można powiedzieć, wytrzymał.

– Ale pod stoczną wtedy nie poszedł?

Nie, Dankę wysłał. I też okazało się, że dobrze, bo by go zgarnięto.

I trzecia scena, z lutego 1985. Przyjechał do niego Władek Frasyniuk. Bujaka Lech nie bardzo cenił, ale Władka darzył niezwykłym sentymentem, uważał go za człowieka, który mógłby być jego następcą. Przyjechał więc Władek z teczką, w której miał trzy listy: do Reagana, Margaret Thatcher i do Andropowa. A w nich żądanie, by USA, Wielka Brytania i ZSRR przeprowadziły w Polsce wolne, prawdziwe, niezależne wybory, jakie gwarantowali nam w Jałcie. Władek był bardzo podniecony tą ważną myślą polityczną, którą albo mu ktoś podpowiedział, albo którą sam właśnie odkrył. Lech najpierw zaczął się śmiać: no, coś ty, Władek, daj spokój, kto ci to... A Władek poważnie, że w Jałcie, Lechu, przecież... Wałęsa był tym kompletnie załamany: Władek, coś ty, kto ci to podsunął, ja myślałem, że ty jesteś poważny człowiek, a tobie się wydaje, że trzema kartkami wywrócisz porządek jałtański, 6 tysięcy

czołgów z jednej strony, 12 tysięcy z drugiej, a ty z trzema kartkami do mnie przyłazisz. I też miał rację. Choć Władek mu, oczywiście, nie uwierzył, listy przesłał do Labudowej i Basia od razu po jego aresztowaniu te pomysły czujnie utrupiła.

Więc jak pytasz, czy Wałęsa miał kwalifikacje na prezydenta, to odpowiadam ci: zawsze wiedział, w którym momencie trzeba krzyknąć „Nie ma wolności bez „Solidarności”. A inni tego nie wiedzieli. Poza tym, powiem ci brutalnie: jedyną kwalifikacją na urząd wybieralny w ustroju demokratycznym jest bycie wybranym.

– Masz rację, przepraszam.

Jedyną, innej nie ma.

– Bo wiesz, on zdenerwował mnie już w pierwszych dniach, tymi ... wariantami w związku z urzędem premiera, jakie niby ma, raz – pięć, po dwóch dniach – cztery, znowu pięć. Ty zresztą miałeś być jednym z nich.

(Śmiech) Zawsze był taki. Mawiał: chaos jest najlepszą organizacją i lubił na paluchach coś tam stale przeliczać. Opowiem ci dobrą scenę. 10 grudnia 1990, następnego dnia po wygranych wyborach, po tym świętowaniu pół nocy...

– W sztabie wyborczym w Gdańsku, muszę być złośliwa, którego byleś szefem i gdzie powiewały balony oraz wisiały transparenty z napisem „wygraliśmy Polskę”.

Tak nam się wtedy wydawało. Tak nam się wtedy wydawało. Niestety.



Gdańsk, 1990. Kampania wyborcza kandydata na urząd prezydenta RP, przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy. Spotkanie z dziennikarzami w klubie Gedania. Siedzą od lewej: rzecznik prasowy Lecha Wałęsy Andrzej Drzycimski, Lech Wałęsa, szef sztabu wyborczego Lecha Wałęsy – Jacek Merkel. Fot. PAP/Stefan Kraszewski.

Ja liczyłem – przyznaję się – na jakościową zmianę rządzenia państwem ze strony Wałęsy. Wydawało mi się, że jak już osiągnie ten najwyższy tytuł, o którym marzył i o który zabiegał, bez skrupułów nawet, można powiedzieć, skupi się na realizacji władzy, którą dostał, zrezygnuje z walki, ze zdobywania kolejnych pól.

Ale skończę ci tę scenę, bo śmieszna. Więc rano, następnego dnia po wyborach przestał mi działać akumulator w samochodzie. Poleciałem do sklepu, który znajduje się na przeciwko siedziby „Solidarności”. Wychodzę z tym akumulatorem, ciężkim jak diabli i widzę: z samochodu wysiada Wałęsa. Zobaczył mnie i: panie premierze – woła – a co pan tutaj robi? Zezłościł mnie: słuchaj, ty jesteś teraz prezydentem, to już nie wiesz, ale zwykli ludzie muszą

sobie jakoś radzić, nie? Wtedy do mnie naprawdę dotarło, że przez noc świat się zmienił, a Wałęsę już włączono do pancernego samochodu z grubymi szybami

– I powiększono mu obstawę z dwóch do sześciu osób.

Rutynowe działania, niczemu się nie dziwię, rutynowe.

– A na premiera chciał cię rzeczywiście?

No, skąd! Ja liczyłem tylko, że zostanę szefem jego kancelarii, co wydawało mi się naturalne, bo byłoby jakby przedłużeniem mojej pracy w sztabie wyborczym. Zresztą następnego dnia lub w dwa dni później, kiedy wybierałem się do Warszawy przygotowywać inaugurację, dostałem od niego pismo, które sam napisałem, a Wałęsa tylko podpisał, przedstawiające mnie jako faceta, którego on, prezydent–elekt chce mianować na szefa swojej kancelarii i prosi o współpracę.

Dobrze zresztą, że je miałem, bo w Belwederze przyjął mnie generał Janiszewski, wiesz kto to, prawda? Członek Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli Wrony, szef kancelarii generała Jaruzelskiego, i Janiszewskiemu spodobało się, iż papier jakiś jest. W ogóle bardzo było śmiesznie, bo on od razu spokojnie zapytał: gdzie chce pan urzędować? w moim gabinecie, innym gabinecie? jutro? dzisiaj? Bardzo długo żeśmy rozmawiali.

– Życzliwie?

Moim zdaniem – bardzo życzliwie, bardzo kooperatywnie i bardzo merytorycznie. Janiszewski oprowadził mnie po Belwederze. I taka scena, też dobra: stanęliśmy na pierwszym piętrze, pośrodku jest salonik, za drzwiami na lewo urzęduje prezydent, a na prawo jest pokój przyjęć. W tym pokoju przyjęć – oznajmił Janiszewski – urzędował kiedyś Bierut, a nad

drzwiami znajdował się portal, na którym umieszczone były dwie literki „BB”. Kazałem je usunąć – uśmiechnął się. – W tym przypadku pozwoliłem sobie – dodał – nie pytać o zgodę konserwatora zabytków.

– Bo wy – to na marginesie – urządzając prezydentowi kaplicę w Belwederze, o zgodę konserwatora się nie pytaliście?

Nie wiem, ja z kaplicą nie miałem nic wspólnego.

– A król Szwecji, jak chciał zainstalować w swoim zabytkowym pałacu antenę do odbioru telewizji satelitarnej, pytał i pozwolenia nie dostał, wiesz?

Janiszewski też powiedział o tym jak o wyjątkowej rzeczy.

– I przepisów drogowych – to też na marginesie – zakazujących przekraczania szybkości też nie przestrzegaliście?

Raz mi się, niestety, zdarzyło.

– Innym częściej. A mandatu nie zapłaciłeś?

No, nie. Jechałem 85 km/godz., a wolno było 60. Policjant złapał się za głowę: cholera, ustanawiacie te prawa, a później łamiecie.

– A pani Thatcher – zapłaciła, wiesz? I kiedy zaczęła się tłumaczyć, że spiesz się na posiedzenie rządu, angielski policjant rzekł: Aaa! Pani premier! To nie 20, a 100 funtów pani płaci.

Bardzo słusznie, prawo powinno być jednakże dla wszystkich, z tego wasalstwa trzeba wyjść. A w Ameryce też płacą?

– W Ameryce, wiesz, jest nie do pomyślenia, żeby jakikolwiek urzędnik pokazywał się w telewizji, jak twoi koledzy w Belwederze: bez połowy zębów, w rozchełstanej koszuli, wymiętych gaciach...

Możesz nie kończyć. Rzuciłem się za to na jednego już w pierwszych dniach naszego urzędowania. Chłopie – powiedziałem mu ostro – to przecież jest pałac, gdzie masz piękne salony. Chłopie, gdyby jakiś sabotażysta chciał wymyśleć, co by tu zrobić, żeby spieprzyć sprawę, spieprzyć efekt, nic lepszego by nie wymyślił.

– I co?

Nic.

– Zostałeś szefem kancelarii Wałęsy – na dwa tygodnie, potem szefem Bezpieczeństwa Narodowego – na dwa miesiące...

Poczekaj, bo zdaje się, nie zrozumiałaś tej sytuacji. Wałęsa, widzisz, lubi mieć wszystkie kamienie luźne. To jego stała cecha. On je układa jak mozaikę, w taki układ, inny układ, rozsypuje i znowu składa. Wałęsa lubi po prostu kombinować.

W stoczni pasjonował się wnioskami racjonalizatorskimi, bez przerwy coś tam w domu kombinował i co miesiąc zgłaszał jakiś swój pomysł na giełdę. Były całkiem do rzeczy, kiedyś mi pokazywał. Dostawał za nie dyplom, a raz nawet 500 zł. I on ten dyplomik – w ramki i na

ścianę. W ramki i na ścianę, całą galeryjkę uzbierał. Był z niej bardzo dumny. Teraz kombinuje z ludźmi, a w personaliach jest świetny, nie? Dla niego personalia to sam żywioł. Sądzę, iż w ogóle uważa, że rządzenie państwem polega na obsadzie stanowisk.

On przez to swoje kombinowanie długo nie wiedział, w którym miejscu mnie posadzić i ja to rozumiałem. On nie mógł się zdecydować, który kamień gdzie umocować. Czas uciekał, a on te kamienie wciąż rozsypywał i składał.

– I to mu zostało. A później cię wyrzucił. Oczywiście brutalnie, jak to on potrafi.

A w rok później, kiedy znowu trzeba było konstruować rząd i Wałęsa na jakiejś konferencji prasowej po raz kolejny ogłosił, że ma kilka jego wariantów, jakiś dziennikarz wpadł widocznie na pomysł, że jestem jednym z nich i zapytał, czy myśli także o Merkle. Wałęsa odpowiedział, że on zawsze się ze mną liczył i mnie cenił, ale wcześniej powinniśmy przy pomocy butelki czegoś mocniejszego pewne sprawy sobie wyjaśnić. I dziennik „Nowa Europa” napisał: według naszych informacji Jacek Merkel jest abstynentem (*śmiech*).

– Bo jesteś.

Rzeczywiście jestem, ale nie o to chodzi.

– A o co?

Że nie ma co wyjaśniać.

– Nie ma rzeczywiście?

Teresiu, znasz mnie?

– Znam i dlatego, jak doszło do mnie do Waszyngtonu, że Wałęsa chce zrobić z ciebie agenta, przysłałam ci kartkę.

Zachowałem ją na pamiątkę. Napisałaś, żebym przyjeżdżał, dajesz mi metę.

– Nie śmieję się. Byłam przekonana po prostu, że przeżywam powtórkę PRL-u i wyobraziłam sobie, że znowu zaczyna się czystka, a czystka kojarzy mi się z pustką wokół i z sytuacją, w której każdy chwyt jest dozwolony, aby zniszczyć dawnego sojusznika.

Dozwolony jest, ale jednak coś się w tej Polsce zmieniło i już nie każdy numer przechodzi.

– I pustka wokół ciebie nie powstała?

Nie. Od razu zgłosiło się wielu przyjaciół. Oczywiście znalazło się też mnóstwo oślizgłych koniunkturalistów, którzy jak zauważyli, że wyleciałem, postanowili mi dokopać i zademonstrować swoją aktywność na polu rewolucyjnej czujności.

– Od takiego prawdopodobnie dowiedziałam się o aferze w Waszyngtonie, bo gdy zapytałam go: widziałeś Jacka? rozmawiałeś? powiedział: nie, bo wiesz..., coś tam musiało być.

Słuchaj, to normalne. Zawsze w takiej sytuacji znajdują się gorliwcy, którzy natychmiast zaczynają paplać, że oni dawno podejrzewali, iż jestem agentem KGB – bo jak pamiętasz i takie plotki na mój temat się pojawiły – i że oni przyczynili się do zdemaskowania wroga, czyli mnie.

Chociaż gdyby byli dobrymi obywatelami powinni byli – zamiast gadać – doprowadzić do procesu i żądać skazania mnie na karę śmierci, bo przecież taką karę przewiduje nasz kodeks za zdradę państwa.

Dzisiaj się do mnie uśmiechają i udają, że wszystko OK. I jest, bo ja, widzisz, wiem, że po pierwsze: życie układa się w sinusoidę, jeżeli jest dołek, należy przeczekać, bo po nim pójdzie się w górę. Po drugie uważam, że każde trudne doświadczenie jest szalenie w życiu przydatne, szalenie hartuje, tylko tor przeszkód trzeba – drobnostka – pokonać zwycięsko. A po trzecie: z wymyślonymi oskarżeniami, jak z utratą pracy. Za pierwszym razem – wali się świat, powstaje czarna wielka dziura, której nie ma czym wypełnić. Za drugim razem – człowiek zachowuje się jak rutyniarz, a za trzecim – to jak splunąć.

Od czasu kiedy wyszedłem z internowania w 1983 roku, pracę traciłem trzykrotnie. Najpierw wyrzucili mnie ze stoczni, ten który mnie wyrzucał, to był zresztą ludzki człowiek. Powiedział: panie, jest tu takie rozporządzenie, że mogę dać panu pensję za sześć miesięcy, a pan zajmie się działalnością gospodarczą. A jak się nie zajmę, to co? –zapytałem. Panie – poradził – niech pan napisze, że zakłada pan własne biuro konstrukcyjne dla zbudowania wieżowca, oni panu nie pozwolą i ma pan z głowy. To wziąłem.

Potem zatrudniłem się w Politechnice Gdańskiej, etatu nie dali, policja im nie pozwoliła, ale na prace zlecone – powiedział mój esbek – mogę przymknąć oko. Po półtora roku podpadłem SB, znowu przyszedł policjant, stwierdził, że kanał, że Politechnika utrzymuje opozycjonistę, powołano komisję, moją pracę oceniono bardzo wysoko, ale rektor bał się trzymać mnie dalej i wydał rozporządzenie, że nie może brać prac zleconych człowiek, który nigdzie nie ma etatu, czyli wydał rozporządzenie tylko dla mnie jednego, no i eksperyment się skończył.

Potem poszedłem do Polskiej Akademii Nauk, popełnili błąd, bo nie wiedzieli – zdaje się – kogo przyjęli i dopuścili mnie do pracy. Przyjechał sekretarz partii i kazał zwolnić, żaden jednak dyrektor nie chciał podpisać zwolnienia, więc trzymali mnie przez rok i po roku z ulgą się ze mną rozstali. Wtedy poszedłem do księdza i zostałem konserwatorem, nie bardzo wiadomo czego, a czas pracy był normowany ilością zadań. Praca w kościele św. Elżbiety w Gdańsku

okazała się zresztą najdłuższym moim doświadczeniem zawodowym.

Kiedy więc w 1991 roku dowiedziałem się, że jestem podejrzany facet, uznałem, że oto mam do przeżycia kolejne doświadczenie i w gruncie rzeczy jest ono darem od Boga. Tak, to był dar od Boga. Tylko w sytuacji dramatycznej, kiedy człowiekowi zdaje się, że jest skreślony, poznaje się przyjaciół. I ja miałem możliwość sprawdzenia, kto jest naprawdę moim przyjacielem.

– Kto?

Ci sami.

– I milczaleś.

A co miałem robić?! Kiedy Wałęsa mnie wezwał i powiedział, że dochodzą do niego przeróżne sygnały o mojej niejasnej przeszłości, a było to na kilka dni przed jego wizytą w Stanach Zjednoczonych, dokąd także miałem jechać, i zapytał: co ty na to, odpowiedziałem pytaniem: a czego oczekujesz ode mnie? ja oczywiście, mogę się walnąć w piersi i ci przysiąc, że mam czyste sumienie, ale jak ktoś się uprze, to w podziemiu było tyle spraw niejasnych, że zawsze jakąś łatkę mi przylepi.

– Może chodziło o to, żebyś nie jechał do USA?

Nie wiem. A może o to, że chciałem Radę Bezpieczeństwa Narodowego wyprowadzić z Belwederu, fizycznie wyprowadzić z Belwederu...

– Był o to konflikt?

Otoczeniu Wałęsy wyraźnie się to nie spodobało. Mietek Wachowski, kiedy przyszedł do mnie, do Pałacu Namiestnikowskiego, bo tam odkryłem niewykorzystane pomieszczenia, w których chciałem umieścić Radę, zlustrował pokoje i „niezłe sobie salony szykujesz” – skomentował.

– A Wałęsa?

Wałęsa, kiedy przyszedł na pierwsze posiedzenie Komitetu Obrony Kraju, który chciałem przeobrazić w Radę Bezpieczeństwa Narodowego, był zaskoczony – zauważyłem – samą jego koncepcją. Bo ja Radę Bezpieczeństwa Narodowego wyobrażałem sobie na wzór francuski jako instytucję zobowiązującą, zobowiązującą rząd i prezydenta do współpracy w najważniejszych sprawach państwa. Stąd taki a nie inny jej skład zaproponowany przeze mnie: prezydent, minister stanu – działający w ramach uprawnień prezydenckich, premier, minister obrony narodowej, minister finansów, minister spraw zagranicznych, minister–szef Urzędu Rady Ministrów, minister spraw wewnętrznych. A na marginesie ci powiem, że to, co potem zaczął robić mój następca, Maciek Zalewski było karykaturą tego pomysłu.

No właśnie – powiedział Wałęsa – są dowody. Jakie dowody? – zapytałem i zażądałem przedstawienia dowodów. Nie było ich. Wobec tego następnego dnia zadzwoniłem do Wałęsy i zażądałem konfrontacji z oskarżycielami. Nie uzyskałem, więc spakowałem manatki i tego samego dnia wyjechałem do Gdańska. Moi przyjaciele, z którymi najpierw organizowałem kampanię prezydencką, a których potem ściągnąłem do pracy w Kancelarii albo w Radzie Bezpieczeństwa, wyjechali także. Oni nawet trochę z tego się ucieszyli, bo oni w ogóle nie chcieli do tej Warszawy jechać. To wcale nie była miła perspektywa: szwendać się po hotelach, w jakichś urzędach, wśród obcych. W Gdańsku wszystko wydawało im się lepsze: lepszy klimat, przyjemniejsze otoczenie, większe pieniądze, prawdziwsi przyjaciele. I jeżeli zdecydowali się, to wyłącznie z lojalności wobec mnie, bo ich o to prosiłem.

Więc jak się teraz dziwisz, dlaczego milczałem, to pytam: co – według – ciebie miałem

robić. Krzyczeć? Protestować! Gdzie? Tylko Basia, moja żona płakała.

– Kiedy mnie coś takiego spotkało, wiele lat temu, na mniejszą, oczywiście, skalę, bo było to gadanie tylko środowiskowe, też postanowiłam niczego nie wyjaśniać, nigdzie nie protestować i robić swoje. Na szczęście czekałam krótko, bo tylko trzy lata. Wybuchł stan wojenny i się wyjaśniło.

Ja krócej. Tylko pół roku. Ogłoszono wybory do sejmu i z otwartą przyłbicą postanowiłem w nich startować. Spotkałem wtedy Adama Michnika i on zapytał mnie, czy będę kandydować? Odpowiedziałem mu pytaniem: a mam inne wyjście? No, nie – odpowiedział i zdradził kilka szczegółów, o telefonach do niego, do Geremka, do księdza Jankowskiego, uprzedzających, żeby się ze mną nie kontaktowali, bo jestem agent i trzeba na mnie uważać.

– Uważali?

Zostałem prezesem banku. Na szczęście zawsze potrafię sobie znaleźć coś ciekawego do roboty.

– Zostałeś też posłem i w pół roku później Macierewicz otworzył teczki. Bałeś się?

Nie, absolutnie nie. Po pierwsze: to ja byłem już w pewnym sensie oćwiczony i co miałem przeżyć, przeżyłem wcześniej. Po drugie: ja naprawdę nie mam czasu zajmować się bzdurami i kiedy Sejm uchwalał uchwałę o lustracji, nie byłem obecny na posiedzeniu. Ja – mówię o tym z wielką przykrością – znajdowałem się w czołówce posłów mało aktywnych w Sejmie.

Moja absencja zresztą na posiedzeniach zawsze była usprawiedliwiona i nie wiązała się z brakiem zaangażowania, ale ja swoje obowiązki poselskie rozumiałem szerzej, głównie jako

aktywność w terenie. Wtedy zaś, w maju 1992 r. ostatnie dwa tygodnie spędziłem bardzo intensywnie: na organizowaniu zebrania prezesów banków prywatnych, co naprawdę – uważam – było dla Polski ważniejsze, niż wałkowanie przeszłości.

A po trzecie: przez to, że byłem tak okropnie zajęty, w ogóle do mnie nie dotarło, że szykuje się jakaś awantura. Coś usłyszałem w radiu, że Macierewicz ma tam jakiś pomysł dekomunizacyjny, który w każdym postkomunistycznym kraju jest przecież narzędziem walki politycznej, ale prawdę powiedziawszy nie chciało mi się dochodzić, co to konkretnie za pomysł, nie chciało mi się tej cebuli rozbierać, zastanawiać: po co? dlaczego? Bo mnie na to było szkoda czasu, Teresa, szkoda czasu.

Spotkanie prezesów zaczynało się o godz. 9 rano w Gdyni, właśnie 4 czerwca. Rano odbieram telefon od Donalda. Tusk jako przewodniczący klubu parlamentarnego prosi mnie o natychmiastowy przyjazd do Warszawy, obecność w Sejmie obowiązkowa. Dzwonił zresztą nie tylko do mnie, ale do wszystkich członków klubu. Więc ja szybko do banku, otworzyłem posiedzenie, pobylem ze dwie godziny i w samochód. W Warszawie zjawiłem się między 5 a 6 po południu. Kamienne twarze. Pytam: co się stało? Donald mówi: wyciągnęli teczki, trzasnęli w trzech od nas, co robimy? Ja: to co? atakujemy! Tusk mówi: wiesz, jedyne co można zrobić, to obalić ten rząd.

– Przepraszam cię, a może Macierewicz rzeczywiście ujawnił agentów.

Od udowadniania, kto był, a kto nie był agentem jest prokurator, sąd, obowiązuje jakaś procedura prawna, a nie minister spraw wewnętrznych. Macierewicz zresztą zastosował formułę, która była plątaniną różnych rzeczy. Z jednej strony przyjął, że ujawnia „zasoby archiwalne MSW”, co w pewnym stopniu ukształtowało geografie uderzenia. Z drugiej jednak strony Macierewicz tworząc dwie listy: listę A z kilkudziesięcioma nazwiskami i listę B z kilkoma, dokonał pewnej manipulacji, sam decydując, które z tych materiałów archiwalnych są bardziej wiarygodne, a które mniej. Skrajna głupota, skrajna głupota.

– Nie denerwuj się, ciebie na nich nie było.

To nieważne. Na liście B był prezydent i marszałek sejmu, i ten fakt z punktu widzenia interesów państwa nie był już dla mnie tylko głupotą, był zbrodnią, bo był próbą jednoczesnego usunięcia z urzędu: prezydenta i marszałka sejmu. W sytuacji, kiedy polski ustrój parlamentarny nie przewiduje żadnego trybu wyboru nowych władz państwa, tę próbę ocenilem jako zamach na państwo.

Zdumiało mnie na dokładkę, że Olszewski zachowywał się w Sejmie tak, jakby w ogóle nie czytał konstytucji i przez to nie wiedział, że w Polsce obowiązuje demokracja parlamentarna, że rząd jest powoływany i odwoływany przez parlament, że Sejm zatwierdza premiera i musi on cieszyć się jego ponad 50-procentowym poparciem. Olszewski wobec Sejmu wykazywał zupełnie dla mnie prześmieszoną agresję. Ja tu jestem namaszczony przez Boga, a wy to dziwna zbieranina ludzi, która nie mając żadnej odpowiedzialności za państwo, rozgrywacie jakieś swoje partykularne interesy. Jak się ma taką filozofię, to rzeczywiście można potem nie rozumieć, dlaczego przestało się być premierem.

Nie ma sprawy – powiedziałem do Tuska – obalamy rząd. Scenariusz rozpisaliśmy na role, jak to w parlamencie się robi, że ten pogada z tym, tamten z owym, siamty z owamtym, jeden wysonduje nastroje w jednym klubie, drugi – w innym



Warszawa, 1992. Szef Urzędu Ochrony Państwa Piotr Naimski (z lewej) i minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz (z prawej) przed gmachem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do którego nie zostali wpuszczeni po obaleniu rządu premiera Jana Olszewskiego. Z tyłu, z prawej strony Macierewicza, dziennikarz Piotr Semka.
Fot. PAP/Jarosław Stachowicz.

– I rząd się obaliło, no nie?

No tak.

– Trzeci w ciągu trzech lat.

Niestety.

– I ciebie znowu wysunięto na premiera.

Donald Tusk to wymyślił. Bardzo zręcznie.

– Bo chciałeś?

Szczerze? Wszelkie takie gadania o stanowisku dla mnie w Warszawie jawią się zawsze jak czarny sen w mojej rodziny, a dla mojej żony oznaczają kataklizm. Dlatego już sobie postanowiłem: ja mieszkam w Gdańsku. W Warszawie mogę koczować, od kreski do kreski, ale mój dom jest w Gdańsku, kropka. Prawdziwy dom, w którym czuję się świetnie, z za długów mnie nie widać, co normalne, ale każda córka ma pokój. Każda z trzech córek ma w nim własny pokój, rozumiesz?

– Znaczy, zgodzileś się?

Ale pamiętasz, w jakiej sytuacji? Waldemar Pawlak zostaje premierem bez szans na sformowanie rządu i trzeba szybko zaproponować nowego kandydata. Przy czym oczywiste dla wszystkich było, że kandydatem na premiera nie może być ktoś, kto jest liderem jakiegokolwiek partii. Bo znowu działa konstrukcja cepa, nie? I się nie poukłada.

– Nie rozumiem.

Proste. Gdy w wyborach parlamentarnych jakaś partia zdobywa 35 procent mandatów, nie wspominając już o 51 procentach, to oczywiście jej lider jest naturalnym kandydatem na premiera, ale jeżeli największa uzyskała w wyborach w 1991 roku – 12 procent, to rząd musiał być koalicyjny, a jeżeli koalicyjny, to kandydatury na premiera nie należało szukać we władzach

żadnej z partii, bo każda zantagonizowałaby kontrahentów, ale trzeba było znaleźć osobę z drugiej, trzeciej linii, która byłaby do zaakceptowania przez wszystkich. Czyli najpierw potrzebny był człowiek, spełniający kryteria polityczne.

– Jakie?

Oczywiście, najważniejszym jest zawsze akceptacja przez 51 procent posłów, nie?

– Czyli z nikim nie skonfliktowany?

No właśnie. Do przełknięcia. Do przełknięcia dla większości. I Donald wpadł na pomysł, że ja właśnie byłbym taką osobą. Mam dobry życiorys, dobre korzenie, jak się wtedy jeszcze mówiło, bo w „Solidarności” od początku, potem internowanie, przez cały czas w podziemiu. Pomysł spodobał mi się, dobra, wyważona kandydatura. Rzeczywiście pasowałem do tego układu. Ale jak padło nazwisko Suchockiej, dla mnie było oczywiste, było oczywiste, że Suchocka znacznie lepiej pasuje do układu, z wielu powodów.

– Jakich?

Z wielu. Powodem zasadniczym było to, że ja będąc politycznie bardziej aktywny, miałem wyższy poziom minusów niż ona, bo przeżyłem parę konfliktów z różnymi ludźmi i oni mogli wnosić jakieś zastrzeżenia, lub kręcić nosem, czego w przypadku Suchockiej praktycznie nie było. Jej zaangażowanie parlamentarne ograniczało się tylko do pracy przy tworzeniu ustaw, gdzie człowiek z natury rzeczy się mniej naraża.

Nawiasem mówiąc, moi koledzy w klubie parlamentarnym w ogóle nie mogli tego mechanizmu zrozumieć i jak się dowiedzieli, że premierem będzie Suchocka, a nie Merkel, zapanowała pełna frustracja i podniósł się krzyk, że nasi negocjatorzy znowu źle walczyli, znowu

zepsuli robotę, bo my tutaj przecież ustaliliśmy, że ma być Merkel. Musiałem im tłumaczyć: panowie, spokojnie, panowie, my w wyborach uzyskaliśmy 8 procent, a nie 51 procent, które jest wymagane, by decydować o stanowisku premiera, więc nam naprawdę nie wypada się obrażać. Bo w parlamencie, panowie, jak w grze w piłkę nożną, liczy się wynik.

– A kwalifikacje, Jacek? Kwalifikacje się nie liczą?

Na drugim planie. Na drugim planie. Suchocka pasowała znacznie lepiej do tego układu, niż ja. Tak jak z trójki: Mazowiecki–Kuroń–Geremek, Mazowiecki był kandydaturą idealną. W tamtym czasie, podkreślam, bo żaden układ nie jest zapisany na wieki wieków i po pewnym czasie się wyczerpuje. Potem Mazowieckiego zastąpił Bielecki – też nieznan, a później Olszewski, również nie żaden sztandarowy polityk, ale człowiek z drugiej linii, wynaleziony notabene przez Jarka Kaczyńskiego, który mając świadomość wad i niedostatków kandydata – o czym jestem przekonany – uznał w tym momencie, że Olszewski z jednej strony najlepiej pasuje mu do układu, który chciał zmontować, a z drugiej strony przez to, że Olszewski był przez Wałęsę wysuwany na stanowisko premiera rok wcześniej, trudny do zaatakowania przez niego, czyli w rezultacie do zaakceptowania przez prezydenta. Jarek – trzeba mu oddać – miał niezwykłą umiejętność montowania różnych układów.

– Z Olszewskim był trzeci i po 6 miesiącach się skończył.

Bo żaden układ nie jest wieczny i pasowanie w jednym momencie, nie oznacza, że dane stanowisko czy rola przypisana jest tej osobie na wieki wieków amen.

– Obaj się zresztą skończyli.

Po owocach poznaliśmy, co było to warte.

– Ale czy ciebie ta pozycja permanentnego kandydata w końcu nie zniszczy?

Ja ci powiem tak: jest to stresogenne, ale nie oznacza, że nie można wytrzymać.

– I nic się z tobą nie dzieje?

Nic.

– Bo popatrz, Olszewski, po roku czekania, by zostać premierem, jak wreszcie został – robił na mnie wrażenie człowieka, który nie wytrzymał. Romaszewski, który trzy razy bezskutecznie walczył o stanowisko prezesa NIK-u, gdy w końcu został prezesem Radia i Telewizji, na dwa tygodnie – według mnie – nie wytrzymał. A teraz widzimy, co stało się z Pawlakiem po 15 miesiącach czekania.

No dobrze, ale pamiętaj, że ja mam 39 lat, więcej niż Pawlak, ale dużo, bardzo dużo mniej od tamtych. Ja mam tę swobodę, że nie muszę się śpieszyć. Ja spokojnie mogę jeszcze się uczyć i uczyć. Reagan został prezydentem mając 70 lat, Adenauer kanclerzem w wieku 73 lat. Ja mam jeszcze czas, rozumiesz?

Mecz o miejsce w historii

Jan Rulewski

(ur. 18 kwietnia 1944 w Bydgoszczy) – polski polityk i związkowiec, poseł na Sejm I, II i III kadencji, od 2007 senator VII i VIII kadencji.

W latach 1980-1981 oraz powtórnie od 1990 przewodniczył Regionowi Bydgoskiemu NSZZ „Solidarność”. (...) Po ogłoszeniu stanu wojennego w dniu 13 grudnia 1981 został zatrzymany w sopockim Grand Hotelu i następnie internowany. W ośrodkach odosobnienia w Strzebielinku i Warszawie-Białoleńce, przebywał do 22 grudnia 1982.

W latach 1991–2001 pełnił funkcję posła na Sejm I kadencji (z listy związkowej), II kadencji (z listy Unii Demokratycznej) i III kadencji (z listy Unii Wolności). (...) W 1993 jako jeden z nielicznych posłów "Solidarności" sprzeciwiał się decyzji kierownictwa związku dążącego do obalenia rządu Hanny Suchockiej, a następnie przeszedł do Unii Demokratycznej.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Rulewski)

*Rozmowy przeprowadzone
w listopadzie 1992 i marcu 1994*

– **Czy my jeszcze jesteśmy?**

My? Z rocznika 80? Nie, my skończyliśmy się, kiedy okazało się, że lepiej być ministrem, jeszcze lepiej prezydentem, czyli kiedy Kuroń założył krawat (*głośny śmiech*).

– Ale szybko zdjął.

Wiesz, kiedy dokładnie zdałem sobie z tego sprawę? Kiedy poszedłem do swego przyjaciela w Bydgoszczy i chciałem mu jak dwa razy dwa wytłumaczyć, o co chodzi w uchwalonym przez Sejm kolejnym budżecie i do czego potrzebna Polsce prywatyzacja. On najpierw zaczął moje argumenty wulgaryzować, potem się z nich wyśmiewać, a w końcu odmówił dalszej dyskusji. Odwrócił się po prostu plecami. Wtedy dotarło do mnie, że po pierwsze: żadne moje słowa go nie przekonają i ja nie mam realnej władzy, żeby go zmusić do ich wysłuchania, a po drugie: że rozeszliśmy się ze społeczeństwem, nas społeczeństwo nie rozumie, zwykli ludzie zgubili orientację i nic z tego, co usiłujemy robić, nie rozumieją. Z czego należało wyciągnąć jeden jedyny wniosek: że my jako obóz „solidarnościowy” nie mamy już tytułu — politycznego do sprawowania władzy i – moralnego do przewodzenia społeczeństwu.

– I postanowiłeś zrezygnować z posłowania?

(*Śmiech*) jak wiesz, nie. Postanowiłem zmontować kolejny „solidarnościowy” rząd

– Suchockiej?

No właśnie.

– Gdzie logika?

Każdy pierwszy pług, który wyjeżdża na pole, tępi swoją płożę. Mazowiecki więc,

Bielecki czy Suchocka, tak jak wszyscy, którzy przeprowadzali reformy, od początku przeznaczeni byli na odstrzał.

– I następne też?

Też. Jeszcze kilka par zelówek trzeba będzie zedrzeć, aby ten kraj posunął się dalej, żeby Polska wygrała. Bo każdy, kto wchodzi do polskiego domu i mówi: „te umowy, które trzymasz w szafie, podrzyj, bo teraz będą nowe”, każdy rząd, który fabrykom przydzielając właściciela, kruszy dotychczasowe układy, musi wylądować na taczkach. Bo my zrobiliśmy w gruncie rzeczy rewolucję ustrojową. Rewolucję, która polega na tym, że każdy w tym kraju został zmuszony, choć nikt tego nie lubi, do zmiany swojego miejsca w przestrzeni politycznej, gospodarczej i społecznej. Nawet sklepowa, która żyła dotąd ze sprzedaży spod lady – bo nie z pensji, prawda? – dzisiaj musi zmienić swoją mentalność

– I nie robić łaski, tylko do zakupów zachęcać.

I jeszcze musi się politycznie opowiedzieć, bo od tego, kto obejmie rządy w tym kraju, zależy, czy dalej będzie ona zwykłym najemnikiem, czy zostanie podmiotem gospodarczym. Podobnie jest z brygadzystami czy kadrą techniczną w fabrykach, których awans do niedawna pochodził z biur partyjnych czy protekcji, a teraz powstał rynek pracy, wiele podmiotów walczy o jakość i często się okazuje, że prościej i taniej sprowadzić jest produkt z zagranicy, niż czekać na pomysły naszych wspianiałych, wypieszczonych przez reżym komunistyczny, inżynierów.



Bydgoszcz, 1990. Spotkanie przedwyborcze kandydata na prezydenta, przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy w sali Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy ze związkowcami „Solidarności”. Od lewej: Lech Wałęsa, Mieczysław Wachowski, Jan Rulewski. Fot. PAP/ Wojciech Szabelski.

– Ale, wiedząc to, dlaczego właściwie chciałeś kolejnego „solidarnościowego” rządu, skazanego na upadek?

(Śmiech). Bo wielu „solidarnościowców” pozmieniało swoje koszulki. Albo ustrojowe, stając się właścicielami. Albo polityczne, bo wstępowało do partii. Albo światopoglądowe, bo jedni się nawracali, a inni stawali ateistami.

– A ty?

A ja, który byłem zawsze postrzegany jako człowiek kontrowersyjny, walący na odlew, prawda? I kiedy wchodziłem na trybunę, to połowa sali bała się, że komuś przyłożę za mocno, ja – nieoczekiwanie dla siebie samego – wykazałem, że mam nadzwyczajne, nie chwaląc się, talenty mediacyjne.

– Czyli Szeremietiew ma rację, że w tym kraju są dwie drogi: od normalności do oszołomstwa i z powrotem. On ponoć jest na tej „z powrotem”.

Ja jestem romantykiem. Marzycielem, który dalej chodzi w trampkach. Ja zatęskniłem do młodej „Solidarności”, do tego pnia solidarnościowego, który przez lata nas skuwał. Mnie bardzo bolało to, co wtedy, w 1992 roku Belweder wielokrotnie podkreślał, że ekipy „solidarnościowe” nie są już zdolne nadać krajowi jakiegokolwiek kierunku rozwoju, wykazać się jakkolwiek inicjatywą, tak programową, jak i personalną. Ja wymarzyłem, by urządzić w Sejmie polityczne konklawe, które byłoby wyrazem już nie tylko sprawności dawnych solidarnościowców, ale w ogóle polskich polityków. Trochę z potrzeby zgłoszenia polemiki wobec stanowiska Belwederu, ale także z wiary, że ten parlament może jeszcze uratować twarz, że go stać jeszcze na sukces.

Notowania parlamentu były już bardzo niskie. Ludzie mówili: co to za parlament, który nie jest w stanie wyłonić rządu, nie jest w stanie podjąć decyzji, tylko kłóci się na drugorzędne tematy. Przeciąganie tej sytuacji groziło nie tylko upadkiem tego parlamentu, ale oznaczało falstart polskiej demokracji parlamentarnej. Chociaż uważałem, że trafny był wybór młodego człowieka ze wsi, prawda? Jako gospodarza.

– O kim mówisz?

O Pawlaku, gdy został premierem na 33 dni. Strzał był bardzo celny. Wywołał zdumienie, co jest ważne, zwłaszcza w początkowym okresie, zaskoczenie. Dawał także pewien luksus społeczeństwu, bo oznaczał, iż w przeszłość odchodzą kłótnie między „nimi”, czyli siłami

starego porządku politycznego a „nami”, tzn. tym co pozostało z „Solidarności”. Polskie Stronnictwo Ludowe trzeba mu oddać – ma na szczeblu centralnym, ale tylko na szczeblu centralnym, niezły aparat polityków, niezły aparat fachowców. Prawdopodobnie dlatego, że partia ta jako jedyna uchroniła się przed „solidarnościowymi” czystkami. W wyniku dość sprytnego ruchu: kupienia Romana Bartoszcze, którego zrobiono na pewien czas prezesem, a potem – kiedy zniknęły zagrożenia – wyrzucenia go. Więc strzał był celny.

Ale prezydent Wałęsa – jak większość Polaków, prawda? – jest mistrzem jednego ciosu, jednego pomysłu. Następnego więc dnia zaczęły się schody. Z rzetelnego rachunku sił wynikało, że pan Pawlak ze swoją partią nie jest w stanie rządzić sam, a program gospodarczy, oparty na interwencjonizmie państwowym i nadaniach dla chłopów, jaki reprezentował, ograniczał mu możliwość doboru partnerów do koalicji. Doły partyjne oczekiwały ponadto, że PSL zmonopolizuje swoją pozycję na wsi, kosztem innych ugrupowań chłopskich, a aparat lokalny tej partii nie krył, że dokona skoku na to, co jest jeszcze do wzięcia, czyli na PGR-y, na spółdzielnie, na zakłady przetwórstwa rolnego, co oczywiście zmusiłoby nas do protestu.

– Nas, czyli kogo?

„Solidarność” .

– A ona jeszcze istniała?

(Głośny śmiech) nie. Wykończył ją Wałęsa, kiedy zaczął realizować swoje dziecięce marzenia. Wałęsa nie był prawdziwym robotnikiem, bo robotnik kocha swój warsztat pracy, jest dumny, że obsługuje skomplikowaną obrabiarkę. Wałęsa zaś jest chłopem, któremu wokół obejścia paskudziły kury, a w domu zamiast podłogi miał klepisko, białym piaskiem posypywane na święta. Śniły mu się więc pałace ze służbą i pawiami w ogrodzie. Większość biednych chłopów marzy o pałacach. I później, gdy się w nich znajdują, zachowują się jak panowie.

Kiedy zaczął walczyć o prezydenturę, angażując „Solidarność”, powiedziałem mu: Lechu, wiesz dlaczego ty chcesz zostać prezydentem? Bo przy związku już nie ma jupiterów, nie ma kamer. Ale ty tam nie idź, tam będziesz najwyżej Piłsudskim, jakich w Europie było, jest i będzie kilkunastu, a Lech Wałęsa, papież ruchu związkowego, jest jeden i następny długo jeszcze się nie urodzi. Obruszył się, powiedział, że idzie ratować Polskę, bić się o Polskę. Wyszedłem z głosowania, bo uznałem, że jeżeli „Solidarność” najlepsze swoje aktywa oddaje na grę, na której się nie zna, to ten związek już się kończy.

– Mamy więc Pawlaka.

No właśnie. Następnego dnia po powołaniu Pawlaka po raz pierwszy...

– 5 czerwca 1992

...rozpoczęły się negocjacje PSL-u z „małą trójką”, czyli Unią Demokratyczną, Polskim Porozumieniem Gospodarczym i Kongresem Liberalno-Demokratycznym.

– Oraz KPN-em.

Oni stosunkowo szybko się z nich wycofali. Chyba po dwóch tygodniach. Mazowiecki, który prowadził pertraktacje z Pawlakiem, twierdził, że jest w stanie powołać rząd. Jakies ambicje widocznie pchały go do tworzenia tego układu. Bo nie wiem, do dzisiaj nie wiem, jak chciał to zrobić. Miał przecież silną opozycję także wewnątrz partii, bo Hall ze swoją frakcją od początku ostro protestował przeciwko wchodzeniu Unii w jakiegokolwiek konszachty z siłami postkomunistycznymi, więc ani politycznie, ani matematycznie układ ten był nie do zrealizowania.

– Czyli Moczulski miał rację oświadczając: „koalicja nie ma 230 głosów i rząd

musiałby powstać przy życzliwym zachowaniu SLD (...) w takim rządzie KPN nie chce się znaleźć”?

„Mała koalicja” otrzymała wsparcie, co zawsze jest ważne, bardzo silne wsparcie w Belwederze. Dlaczego Belweder parł na tak irracjonalne rozwiązania, też nie wiem, a nie chcę powtarzać plotek. Sądzę, że zaważyła tu słaba znajomość matematyki u Wachowskiego.

– Ale Wałęsa, przepraszam cię, liczyć umie.

No, ale równań też nigdy nie studiował. Ja zaś chodziłem przez parę lat do szkoły podstawowej, nauczyłem się matematyki i jako jedyny z tych wszystkich graczy politycznych – bo tak ich mogę określić – obliczyłem, że koalicja Pawlaka z „małą koalicją” nie osiągnie nawet połowy poparcia parlamentarnego.

– Ale Mazowiecki, Geremek też chodzili do szkoły podstawowej.

Ale oni nie liczyli, oni do końca w ogóle nie liczyli. Wielu naszych polityków matematykę, niestety, obdarza wstrętem. Wtedy wystąpiłem ze swoją koncepcją utworzenia rządu.

– Jaką koncepcją?

Oparcia się na siłach „solidarnościowych”. Podkreślam: „solidarnościowych”. Z mojego matematycznego wyliczenia wynikało, że taka koalicja uzyskalaby znaczną przewagę w Sejmie, a gdyby nastąpił rokosz w jakiejś partii – z czym też należało się liczyć, zwłaszcza w małych partyjkach o rozbudzonych ambicjach – to wtedy mielibyśmy w zapasie 27 głosów klubu „Solidarności”, które traktowałem jako asekurację dla tej koalicji.

Rzuciłem najpierw inicjatywę powołania symbolicznego okrągłego stołu wszystkich sił „solidarnościowych”, zainteresowanych powodzeniem reform. Na zjeździe związku „Solidarność”, który się właśnie odbywał. Inicjatywa ta została przez delegatów przyjęta z ogromnym entuzjazmem, oklaskana na stojąco. Lech Wałęsa też ją gorąco podchwycił, na oczach całej Polski, co pokazywała w tych dniach telewizja...

– ...a „Gazeta Wyborcza” potraktowała jednym zdaniem

To zrozumiałe, oni piszą tylko o pomysłach swoich przyjaciół i innych nie chcą widzieć.

Ale gdy przyszło do jej wdrażania, Lech Wałęsa włączył hamulce, zarządził odwrót i wykazał, że refleks ma, ale na krótką metę. Być może pod wpływem działań różnych gabinetów partyjnych, które hamowały tę inicjatywę zjazdową i rozgrywały jakieś tam swoje partyjne gry. Lech Wałęsa – okazało się – że też grał i entuzjazm hali zjazdowej w drodze do Belwederu zgubił. Zrazu więc nieśmiało, a potem w miarę przeciągających się negocjacji między Mazowieckim a Pawlakiem, narastała we mnie świadomość, że z tego pomysłu Wałęsy pożenienia dwóch przeciwstawnych sił nic nie wyjdzie i wystąpiłem z inicjatywą misji dobrej woli, którą inni chcieli ochrzcić mediacją zwaśnionych partii. Dla mnie jednak do końca była to misja dobrej woli, ponieważ chcieliśmy oddać dobrą usługę politykom, sami nie korzystając z owoców tej misji.

– Kto my?

Ja konkretnie. Bo ze strony „Solidarności”, której byłem posłem, nie tylko, że nie miałem przyzwolenia na prowadzenie takiej misji, ale zdarzyło się coś znacznie gorszego. W „Solidarności” już zaczęły się ujawniać tendencje do pewnej asekuracji, zaczęła wygrywać w całym związku ucieczka od odpowiedzialności: niech jest dobrze albo źle, ale my nie bierzmy za to odpowiedzialności.

Samodzielnie więc i na własną odpowiedzialność podjąłem walkę o to, żeby polscy politycy, nasi parlamentarzyści spotkali się ze sobą i porozmawiali. Bo u nas powstał zwyczaj, że politycy toczyli spory przez barykady, kłócili się ponad włączonymi telewizorami i za pośrednictwem prasy, czyli dużo teatru, dużo gestów, mało konkretów. Ale żeby spotkać się, nawet skoczyć sobie do oczu, zarzucić argumentami, to nigdy. Nigdy przedstawiciele kłócących się partii nie rozmawiali ze sobą.

Na pierwsze spotkanie zaprosiłem ludzi, których znałem. Znałem z różnych pozytywnych zachowań.

– Ale dokąd? Na kawę?

Dobre pytanie (*śmiech*). Bo ja ich zaprosiłem do sali, której nikt mi nie chciał użyć. Sal na posiedzenia zawsze w Sejmie brakuje, sale się więc załatwia. Odkryłem, że wolne są senackie, a marszałkiem senatu był – przypominam – senator z naszego klubu, który został nim z naszego poparcia. Potraktował mnie życzliwie i pozwolił użyć swego pokoju. Przyszedł Parnas naszych polityków: Jan Krzysztof Bielecki, Rokita – z jednej strony oraz z drugiej: Eysymontt, Niesiołowski, Goryszewski, Janowski, Ślisz.

– Mazowiecki nie?

Nie, nie, Mazowiecki dalej prowadził negocjacje z Pawlakiem. I nagle wyrosła przeszkoda, która zawsze w Polsce kładzie najpiękniejsze inicjatywy. Otóż sekretarka, odpowiedzialna za salę, oświadczyła, że ona w sobotę kończy pracę o 15, a była właśnie sobota, i my mamy się wynosić, ją żadne nasze ważne spotkania nie obchodzą. A na moje pytanie, czy mogłaby to bogate mienie, na które składały się trzy korony Matki Boskiej ze szklanych koraliczków, parę krzeseł i kilka butelek wody gazowanej, powierzyć mojej odpowiedzialności, oznajmiła, że nie może. Bielecki, widziałem, stał z tyłu bardzo skruszony, nie wiedząc, czy jako

były premier powinien się obrazić, czy udawać, że naszej wymiany zdań nie słyszy (*głośny śmiech*).

Wówczas się wydało, że w ogóle są jeszcze inne przyczyny, dla których ona musi iść do domu, a najważniejszą z nich jest obejrzenie kolejnego odcinka serialu telewizyjnego „Dynastia” albo „Izaura” (*głośny śmiech*). I z tak prozaicznej przyczyny naród, prosty naród omal nie zdecydował, że nie byłoby rządu Suchockiej.

– Przytachaleś telewizor?

Nie, postanowiłem interweniować u marszałka Chełkowskiego.

Pokładałem nadzieje w sile jego urzędu (*śmiech*). Ale marszałek Chełkowski wolał się nie angażować w niepewną politycznie imprezę i oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia, bo jedzie wręczać kolejne bochenki solonego chleba z okazji otwarcia kolejnych agronomówek. Natarłem więc znowu na sekretarkę, kłamiąc jej, że mam zgodę marszałka do wykorzystania tej sali. Wtedy ustąpiła. Z obejrzenia serialu w domu nie zrezygnowała, ale pojawił się jakiś pan, który zgodził się ją zastąpić, czyli dopilnować tych koralików i paru krzesel (*głośny śmiech*). Przyniósł nawet kawę. Pierwsze trzy spotkania były zresztą nieudane.

– Nie przychodzili?

Przychodzili, ale na króciutko. Mówili sobie „dzień dobry”, wygłaszali na stojąco oświadczenie, że wychodzą, mówili „do widzenia” i wychodzili.

– To po co przychodzili?

No właśnie. Ja ich przekonywałem, każdego z osobna, że warto, bardzo mocno

przekonywałem, że jednak warto, bo musi się z tego coś urodzić. Jedni więc przychodzili po to – żeby w razie czego nie stracić punktów w opinii publicznej, w obiegu zewnętrznym, że się wyłamują, że nie podejmują inicjatywy, a inni – z grzeczności. Obdarzali mnie kurtuazją – mówiąc szczerze. Przychodzili więc, trzy minuty postali. Uniści i liberałowie nie ukrywali, iż prowadzą równoległe rozmowy z Pawlakiem, ale – mówili: to co się tu dzieje, my z uwagą śledzimy, właśnie przychodząc, przysyłając ludzi. Nie zawsze kompetentnych – dodam – nie zawsze upoważnionych do podejmowania rozmów, co wywoływało ostre reakcje drugiej strony.

– Bo była już druga strona?

Tworzyła się, tworzyła. Nieoczekiwanie do mojej gry politycznej zaczęło się włączać Porozumienie Centrum, czyli Jarosław Kaczyński, który zatęsknił prawdopodobnie za trzecim sukcesem. Zawsze twierdził, że to on formuje w Polsce ekipy rządowe, a tu okazało się, że zaczyna nabierać obiegu publicznego – aczkolwiek nieskutecznego jeszcze politycznie – coś, co wyjmuje mu aktywa prasowe, prawda? Przy naszym, przy moim poparciu, zbudował tak zwaną „piątkę”, piętkę partii, będących w opozycji do Unii, liberałów i PPG. Nie po to – jak od początku podejrzewałem żeby pomóc w mediacji, zwiększając jej siłę przetargową wobec „małej koalicji” i wzmacniając misję w oczach Belwederu, bo on moje zabiegi marginalizował, ale żeby utworzyć nowy ośrodek koalicyjny w parlamencie. Ja go jednak poparłem. Z dwóch powodów: chciałem osłabić pychę „małej koalicji”, która cały czas jednoznacznie podkreślała, że jest bardziej zainteresowana rozmowami z Pawlakiem niż z nami, i chciałem uruchomić dźwignię nacisku na „małą koalicję”, by je przerwała. To był zresztą mój, a potem i całej „piątki” najpoważniejszy dylemat: jak zmusić ją, żeby zaprzestała flirtu z Pawlakiem, który – wybiegam naprzód trwał prawie do końca. Piątka partii – czyli: Partia Chrześcijańskich Demokratów, zaczynam od najmniejszej, Stronnictwo Ludowo-Chrześcijańskie, Porozumienie Ludowe, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Porozumienie Centrum – dysponowała wraz z „Solidarnością” prawie 150 głosami, była więc silniejsza od „małej koalicji”, bo ta zebrała około 120 głosów. Powstały więc dwie osie. Oś, którą – powiedzmy – firmował Kaczyński, i oś małej koalicji. Razem: więcej niż połowa Sejmu.

Między kolejnymi spotkaniami pełniłem funkcję gońca. Między Geremkiem a Niesiołowskim bądź Goryszewskim, a także Balazsem, prznosiłem wyobrażenia tych polityków o stowarzyszeniu się z EWG, o zamysłach wobec ustawy o aborcji i nauczaniu religii w szkołach podstawowych oraz jeszcze wyjaśniałem jakieś inne, zupełnie prywatne podejrzenia i domniemania.

– Czyli od Geremka leciałeś do kogo?

Od Geremka do Goryszewskiego na przykład, żeby przestał blokować stowarzyszenie z Europą, bo dla Geremka był to warunek *sine qua non* wszelkich rozmów. Od Niesiołowskiego do Geremka, żeby ktoś z Unii z kolei nie wyskoczył z postulatami dotyczącymi świeckości państwa, nowym projektem ustawy aborcyjnej albo pomysłem przeprowadzenia referendum. Chłopów z kolei namawiałem, żeby występowali jako wspólna reprezentacja, bo mieli dwie partie: Stronnictwo Ludowo-Chrześcijańskie i Porozumienie Ludowe, przez co był z nimi, jeśli nie kabaretowy, to bardzo trudny problem, żeby ich za tym stołem negocjacyjnym połączyć jednym węzłem. Ja na wszelki wypadek trzymałem ich stale obok siebie oraz pilnowałem, żeby nie wychodzili jednocześnie i nie prowadzili dialogu wewnętrznego na oczach „małej koalicji”. Do końca zresztą nie byłem pewny, czy w którymś momencie się nie pobiją, albo nie zaczną wyskakiwać przez okna (*śmiech*), bo były otwarte, jak to w lecie.

– A o co się oni stale kłóca, rozumiesz?

To proste. O przywództwo wsi polskiej. Kto jest bardziej wiarygodnym reprezentantem chłopów.

– Dla 450-tysięcznego elektoratu, jak wykazały wybory z 1993 roku, tak?

Tak, tak, o to się kłócili. Głównie zresztą Balazs z Janowskim. Ślisz był bardziej

spolegliwy.

– I klóć się niby dla dobra wsi polskiej?

To powiedz, o co chodzi obecnej „Solidarności”, która dąży do kolejnych strajków? żeby mieć swój Sierpień, bo każdy chce mieć swój Sierpień i jak któryś tamten przespał pod pierzyną, to musi nadganiać czas, czyli chce wyrzucić wszystko do góry nogami i zostać bohaterem narodowym. Takie po prostu są ludzkie ambicje.

– Ty ich nie masz?

Mam. Być w Bydgoszczy. To moja twierdza, która obroniła mnie przed wałęsizmem.

– Czyli?

Dworactwem. Jak wiesz, są dwa rodzaje: feudalne i oświecone. Feudalne polega na żądaniu bezmyślnego wykonywania rozkazów, łącznie z biciem innych po pysku, a jak nie – to gilotyna; a w oświeconym jest próg ingerencji monarchy w życie dworzan i dopuszcza on ich, choć w formie ograniczonej, do udziału w reformach państwa. Oświeconym dworzaniem przez lata był Geremek, który robił wszystko, by mit Wałęsy obrastał legendą i ja też – być może – do oświeconego dworu bym się zapisał, ale Wałęsa uznaje tylko feudalizm i ludzi, których nie potrafi spacyfikować, eliminuje ze swego otoczenia.

Biegałem więc między nimi, wyciszając wzajemne animozje. Ale nie na zasadzie, że ja przyjąłem rolę chłopca miłosierdzia, takiego ministranta, który podaje i czuwa, takiego portiera sprawy, który otwiera drzwi, otwiera butelki z wodą mineralną i nie ma własnego głosu. Ja od razu na początku określiłem warunki mojej misji: pierwszy, że budujemy ekipę rządową o pniu „solidarnościowym”; drugi, że moja inicjatywa musi – przy obecnym rozkładzie sił skończyć się

powodzeniem i parlament musi utworzyć rząd, a więc wprowadziłem element determinacji; trzeci: klub „Solidarności” ma rolę ubezpieczającą dla przyszłych głosowań w Sejmie; czwarty: „Solidarność” uczestniczy w tej mediacji nie na zasadzie jednorazowego aktu, ale będzie działania powołanej koalicji i przyszłego rządu wspierać z pozycji czynnego obserwatora.

– Klub się zgadzał?

Była rozmowa. Klub nie podjął uchwały, ale nie negował. Tylko Borusewicz poparł. Reszta zachowała się według komunistycznej zasady: jak będzie dobrze, to się przyłączymy, a jak źle – dostaniesz po łbie.

– Raczej zasady Lecha Wałęsy.

To zasada niekompetencji komunistycznej. Wtedy dokonałem odkrycia, że sprawą najbardziej dla obu stron drażliwą jest aborcja. Kiedy to odkryłem, złożyłem w Sejmie pragmatyczny wniosek, aby przenieść debatę aborcyjną na czas godny tych warunków. Wówczas poniosłem pierwszą porażkę, bo wniosek wprowadził Niesiołowskiemu podobał, ale z głosem ostrzegającym, a nawet karzącym, włączył się Episkopat.

– Wezwano cię?

Nie. Rozpowszechniono w Sejmie oficjalne oświadczenie Episkopatu, w którym uznano mój wniosek jako wyraz manipulacji politycznej, skierowanej, oczywiście, przeciwko żywotnym interesom narodowym. Że była to z mojej strony manipulacja – zgoda, ale że biskupi nie odczytali moich intencji – bardzo dziwne. Mnie przecież chodziło o to, żeby na czas tworzenia naszej koalicji zdjąć tematy, które dzielą ludzi. I miałem rację, bo ta prosta czynność bardzo ułatwiła dalsze rozmowy.

Pomógł też pan premier Pawlak. Swoim expose rządowym, zaczynającym się od słów, że minęła już solidarność niszczenia, a następuje solidarność budowania. Czyli – chłopska, nowego Witosy. Bardzo mnie to stwierdzenie zakłuło. I nie tylko mnie.

Powoli, bardzo powoli wytwarzała się pozytywna atmosfera wokół mojej inicjatywy. Zaskakiwali zwłaszcza negocjatorzy z ZChN-u. Oni wprowadzili zasadę odpowiedzialności wobec historii, państwa i narodu, co nagle w tym personalnie skłóconym Sejmie okazało się czynnikiem integrującym nas wokół wspólnego celu, który kazał zostawić za drzwiami uniformizm, z jakim weszliśmy do parlamentu. Unia była do ZChN-u uprzedzona, ale w miarę upływu czasu, zauważyłem, że uprzedzenia te maleją. ZChN wyraźnie rezygnowało ze swoich doktrynalnych inklinacji na rzecz wspólnego dobra, co i obóz „małej koalicji” podchwycił tonując swoje zarozumiałstwo i pozowanie na europejskość. Doszło wreszcie do poważnych rozmów ludzi z Polski o Polsce.

– Janku, mów wyraźnie: do nowych klótni.

(*Śmiech*) no tak. I jak ich wysłuchiwałem, to rzeczywiście w sercu przyznawałem niekiedy rację Lechowi Wałęsie, który twierdził, że szybciej o porozumienie między Bieleckim a Pawlakiem, niż między Kaczyńskim a Nowina–Konopką i Rokitą.

– I o co się klócili?

Ano klócono się o najdrobniejsze szczegóły. O zachowania. O to, że któryś z posłów coś tam powiedział o drugim pośle lub go o coś oskarżył. Albo że któryś wynosił informacje z sali obrad. Bo my narzuciliśmy sobie konwencję dyskretności i Kaczyński często ją łamał. Dokładnie było tak, że siedzieliśmy w jednej sali, drzwi były zamknięte, a informacje co kto powiedział, przenikały przez ściany, w obie strony.

– Ale wychodzili?

No, niby nie pozwalałem na opuszczanie sali, ale szum korytarzy parlamentarnych stale przenosił się do nas. Widocznie jacyś gońcy dobiegali albo dziennikarze podsłuchiwali. Jednego zresztą złapałem, ukrytego w przejściu między podwójnymi drzwiami. Mała koalicja zachowywała powściągliwość, stroną atakującą było PC. Powtarzam z jakich pobudek: PC chciało przejąć inicjatywę, chciało stać się słońcem nowej koalicji, dlatego często naruszało normy przyjęte na sali.

Między innymi przyjęliśmy zasadę, że nie będziemy wydawali komunikatów, nie będziemy wynosili na zaplecze sejmowe kontrowersji występujących między stronami. I Jarosław Kaczyński wynosił, atakując przy tym, że to nie on, ale inni partnerzy przekazują informacje. Doszło do sytuacji, że ja, harcerz polityczny, zostałem cenzorem sceny politycznej, a zwłaszcza Jarosława Kaczyńskiego. Kiedy opuszczał salę, niby na chwilę, wybiegałem za nim i podsłuchiwałem, co mówi, albo wpadałem na jego konferencje prasowe (*głośny śmiech*). A on wtedy milkł albo uciekał przed dziennikarzami.

– **A inni?**

Zdecydowana większość polityków była lojalna. Oni zaczęli się do siebie zbliżać, co w pewnym momencie z szaloną satysfakcją zaobserwowałem. Widziałem, jak po kątach Łączkowski przyjaźnie rozmawia z Eysymonttem, ZChN z liberałami, Janowski słucha argumentów Nowina–Konopki. To mi przypominało język młodej „Solidarności”, kiedy ludzie bez żadnych uprzedzeń otwierali się na drugiego człowieka. Po to, żeby go zrozumieć, a nie zwalczać. Tylko Kaczyński wykazywał do końca zdumiewającą konsekwencję i dalej wygłaszał kazania na temat swoich wyobrażeń o świecie, jak ma być on urządzony, jak Polska ma być urządzona, czym jest demokracja.

I tymi przydługimi monologami, których – jako mediatorowi – nie wypadało mi przerywać, w pewnym momencie prawie by zmajoryzował całą „piątkę”, gdyby nie poniosła go

megalomania i nie rzucił nieoczekiwanie, że te nasze porozumienia nie mają żadnych szans powodzenia i najlepiej od razu doprowadzić do wyborów w całym kraju. Na wszystkich szczeblach. Od samorządu do prezydenta. „Piątka” się przestraszyła, bo co takie wybory by oznaczały. Katastrofę, zniszczenie elementarnych ośrodków władzy w terenie, burdel w całym kraju. Ja, tego kwitu nie podpisałem, a akcje Kaczyńskiego u „piątki” zaczęły maleć.

Kiedy strony wspólnie oświadczyły, że są zainteresowane dalszymi rozmowami, a Unia Demokratyczna (do czego w znacznym stopniu przyczynił się Aleksander Hall) obiecała wypełnić warunek „piątki”, czyli wycofać się z rozmów z Pawlakiem, co praktycznie oznaczało zakończenie misji Pawlaka, postanowiłem nawiązać kontakt z Belwederem. Zadzwoniłem i wniosłem prośbę o spotkanie z Lechem Wałęsą. Spotkała się z odmową.

– Odmówił Wachowski?

Nie, Wałęsa. Rozmawiałem z Wałęsą. Wachowski usiłował wprawdzie włączyć się do rozmowy, ale powiedziałem mu: przyjacielu, ja dźwigam na sobie ciężar autorytetu parlamentu i wybacz, ale sprawy dotyczące parlamentu nie należą do kompetencji ministra i rozmawiać o nich mogę wyłącznie z prezydentem. Nie oponował.

Przypomniałem Lechowi Wałęsie obietnicę, jaką złożył na zjeździe „Solidarności”, że powoła okrągły stół sił demokratycznych, zwróciłem jego uwagę na niemożliwość stworzenia przez Pawlaka rządu, pogarszającą się sytuację w kraju, brak rządu i oczekiwałem od Lecha Wałęsy ciepłego poparcia mojej misji, nic więcej. Błogosławieństwa, które wcale by nie oznaczało, że Lech Wałęsa swoim podpisem ją firmuje i przejmuje inicjatywę. Niestety, poparcia i przyzwolenia ze strony Belwederu nie otrzymałem. Również prośba o bezpośrednią rozmowę spotkała się z odmową. Lech Wałęsa dalej trwał przy Pawlaku i groził, że jeżeli nawet nie uda mu się powołać rządu, każe mu ministrów zastąpić kierownikami resortów.

– Natychmiast po nominacji Pawlaka wprowadził dwóch: Onyszkiewicza do MON-u i i Milczanowskiego do MSW.

Ale chciał wszystkich. Przynajmniej tak mówił publicznie. Belweder więc trwał przy Pawlaku, a nasze spotkania są coraz częstsze. Zaczynają trwać po kilka godzin. I tu muszę nadmienić, że „Solidarność” nie tylko parasol nad tym przyszłym rządem rozłożyła, ale także go dokarmiła.

– Jak dokarmiła?

Kanapkami, kawą, słonymi paluszkami. Bez wdzięczności jednak, muszę powiedzieć. Bez wdzięczności (*głośny śmiech*).

W końcu stanęła sprawa premiera. Siły obu stron były równoważne. Bo to ciągle – mimo moich wysiłków, by nasze spotkania zamienić w spotkania 8 partii – były spotkaniami dwóch bardzo zwaśnionych stron: „piątki” i „trójki”. Przyjęto kilka zasad. Pierwszą: że każda ze stron ma prawo zgłosić dwóch kandydatów na premiera. Drugą zasadą było, że gdy jedna strona otrzyma stanowisko premiera, to drugiej przysługuje parytet na stanowiska dwóch wicepremierów. Trzecią: że premier powołuje szefa Urzędu Rady Ministrów. Czwartą (jako konsekwencja tematycznego podziału ministerstw na kluczowe i ważne): że partia, która otrzyma wicepremiera gospodarczego (lub społecznego), obsadza kluczowe resorty gospodarcze (lub społeczne). Piątą: że premier dokonuje wyboru personalnego, ale w ramach narzuconych mu parytetów, czyli gdyby przedstawiony przez partię kandydat mu nie odpowiadał, ta sama partia przedstawi mu innego kandydata. Sprawa dosyć prosta, prawda?

– Bardzo.

No właśnie, widzę, że chwytasz w lot. Mnie też kiedy przyjęto te zasady, wydawało się, że sprawa dalej pójdzie jak po maśle. Ale źle mi się wydawało, bo powstały trudności techniczne: kto pierwszy strzeli z kandydaturą premiera. Żadna ze stron nie chciała strzelić pierwsza.

– Dlaczego?

Nie wiem. Klincz się zaczął i potrzebne były nowe uzgodnienia.

Poprzedzone dyskusją, oczywiście. Uzgodniono: nie będzie strzałów ustnych, tylko pisemne, na karteczkach. Ale czy są karteczki? Mediator, czyli ja, na szczęście, miał. Wtedy wrócono do problemu, kto napisze pierwszy. Żadna ze stron nie chciała zdradzić nazwiska swoich kandydatów, więc opracowaliśmy kolejną zasadę: wyznaczamy macierz, taki bank, i do banku wrzucamy kandydatury, nie decydując jeszcze, kto będzie premierem, a kto wicepremierem.



Nakło nad Notecią, 1995. Przewodniczący Konfederacji Polski Niepodległej Leszek Moczulski (z lewej) i Jan Rulewski z Unii Wolności podczas mityngu przedwyborczego.

Fot. PAP/Wojciech Szabelski

– Kapelusz też miałeś?

Nie miałem. Bankiem miał być wazon po uschniętych niezapominajkach. Przyjęto również zasadę, że w pierwszym etapie nie będzie analizowania tych kandydatur i nie będzie głosowania, kto ma być premierem. Tylko każda ze stron wniesie swoje zastrzeżenia pod adresem zgłoszonego kandydata, czyli najpierw nastąpi selekcja negatywna, kto nie będzie.

– Nie uważałeś, że to strasznie śmieszne?

Nie, nie. Ja zresztą w ogóle nie zastanawiałem się, czy coś jest śmieszne, czy nie, bo mnie strasznie zależało, żeby tę mediację doprowadzić do szczęśliwego finału, a co rusz wyrastały jakieś przeszkody. A to Unia spóźniła się na umówioną godzinę, co „piątka” odebrała jako wyjątkową obrazę polityczną, wyszła i biegałem za nimi po korytarzach, tłumacząc, że to moja wina, że pomyliłem godziny, że to nie Unia, ale Rulewski nawalił. A to przed Śliszem i Janowskim ukrywałem, że wiem cokolwiek o potajemnych spotkaniach Unii z PSL-em, bo na hasło PSL ci bledli na twarzach. A to Balazs w samej końcówce śmiertelnie się obraził, bo chciał zostać ministrem spraw wewnętrznych i musiałem Ślisza wyciągać z łóżka, żeby go doprowadził do stołu negocjacyjnego.

Mnie bardziej niż im wszystkim zależało na powodzeniu tej misji. A zdawałem sobie sprawę, że jest ona szalenie trudna, bo układ dwóch stron jest najbardziej konfliktogennym układem. Przy trzech możliwe jest robienie różnych kombinacji, są jakieś alternatywy, a przy dwóch kompromis wymaga złotego środka, który nie wiadomo jak wyznaczyć, i w rezultacie: jeden jest wygrany, drugi przegrany.

Umówiliśmy się, że kandydatury na premiera zostaną przedstawione za kilka godzin. W tym czasie w Sejmie huczało. Każda strona mówiła nie kogo wystawi, tylko kogo wytnie z listy przeciwnika. Krążyło, że Kuroń nie zgodzi się na Niesiołowskiego czy Łopuszańskiego i nie

uzna Janowskiego za pełnoprawnego premiera. Że Lech Kaczyński budzi silne opory w Belwederze. Gabriel Janowski konfliktuje wieś. Wiadomo też było, że „piątka” nie zgodzi się na Mazowieckiego, na Rokitę, na Kuronia, choć uwzględnia – jak podkreślano między sobą – fakt polityczny, jakim jest jego wysoka popularność w kraju.

– Wciąż te same nazwiska.

To akurat rozumiałe. W końcu lista osób zdolnych pełnić tę funkcję, czyli znanych, o pewnym politycznym doświadczeniu, jest ograniczona.

Zanosilo się na szalony impas. Zebraliśmy się w klubie i zastanawialiśmy, co zrobić, gdy obie strony wytną się nawzajem. Czuło się już, że za tydzień, najdalej dwa podniesie się w Polsce strajkowa fala. Olszewski nie spełnił przecież pokładanych w nim nadziei i wbrew deklaracjom ostrzej niż jego poprzednicy realizował zalecenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Padło nazwisko Borusewicza. Odmówił, przypominając, że posłowie „Solidarności” zobowiązali się w kampanii wyborczej nie uczestniczyć w rządzie.

Obie strony przeprowadziły wewnętrzne wybory na premierów i wicepremierów. Z tym że przy wyborach „piątki” byłem obecny, bo zostałem zaproszony, a na naradzie „trójki” nie. Mnie, „mała koalicja” na swoje zebrania nigdy nie prosiła.

– No, no i jak było?

Nie ma co opowiadać. Nie działały się „rzeczy polityczne”. Działy się rzeczy śmieszne. Ja w tych wyborach „piątki” uczestniczyłem, oczywiście, nie jako doradca, ja poszedłem pomóc im obliczać głosy, jako że atmosfera tam gęstniała, bardzo gęstniała. Padły następujące kandydatury: Gabriela Janowskiego, Stefana Niesiołowskiego, Pawła Łączkowskiego, Lecha Kaczyńskiego. ZChN jednak nie było zainteresowane premierostwem, oni wiedzieli, że mogą być przeszkodą w tworzeniu koalicji i kandydatura Niesiołowskiego jest nie do zaakceptowania przez drugą stronę.

Jeszcze raz podkreślam wysoką odpowiedzialność bloku ZChN-owskiego. Janowski też nie był przekonany do swojej roli i dość skromnie się o sobie wyrażał.

– Uważał że się nie nadaje?

O, nie! Co to, to nie. On nie był tylko przekonany co do poparcia, jakie uzyska, zwłaszcza ze strony SLCh. Przeprowadzono tajne głosowanie i w jego wyniku wszelkie kalkulacje Porozumienia Centrum na objęcie przywództwa się załamały. Na podstawie liczby otrzymanych głosów ustalono hierarchię. Na pierwszym miejscu znalazł się Gabriel Janowski, na drugim – Lech Kaczyński.

Spotkaliśmy się z małą koalicją i z drugiej strony padły nazwiska: Suchockiej i Halla. W takiej kolejności. Kiedy padło nazwisko Suchockiej, gołębiczy naszej, którą chyba Opatrzność nam zesłała...

– Chyba Rokita?

Bo tam młodoturki: Nowina–Konopka, Rokita, Hall, przejęły inicjatywę. Kiedy więc padło jej nazwisko, to ta ewangeliczna gołębica wprowadziła takie zamieszanie, że „piątka” gadatliwa dotąd, zwłaszcza Jarosław Kaczyński, zapomniała z wrażenia języka w gębie. Ja też byłem zaskoczony, bo ja jej w ogóle nie znałem.

– A mówiono na mieście, że się w niej podkochiwałeś.

Gdybym ją wcześniej znał, to kto wie, kto wie, ale ja jej nie znałem.

Zapanowała cisza. Unia uzyskała przewagę psychiczną, a za chwilę osiągnęła też przewagę taktyczną. Przedstawiciele ZChN-u bowiem złożyli w imieniu „piątki” króciutkie

oświadczenie, że nie są przeciwni kandydaturze Suchockiej i Halla. Głos oddałem „trójce”. Nowina-Konopka i Hall przyjęli oświadczenie „piątki” do wiadomości i stwierdzili, że podtrzymują tylko swoich kandydatów, co oznaczało praktycznie brak poparcia dla podanych przez „piątkę”, choć nie wyrażone wprost. Mnie aż serce zadrżało z radości, że będzie rajski wybór, czyli w ogóle nie będzie wyboru, bo jest tylko jedna kandydatura, Halla Unia wystawiła przecież na drugim miejscu, prawdopodobnie po to, by blokować inne kandydatury, więc się nie liczył.

Rychło jednak połąpał się w tej grze Jarosław Kaczyński, który był rzeczywiście bardzo twardym negocjatorem, czym budził mój szacunek, ale i sprzeciw, ponieważ nikła liczba posłów, jaką reprezentował, i rozbite zaplecze partyjne nie upoważniały go do brutalności, którą często prezentował, czy wręcz bezczelności. Oświadczył, że jeśli Unia nie uznaje żadnego z kandydatów „piątki”, to łamie przyjętą konwencję i on łamać jej nie pozwoli. Co było już obrazoburstwem, bo całkowitą nieprawdą. Włączyłem się i powiedziałem: nasza misja jest ukierunkowana, ona ma swój cel – powołanie rządu, i biorąc pod uwagę możliwość impasu, nasze klubowe kości rzucamy na Suchocką: 27 głosów klubu „Solidarności” stawiamy na Suchocką. Kaczyński zaczął pokrzykiwać, że nastąpiło naruszenie statusu mediacji i podważył wiarygodność mojej misji.

– Co zarzucając?

Popieranie Unii. Trzymanie z „małą koalicją”.

– Czyli zdradę?



Lublin, 1992. Inauguracja roku akademickiego 1992-1993 w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Na pierwszym planie od lewej: prymas Józef Glemp, rektor uczelni ks. prof. Stanisław Wielgus, premier Hanna Suchocka i szef kancelarii prezydenta RP – prof. Janusz Ziółkowski. Fot. PAP/Mirosław Trembecki

Zdradę zarzucił też w późniejszych swoich wypowiedziach ZChN-owi, co też było nieobiektywne i nieuczciwe. Włączył się Borusewicz. W bardzo dobrym momencie wzmacniając moją pozycję. Zrobiło się zamieszanie. Kaczyńskiego poparło Porozumienie Centrum, z którego wbrew ustaleniom, że każda z partii przysyła na negocjacje po dwie osoby, przyszło tego dnia chyba całe prezydium i trudno mi było rozróżnić Siwka od Dziubka. Tym bardziej że Niesiołowski też przyprowadził kogoś dodatkowo. Razem był więc tłum ludzi, chyba z kilkadziesiąt osób. Przekazałem Borusewiczowi przewodniczenie obradom. Wylczyłem jeszcze tylko, dlaczego postawiłem na Suchocką: nie wywołuje sprzeciwu drugiej strony, była członkiem „Solidarności”, wiąże światopoglądowe elementy, które są przyczyną ogólnokrajowego konfliktu.

– No i kobieta, nie?

Powiem ci szczerze, że byłem uwsteczniiony i dla mnie jej płeć była czynnikiem obciążającym. Nie miałem najlepszego mniemania o kobietach na wysokich stanowiskach. Uważam je za osoby zmienne w nastrojach i tak wrażliwe, że nie są w stanie prowadzić dalekowzrocznych działań. Wspaniałe, ale na krótki dystans, bo w dłuższej perspektywie tracą konsekwencję. Niemniej jednak, zdawałem sobie sprawę, że kandydatura Suchockiej zawiera w sobie element niespodzianki, zadziała na społeczeństwo z jednej strony – szokująco, a z drugiej – kojąco. Miałem również świadomość, że dotychczasowi politycy są w odbiorze społecznym mniej lub bardziej zgraną kartą, a ona jest świeżą postacią. Czyli spełniało się moje marzenie, że „Solidarność” rodzi coś nowego, nową jakość. Dlatego przewrotnie, wbrew sobie, postawiłem na Suchocką.

W moim klubie wybuchła histeria. Nieznana, nie poradzi sobie, skompromituje kraj i demokrację. A ja zachowałem się nieodpowiedzialnie, bo jednoosobowo, bez konsultacji postawiłem 27 klubowych głosów, czyli zepsułem wszystko, co dotąd zrobiłem. Jednocześnie w Sejmie puszczono plotkę, że Suchocka pochodzi ze starej nomenklatury, była działaczką SD. Na szczęście, znalazł się w naszym klubie działacz z Poznania, który obalił te wszystkie zarzuty i wykazał, że jest kobietą wyjątkowych zasług dla „Solidarności”, do końca nosiła znaczek, protestowała w Sejmie przeciwko stanowi wojennemu i w ogóle jest wspaniałą, uczciwą i bardzo wykształconą niewiastą.

Zaczęto ściągać Suchocką z Londynu, gdzie była na jakiejś konferencji, i informować, co ją spotkało (*śmiech*), bo nawet o wystawieniu jej kandydatury nie wiedziała. A my usiedliśmy – zgodnie z ustalonymi wcześniej założeniami – projektować skład przyszłego rządu. Kaczyński jeszcze liczył, że uda mu się wypchnąć mnie od mediacyjnego stołu, ale ja parłem jak czołg. Zapanował duch wspaniałego porozumienia. Tam Pawlak, z błogosławieństwem Lecha Wałęsy, znaczył swoją obecność na scenie politycznej licznymi przemówieniami, pan Łuczak usadowił się już pewnie w fotelu ministra Urzędu Rady Ministrów, a my tworzyliśmy nasz rząd.

Stanowiska wicepremierów – zgodnie z parytetem – przypadły „piątce”. Czyli w grę wchodziły nazwiska: Janowskiego i Lecha Kaczyńskiego. Janowski, kiedy chcieliśmy podjąć dyskusję, kto będzie, powiedział: mamy gotowe propozycje, ja jestem pierwszy na liście. A na to Balazs: ty się mylisz, ty byłeś wybrany na niby (*głośny śmiech*), tak dla picu.

– Czyli walka o stolki?

Ale to wcale nie przynosi ujmy tej koalicji. Przecież programy poszczególnych partii były obu stronom znane i tak naprawdę w podstawowych sprawach niewiele się między sobą różniły. My zresztą nie przydzielaliśmy ministerstw poszczególnym osobom, tylko formowaliśmy gabinet opierając się na ustalonych parytetach partyjnych. Chociaż oczywiście wiadomo było, która partia kogo gdzie wyznaczy. I dlatego jedna strona – powiedzmy sobie szczerze – rozbijała wartości intelektualne drugiej strony.

Szefostwo URM-u przypadło Unii. Resorty gospodarcze prawie w całości przejęła „piątka”, politykę społeczną w dużym stopniu miała opanować „trójka”. Zaczęto dzielić się ministerstwami i liczyć. Dodawano, odejmowano, bo miało być po równo.

– Jak w komunizmie (*śmiech*)?

No tak było, tak było. Na przykład raptem się okazało – wybiegam w przód – że jest nieparzysta liczba ministerstw i doszło do klinczu. Było jeszcze trzech kandydatów, a zostały tylko dwa ministerstwa. Ministerstwa zaś nie da się przerąbać na dwa. Zaproponowałem wymyślenie dodatkowego ministra bez teki. Wtedy podniesiono argument, że to kosztuje kilkaset milionów. Powiedziałem: straty, jakie ponosimy codziennie nie mając rządu, są znacznie większe niż koszt utrzymania dodatkowego ministra i kilku urzędników.

Ostatnie spotkanie było już permanentną okupacją gabinetu marszałka senatu. 18 godzin ciurkiem, ciurkiem, z różnymi ciekawymi aplikacjami.

– To niewiele więcej, niż obalanie rządu Olszewskiego, bo tamto trwało w Sejmie 16.

Na zapleczu Unii Demokratycznej wybuchł poważny spór. Odkryto, że zawarty układ jest dla niej niekorzystny, bo PC – słaba partia, ma najwięcej ministerstw, że „piątka” dostała za dużo stanowisk i że w ogóle wejście z nią do koalicji jest naruszeniem tożsamości ideowej Unii: Kuroń i Geremek, z którymi dotąd w miarę rozsądnie współpracowałem, także – o dziwo – utwardzili się.

Gorączka narasta. „Piątka” twardo żąda przestrzegania elementarnych zasad dyscypliny. Oświadczą, że wszystko jest już uzgodnione i jeśli Unia zrujnuje zawarty układ, da dowód nie tylko swojej politycznej głupoty, ale i swojej niewiarygodności, czyli przekreśli możliwość prowadzenia z nią negocjacji w przyszłości. Padają głosy, że Unia prowadzi grę, by ich skompromitować. PC grozi, że odejdzie z koalicji. Balazs chce się do nich przyłączyć. Walka o Glapińskiego. Kaczyński kilka razy wychodzi. Gotowy już byłem dzwonić do Glapińskiego, żeby go prosić w imieniu misji, by się poświęcił, zrezygnował z ministerstwa współpracy z zagranicą, a został ministrem budownictwa.

– Odmówiłby.

To samo powiedział mi Borusewicz.

Do klubu Unii przyjechała pani Suchocka, była chyba 3 nad ranem w niedzielę. Chciałem ją przedstawić całej koalicji, ale pani Suchocka ugrzęzła w pokojach klubowych Unii. Zarządziłem 15-minutową przerwę. Czekamy. Nie ma przedstawicieli Unii, nie ma Suchockiej. Nie wiemy, czy godzi się być premierem czy nie, czy będzie honorować nasze ustalenia.

Po 45 minutach czekania biegniemy tam razem z Borusewiczem. Straszny widok. W przedpokoju klubu Unii siedzi mężczyzna, znany mi jako Tadeusz Mazowiecki, w kącie,

skulony, zniszczony, połamany. Jak człowiek po Sylwestrze, który się zagubił, był nie na tej zabawie, co trzeba i którego na dodatek żona lub narzeczona opuściła.

– Kaczyński twierdzi, że był pijany.

Nie był. Posądzenie Kaczyńskiego jest niesłuszne. Mówię to z całą odpowiedzialnością. Choć każdy miał prawo tak sądzić, bo sprawiał takie wrażenie. Wygląd Mazowieckiego był wyrazem jego całkowitego załamania. Ja je rozumiałem. Oto człowiekowi, który był liderem partii, którego szykowano na premiera, odebrano możliwość spełnienia się. Być może – ze względu na wiek – ostatni raz. Historia zagrała przeciwko niemu najgorszą kartą i on chyba zdał sobie sprawę z tego, że przetacza się ona obok niego, a on jest tylko jej uzupełnieniem. Bardzo go szanuję za to, że usiadł w kącie, że nie przeszkadzał.

Reszta Unii się kłóci.

– O co?

Czy jest sens wchodzić w koalicję. Oni dyskusję właściwie zaczęli od początku. Bardzo agresywny Kaczyński, przekraczający moim zdaniem granice przyzwoitości politycznej.

– Bo co ją wyznacza?

Rzucanie krzesłami. Kaczyński krzesłem wprawdzie we mnie nie rzucił, co nie uważałbym za obraźliwe, ale granicę stanowczo przekroczył. Urazy od siebie oddaliłem i powiedziałem im: prosiliście o 15-minutową przerwę, rozumiałem jej potrzebę i się zgodziłem, ale minęła godzina, tamci ludzie po prostu odejdą, a jak odejdą, to będzie koniec wszelkich rokowań. Rokowań, od których odejścia nie ma.

Kłócili się dalej. Wtedy nastąpiło wspaniałe twarde wejście Borusewicza. Bardzo mi się podobał. Miał kilka dobrych wejść, a to było najlepsze. Panowie – krzyknął – kończymy mediację, wydamy odpowiednie oświadczenie, kto jest odpowiedzialny za jej złamanie – zagroził.

Pani Suchocka nie wie, co robić. Ma bardzo trudną sytuację. Jej podrzucono przecież gotową strawę, której być może nie polubi. Jedni krzyczą, by szła, inni, żeby została. Trzeba było użyć siły dżentelmena. Doszło do sceny, gdy ja ciągnąłem Suchocką, a pól Unii ją trzymało. W końcu znowu zadziałała życzliwa ręka Halla. Tym razem w sposób dosłowny (*głośny śmiech*). Młodoturki unijne: Hall i Rokita, wypchnęli ją z sali. Przychodzimy do pokoju obrad. Ale tamtych już nie ma. Razem z Borusewiczem zaczynamy biegać po korytarzach i ich łapać. Dobrze, że byłem kiedyś w wojsku mistrzem dywizji w biegach. Pozbieraliśmy, siadamy. Unia jest w nadkomplecie, kilkanaście osób, trudno jednoznacznie wyłowić ich stanowisko. Bryluje Kuczyński, coś pokrzykuje Osiatyński. Oni jeszcze liczyli widocznie, że uda się im obalić negocjacje.

Suchocka okropnie spięta, nerwowa. Ja czule ją witam. Ona jakby oburzona, że co to tu za młokos, który mówi komplementy poważnej damie, córce szanowanego aptekarza z Pleszewa. Ja jednak byłem uradowany, że moja misja, nasza misja, naszego klubu, już się kończy, że oto „Solidarność” wraca dla dobra kraju na scenę polityczną, chce znowu służyć krajowi, nie będzie procesów przeciwko „Solidarności”, co zapowiadał pan premier Pawlak, i nie będzie rządów dygnitarskich, bo dla mnie tamte partie są partiami dygnitarskimi, o nawykach dygnitarskich.

– A my nie?

Nie, nie, nasze „solidarnościowe” zawsze myślały o całym społeczeństwie, a tamte o interesach grupowych.

Suchocka sztywna. Pyta nieswoim głosem, gdzie są ustalenia, protokoły. Ona nic nie wie i żąda ustaleń na piśmie. Ustaleń nie ma. Suchocka rzuca: co za robota mediatorów! Włącza się

Jan Krzysztof Bielecki. Wstaje i ruga wszystkich: za nerwowość, za nieodpowiedzialność, a zwłaszcza za zarzuty wobec mediatorów. Mówi: to chłopcy – mało, że się napracowali, oddali olbrzymie zasługi – to jeszcze się żąda od nich, by byli protokolantami i maszynistkami. My sami możemy przecież te protokoły sporządzić. Przystąpiono do pisania protokołów, ale szybko przerwano, bo uznano, że nie pora, wystarczy wspólny komunikat. Wszyscy się uspokajają. Zaczyna się normalna rozmowa o wspólnych sprawach. Nerwowy akcent wprowadza Kaczyński. Wstaje i wygłasza swoje expose, w którym mówi, z czego nie zrezygnuje. Krótko odpowiada mu pani premier, żeby PC przemyślało jeszcze swoje stanowisko, i Kaczyński wychodzi kolejny raz. Dwunasty, jak naliczyłem (śmiech).

– Już ostatni?

Nie, nie, jeszcze raz wrócił.

Czas pracował na naszą korzyść. Wszyscy byli potwornie zmęczeni. Rokita chyba z Goryszewskim usiedli pisać komunikat o zmaterializowaniu inicjatywy, wspierał ich Geremek, a my ustalaliśmy, kto pójdzie do Belwederu i kto załatwi ich audiencję. Najpierw padło, że przedstawiciele wszystkich partii, ale potem uznano, że może to wywołać konflikt, więc ustalono, iż pójdą: pani premier, przedstawiciele dwóch grup, plus mediator. Zaproponowałem, żeby Mazowiecki reprezentował małą koalicję, chciałem uhonorować utratę jego prestiżu, zgodzono się. „Piątka” wyznaczyła Chrzanowskiego, który dodatkowo jako marszałek Sejmu osłaniałby naszą inicjatywę prawem parlamentarnym. Ja – jako osoba techniczna – miałem nawiązać kontakt z Belwederem.

– I wtedy wypiliście koniak przyniesiony przez Chrzanowskiego?

Tak, tak, Chrzanowski rzeczywiście wykazał i kondycję, i polot.

Był uśmiechnięty, Goryszewski też, w ogóle ta ZChN-owska część była bardzo

usatysfakcjonowana. Ja nie piłem, bo nie tykam niczego poniżej wermutu, a wtedy, dodatkowo mając na uwadze, że czas jest też pojęciem politycznym, postanowiłem natychmiast zadzwonić do Belwederu. Chciałem – nie ukrywam – szybko wpisać Suchocką do księgi belwederskiej. Była godzina 7 rano.

Telefon odebrał jakiś mężczyzna. Rozmowa: Kto mówi? Rulewski w bardzo ważnej sprawie, którą chcę przedstawić ministrowi Wachowskiemu. Mężczyzna stwierdził, że mnie nie zna, nie zna takiego polityka, który by miał uprawnienia budzić Belweder o 7 rano w niedzielę. Przeprosiłem więc, że dzwonię tak wcześnie, bo pora rzeczywiście nie na sumę, ale na pewno na poranną mszę i prezydent – znając jego obyczaje – jest już w kaplicy. Ludzie w Bydgoszczy – dodałem jeszcze złośliwie – jak trzeba, wstają o czwartej i nie ma dla nich niedziel. Zresztą – powiedziałem ja dzwonię z upoważnienie koalicji do załatwienia sprawy technicznej, czyli audiencji u pana prezydenta.

Tym mężczyzną, który odebrał telefon, był Wachowski, o czym się później dowiedziałem, ale ja nie poznałem go po głosie. On zaś udał głupiego, co było mądre. Za język pociągnął, ale nie zareagował. A potem osoby, które spotkały go tego samego dnia z okazji wizyty Busha w Warszawie, doniosły mi, że pytał Chrzanowskiego, czy zna jakiegoś misjonarza Rulskiego, który usiłował obudzić Belweder o 7 rano i w ogóle przeszkadza im w pracy. Taka więc złośliwość też się pojawiła. W rewanżu chciałem z tą trójką koalicyjną wjechać do Belwederu na rowerze, w cylindrze i pumpach, jak prawdziwy Anglik, a potem rzucić mu ten rower, by wyregulował kołnusy.

– Co? Przeliteruj.

Kołnusy, to z niemiecka stożki łożyska. Bo w dawnych czasach, jak przyjeżdżał pan, to koniuszemu dawał lejce do potrzymania i konie, by nakarmił i wyczyścił. Nie udało się. No, sprawy techniczne stanęły na przeszkodzie.

– Nie masz roweru? Ty, wieloletni pracownik zakładów rowerowych Romet?

Cylindra też nie mam (*śmiech*).

Odzewu z Belwederu nie było. Dzwoniłem jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem telefon odbierała jakaś pani.

Niestety, Belweder nadal trwał przy Pawlaku i powołując się na wystąpienia Kaczyńskiego nagłaśniał nasze spory. Dezinformował, głosząc, że niczego nie uzgodniono, dlatego pan prezydent nie może się do naszych propozycji gabinetowych ustosunkować. Przekazałem informacje do Polskiej Agencji Prasowej, ale udali głupiego i moich wyjaśnień prasie nie przekazali.

Dzwoniłem do różnych redakcji, prosząc, by pytano mnie o opinię, bo to ja trzymam klucz informacyjny, a nie kibice, którzy rozgrywają jakieś swoje gry. Nie pomagało. W końcu uaktywniłem się i wszedłem w kontakt z dziennikarzami z III programu radiowego. Od piątej rano czuwałem w łóżku, wysłuchiwałem niedorzeczności, jakie podawały kolejne rozgłośnie, i na żywo przez program III je prostowałem.

Postanowiłem też, że misjonarzem już nie będę i więcej do Wachowskiego nie zadzwonię. Zatelefonowałem „erką”. Odezwał się głos Lecha Wałęsy. Nie zdążyłem jeszcze przedstawić mu, w jakim charakterze dzwonię, a on od razu, że nikogo nie przyjmuje. Chyba nawet jakieś straszniejsze słowa padły (*śmiech*). Mówię mu więc: posłuchaj mnie, przyjacielu ...

– **Na ty?**

Przecież jesteśmy na ty, to po co udawać? Ja do niego mówię zawsze „przyjacielu”, „kolego”, bo przecież nie mogę wobec społeczeństwa demonstrować poufałości, a formuła „panie prezydencie” wydaje mi się sztywna i sztuczna. Przyjacielu – powiedziałem więc – ja nie mam do ciebie żadnych poważnych spraw, tylko techniczne; jest przygotowana cała koncepcja

rządu; spełnia wszystkie twoje warunki, i wymieniałem osoby, które chcą do niego przyjść. Przerwał mi. Nie przyjmuję. Nikt tu nie będzie przychodził. Premiera on ma. Ale ty możesz przyjść. Sam – podkreślił.

Ale ja, Leszku – próbowałem mu jeszcze przypomnieć, bo jego odmowa świadczyła o nieuznaniu pani Suchockiej – jestem: przynieś, podaj, koncepcję zaś rządu chcę, żeby sprzedawali ci, którzy ten rząd będą tworzyć. To przyjdź w sprawach technicznych oświadczył. Był w dobrym nastroju.

Idę. Od progu ze wszystkich stron biją we mnie kamery telewizji belwederskiej. Do kamer jestem przyzwyczajony, ale zainscenizowanym widowiskiem mnie zaskoczył. Chyba się pogubiłem. Wachowski na pierwszym planie, Wałęsa gdzieś z tyłu na schodach, a ja w centrum. Wałęsa trzyma w ręku gazetę i w obecności kamer i Wachowskiego odczytuje mi kawałek jakiegoś artykułu ze „Sztandaru Młodych” o powiązaniach PC-owskiego „Telegrafu” ze spółką Art B i zgłasza, oczywiście, pretensje, że przychodzę do niego z koncepcją rządu złodziei. Jakich mi tu złodziei raisz, mówi.

Bardzo dla mnie niewygodna sytuacja, bo po pierwsze: zaskoczenie. Nie wiedziałem, że w Belwederze powstała prezydencka agencja telewizyjna. A po drugie: ja tego artykułu nie czytałem. Ja w ogóle z zasady nie zajmuję się personaliami w tym kraju, kto z kim, co i jak ukradł, i czy w ogóle ukradł. Przyjacielu – powiedziałem – przecież nie będziemy się kłócić o wycinek z gazety, są sprawy ważniejsze; gazeta, przyjacielu, taka gazeta nie może nas podzielić. I proponuję porozmawiać o sprawach technicznych bez telewizji. Wałęsa jeszcze mówi, że on wierzy w moje dobre intencje, bo on też takie ma, ale to są złodzieje i ja mu rząd złodziei chcę przyprowadzić. Usiedliśmy wreszcie w gabinecie. Wałęsa, Wachowski i dalej w cieniu ks. Cybula, jak Matka Boska.

Lech Wałęsa zaczął mnie przepytawać: jaki jest program rządu, jego skład, czy jest minimum kwalifikowane, czyli co najmniej połowa. W tym miejscu wyszła kontrowersja między Wachowskim a mną. Bo ja mu wyliczyłem, że dysponuję w parlamencie 276 głosami, a jego koncepcja rządu z Pawlakiem ma tylko 170 głosów: więc musieliby szukać poparcia u

komunistów, co także nie dawało znaczącej przewagi, bo z biedą 230.

Wałęsa nie dowierzał, był srodze zawiedziony, a Wachowski trzy razy liczył wte i wewte, ale nie potrafił liczyć. Nie potrafił liczyć.

– Ksiądz Cybula też liczył?

Nie wiem, czy liczył, ale na pewno śledził. Śledził rachunki. Wachowski w swoich rachunkach utopił się w partiach chłopskich, które traktował chyba jako jedną, a były dwie. On w ogóle nie znał tych wszystkich partii i PChD na przykład myliła mu się z SLCh, co mu wybaczam, bo to trudne, oraz zastosował złą metodę, bo liczył na palcach i kalkulatorem, a to jest najgorszy sposób, jeśli łączy się dwie metody: średniowieczną i XX-wieczną.

– A ty liczyłeś w pamięci?

Słupkiem.

W tym momencie proszę, żebyś parę kropek postawiła, bo nie mogę zdradzić pewnego elementu taktycznego, który zastosowałem, czyli po prostu kłamstwa, jakie popełniłem. Mam nadzieję, że Bóg i historia mi je wybaczą. Kłamstwa, w wyniku którego ta metoda matematyczna, jaką zastosowałem, znana była tylko mnie i tylko ja naprawdę wiedziałem, kto ma ile głosów.

– Powiększyłeś ich liczbę?

No różnie, no różnie. Zastosowałem po prostu prawa matematyki dotychczas nie odkryte, przynajmniej w polityce (*głośny śmiech*), te liczby puchły, redukowały się, dzieliłem je przez dwa... i wychodziło 276 głosów. Stało w końcu na tym, że to jest niewiarygodne. Że, Jasiu, w

porządku, dzisiaj masz tę drużynę, a jutro się ona rozpadnie. I jak dojdzie do głosowania, to jej nie będzie i prezydent poniesie odpowiedzialność. A wtedy nastąpi kompromitacja, nie twoja, Jasiu, nie tego skleconego przez ciebie rządu, ale prezydenta, który pod taką niepewną matematyką się podpisał. Zawtórował mu, oczywiście, Wachowski. Wałęsa zażądał spisu posłów, którzy będą głosować za tym rządem, czego w żadnym momencie nie wymagał od Pawlaka, i postawił jeszcze jeden warunek: niech ta Suchocka do mnie zadzwoni. Chodziło mu o pokazanie, kto jest kim, po prostu.

I tu znowu muszę, niestety, wielokropek wprowadzić. Bo dalej była szczerza rozmowa.

– Eee, potrafi być szczerzy?

Być może jestem naiwny, ale mnie dobrze jest z tą naiwnością. Wydawało mi się, że szczerza. Bo – widzisz – jemu wydawało się, że on wszystkich pobił, mnie też, a ja mimo to wróciłem do Komisji Krajowej „Solidarności” i dalej miałem odwagę mówić, co mi się nie podoba, i na dodatek wszystko to mówiłem we własnym imieniu, z nikim nie byłem związany. Nie mógł mi więc wrzucić, że w mojej kieszeni Żydzi siedzą, partia jakaś siedzi, cwaniacy jacyś siedzą.

Rozmowa z nim trwała ponad godzinę i, niestety, wykroczyłem poza techniczne posługi, jakie mi wyznaczyła koalicja, i przyjąłem na siebie zadanie, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie przypadnie Porozumieniu Centrum, co dla Wałęsy było warunkiem jego spotkania z panią Suchocką. Prywatnego spotkania. W żadnym wypadku nie przyjmę jej w charakterze kandydata na premiera, zaznaczył.

Przekazałem te warunki koalicji, ukrywając prywatność spotkania. Unia przyjęła je jako dobry znak. Geremek podjął się zorganizowania podpisów, ale niespodziewanie wynikł problem z telefonem pani Suchockiej. Czy sama powinna dzwonić, czy w towarzystwie i kogo, i czy w ogóle. Dyskusja przeniosła się na poziom ekspercki i dwaj prawnicy najpierw zastanawiali się, czy ta sytuacja ma prawne umocowanie, czy jest jakiś precedens w prawie międzynarodowym. A

potem się pokłócili i groziło koniecznością zwołania sympozjum na temat prawnych warunków rozmów telefonicznych w dyplomacji.

Na szczęście, Bóg czuwał, bo stuknęli się drzwiami. Jeden prawnik właśnie wchodził, drugi prawnik wychodził zamasyżując otwierając drzwi, doszło do zderzenia. Pani Suchocka, która znalazła się w pobliżu, też dostała w głowę tymi drzwiami i chyba upadła. I dzięki tej fizycznej eksterminacji idea sympozjum się załamała i można było rozwiązać problem (*głośny śmiech*).

W międzyczasie zostałem opieprzony, i to zdrowo, przez Lecha Wałęsę. Co ty mi tu! Ja czekam na telefon, a ona nie dzwoni. Przepraszam, ale nie powtórzę ci, co mi prezydent dokładnie powiedział o przyszłym premierze rządu.

W Unii uznano, że pani Suchocka może jednak zadzwonić, oczywiście w towarzystwie, i wprosić się z wizytą do Belwederu. Zwołano naradę, co ona ma mówić, jak się przedstawić. W końcu Unia przeszła do czynów i pani Suchocka w towarzystwie świadka zadzwoniła. Była bardzo zdenerwowana, czemu się nie dziwię, bo przecież był to jej debiut przed Jego Wąsatością i nie wiedziała, jak się zachować, kiedy wrzaśnie. Na czas rozmowy ja wyszedłem i znam jej przebieg tylko z podsłuchów i przekazów. Wałęsa na początku był wzburzony, później jednak głos kobiecy wyraźnie zmiękczył serce pana prezydenta i zaprosił ją do siebie na rozmowę. Samą.

– Czyli jako osobę prywatną?

Tak sędzę. Ale tu Lech Wałęsa posunął się za daleko, bo my mieliśmy uchwałę koalicji, że mamy iść we czwórkę. Zaproszenie pani Suchockiej zinterpretowaliśmy więc – w interesie społecznym – rozszerzająco i poszliśmy. Sztafaż był ten sam: belwederska telewizja od progu, Wachowski, ksiądz Cybula. Wałęsa naburmuszony, jak jego pawie z ogrodu w okresie pozagodowym, ale przewagą fizyczną go pokonaliśmy. Oświadczyliśmy, że mamy oto rząd ludzi znanych, uczciwych, z dobrymi życiorysami politycznymi. Panowie Mazowiecki i Chrzanowski

wręczyli listę z podpisami sygnatariuszy partyjnych i rozpoczęła się rozmowa, która polegała na tym, że pan prezydent mówił, a reszta słuchała.

– Co mówił?

To co poprzednio do mnie. Że dla niego istnieje jeszcze premier Pawlak. Że pan Pawlak nie złożył dymisji i prezydencyjni konstytucjoniści powiedzieli mu, że dalej jest premierem i że prezydent go nie może odwołać.

– Bo musi sam się podać?

Tak, a nie chce (*głośny śmiech*). Że młody, ambitny, w kraju się dobrze pokazuje. Potem był dłuższy filozoficzny wywód, czym jest większość parlamentarna. Że niczym, bo jak dojdzie w Sejmie do głosowania, to może powstać sytuacja, że jednego premiera się odwoła, drugiego nie powoła i będzie jeszcze gorzej. Przytoczyliśmy argumenty polityczne i matematyczne i poprosiliśmy pana prezydenta, żeby wykonywał swoje obowiązki konstytucyjne. Ja dodatkowo zaproponowałem, że jeżeli on sam nie chce poprosić Pawlaka o złożenie dymisji, to ja mogę mu pomóc. W imieniu kraju podziękuję Pawlakowi za jego 33 dni i wytłumaczę, że podanie się do dymisji nie jest dla niego żadną ujmą...

– Bo w naszych 4 latach powołać rząd udawało się co drugiemu premierowi, prawda?

(*Śmiech*) Inaczej. Bo my w tym konkursie na stworzenie rządu okazaliśmy się lepsi.

– Ostatni raz.

Wałęsa poradził nam sprawę przemyśleć jeszcze raz. Nas strach ogarnął, bo on miał za dwie godziny odlecieć z wizytą oficjalną do Helsinek. Przeraziliśmy się, że odleci i nas zostawi. Zaczęło się już pakowanie kapeluszy itp. Pani premier *in spe* się nie odzywała. Sądzę, że była zgorziona męską rozmową. W końcu Lech Wałęsa się zachnął, powiedział, że podpisuje, ale i tak wie, że długo ten rząd nie potrwa. Krótco po naszym wyjściu radio nadało komunikat, że prezydent przyjął dymisję pana Pawlaka i misję tworzenia rządu powierzył Suchockiej. Niektórzy twierdzili, że Wałęsa specjalnie przetrzymał nas do końca i kiedy byliśmy u niego, Pawlak czekał w Belwederze w przedsionku.

– I popatrz, co za ironia losu, ten rząd rok później padł z inicjatywy twego klubowego kolegi.

Gwoli dokładności, przez mego sąsiada z ławy poselskiej.

A rzecz, widzisz, polegała na tym, że on siedział obok mnie i ja go, kiedy zawiodły inne argumenty, próbowałem jeszcze w ostatniej chwili fizycznie przekonać do swoich racji, czyli żeby wniosku o votum nieufności dla rządu nie zgłaszał. Ale nie przekonałem, ani złością, ani prośbą.

– Jakie inne argumenty?

No, różnych sposobów na niego używaliśmy. Poczynając od wyliczenia spraw programowych, które „Solidarność” mogłaby z tym rządem wygrać, a na pochlebianiu mu kończąc.

– Jakim pochlebianiu?

W postaci awansów. Chcieliśmy, używając komunistycznych metod i wiedząc z

przeszłości, że rozdawnictwo darów popłaca, próbowaliśmy Pietrzyka przekupić. Ale nie mieliśmy podarunku, który by go zadowolił. Zabrakło nam podarunku (*śmiech*). Dawaliśmy od przewodniczącego klubu, poprzez wicemarszałka Sejmu, do dożywotniego członkostwa MKOI-u.

– Pietrzyk nie chciał mieszkać w Szwajcarii?

Nie wiem, prawdopodobnie znalazł lepszego sponsora, który dawał więcej. Chociaż nam wmawiał, że rząd ten chce obalić z pobudek ideowych.

– Najgorsi, którzy odwołują się do idei.

Ale wcześniej ten rząd zaczął obalać, jak wiadomo, Janowski.

Wraz ze złożeniem w Sejmie projektu ordynacji wyborczej, Janowski dał sygnał do odwrotu i przystąpił do kampanii wyborczej. Najpierw – budując sobie tło – zaczął głosić, że on nie jest z tego rządu, a potem go demonstracyjnie opuścił. I kiedy doszło w Sejmie do głosowania, przeciwko rządowi opowiedziało się także PSL, KPN, SLD, Porozumienie Centrum. Bo, widzisz, znowu wyszła stara prawda o Polakach. Że przez ich genialne często umysły, i Moczulskiego, i Kaczyńskiego, i Kwaśniewskiego, przebijają ślina złego charakteru. Oni zazdrościli temu rządowi nie tyle, że rządzi, bo to była ciężka harówka, ale że sika tyloma inicjatywami, tyloma pomysłami. Że Rokita zarzucił Sejm dziesiątkami projektów ustaw, które powaliły Sejm pod ścianę, nie miał możliwości ich przerobienia.

I zaczęli się bać, że jeżeli temu rządowi rzeczywiście uda się przeprowadzić to, co zaplanował – wejdzie do historii. Mazowieckiego, dlatego że był pierwszy i nakreślił kierunek reform, oraz Suchockiej, bo te reformy przeprowadził do końca. I ludziom wściekłość z tego powodu zalewała oczy. W Polsce bowiem nie ma walki o programy, bo program jest jeden: wolny rynek, demokracja, samorządność, i wszystkie rządy go po kolei realizowały i będą

realizować. Tu się toczy walka o autorstwo tych przemian i ich ocenę historyczną. Kto przejdzie po prostu do podręczników historii jako reformator Polski, czy SLD, Moczulski, czy Kaczyński. To mecz piłkarski o miejsce w historii.

Chyba za łatwo przyszło

Piotr Szczepanik

Studiował historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i tam rozpoczął działalność artystyczną w kabarecie „Czart” i teatrze Akademii Medycznej „Dren 59”.
Debiutował w 1963 na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. (...)

Wraz z NSZZ "Solidarność" od 1980 r. przez cały stan wojenny do 1989 r. Organizator Festiwalu Piosenki Prawdziwej (1981) oraz koncertów w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

Po 1990 r. szef Zespołu Współpracy ze Środowiskami Twórczymi w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. W 2005 członek Honorowego Komitetu Poparcia Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, w 2007 oficjalnie poparł Prawo i Sprawiedliwość w wyborach parlamentarnych, a także zasiadł w komitecie honorowego poparcia PiS-u. W 2010 oficjalnie poparł Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr_Szczepanik)

Rozmowa przeprowadzona

7 listopada 1991 r.

– Co znowu śpiewasz?

Adama Zagajewskiego. „Naprawdę umiemy żyć dopiero w klęsce. Przyjaźnie pogłębiają się, miłość czujnie podnosi głowę, nawet rzeczy stają się czyste... Oby nie zaskoczyło nas zwycięstwo...”

– **Smutno ci.**

Nie, nie.

– **Przecież widzę.**

„Smutno” jest niedobrym określeniem, potrzebne inne. Ale jakie? Nie wiem. Może za łatwo przyszło do nas zwycięstwo?

– **Za łatwo? Po 45 latach szamotaniny?**

Bo okazuje się, że nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, co się stało. Zupełnie jakby nie mieli świadomości historycznej. Przecież za orła w koronie ludzie przelewali krew, te przeszłe pokolenia. Było tak, prawda?

– **A teraz nie chcą.**

No, właśnie, a teraz nie chcą i nawet się z niego trochę podśmiewają.

– **Bośmy sami go ośmieszyli, dyskutując tygodniami, czy ma być z pazurkiem, czy z krzyżykiem. Nie czujesz?**

Może.

– Bośmy zamiast ulice pozamiatać, zmieniali ich nazwy. Nie czujesz? Zaczęliśmy od Dzierżyńskiego, by dojść do Okrzei, Sempolowskiej, a skończymy zapewne – jak nam nikt nie przeszkodzi – na mojej, Żywnego, bo... Czech.

Nie wiem. Myślę jednak, że chyba za łatwo przyszło. Że może ludzie myśleli, iż z dnia na dzień, czy z roku na rok będzie lepiej. Ludzie u nas przecież nie byli świadomi totalnej ruiny, jaką odziedziczyliśmy po komunistach. Nikt nie miał świadomości, że sytuacja gospodarcza kraju jest tak fatalna. Nikt nie przypuszczał, że demoralizacja wielu grup społecznych jest tak straszliwa, demoralizacja w sensie etyki zawodowej.

Ludziom się wydawało, że nagle, od razu, zaczną żyć jak na Zachodzie. Bo u nas myśli się, że na Zachodzie żyje się łatwo i przyjemnie, ludzie nie wiedzą, że tam obowiązują prawa twardsze niż u nas. A może dlatego, że za wcześnie zaczęło się u nas mówić o Najjaśniejszej Rzeczypospolitej? Kiedy prezydentem był jeszcze Jaruzelski. Był taki czas, prawda? A może dlatego, że nie przeprowadzono dekomunizacji.

– Bo ty jesteś – za?

Tak, oczywiście. Wiesz, co powiedział Jan Nowak-Jeziorański? Że gdyby Amerykanie w 1945 roku nie przeprowadzili denazyfikacji w Berlinie, to bardzo prężne układy nazistowskie działałyby tam do dzisiaj.

– Piotrze, tylko u nas nie ma komunistów.

Nie ma komunistów? U nas?



Opole, 1995. Piotr Szczepanik w oczekiwaniu na próbę podczas XXXII Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Fot. PAP/Krzysztof Świdorski.

– U nas są głównie cwaniacy, a komuniści to wymierający margines, naprawdę.

Kochana, tu w Polsce odbył się normalny proces sowietyzacji. My wprawdzie hodowaliśmy w sobie przekonanie, że jesteśmy na nią uodpornieni, ale to nieprawda. My jesteśmy głęboko zdemoralizowani.

– Ty też?

Nie, ja nie, ponieważ ja jestem szalony.

– Nikt, Piotrze, nie widzi sowietyzacji w sobie, a każdy szuka jej w innych. Mówię ogólnie, nie o tobie.

Przecież wiesz, że ja w latach 70., w tym najgorszym okresie, byłem człowiekiem wolnym. Zawsze zresztą byłem wolny. Żyłem – tak jak wielu dzisiaj żyje – z dnia na dzień, nie planując dla siebie żadnej przyszłości. Ja nawet świadomie wybierałem ubóstwo. A wszystko dlatego, że nie chciałem uczestniczyć w tej tragifarsie, jaka się tutaj wtedy odbywała. Miałem zresztą szczęście, bo dzięki powiązaniom rodzinnym z Ameryką otworzyły się przede mną inne możliwości. Często tam jeździłem. Bardzo mi to pomogło. Dużo czytałem. Wielką rolę w moim życiu – już ci kiedyś mówiłem – odegrała „Kultura” paryska, literatura emigracyjna. Z tamtej perspektywy widziałem ostrzej, co się w Polsce dzieje, jak strasznie się w Polsce dzieje. Wracałem i przeżywałem wtedy uczucie odruchu zwrotnego. W końcu wróciłem i wybrałem to, co wybrałem.

– „Solidarność”.

Tak, jeździłem na strajki, śpiewałem. Nie chcę się chwalić, ale cała oprawa tego sierpniowego w Gdańsku w 1988 roku – nie wiem, czy wiesz, bo na strajkach o tym się nie mówiło – była moją inicjatywą.

– Wiem. Daleś stoczniovcóm swoją aparaturę: mikrofony, głośniki, wzmacniacze.

To, oczywiście, nieważne. Mówię ci po to, żeby podkreślić, że ja nie upaplałem się w tym chłampie. Naprawdę. I uważam, że nie jestem – być może to zarozumiałstwo z mojej strony – człowiekiem zsowietyzowanym. Był to zresztą jeden z elementów, który zdecydował, że jak później przyszła „Solidarność”, jak prezydent zaproponował mi przyjsie do swojej kancelarii, to się zdecydowałem.

– Bo byleś ten czysty?

Tak, tak. I dlatego postanowiłem spróbować pomagać ludziom w kancelarii prezydenckiej.

– Którą Wałęsa widział jak dawny Komitet Centralny PZPR, z wydziałami odpowiadającymi poszczególnym ministerstwom.

Z tym KC, mam nadzieję, że żartujesz. Ja zresztą o strukturze Kancelarii w ogóle nie myślałem, chociaż – dzisiaj widzę – za dużo tam ludzi pracowało, jak w Ministerstwie Kultury i Sztuki, przez co trudno było cokolwiek załatwić. Ale to nie jest moja sprawa, tym niech się zajmują politycy. Ja w Kancelarii chciałem pomagać ludziom kultury i uważałem, że jak się tam znajdę, będę mógł zrobić coś dla nich pozytecznego. Dlatego zgodziłem się przyjąc to stanowisko. Mimo, iż wiedziałem, że co poniektórzy twórcy będą się ze mnie śmiać i ten ich śmiech był oczywiście słyszalny, ale mnie on nie obchodził. Teraz też nie obchodzi.

– Ale jak to się stało? Powiedz, jak?

Zwyczajnie. Ponieważ pan prezydent entuzjastycznie mnie powitał, bardzo entuzjastycznie. Przyjął mnie w Belwederze. Kiedy wszedłem, schodził po schodach nucąc „Kormorany”, a za nim Wachowski – wtórując. Byłem u niego dwie godziny. Przypomniiał stare, dobre, piękne noce na styropianie i powiedział: walczyłeś, a teraz nie pomagasz. I potem, że chce, żebym u niego pracował. Chcę – powiedział – żebyś po moim powrocie z Francji już tutaj był. Odpowiedziałem: dobrze, panie prezydencie.

– Powiedziałeś „panie prezydencie”?

Oczywiście.

– Bo pamiętam, jak przeszedłeś z nim na „ty”. Rzekłeś mu: Lechu, jesteś wielki. A Lech: nie, to ty jesteś wielki, ach, gdybym ja śpiewał jak ty...

Tak, tak i nie skończył zdania, więc nie wiem, co wtedy by zrobił. Ale potem napisałem do niego kartkę, jeszcze zanim został prezydentem, gdzie odwołałem nasz bruderszaft, któryśmy razem wypili, motywując to tym, że mnie skromnemu śpiewakowi, nie wypada zwracać się w takiej formie do człowieka, który w przyszłości będzie prezydentem. Oczywiście ta moja kartka do niego była napisana pół żartem pół serio i pewnie go sympatycznie ubawiła. Myślę jednak, że wszyscy powinniśmy mówić do niego „panie prezydencie”, nie powinno się wobec niego używać formy: słuchaj, no.

– A ja, wiesz, nie mogę do swoich kolegów mówić „panie ministrze”.

Między panem ministrem a panem prezydentem jest jednak mała różnica.

– Po prostu nie mogę.

Ja mówiłem do niego „panie prezydencie” tonem, jakbym mówił „Lechu”.

– A on do ciebie też przez „pan”?

Nie, skądże. Piotrze – mówił.

– I uważasz, że to normalne?

Uważam, że w Belwederze nie wypada „tykać” osoby, która jest pierwszą w państwie, reprezentuje rację stanu.

– Dworskości nie czujesz?

Nie, wcale nie.

– Więc przyszedłeś, w maju 1991, dostałeś gabinet na Wiejskiej i ile osób do rządu?

Byłem tylko ja i pani sekretarka.

– I co miałeś robić?

Ustaliliśmy na początku z panem prezydentem, że nie będę się zajmował jego osobą. On

sobie tego życzył.

– Bo chciałeś?

Miałem pewne sugestie. Mówiłem mu kilkakrotnie, że grozi nam scenariusz: wszyscy przeciwko wszystkim. Uważałem, że należy więc opracować jakąś formę jego kontaktów z narodem.

– Show?

Nie, myślałem o pięciominutowych orędziach do narodu, które by wygłaszał co półtora miesiąca, jak czynią to prezydenci na całym świecie, prawda? Orędzia do ludzi, w których by mówił, gdzie jesteśmy, na czym stoimy, co się wali, co rośnie, jakie są tendencje, co musimy robić, by było lepiej. Siła takiego orędzia jest dużo większa niż udzielanie wywiadów dziennikarzom. Wydawało mi się, że taki kontakt z ludźmi jest niezbędny. I dalej tak uważam. Przecież najgorsze w Polsce to ta potworna apatia w ludziach i totalny brak nadziei. Mnie one przerażają. Na dodatek już w rok po wyborach prezydenckich powstała sytuacja, że w rejonach, które były zdecydowanie prowałęsowskie i gdzie 70 procent mieszkańców głosowało na Wałęsę, w wyborach parlamentarnych wygrała SdRP.

– Ale przecież nie dlatego, nie z braku orędzi.

Prezydent zaczął tracić swój elektorat wyłącznie dlatego, że nie dotrzymał danych obietnic. Obiecywał ludziom, że będzie się z nimi spotykał, że będzie czujny na ich problemy. I jest nadal, ale – widzisz – to bardzo trudno być czujnym, mając w Belwederze wokół siebie ludzi, którzy starają się wiele informacji blokować, dla jego dobra zresztą. Bo tych problemów jest tyle, że normalny człowiek, gdyby zwalić mu na głowę i służbę zdrowia, i kulturę, i dramaty górników, hutników, bankrutujących fabryk, mógłby po prostu oszaleć.

– Sam chciał.

Sam chciał, to prawda, ale przecież wszyscyśmy tego chcieli, nie? I my wszyscy, którzyśmy głosowali na niego, i nawet ci, którzy głosowali na kogo innego, też chcieli.



Kraków, 2006. Piotr Szczepanik w krakowskim teatrze „Grotteska”. Fot. PAP/Jacek Bednarczyk.

– A ty czego chciałeś?

Sprawą dla mnie najważniejszą w hierarchii ważności spraw do załatwienia była sprawa stosunków prezydenta z ludźmi kultury. Uważałem, że powinienem zasypać przepaść, jaka powstała między nimi w czasie wyborów prezydenckich.

– Głównie z winy Wałęsy.

Nie chcę tego rozstrzygać, to już się stało. Minął pewien czas, żale do siebie ostygły.

– Zasypać, czyli co?

Doprowadzić do spotkania ludzi kultury z prezydentem. Z obu stron wyczuwałem pewne tendencje do pojednania. Wydawało mi się to niezwykle ważne. Przecież twórcy pełnią funkcję opiniotwórczą w każdym społeczeństwie, zwłaszcza w naszym. U nas poeci przez 200 lat sprawowali rząd dusz, u nas poezja romantyczna i postromantyczna, choć już w latach międzywojennych niezbyt popularna, była jednak szkołą życia dla wielu pokoleń Polaków. I jest nadal, wbrew pozorom i wbrew mówieniu, że romantyzm się w nas skończył. Nie, on w nas tkwi, jest głęboko zakorzeniony, gdzieś w podświadomości. Dlatego uważałem, że bez ludzi kultury trudno cokolwiek budować, a więc trzeba skończyć z gadaniem o siekierach, a zacząć z nimi rozmawiać o tym, co trzeba zrobić i jak zrobić. Trzeba zastanowić się, jak można ludzi kultury pozyskać dla tych przemian, prawdziwych przemian, które powinny wreszcie nastąpić. Twórcy na spotkanie z prezydentem – wyczułem – mieli ochotę i rozumieli jego potrzebę. Chciałem, by pierwsze odbyło się w kolekcji państwa Porczyńskich, wśród pięknych obrazów, które podarowali oni narodowi. I nie udało się. Nie doszło do żadnego. Oprócz spotkania prezydenta z Jerzym Waldorffem.

– Widziałam w telewizji, żenujące.

Nie wiem, czyj to pomysł.

– Prezydent nie chciał?

Pytałem go, czy chce. W listach, które do niego wysyłałem. Może do niego nie docierały? Te, przekazane przez ministrów, których wykorzystywałem jako doręczycieli, pozostały bez odpowiedzi.

– Osobiście nie próbowałeś?

Początkowo tak, a później nie miałem okazji. Trudno było przecież prezydentowi proponować spotkanie z twórcami, kiedy stał on przed pytaniem: rozwiązać sejm czy nie rozwiązać, podpisać tę fatalną ordynację wyborczą, czy nie podpisywać. Albo kiedy nastąpił pucz w Moskwie, prawda? Spotykałem go wtedy kilkakrotnie i widziałem, że zdaje sobie sprawę, jakie straszliwe brzemień odpowiedzialności na nim spoczywa, w tragicznej sytuacji państwa na dodatek.

– A tak naprawdę, to dlaczego nie chciał? Jak myślisz?

Chyba stało się coś niedobrego. Moje akcje trochę zleciały i zostałem po prostu zablokowany. Zaczął się cały zwój nieporozumień. Podejrzywałem intrygi, kopanie dołków i podkładanie kija, przez który czasami ciężko przeskoczyć. „Gazeta Wyborcza” źle o mnie pisała, „Polityka”. I tygodnik „Nie”, oczywiście.

– A dlaczego? Jak myślisz, Piotrze, dlaczego?

Nie wiem. Może szukali sensacji, a może dlatego, że rosła niechęć do tego, co się tutaj

odbywało. Tutaj w Kancelarii. Ale ja naprawdę nie ponoszę odpowiedzialności za polityczne posunięcia.

– Co się odbywało?

Dokładnie nie wiem, bo to niezmiernie skomplikowane, ale był taki czas, że szef kancelarii, którym był Jarosław Kaczyński, w końcu minister stanu przez cały miesiąc miał zabroniony wstęp do Belwederu. Dlaczego, nie wiem. Podaję ci to jako przykład. Zbyt dużo czasu niektórzy poświęcali personalnym intrygom. Nie mówię tylko o czołówce, o ministrach, ale w ogóle o urzędnikach, o niektórych ludziach, z którymi miałem kontakt. Zamiast z nimi współpracować, spotykałem się właściwie prawie wyłącznie ze złą wolą. Podejrzewam, że wystawiali o mnie bardzo negatywne opinie, lansowali je, puszczali w obieg.

– Ale po co?

Żeby mnie utopić.

– Bo mieli innego kandydata?

Nie wiem. Może po prostu zazdrościli mi stanowiska? A może zazdrościli tego, że prezydent mnie entuzjastycznie przyjął? Jako człowieka, który mu się dobrze kojarzył z lat 80., ze strajków. Czasem to przecież wystarczy. Te złe słowa, widzisz, przeszkadzały mi w pracy i zakłócały plany, jakie miałem.

– A może ci dziennikarze mieli rację?

Dlaczego tak mówisz?

– Bo ja, Piotrze, gdy przeczytałam o twojej nominacji...

To co?

– ...to „Boże” – pomyślałam.

Po co mu to?

– Nie, nie. Pomyślałam, że widocznie każdy w tym kraju – wcześniej czy później – musi zagrać w złej sztuce.

Kochana, ja nie mam kaca. Może miałbym, gdybym intrygował, robił coś niezgodnego z własnym sumieniem. Zrozum, ja nie żyłem życiem Kancelarii, nie wisiałem u belwederskiej klamki pana prezydenta. Ja pomagałem ludziom kultury. Ja ich nie wyszukiwałem, nie katowałem ich swoją dobrocią, nikomu nie narzucałem się ze swoją dobrą wolą. Ja pomagałem ludziom, którzy się do mnie zgłaszali i którzy mnie traktowali jak ostatnią deskę ratunku. Dzięki mnie nie musieli czekać miesiącami na odpowiedź na swoje pisma. Uwierz mi, tak było naprawdę.

– Wierzę ci, Piotrze. Oczywiście, że wierzę.

Ja przecież naprawdę nie chcę cię oszukiwać, wpuszczać w kanał, ani mówić o sobie za dobrze. Na początku czułem się zagubiony, ponieważ nigdy nie byłem urzędnikiem, nigdy nie umiałem przeglądać papierów, które często emanują głupotą i beznadzieją, one mnie w pierwszej chwili osaczyły. Ale wiedziałem, że im szybciej nauczę się w nich poruszać, tym bardziej będę pomocny ludziom i środowiskom artystycznym, które się do mnie zwrócą. I byłem. Mam

świadomość, że pomogłem iluś tam osobom, którym nikt by nie pomógł i że załatwiłem ileś tam spraw, których nikt by im nie załatwił. Dlatego mam czyste sumienie. Dlatego nigdy przez tych kilka miesięcy funkcjonowania w Kancelarii nie miałem uczucia, że siedzę beczynn timer i biorę pieniądze za darmo. To nie były z mojej strony wielkie spektakularne czyny, które nadawałyby się do nagłaśniania, ale skromna praca wypełniona pomaganiem twórcom w rozwiązywaniu ich zwykłych ludzkich kłopotów, drobne interwencje na ich rzecz w tym czy innym urzędzie. Pomogłem plastynom, pomogłem dziennikarzom, na przykład w odzyskaniu ich domu pracy twórczej w Kazimierzu, który stracili w 1982 roku. Za to, że mieli kręgosłup, że się nie poddali stanowi wojennemu rozwiązano im Stowarzyszenie, a ich majątek zagrabiło nowoutworzone SD PRL.

– A ty z kolei komu go zagrabiłeś?

Nikomui, był własnością RSW Prasa i po jej zlikwidowaniu komisja likwidacyjna przekazała Skarbowi Państwa, czyli wojewodzie lubelskiemu do zarządu. Udało się, pomógł mi w tym dyrektor generalny z URM-u i wojewoda, bardzo satysfakcjonujące. Do tego było jeszcze kilkadziesiąt innych pomyślnych interwencji, m.in. dotyczącej na przykład teatru, który wyjeżdżał na festiwal i nie miał – z powodu cięć budżetowych – pieniędzy na bilety samolotowe do Montrealu. Zadzwoiłem wtedy do LOT-u, przedstawiłem sytuację i prawdopodobnie autorytet prezydenta i firmy, w której pracowałem, powiedzmy tak nieładnie, no i dobra wola dyrektora LOT-u spowodowały, że sprzedano im dużo tańsze bilety. Naprawdę opłacało się siedzieć tutaj kilka miesięcy, żeby tym ludziom pomóc. Pomóc prawie z dnia na dzień, bo miałem większą moc wykonawczą niż Ministerstwo Kultury.

– I uważasz, że to normalne?

Co normalne i jak powinno być, należy do innego tematu. Już ci powiedziałem: ja nie jestem politykiem i nie miałem takich ambicji.

– **Przypominasz mi posłankę z lat 50-tych. Czysty, uczciwy człowiek, rozumiesz?**
Celina Budzyńska się nazywała.

Też chciała dobrze?

– **Tak, tak, wtedy też wielu chciało dobrze.**

I dlatego zapisała się do partii, tak?

– **Już była. I kiedy pytałam ją, po co tkwiła w tym chorym sejmie, tłumaczyła: wydawało mi się, że coś ludziom mogę załatwić, bo czasami się udawało, raz nawet załatwiła autobus, żeby wiejskie dzieci dowoził do szkoły. Jeden autobus, do jednej wiejskiej szkoły. Kosztem innej, oczywiście.**

Ja nie załatwiłem żadnego autobusu.

– **To symbol.**

Domyślam się, oczywiście.

– **System doraźnych interwencji według niejasnych kryteriów, nieprecyzyjny podział kompetencji i odpowiedzialności, ty to zaakceptowałeś. Ty, który twierdziłeś, że jesteś za dekomunizacją.**

Obraz Polski jest piekielnie zagmatwany, skomplikowany, jeśli chodzi o struktury. Dlatego myślałem, że ten program dekomunizacyjny Porozumienia Centrum nie jest głupim programem, bo przecież nie chodziło w nim o wieszanie ludzi na latarniach, prawda?

– Ale tym by się skończyło.

Nie, nie, chodziło o oczyszczenie starych struktur i stworzenie nowych, które dobrze by funkcjonowały, a które były niezbędne, żebyśmy poszli do przodu.

– Jeszcze jedno hasło, Piotrze, jak „przyspieszenie”.

Myślisz, że to zwykła demagogia?

– Tak.

Wiesz, ja nigdy, w najczarniejszych snach nie myślałem, że tak będzie. Nie wiem, czy pamiętasz, ale w czasie strajku w 1988 roku, tego sierpniowego w Gdańsku, był taki moment, że działacze z Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego byli zdecydowanie przeciwni jakiegokolwiek rozszerzaniu się akcji strajkowej, bo się bali, że chłopcy zaczną szaleć. I ja wtedy, by tych chłopaków wesprzeć, użyłem sformułowania z książki Aliny Witkowskiej „Wielkie stulecie Polaków”, że jeśli rewolucja się nie rozmachnie, to jej nie ma. Tę książkę podarowałem też Lechowi Wałęsie na imieniny, na pewno nie przeczytał, ale może jego dzieci. Dlatego, Teresa, kiedy wybuchła wolność, a zwłaszcza kiedy Wałęsa został prezydentem, wydawało mi się, że wreszcie ta nasza rewolucja się rozmachnie prawdziwie. Bo trzeba się zamachnąć, żeby cokolwiek zrobić. I nagle zobaczyłem, że oni się zamachnęli... ale na siebie.

Wiedziałem, że się uda

Tadeusz Mazowiecki

ur. 18 kwietnia 1927 w Płocku, polski polityk i publicysta.

Ostatni premier PRL i pierwszy premier III Rzeczypospolitej (w latach 1989–1990); współtwórca i przewodniczący Unii Demokratycznej i Unii Wolności; poseł na Sejm PRL III, IV i V kadencji, poseł na Sejm RP I, II i III kadencji (w latach 1991–2001). Od 2010 doradca Prezydenta RP ds. polityki krajowej i międzynarodowej. Kawaler Orderu Orła Białego.

(za: http://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz_Mazowiecki)

Rozmowa przeprowadzona w 2004r.

– 12 września 1989 r., podczas zaprzysiężenia pańskiego rządu w Sejmie, Lecha Wałęsy nie było.

Zapraszałem go, wszyscy go zapraszaliśmy. Zależało nam na tym, by był. Ale nie

przyjechał. Nie wiem dlaczego.

Wcześniej przekazałem mu telefonicznie skład rządu. Nie miał uwag.

– Żadnych?

Żadnych.

– Zaprzysiężenie pańskiego rządu oglądał w telewizji.

Wiem. Bo potem, po głosowaniach, kiedy rząd przeszedł dużą większością, prawie stu procentową, zadzwonił do mnie i pogratulował.

– Za to godzinę wcześniej, gdy pan w trakcie odczytywania exposé zasłabł, powiedział... Wie pan, co powiedział?

Nie.

– „Następny będzie Geremek”.

(Śmiech).

– O! pan ma dystans.

Nie, nie. Śmieję się, bo to takie bardzo Wałęsowskie. Do kogo powiedział? Do swego otoczenia?

– Tak. Bo pan nagle zaczął mówić coraz wolniej i wolniej.

Z tym zasłabnięciem było tak, iż stojąc na trybunie, poczułem w pewnym momencie, że

coś bardzo niedobrego się ze mną dzieje. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Wygłaszam tekst, a moje myśli nie trzymają się tekstu, biegną gdzieś obok, w innym kierunku, jakby dwie oddzielne świadomości mnie wypełniały. Przez jakiś czas próbowałem siłą woli zapanować nad nimi, pogodzić je – nie potrafiłem, więc spasowałem i poprosiłem marszałka Kozakiewicza o przerwę. Zszedłem z trybuny, przespacerowałem się pół godziny po świeżym powietrzu, wróciłem i udało mi się dowcipem – co u mnie, jak pani wie, jest rzadkie – rozładować sytuację.

– Nie lubi pan się śmiać?

Lubię.

– W Sejmie zażartował pan, że z pana zdrowiem jest jak z polską gospodarką.

Siedziałem nad exposé rządowym do rana. Wypaliłem ze dwie paczki papierosów, wypilem ileś tam kaw i herbat. Byłem tego dnia rzeczywiście bardzo zmęczony. Poprawiać tekst skończyliśmy chyba o czwartej lub piątej.

– Razem z Józkiem Duriaszem, Jackiem Ambroziakiem i pana starszymi synami Wojtkiem i Adamem?

Oraz z Waldkiem Kuczyńskim.

– Zawsze pan radzi się swoich synów?

Owszem, często.

– A słucha ich pan?

(Uśmiech) Różnie.

Przedtem radziłem się mojej zmarłej żony. Ceniłem jej zdanie. Nie zajmowała się

polityką. Potrzebowałem świeżego spojrzenia.

– Umarła, gdy Wojtek miał 13 lat, Adam siedem, a najmłodszy Michał?

Trzy.

Synowie znają mój styl rozumowania i pisania. Nie muszę im tłumaczyć, co chcę wyrazić, jaki sens przekazać. Bardzo ceniłem ich obecność przy mnie w trudnych momentach. Oni też mieli trudne momenty. Michał, najmłodszy, gdy mnie internowano 13 grudnia 1981 roku, po wprowadzeniu stanu wojennego, miał 13 lat, bardzo to przeżywał. Na dodatek w przeddzień oszczeniła nam się Figa, nie mówmy o tym.

Starsi synowie pomagali mi także przy pisaniu pierwszego mojego wystąpienia w Sejmie z 24 sierpnia. Było w nim zdanie, że przeszłość odkreślamy grubą linią.

Byliśmy w Laskach. Czytaliśmy zdanie po zdaniu.

Przypomnę. *„Rząd, który utworzę, nie ponosi odpowiedzialności za hipotekę, którą dziedziczy. Ma ona jednak wpływ na okoliczności, w których przychodzi nam działać. Przeszłość odkreślamy grubą linią. Odpowiadać będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wydobyć Polskę z obecnego stanu załamania”.*

Wojtek zapytał: – Z tą grubą linią, czy jesteś pewny, że chcesz to powiedzieć?

Pewny – odpowiedziałem. – Musi zostać.

Przestrzegł, że z tych zdań mogą wyniknąć kłopoty. Józio Duriasz też mnie przestrzegwał. Powiedziałem cytatem z Ewangelii: „Com napisał – napisałem”.

– Inni ich nie przewidzieli?

Nie. Proszę przejrzeć ówczesną prasę. Przez wiele miesięcy nikt z tego akapitu nie robił żadnego problemu. Dopiero na wiosnę 1990 r. pojawiło się określenie grubej kreski, choć ja mówiłem o linii, ale to szczegół, nieważny. Gorzej, że przeinaczono jej sens i posłużono się nią w zniekształconej postaci i interpretacji do wywołania tzw. wojny na górze.

– Czyli Wojtek miał rację?

Nie. Tego zdania cały czas broniłem, bronię i będę bronił. Było słuszne i mądre. Oferowało Polakom demokrację, wszystkim, nie dzieląc ich na lepszych i gorszych, na partyjnych i bezpartyjnych. Nie wolno było postąpić inaczej. Do PZPR należało wtedy około 2 mln osób, a do satelickich partii Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego około pół miliona. To z ich rodzinami stanowiło blisko 5 mln polskich obywateli. Odtrącić ich? Wykluczyć z przemian?



Okrągły stół 1989 r. N/z: od lewej - Jacek Merkel , Mieczysław Gil , Tadeusz Mazowiecki , Lech Wałęsa , Władysław Frasyniuk . PAP- Zbigniew Matuszewski

Ten akapit zapowiadał ewolucyjność przemian. A nie rewolucję, która zawsze w historii kończyła się polowaniem na czarownice. Mówiłem: Zasadę walki, która prędzej czy później prowadzi do wyeliminowania przeciwnika, musi zastąpić zasada partnerstwa. Nie przejdziemy inaczej od systemu totalitarnego do demokratycznego... Obywatele muszą mieć poczucie wolności, bezpieczeństwa i współuczestnictwa.

W moim exposé nie było cienia sugestii, że nie będzie prowadzona jakaś ocena przeszłości, czy że ludzie odpowiedzialni za zbrodnie pozostaną bezkarni.

I wtedy, i teraz uważam, że była to jedyna droga, by Polskę przeprowadzić bezpiecznie przez trudny okres. Przez niezwykle trudny okres. Dzisiaj mało kto pamięta, jak trudny.

– Opiszmy go. Chaos, galopująca inflacja, rozkład gospodarki i państwa, ludzie protestujący na ulicach, strajki, demonstracje, Związek Radziecki po jednej, a NRD po drugiej stronie.

Ale wie pani, to zdumiewające, gdy teraz o tym myślę. Miałem w sobie silne przekonanie, że się uda. Że na tych gruzach zbudujemy fundament nowego państwa. Że to musi się udać!

– Od kiedy? Miesiąc wcześniej polemizował pan z Adamem Michnikiem, gdy zgłosił propozycję „wasz prezydent, nasz rząd”.

Tak, wyjaśnię. Uważałem wtedy, że jego pomysł jest nierealny. Że partia – jeśli go zaakceptuje – to wyłącznie ze względów taktycznych, bo władzy nie odda, nawet kawałka. Zaakceptuje zaś po to, by uwikłać „Solidarność” w rządzenie krajem, do czego nie byliśmy przygotowani, i zmusić nas do firmowania komunistycznego rządu. Tego się bałem – wessania. Ale wyjechałem za granicę na niecałe dwa tygodnie, stamtąd zobaczyłem, że sytuacja się zmienia, i stwierdziłem, że na niezależny od partii rząd są szanse. Rzeczywiste szanse.

Powiedziałem Lechowi Wałęsie: – To pan – że to on powinien być premierem. „Ja będę panu pomagał”.

– Na stanowisku wicepremiera?

Nie myślałem o żadnym stanowisku. Choć nie wykluczałem i takiego rozwiązania. Ale nie rozmawialiśmy o tym.

– „Jak być premierem, panie Krzysiu” – powiedział pan podobno do Krzysztofa Pusza, bliskiego współpracownika Lecha Wałęsy, mając z jednej strony Wałęsę, a z drugiej generała Jaruzelskiego. „Przecież pana szef będzie się do wszystkiego wtrącał”.

Możliwe, nie pamiętam. Ja Wałęsie, kiedy zaproponowałam mi utworzenie rządu, od razu powiedziałam bardzo jasno, że jeśli podejmę decyzję pozytywną, będę od niego oczekiwała pomocy i z góry uprzedzam, że nie będę premierem malowanym. Mnie nie interesowało bycie premierem, gdyby ktoś bez przerwy dezawuował moją pracę i dezorganizował moje plany. „Ja to rozumiem” – odpowiedział mi Wałęsa. I wtedy rozumiał. Jestem tego pewny. Przez wiele miesięcy absolutnie się tego trzymał i żadnych swoich koncepcji nie narzucał. Jeździł po Polsce i gasił strajki, było ich co niemiara, prawie każdego dnia wybuchał gdzieś nowy. Na wiecach prosił ludzi, by z żądaniami podwyżek płac trochę poczekali do wejścia reform. Rządy zachodnie wzywał do udzielenia Polsce pomocy.

– Nad jego propozycją zostania premierem zastanawiał się Pan...?

Jedną noc.

A potem, po wygłoszeniu pierwszego exposé 24 sierpnia, po zaaprobowaniu przez Sejm mojej kandydatury na premiera, kiedy wszedłem do Urzędu Rady Ministrów po raz pierwszy... Wie pani, co czułem, wchodząc tam pierwszy raz? Z jednej strony, że ten ogromny gmach wali mi się na głowę, przygniata wręcz, a z drugiej strony było we mnie absolutne przekonanie, że zadanie, którego się podjąłem – wykonam. Że jest ono trudne, bardzo trudne, ale mu podołam.

Człowiek, kiedy decyduje się wziąć na siebie odpowiedzialność za kraj, musi mieć wiarę, że co zamierza – wykona. Nawet więcej niż wiarę – determinację. Ja ją miałem.

Zadzwoiłem do księdza Dziwisza, do Watykanu. Żeby mi powiedzieć, iż proszę, by przekazał Ojcu Świętemu, że właśnie w tej chwili wróciłem z Sejmu, że Sejm znaczną większością głosów powierzył mi tworzenie rządu i proszę o modlitwę. Na co ks. Dziwisz powiedział: „Niech pan chwilę poczeka”. I ze zdumieniem stwierdziłem, że w słuchawce odezwał się głos Papieża. Papież sam, osobiście podszedł do telefonu. Był rozradowany, wesoły, rozluźniony.

– Już wiedział?

O, tak. Powiedziałem mu, że – jak pewnie zdaje sobie sprawę – zadanie, którego się podjąłem, jest bardzo trudne i że proszę, bardzo proszę go, by modlitwą i myślą był ze mną. „Cieszę się – odpowiedział. – Będę się za pana modlił, wszystkimi myślami jestem z panem i życzę powodzenia”.

– Powiedział do Pana „panie premierze” czy „panie Tadeuszu”?

Muszę pomyśleć. Wie pani, że nie pamiętam? Nie, nie wiem, nie pamiętam.

– Pamięta pan Kornela Morawieckiego?

Doskonale. „Solidarność Walcząca”.

– Od sierpnia 1989 r. organizował co kilka dni demonstracje, największe w Katowicach i Opolu, z transparentami: „Sowieci won”.

Pamiętam.

– Nie można było wytłumaczyć – jemu i bardzo wtedy aktywnej KPN – by z tymi demonstracjami poczekali kilka miesięcy?

Nie, pani Tereso, nic by to nie dało.

– Co to było PPS RD, wie Pan?

No, jakaś partia socjalistyczna, nie wiem.

– Ja też nie. Było wtedy mnóstwo dziwnych grup – w rodzaju Pokolenie 80-88 czy Ruch Społeczeństwa Alternatywnego – organizujących strajki i prawie codziennie wyprowadzających ludzi na ulicę. Podejrzał pan w tym prowokację?

Nie. Raczej reakcję na wolność. I radykalizm nie liczący się z sytuacją.

– A pamięta Pan, po co głodowali działacze organizacji Wolność i Pokój?

Chodziło im – zdaje się – o wprowadzenie wojskowej służby zastępczej.

– I...?

Mieli rację, oczywiście, że mieli, ale my przecież nie mogliśmy wszystkich spraw załatwić od razu. A w ludziach było ogromne oczekiwanie na zmiany natychmiastowe.

– Wreszcie – pamięta pan rabina Weissa, który wdarł się do klasztoru Karmelitanek w Oświęcimiu i usiłował je przepędzić? Za to, że Kościół nie zrealizował w terminie zawartej wcześniej umowy z organizacjami żydowskimi?

O Boże! Musi mnie pani o to pytać?

– To wtedy było ważne.

Każdy naród ma swoich oszołomów, Żydzi też mają swoich oszołomów. Przecież ten Weiss to był żydowski oszołom. Tak, pani Tereso. Jak i ci, którzy ustawiali krzyże, okupując kawałek obozu.

Dla mnie większym problemem była wypowiedź prymasa Glempa. Z 26 sierpnia.

– Tak dobrze to pan pamięta?

Tego dnia zbiegły się dwa zdarzenia.

24 sierpnia otrzymałem w Sejmie nominację na premiera, 25 wieczorem uświadomiłem

sobie, że następnego dnia jest wielkie święto Matki Boskiej Częstochowskiej, i pomyślałem, że będzie dobrze, jeśli ten nowy premier pokaże się w Częstochowie. Będzie to symbolicznym znakiem zmian, które nadchodzą. W nocy zdecydowałem, że pojadę. BOR był przerażony, zdecydowano się na lot helikopterem, wystąpiły jakieś kwestie z miejscem, gdzie helikopter tam wylądować. I rano przed odlotem, jak przyszedłem jeszcze na chwilę do Urzędu Rady Ministrów, zadzwonił do mnie generał Kiszczak. Powiedział, że w Warszawie jest generał Władimir Kriuczkow, szef radzieckiego KGB. Że przyjechał, jak on to nazwał, w ramach rutynowej wizyty zagwarantowanej w umowach między polskimi i radzieckimi służbami specjalnymi, no i że byłoby dobrze, gdybym go przyjął. „Niech pan zaczeka – odpowiedziałem – zastanowię się”.

– Nad czym pan się zastanawiał?

Co mam mu do zakomunikowania. Przecież była to wizyta niezapowiedziana. Zastanowiłem się i oddzwoniłem, że w porządku, jak chce rozmawiać, to proszę bardzo, będę rozmawiać, zapraszam go na godzinę 6 lub 8 wieczorem.

– W Częstochowie był prymas Glemp i w jego kazaniu padły zdania o antypolonizmie „szanownych Żydów”, „oddziale siedmiu Żydów z Nowego Jorku”, którzy napadli, i że dlatego „nie doszło do zabójstwa sióstr lub zniszczenia klasztoru, bo zostali powstrzymani”.

Musiałem ich wysłuchać. Wiedziałem, że nie uspokoją sytuacji. Zwróciłem się o pomoc do Stefana Wilkanowicza z „Tygodnika Powszechnego”.

– Żeby spowodował interwencję Papieża?

Aby wszedł w to. Szukał rozwiązania.

– A interwencja była?

W końcu była.

A wieczorem przyszedł szef KGB. Poznać mnie i przewąchać sytuację.

– Przyjechał bez zaproszenia?

No, właśnie w ramach tych umów, które funkcjonowały, a które pozwalały im przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy chcieli.

Ze mną był Jacek Ambroziak, a z nim jakiś człowiek z radzieckiej ambasady.

Kriuczok zwracał się do mnie w zupełnie starym stylu. To zimny człowiek, potem w 1991 r. był uczestnikiem puczu Janajewa. Zna pani ten styl. Zawołowane zdania, niby przyjazne, niby ostrzegające, taki pokrętny kod stylistyczny. Jak ich reakcja po moim wyborze na premiera. Kanclerz Kohl zadzwonił, premierzy Anglii, Francji i wielu innych przysłali mi imienne gratulacje, a stamtąd po wyborze rządu otrzymałem depezę skierowaną do Rady Ministrów PRL podpisaną przez Radę Ministrów ZSRR.

Kriuczok z zaskowaniem mówił o Układzie Warszawskim, o kwestii niemieckiej, troszczył się o radzieckie pomniki i groby, by ich ktoś nie próbował niszczyć.

Domyślałem się, że jest pierwszym wysłannikiem kierownictwa radzieckiego wysłanym do przewąchania sytuacji. Nie najważniejszym, ale na pewno takim, który to, co powiem, Gorbaczowowi przekaze. Dlatego moim celem, jaki sobie postawiłem, było to, żeby wyniósł z tej rozmowy jedno proste zdanie, które będzie jasnym przekazem naszych intencji. To zdanie brzmiało: będziemy państwem dla Związku Radzieckiego przyjaznym, ale decyzje będą zapadać tu, w Warszawie.

– Jak je przyjął?

Trudno mi powiedzieć. To było ostatnie zdanie naszej rozmowy.

– Zapowiedział Pan, że rząd powstanie do końca sierpnia.

Ja? Nie. To jakieś nieporozumienie. Mogłem powiedzieć, że jak najszybciej, ale daty nie podałem. Nie mogłem podać. Wiedziałem, że skonstruowanie rządu koalicyjnego – który musiał pogodzić interesy trzech PRL-owskich partii: PZPR, ZSL i SD, oraz zaspokoić ambicje strony solidarnościowej, też niezłe zróżnicowanej – w ciągu tygodnia jest po prostu niemożliwe.

– To wyjaśnijmy najpierw kilka spraw: zaproponował pan Bronisławowi Geremkowi stanowisko wiceministra spraw zagranicznych?

Zaproponowałem, telefonicznie. Bardzo trudna rozmowa.

– Dla Pana czy dla niego?

Dla mnie, bardzo. Wiedziałem przecież, że stanowisko to jest poniżej jego ambicji, możliwości, prestiżu i że ja zachowuję się nieładnie. Ale niech pani sobie przypomni tamtą sytuację. PZPR upierała się, aby obok obrony narodowej i spraw wewnętrznych mieć politykę zagraniczną. Zastanawiałem się, jak to przełamać. Jedną z wersji, którą w tej rozmowie z Geremkiem sondowałem, była taka, żeby zostawiając ich ministra, mieć naszego sekretarza stanu, który by swoją osobowością zdominował to ministerstwo.

– Obraził się?

Odmówił. Prawdopodobnie miał do mnie zadrę przez jakiś czas, ale – na szczęście – za długo jej nie chował i nasza współpraca, kiedy byłem premierem, a on w Sejmie szefem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, była bardzo dobra. Mój rząd wiele mu zawdzięcza.

Z Bronisławem Geremkiem tak się zresztą w całym naszym współżyciu politycznym składało, że wtedy gdy mieliśmy wyraźnie oddzielone domeny, nasza współpraca układała się znakomicie. A wtedy, kiedy one się zazębiały – zgrzytało.

– Podobne ambicje, charaktery?

Tak. I czasem różne punkty widzenia w wielu sprawach.

– To następna sprawa. Czy prawdą jest, że Jarosławowi Kaczyńskiemu zaproponował pan stanowisko szefa cenzury?

Tak? Nie pamiętam. Możliwe. Zaraz, zaraz, a nie funkcję wojewody?

– Też. Potem.

Bo przypominam sobie, że chyba powiedziałem o tym Wałęsie i on mój pomysł skwitował: „Nie, panie Tadeuszu, wicewojewody”!

– Dlaczego pan nie chciał żadnego z braci Kaczyńskich do rządu?

Zastanawiałem się w którymś momencie nad zaproponowaniem Leszkowi Kaczyńskiemu funkcji ministra pracy, ale też brałem pod uwagę, że jest on potrzebny „Solidarności” w Gdańsku. Funkcję tę zaproponowałem Jackowi Kuroniowi i to było rozwiązanie o ogromnym znaczeniu politycznym. Doceniałem rolę Jarosława Kaczyńskiego, jaką odegrał w utworzeniu koalicji „Solidarności” z ZSL i SD, doceniałem jego pozytywny stosunek do mnie jako do kandydata na premiera. Natomiast nie mógłbym się zgodzić z sytuacją, że mam w rządzie komisarza. Ja po prostu – mając nad sobą komisarza – nie mógłbym pracować. A miałem wrażenie, że taką rolę on widział dla siebie. A potem wyskoczyła sprawa „Tygodnika Solidarność”, zdumiewająca. Wałęsa zrzucił z redaktora naczelnego Jana Dworaka, wybranego po moim odejściu przez zespół, i powołał Kaczyńskiego, by – jak obaj twierdzili – uniemożliwić mi sterowanie „Tygodnikiem”. Jakaś absurdalna historia. Ja nie miałem ani możliwości, fizycznych możliwości, ani najmniejszej chęci sterować „Tygodnikiem”. Przecież miałem kierować Polską, nie „Tygodnikiem”. Bardzo to było dla mnie nieprzyjemne, uderzało w moje intencje.

– Więc dalej: czy prawdą jest, że na wiceministra sprawiedliwości chciał pan Jana Olszewskiego?

Chciałem. Na podobnej zasadzie jak Geremka. Ministerstwo Sprawiedliwości przypadło ZSL i miałem prawo uważać, że funkcje naszych wiceministrów będą kluczowe.

– Narobił pan sobie wrogów od razu, na wstępie.

Nie myślałem o tym. Miałem jeden cel – utworzyć rząd najlepszy z możliwych.

– Czyli pięć ministerstw oddać PZPR i po trzy – ZSL i SD.

Zachowywałem sobie prawo wybrania z tych partii ludzi, którzy będą mi odpowiadać. Były tylko dwa poważne konflikty – ZSL chciało mi narzucić Olesiaka, a myśmy wyszukali prof. Czesława Janickiego. Oraz wszedłem w ostry spór z PZPR o Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Do walki o MSZ niechęć zagrzał mnie Mieczysław Rakowski. Był wtedy pierwszym sekretarzem PZPR.

Odwiedzałem jako nowo mianowany premier szefów wszystkich partii, odwiedziłem Rakowskiego, a ten: „No, ja już na szczęście mam to wszystko poza sobą, a pan zobaczy, jak tam jest. Pojedzie pan do Moskwy na Układ Warszawski, będzie pan miał obok siebie prezydenta, pierwszego sekretarza PZPR, ministra obrony narodowej i ministra spraw zagranicznych”...

O nie – pomyślałem sobie. Na taką sytuację muszę mieć przynajmniej jednego zaufanego człowieka obok siebie. I wtedy powiedziałem – nie odpuszczę MSZ. Zacząłem walczyć, bardzo twardo.

– Kogo chciała PZPR?

Dotychczasowego, Tadeusza Olechowskiego. Ostre rozmowy z szefem sejmowego klubu

PZPR Orzechowskim i z zastępcą pierwszego sekretarza Leszkiem Millerem. Miller nalegał, prawie straszył.

– **Jak?**

Że będzie to źle przyjęte w Moskwie. Powiedziałem: trudno.

– **I co zdecydowało, że w końcu ustąpili?**

Mój upór.

Oświadczyłem, że ministrem spraw zagranicznych zostanie Krzysztof Skubiszewski, profesor Uniwersytetu Poznańskiego.

– **Dlaczego nie Geremek?**

Profesor Skubiszewski był łatwiejszy do strawienia. Był członkiem Rady Konsultacyjnej powołanej przez generała Jaruzelskiego w latach 80. i słusznie przewidywałem, że tej kandydatury prezydent Jaruzelski, który miał w tej sprawie głos, nie będzie kwestionował. Profesor Skubiszewski okazał się szybko znakomitym ministrem.

– **We wrześniu 1989 r. Polska była jedynym krajem w bloku sowieckim, który miał niekomunistyczny rząd.**

Musielśmy brać pod uwagę to, że czeka nas długi marsz, samotny. Przyjąłem wariant mniej optymistyczny, jak się potem okazało, ale najbardziej w tamtej sytuacji realny.

Musimy – powiedziałem do swoich współpracowników – prowadzić Polskę na linii brzegowej, zmieniać ustrój drogą ewolucyjną, nie prowokując żadnego wystrzału, który mógłby spowodować kontrakcję. Prowokacja była możliwa. Zagrożeniem byli i dogmatycy partyjni, i mogło ono przyjść z zewnątrz. Chyba we wrześniu dowiedziałem się na przykład, że Ceausescu

rozsyła listy do wszystkich partii komunistycznych, proponując im zorganizowanie interwencji w Polsce, by nie dopuścić u nas do reform. Powiadomił mnie o tym Rakowski, przysłał kopię odpowiedzi, jaką PZPR wystosowała do Ceausescu. Zdecydowanie negatywną.

We wrześniu czy październiku nikt przecież nie przewidywał, że rozkład bloku sowieckiego nastąpi tak szybko i gwałtownie. Nikt się nie spodziewał, że polski przykład wywoła jesień ludów. Że tzw. realny socjalizm zacznie padać we wszystkich krajach po kolei.

– W listopadzie padł w Czechosłowacji i NRD, w grudniu – w Bułgarii i Rumunii.

Węgry wcześniej zaczęły robić zmiany i robił je rząd komunistyczny. Ja, owszem, przewidywałem, że ten polski przykład będzie na społeczeństwa tych krajów działał zaraźliwie, że ośmieli ich opozycję, ale obawiałem się też, że najdrobniejsze przejawy buntu będą u nich duszone, i może być tak, że my przez dłuższy czas będziemy żyć w okrążeniu, pod ścisłą obserwacją.

– Podsluchy pan miał?

Gdzie?

– W Urzędzie Rady Ministrów.

(Śmiech). Zapytałem o to generała Kiszcza, ministra spraw wewnętrznych. Trochę później. Odpowiedział: naszych nie ma.

– Nie próbowaliście sprawdzić?

Nie. Nie sprawdzaliśmy.

– Pana pierwsza wizyta zagraniczna?

We Włoszech. Pojechałem tam w połowie października. Miejsce traktowałem symbolicznie. Chciałem, by świat zauważył, że nowy polski premier z pierwszą wizytą jedzie nie do Moskwy, ale do Papieża.

Siedzieliśmy z Ojcem Świętym i przez pierwsze minuty trzymaliśmy się za ręce. Nic nie mówiąc. Wzruszenie. Radość. Tyle myśli naraz.

– O czym?

Myśleliśmy o Polsce i o tym, żeby się udało.

– Co?

Odzyskać niepodległość. Bez walki. Choć raz. Pokojowo.

– On był optymistą?

Papież? No, oczywiście. Papież był odprężony, w bardzo dobrym nastroju, niezwykle ucieszony, uradowany.

– Nie obawiał się nieszczęść, które jeszcze groziły, mogły spaść?

Miał obawy, dużo obaw. No, ale był to moment, kiedy należało się cieszyć.

– Jakich rad Panu udzielił?

Papież? Nie, on nie udzielał rad. Jego sugestie co do rozwiązywania jakichś spraw tkwiły w sposobie zadawania przez niego pytań i w sposobie wyrażania troski. Pytał więc, czy są szanse na spokojne przeprowadzenie zmian, czy ludzie rozumieją, o co w tych zmianach chodzi. I troszczył się o to, czy w tym, co zamierzamy zrobić, wykazujemy dość rozwagi i ostrożności.

– Pytał o Niemcy?

Nie przypominam sobie. Chyba nie.

– Bo był to czas, gdy Niemcy z NRD uciekali do zachodniemieckich ambasad urzędujących w bloku sowieckim. Koczowali w Warszawie, Pradze, Budapeszcie, starali się o wjazd do RFN.

Pomogliśmy im. Przekazałem ministrowi spraw wewnętrznych moją decyzję, że tych uciekinierów nie będziemy odsyłać do NRD, do czego zobowiązywały zawarte przez PRL umowy. Minister Skubiszewski wypertraktował później to, że mogli wyjechać do Niemiec zachodnich.

– Zaczynał się upadek NRD. Przewidywał Pan, czym się on skończy?

Rozpatrywaliśmy wiele wariantów. Dręczyło mnie, że nie mamy uregulowanej granicy zachodniej. Nasz układ zawarty w 1970 r. z Willym Brandtem został przegłosowany w Bundestagu głosami SPD. CDU wstrzymała się wtedy od głosu, a jedynym człowiekiem z CDU, który głosował za, był Richard von Weizsacker, późniejszy prezydent Niemiec. W 1989 r. w Niemczech rządziła CDU i oni ostateczne uznanie naszej granicy odkładali do traktatu pokojowego. Choć wiadomo już było, że żadnego traktatu nie będzie.

Zapytałem kanclerza Kohla w czasie jego pierwszej wizyty u nas, co dalej. Stwierdził, że czuje się kanclerzem, który powinien to zrealizować. Żeby mu zaufać. On sprawy naszej granicy ureguluje, bo jego ideałem jest spuścizna kanclerza Konrada Adenauera, który uważał, że najpierw trzeba załatwić wszystkie sprawy z Francją, a potem z Polską. I opowiadał mi o swoich wewnętrznemieckich trudnościach.

To był typ argumentacji, który wiele razy słyszałem od polityków niemieckich. „Pan ma trudności – odpowiedziałem – ale ja też mam trudności”. Kohl przyjechał do Polski 9 listopada podpisać ze mną deklarację Kohl - Mazowiecki, bardzo duży dokument formułujący wspólne

problemy, m.in. że część naszych długów wobec RFN zostanie przekazana na fundację i wydana w Polsce oraz że ureguje się prawa mniejszości niemieckiej w Polsce.

Kohl przerwał wizytę. Mur berliński padał. Wyjechał do Berlina.

– **Musiał?**

Na pewno był to dla niego bardzo ważny moment. Ale grały rolę i sprawy uboczne.

Wie pani, czasem nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo emocje rzutują na wielką politykę. Jak dużą rolę odgrywają w niej niechęci lub sympatie. Kohl przerwał wizytę w Polsce także dlatego, że nie chciał, aby w manifestacji radości w Berlinie Zachodnim uczestniczył tylko Brandt. Nie był to może jedyny motyw, ale ważny.

Potem wrócił, wymieniliśmy znak pokoju w Krzyżowej na mszy świętej. Jesteśmy katolikami, więc ten znak dla nas obu miał znaczenie nie tylko symboliczne, ale nabrał głębszej wymowy.

– **A co z granicą?**

Niemcy pełną parą szły do zjednoczenia. Uważałem, że nie wolno nam tego momentu przegapić i trzeba uregulować sprawę naszej zachodniej granicy.

– **Istniała jeszcze NRD.**

I wiadomo było, że do zjednoczenia Niemiec bez zgody supermocarstw nie dojdzie.

– **Czyli także bez zgody ZSRR.**

Przygotowania do naszej wizyty w ZSRR trwały bardzo długo, były niesłychanie trudne. Moskwa nie spieszyła się z ustaleniem jej terminu.

– General Jaruzelski nie pomagał?

W którymś momencie się włączył. Nawet interweniował. Plan wizyty i jej końcowy komunikat ustalał z nimi minister Ambroziak, szef mego gabinetu.

– Końcowy?

No tak, bo tam komunikaty końcowe ustalało się przed wizytą, z góry, taki był rytuał. Myśmy go naruszyli, wprowadzając do niego poprawki.

Plan wizyty zaproponowany przez nich przewidywał złożenie przeze mnie wieńca w Mauzoleum Lenina. Oni chcieli, bym składał wieniec Leninowi. Odmówiłem. Naciskali. Złożenie wieńca w Mauzoleum Lenina byłoby pokłonem dla ideologii, kontynuowaniem gestów niesuwerennego państwa. Nie mogłem ustąpić. Zaproponowaliśmy, że owszem, złożę wieniec, ale pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Koncesją za to była moja zgoda na zwiedzenie gabinetu Lenina na Kremlu.

– Bo Lenin tam był wciąż ważny?

Narodowa świętość.

– A tu w przeddzień Pana wyjazdu do Moskwy próbowano podpalić pomnik Lenina w Nowej Hucie.

Tego akurat nie pamiętam. Być może nawet o tym nie wiedziałem. W Moskwie duże wrażenie zrobiło obalenie w Warszawie pomnika Dzierżyńskiego.

– Tydzień wcześniej. Gorbaczow wiedział?

Oczywiście. Premier Ryzkow, z którym spotkałem się przed rozmową u Gorbaczowa,

powiedział, że oni teraz obawiają się niszczenia grobów radzieckich w Polsce. Uspokoilem go i zapewniłem, że tego nie będzie.

Choć, oczywiście, bałem się. Hec lub prowokacji podobnych do tych z 1981 r., kompletnie sfingowanych lub sztucznie reżyserowanych. Jak z chłopakami w Sandomierzu, którzy bawiąc się na cmentarzu, przeskoczyli przez grób Żołnierza Radzieckiego, coś się zważyło i uznano to za świadome niszczenie. Niesłychanie się o to bałem. Oni na punkcie grobów radzieckich są bardzo drażliwi. Na temat Polski są w ogóle drażliwi. A do jakiego stopnia, przekonałem się właśnie podczas mojej wizyty w Moskwie i w – wtedy jeszcze – Leningradzie. Wie pani, kogo tam się wspomina? Władysława IV.

– Bo zdobył Moskwę?

Więcej – upokorzył Rosję.

– Wchodzi pan do Gorbaczowa i...?

Tłum dziennikarzy. Podszedł, przywitał się. Dziennikarze wyszli, usiedliśmy, poprosiłem o popielniczkę. Jak zwykle.

Ja tylko w jednym miejscu nie proszę nigdy o popielniczkę. U Papieża. Natomiast i u pani Thatcher, i u Busha seniora prosiłem.

– Była?

Znalazła się.

– Ze strony polskiej był pan i minister Ambroziak.

Jacek notował. A z Gorbaczowem był jeden z najbliższych współpracowników. No i tłumacze, oczywiście.

– Pan rosyjskiego nie zna?

Nie.

– Czyli był pan chyba pierwszym polskim premierem, który nie znał rosyjskiego.

Prawdopodobnie.

Gorbaczow przyjął mnie dobrze. Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Spotkałem człowieka niezwykle inteligentnego, bardzo otwartego, mówiącego jasno, bez dogmatycznych naleciałości. Oprócz jednego momentu. Momentu, w którym poruszyliśmy kwestię niemiecką. On – o Niemczech, choć było to już po upadku muru berlińskiego – dalej mówił dogmatycznym językiem i nie umiał wyzwolić się z obowiązujących wcześniej formułek.

– Czyli?

Żadnych zmian. Zachowanie NRD. Utrzymanie podziału.

Nie dyskutowałem o tym. Do dwóch spraw chciałem go przekonać. Pierwsza dotyczyła pozycji partii komunistycznej w Polsce. Zapewniłem go, że Polska jest krajem dla nich przyjaznym i nierządzona przez komunistów także nie będzie do ZSRR nastawiono wrogo. Więc nie potrzebują mieć w Polsce u władzy satelickiej partii, by tę przyjaźń sobie zagwarantować.

Druga sprawa dotyczyła ujawnienia zbrodni katyńskiej.

– Kto zabił, Gorbaczow już wiedział?

Wiedział. Pierwsze rozmowy o Katyniu przeprowadził z nim generał Jaruzelski. Domagał się ujawnienia prawdy o Katyniu.

– Z własnej inicjatywy?

Z własnej.

Powiedziałem Gorbaczowowi, że jeżeli chcemy przyjaźni prawdziwej, czyli opartej na zbliżeniu narodów, a nie formalnej, zadekretowanej przez władze, to na drodze do tej przyjaźni stoi przede wszystkim Katyń. Dlatego bardzo nalegam na niego, aby prawda o Katyniu została przez nich wypowiedziana. Odpowiedź Gorbaczowa była odsyłająca i zasłaniająca. Odsyłał mnie do badań, które oni muszą jeszcze przeprowadzić. „Musimy tę sprawę zbadać” – mówił. I tłumacząc mi, dlaczego są potrzebne, zasłaniał się informacjami, jakie ponoć otrzymał, że w Katyniu, w tym samym miejscu co polscy oficerowie, zostali wykończeni także Rosjanie. „Istnieje prawdopodobieństwo – mówił – że wcześniej zabity tam został Bucharin”.

– Nikołaj Bucharin, skazany w Moskwie na karę śmierci w pokazowym procesie w 1937 r.?

Niewykluczone, bo dlaczego nie?

– Wieźliby go z Łubianki? Tyle kilometrów?

No, wie pani, w Rosji – myślę, że wtedy wszystko było możliwe.

Mnie argumenty Gorbaczowa oczywiście nie przekonały. Jedna ważna rzecz jednak się wydarzyła. W czasie naszego pobytu w Moskwie po raz pierwszy w moskiewskiej telewizji pokazano program telewizyjny opowiadający o zbrodni katyńskiej. Podważono w nim obowiązującą dotychczas wersję, że mordu dokonali Niemcy. Powiedziano, że istnieją dwie wersje – jedna, że Niemcy, oraz druga, że NKWD.



Warszawa, 03.05.1990. Obchody 199. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Nz. premier RP Tadeusz Mazowiecki (P) i wiceminister obrony narodowej ds. wychowawczo-społecznych Bronisław Komorowski podczas uroczystej odprawy wart przy Grobie Nieznanego Żołnierza na placu Piłsudskiego. meg PAP/
Zbigniew Matuszewski

– „Może być pan zdziwiony – powiedział do Pana Gorbaczow – ale życzę panu sukcesu”.

Tak, tak, na samo zakończenie rozmowy. Sądzę, że on ze swej strony odczuł w tej rozmowie, że nam naprawdę zależy na powodzeniu jego pierestrojki.

– **Potem pojechaliście do Katynia.**

To było dla mnie straszne przeżycie, wstrząsające. Wieczór, ciemno, las, zimno. Szliśmy

lasem kilkanaście minut, zmarznięci, w absolutnej ciszy. Słyszałem głos Stanisława Swianiewicza. Z płyty wydanej przez Wolną Europę, zatytułowanej „Świadkowie historii”, którą kiedyś przywiozłem z Zachodu, nielegalnie. Profesor Swianiewicz zdawał relację z tego, co widział.

Zostawiono go w wagonie, kolegów wyprowadzono, widział, jak idą, jak odchodzą, znikają w lesie, a potem strzały. Słyszał strzały. Liczył.

Idąc – słyszałem te strzały.

Potem msza. Odprawił ją ojciec Aleksander Hauke-Ligowski, którego wziąłem do naszej delegacji. Obok mnie stał wicepremier radziecki. Pojechał z nami, jednak zrobili ten gest, należy to docenić. A potem, kiedy – jak w każdej normalnej mszy świętej – następuje wymiana znaku pokoju, zwróciłem się do niego, podałem mu rękę.

– Zrozumiał?

Nie. Nie wiedział, o co chodzi, był bardzo zdziwiony.

Po mszy w Katyniu tego samego dnia byłem przyjęty w niedalekim Smoleńsku przez szefa miejscowej władzy. Ten człowiek mówił o pierestrojce jak o kolejnej dyrektywie partyjnej. W ogóle nie rozumiał istoty tego zjawiska.

Wróciłem do Moskwy i spotkałem się z Andriejem Sacharowem. To było trzy tygodnie przed jego śmiercią. Przeżyłem zadziwienie. Sacharow całe ostrze krytyki – powiem więcej, ostrej napaści, bardzo ostrej – kierował w stronę Gorbaczowa. To było uderzające, nie mogłem tego pojąć. Zwłaszcza po świeżym oglądzie tych nieszczęsnych władz w Smoleńsku, które tkwiły myślowo w poprzedniej epoce.

– Co mówił?

Mówił, że Gorbaczow nie rozumie kwestii narodowej, a ona jest w ZSRR pierwszorzędna. Później przyznałem mu rację, rzeczywiście najważniejsza, niemniej ten jego atak nie na dogmatyków, co byłoby logiczne, ale na Gorbaczowa, mnie dziwił.

– Gorbaczow nie rozumiał też konieczności zjednoczenia Niemiec.

Ale szybko zrozumiał. Po spotkaniu z Bushem seniorem na Malcie. Odbyło się wtedy posiedzenie Układu Warszawskiego w Moskwie. Byłem tam z generałem Jaruzelskim jako prezydentem i ministrem Skubiszewskim.

Posiedzenie zaczęło się od wymownej sceny. Gorbaczow wypatrzył mnie w tłumie i podbiegł. Z okrzykiem: „Było tak, jak pan powiedział! Trzymał mnie za rękę”.

– Kto?

Papież. Bo po kolei było tak: Ojciec Święty, gdy byłem w Watykanie, powiedział mi, że właśnie ustalany jest z Moskwą termin wizyty Gorbaczowa. Więc ja na zakończenie swojej listopadowej rozmowy z Gorbaczowem powiedziałem mu: „Wiem, że będzie pan u Papieża, i chcę panu przekazać, z jakim człowiekiem będzie pan rozmawiał. Z człowiekiem mądrym, otwartym” i scharakteryzowałem mu Papieża.

– Jak wyglądało posiedzenie Układu Warszawskiego?

Bardzo długie przemówienie Gorbaczowa, którego co najmniej połowa była poświęcona jego wizycie w Watykanie, a druga rozmowom na Malcie. Zauważyłem zmianę tonu w sprawie Niemiec. Po raz pierwszy publicznie dopuścił możliwość akceptacji dla jakiejś formy zjednoczenia Niemiec. Mówił o konfederacji dwóch państw niemieckich, co wtedy było czymś nowym dla tego gremium, które go słuchało. Słuchał tego także Ceausescu. To było trzy tygodnie przed jego upadkiem.

Po czym Ceausescu wygłosił emocjonalne przemówienie żądające krucjaty w obronie

socjalizmu w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Gorbaczow potraktował go jak człowieka niekontaktującego z rzeczywistością.

– Rozmawiał pan z nim?

Nie, nie rozmawiałem, musiałem się tylko przywitać.

– Bo właśnie wysłał drugi list, tym razem do Chin, by Chińczycy ratowali socjalizm w Europie.

No tak, ale ten już nie był groźny. Ceausescu był skończony.

– Czy chciał Pan, by Polska pozostała w Układzie Warszawskim?

Nie.

– To dlaczego tak często zapewniał Pan, że nie wyjdziemy z Układu Warszawskiego?

Oceniać te zapewnienia można różnie.

– Pana zapewnienia, że Polska zostanie w Układzie, były bardzo źle odbierane w Polsce.

Wiem.

Bardzo trudno w kilku zdaniach wytłumaczyć cały tok mojego rozumowania. Krótko: w całej Europie idziemy do wielkich zmian, one są nieuchronne. Zmianie więc ulegną oba – Układ Warszawski i Pakt Północnoatlantycki. Nie od razu. To musi dojrzeć.

– Dla Polski najważniejszą wtedy sprawą było ostateczne uregulowanie granicy z Niemcami.

Nagle Kohl wydał dziesięciopunktową deklarację, w której nie było ani słowa o Polsce.

To mnie postawiło do pionu. Byłem w Londynie, kiedy w Ottawie podjęto uchwałę o zwołaniu konferencji „dwa plus cztery”.

– Dwa państwa niemieckie (NRD i RFN) oraz cztery mocarstwa (USA, ZSRR, Francja i Wielka Brytania).

Zwołałem konferencję prasową i oświadczyłem, że Polska na tej konferencji musi być obecna. Zrobił się wielki hałas, no jak to! Polska chce aspirować do roli piątego mocarstwa?

Nie. Ale Polska została pierwsza zaatakowana w czasie drugiej wojny światowej i ma nieuregulowaną sprawę granicy zachodniej.

Pani Thatcher, która była bardzo antyniemiecka, od razu poparła nasz udział, Mitterrand poparł – kluczac. Zasadnicze znaczenie miała moja rozmowa z Bushem seniorem w Stanach Zjednoczonych, kiedy przekonałem go, że nie jest to podstawianie nogi zjednoczeniu Niemiec, tylko kwestia uregulowania podstawy do dobrych stosunków polsko-niemieckich. Wtedy Bush wpłynął na Kohla. Nawiasem mówiąc, dowodem na to, jakie niezrozumienie panowało na ten temat u naszych partnerów, są pamiętniki Jamesa Bakera, ówczesnego sekretarza stanu, gdzie napisał on, że gdy usłyszał o postulatcie uczestnictwa Polski w konferencji „dwa plus cztery”, to jego pierwsze wrażenie, pierwsza myśl była taka: Moskwa coś zaczyna rozrabiać.

Moskwa nie powiedziała na ten temat ani pół słowa. To ja zwracałem się do Moskwy o poparcie dla naszego postulatu. Nie oni do nas.

– Czyli komuniści mieli rację, straszac nas, że w razie buntu wyładujemy w granicach Księstwa Warszawskiego?

Nie mieli. Bo my jednak na drodze dyplomatycznej, dzięki talentom i wysiłkom

zwłaszcza ministra Skubiszewskiego i ministra spraw zagranicznych Hansa Dietricha Genschera doprowadziliśmy do tego, że Polska – wprowadzie na specjalnych prawach, osobnych, ale była obecna na konferencji „dwa plus cztery” i granicę zachodnią po 45 latach niepokojów i obaw sobie zagwarantowała.

– Ale to był już rok 1990, a 1989 kończył się znamionym akcentem. Sejm zmienił nazwę państwa z PRL na Rzeczpospolitą Polską oraz godło – orłowi nakładając koronę.

Ale w przeddzień w Czechosłowacji parlament wybrał prezydenta. Został nim Vaclav Havel. I wie pani, co wtedy pomyślałem? Dokładnie w momencie, kiedy się o tym dowiedziałem? Pomyślałem sobie: no, to się teraz u nas zacznie!

– Co?

Wałęsa tego nie przepuści.

– To było 29 grudnia 1989 roku.

Czy pani chce tę rozmowę przeprowadzić antywałęsowsko? Proszę, niech pani tego nie robi.

– Wałęsa Pana upokorzył.

Nazwijmy: brutalnie zwalczał. Ale wie pani, nie mam o to do niego pretensji. Nigdy zresztą nie żywiłem do niego złych uczuć. On jest po prostu z takiej gliny ulepiony. W pamięci zachowuję dobre strony naszych wzajemnych stosunków. I myślę, że mimo iż gadał o mnie, co gadał, i gadać różne rzeczy pozwalał swojemu otoczeniu, jestem głęboko przekonany, że pewien rodzaj szacunku dla mnie zachował. Ja dla niego też.

– Ale my wszyscy dzisiaj bylibyśmy dalej.

Gdyby nie było „wojny na górze” – na pewno. Nie ja byłem jej autorem.

– Złego słowa nie chce pan o nikim powiedzieć?

A ma to jakiś sens? Nie jestem święty i czasem ogarniają mnie uczucia niechęci do jakichś ludzi. Ale pilnuję się, by nie wydawać ocen, o których ktoś może powiedzieć, że są nieobiektywne lub skażone goryczą.

– Wałęsa został w Gdańsku.

Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę, że coś z Wałęsą trzeba zrobić. Ale co? To był ten wielki problem: co! Niektórzy się łudzili, że zgodzi się zostać marszałkiem Senatu, ale on nie chciał kandydować. A bycie tylko przewodniczącym „Solidarności” już mu nie wystarczało.

– I na konferencjach prasowych organizowanych w Gdańsku zaczął rząd zarzucać pomysłami.

No tak. Tylko że przerobienie koncepcji Wałęsy: z budowaniem segmentów, na które trzeba podzielić państwo, z nogami – raz z lewą, a raz z prawą nogą – które trzeba wzmocnić, otóż przerobienie tego na działania państwowe było niemożliwe. A próba wytłumaczenia mu, że każda koncepcja musi być osadzona w ustroju państwa, kończyła się jego stwierdzeniem: a tam, to nie tak, trzeba inaczej. Zawsze zostawiał sobie element krytyki. Krytyki na początku chyba niezłośliwej.

– Na przykład, żeby rząd zaczął wydawać dekrety.

No tak. Dowiedziałem się o tym z telewizji. Albo z PAP-u.

– Zadzwoił pan do niego?

Nie pamiętam. Wiem, że na pewno odpowiedziałem mu publicznie, iż za taką koncepcją

nie jestem. Ponieważ zmiany, które wprowadzamy, muszą mieć społeczną wiarygodność i legitymizację Sejmu, nie mogą być narzucone odgórnie. Rząd zresztą nie miał takich kompetencji, nie widzieliśmy też potrzeby, bo ustawy uchwalane były szybko, całymi pakietami. Byłem za rządem stanowczym, ale nie dyktatorskim.

– W połowie stycznia 1990 r. Wałęsa zażądał wycofania wojsk radzieckich.

Tak.

– Zadzwoił pan do niego?

Chyba nie.

– A może było warto?

No, to już był fakt publiczny. Problem ten prędzej czy później musiał stać się. Ale akurat zaskakiwanie rządu w tak ważnej sprawie było fatalne.

– Pan przestał do niego dzwonić.

To nieprawda, że w ogóle przestaliśmy do siebie dzwonić. W ważniejszych sprawach od czasu do czasu rozmawialiśmy. Może za rzadko. Ale poprzednio też rzadko do siebie telefonowaliśmy. A jaki był mój stosunek do niego, świadczy choćby to, że będąc z wizytą u Gorbaczowa, prosiłem go, by spotkał się z Wałęsą. Wałęsa bardzo chciał poznać Gorbaczowa.

– Bo Havla nie?

Jak to?

– Havel przyjechał do Warszawy na jeden dzień. Wałęsa oświadczył, że nie dojedzie, bo ma wiec w Stoczni Gdańskiej. pan dzwonił do niego trzy razy. Oraz Geremek, Michnik.

Tak.

– Dlaczego nie przyjechał?

Dlaczego? Pewnie dlatego, że jak to – Lech Wałęsa do prezydenta Havla? To prezydent Havel powinien przyjechać do Lecha Wałęsy do Gdańska. (*śmiech*)

– „Wojny na górze” nie można było uniknąć?

Chciałem. Ale otoczenie Wałęsy do niej parło. A sam Wałęsa widział w niej sposób na zmianę swojej sytuacji, odsunięcie tych, o których zaczął myśleć, że go zawiedli. I poparł innych zawiedzionych.

Wtedy na początku sprawy układały się tak: byli ludzie, którzy nie ubiegali się o stanowiska, i jak im proponowałem, bardzo zastanawiali się, czy je objąć, bo czuli ogromną odpowiedzialność. Byli też ludzie, którzy mierzyli wyżej i uważali, że propozycje, które im składałem, są za niskie, dla nich niewystarczające. Ale byli też tacy, którzy uważali, że ja ze swoim rządem jestem dobry na pierwszy etap, oni go nazywali przejściowym, i sądzili, że szybko zostaną w oczach opinii społecznej spalony za współpracę z ludźmi poprzedniego systemu i wtedy przyjdą oni, czyści.

– Jan Olszewski? Zdzisław Najder?

Mniejsza o nazwiska. „Wojna na górze” zaczęła się nie od wojny ze mną. Najpierw z Komitetem Obywatelskim, którego sekretarzem był Henryk Wujec i Wałęsa rzucił mu słynne zdanie: „Poczuj się odwołany”. Potem z Adamem Michnikiem i „Gazetą Wyborczą”, której odebrał znaczek „Solidarności”. Następnie z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym kierowanym przez Geremka. A jeszcze potem przyszły ostre wypowiedzi pod adresem rządu.

– Polskie piekło?

Powiedziałem tak, rzeczywiście, na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego...

– Pod koniec marca 1990 roku.

Dostałem rześiste brawa. A Wałęsę przyjęto chłodno. Powiedziałem, że boję się polskiego piekła, które za chwilę sobie zgotujemy.

– I pomyślał Pan: Piłsudski miał rację?

Tak, ale trochę później. Pomyślałem, że miał dużo racji, nie całkowitą.

Ataki na rząd stawały się coraz bardziej brutalne. Typu: złodziejska rewolucja, jakieś intrygi, bardzo trudno mi to odtworzyć.

– Chce Pan?

Nie.

– Bolały?

Nie chodziło tylko o mnie, lecz o rząd, który właśnie przeprowadzał reformę gospodarczą, coraz trudniejszą dla społeczeństwa, i raptem został pozbawiony oparcia w „Solidarności”.

– Czy zaczął pan wtedy myśleć o tworzeniu własnego zaplecza politycznego?

Nie, choć może było to błędem. To, co było charakterystyczne dla mego rządu, dla nas w tym rządzie – a co potem stale się zmniejszało, aż do dzisiejszej sytuacji – to było to, że nam chodziło o kraj, a nie o tworzenie własnej partii. Myśmy swoją pracę traktowali jako służbę publiczną pełnioną w szczególnym momencie historycznym i nakładającą na nas straszliwą

odpowiedzialność, by tę szansę, która się przed Polską otworzyła – wykorzystać.
Koncentrowaliśmy się na tym.

Błędem, naszym wspólnym błędem, obu stron tego „solidarnościowego” podziału, który się pogłębiał, była fałszywa diagnoza, że PZPR nigdy się nie odrodzi, że partie postkomunistyczne nie mają szans.

– Przypomnijmy spotkanie w gdańskiej kurii u biskupa Gocłowskiego na początku kwietnia.

Odbyło się kilka. To było chyba drugie. W pierwszym nie brałem udziału. Trwało kilka godzin. Wieczorem odlecieliśmy.

Wałęsa powiedział: ja będę prezydentem, pan Bronek – o Geremku – wiceprezydentem. Nam kapcie spadły.

– A pan kim?

Premierem. Adam Michnik klęknął przed Wałęsą: Lechu, nie śpiesz się, będziesz prezydentem Europy, po co ci prezydentura Polski. I długo mu tłumaczył, że powinien siebie zachować na prezydenta Europy. Milczałem.

– A Geremek? Zwykł w takich momentach mówić: pan, panie przewodniczący, chyba szaleju się najadł.

Wtedy nie żartował. Nie pamiętam, czy w ogóle zabierał głos. A jeśli zabierał, to wie pani, jak to profesor – kluczył, trochę do przodu, trochę do tyłu. To, co zapamiętałem, to kontredans Adama i bardzo ostrą wypowiedź Olka Halla. Olek wygłosił całą orację kontra temu pomysłowi. Odważną. Nie nadajesz się na prezydenta, Lechu – powiedział mu wprost.

– I jeszcze, że ma luki kompetencyjne, brakuje mu wiedzy, że czym innym jest

kierowanie związkiem zawodowym nastawionym, by państwu wyrwać jak najwięcej, a czym innym rozwiązywanie problemów państwowych. Miał rację?

Miał.

– A Lechu?

Wysłuchał z obrzydzeniem. I potem długo, bardzo długo nie mógł tego Olkowi darować.

– „Panowie – oświadczył Wam – ja i tak będę prezydentem bez względu na to, czy będziecie tego chcieli, czy nie”.

Tak jest. Zgadza się.

– Biskup Gocłowski coś mówił?

Nie, chyba nie. Potem tylko z nami przerażony komentował, że Wałęsa już tak do tego prze. Ale jeszcze później zaangażował się w popieranie kandydatury Wałęsy na prezydenta.

Drugie moje spotkanie z Wałęsą na ten temat odbyło się na początku lipca w podwarszawskim klasztorze. Był to dzień, kiedy walcząc o ceny minimalne w skupie, poseł Gabriel Janowski przyniósł przed Urząd Rady Ministrów trumnę mającą symbolizować stan rolnictwa. Nie mogłem przez to wrócić do URM-u, zatrzymałem się na Ursynowie w mieszkaniu mego syna, żeby przeczekać, aż się to skończy.

– Z Wałęsą obiad, kolacja i potem rozmowa, sześć godzin?

Rozmowa nie trwała sześciu godzin. Trwała długo, ale nie sześć godzin. Pojechałem wczesnym popołudniem, a wieczorem wróciłem. Odbyła się z inicjatywy arcybiskupa Dąbrowskiego. Chodziło o znalezienie jakiegoś rozwiązania w sprawie wyborów prezydenckich.

– Jak te rozmowy z Wałęsą przebiegały? Witacie się, podajecie sobie ręce, siadacie i pan mówi: panie Lechu, znajdziemy jakieś rozwiązanie?

Trzecie, tak. Wtedy myślałem o znalezieniu trzeciego kandydata.

– A on: panie Tadeuszu, niech pan mi głowy nie zawraca?

Nie, nie, w ten sposób Wałęsa nigdy się do mnie nie odzywał. Mówił: nie, to jest niemożliwe, ja muszę być prezydentem.

– A wtedy arcybiskup Dąbrowski się wtrącał: a może pan, panie Lechu, jeszcze by się zastanowił?

Mówił chyba coś takiego, jak zobaczył, że nie doszliśmy do porozumienia. Wcześniej posadził nas, poczęstował obiadem i zostawił samych.

Z Wałęsą rozmawiałem w cztery oczy także 31 sierpnia w Gdańsku. Spotkanie zainicjował biskup Gocłowski.

– Podobno Wałęsa próbował Pana namówić, by poparł pan jego kandydaturę w wyborach prezydenckich.

Wałęsę widziałem zawsze jako wielkiego ludowego przywódcę, ale nie jako prezydenta. Uważałem, że nie czuł tego, czym jest państwo, jego złożoności. Że wyobraża je sobie na kształt wielkiego podwórka, na którym on rządzi tak jak w „Solidarności”. Zaproponowałem trzecie rozwiązanie. Powinniśmy znaleźć – mówiłem – trzeciego kandydata. Myślałem wtedy o Andrzeju Stelmachowskim, marszałku Senatu.

Obawiałem się, że Wałęsa zrealizuje swój program, który artykułował wtedy bardzo brutalnie.

– Puści w ruch siekiere – mówił.

I wszystko, cośmy zrobili, w sensie reform gospodarczych przede wszystkim – przekreśli.

Z perspektywy myślę, że te rozmowy były z góry skazane na niepowodzenie.

– Wtedy wprowadził pan religię do szkół.

Żadnego związku z Wałęsą to nie ma.

– Nie chodziło Panu – w zamian – o poparcie Kościoła?

Brzydkie podejrzenie. Nigdy tak nie myślałem.

– Episkopat zażądał wprowadzenia religii do szkół.

W tym dniu byłem w Stalowej Woli, 1 maja 1990. O uchwale Episkopatu dowiedziałem się od biskupa Frankowskiego, który właśnie wrócił z posiedzenia Episkopatu. Biskup Frankowski był wtedy człowiekiem, z którym można było rozmawiać i dyskutować. Znałem go wcześniej z moich wyjazdów do Stalowej Woli w czasie nielegalnej „Solidarności”. Potem bardzo się zmienił.

– Co się dzieje z ludźmi?

Nie wiem. Nie jestem znawcą dusz ludzkich.

Episkopat wcześniej żadnych rozmów ze mną na temat religii w szkole nie prowadził. Hierarchia kościelna pomagała w przeprowadzaniu reform, chroniła mój rząd, szanowała go, o wszystkich jej decyzjach byłem uprzedzany.

Tą uchwałą Episkopat całkowicie mnie zaskoczył. Zdawałem sobie sprawę, jak wielkiej

wagi jest to sprawa w Polsce, ale też, jakie spory może wyzwoić.

Sam jako katolik uważałem, że powrót religii do szkół nie jest dobrym pomysłem, bo Kościół może na nim stracić. Przede wszystkim autentyczność chodzenia na religię. Inna jest sytuacja, gdy młodzież z własnej woli i chęci uczestniczy w lekcjach religii, inna, gdy chodzi o obowiązek.

– Prymasowi pan to powiedział?

Nie. Postulat Episkopatu musiałem oceniać z pozycji premiera, a nie kogoś, kto ma wątpliwości. Zresztą gdybym podzielił się nimi, mógłbym narazić się na podejrzenie, że nie chcę. Później już, gdy sprawa była załatwiona, mówiłem niektórym biskupom, że miałem te wątpliwości. Ich zdaniem chodziło zwłaszcza o objęcie nauką religii młodzieży z techników.

– Czym groziła Pana odmowa?

Chyba publicznym naciskiem, bardzo daleko idącym. Rząd, który przeprowadzał tak wiele rzeczy trudnych, nie mógł mieć w Kościele przeciwnika.

Uznałem, że muszę rozmawiać inaczej. Że w różnych krajach w Europie nauka religii odbywa się w szkołach publicznych. I moją troską powinno być tylko zagwarantowanie dobrowolności w uczęszczaniu na religię oraz zabezpieczenie sytuacji prawnej uczniów, którzy na religię chodzić nie będą, by nie było ich dyskryminacji.

Spotykam się ciągle z zarzutem, że myśmy wprowadzili religię do szkół rozporządzeniem ministra oświaty, a nie przez Sejm. Gdybyśmy wnieśli ten temat pod obrady Sejmu, otwarlibyśmy już wtedy wojnę religijną. A jeśli nie wojnę, to bardzo ostry konflikt. OKP by się podzielił, na pewno, a kluby poselskie, które powstały z PZPR, protestowałyby. I zaczęłaby się straszliwa debata, która wszystkich by skłóciła. To po pierwsze. Po drugie: religię ze szkół usunięto też rozporządzeniem, a nie ustawą. Po trzecie wreszcie: na to, by wprowadzić religię do szkół ustawowo, nie było czasu. Zaczynał się rok szkolny, a miałem telefony i z sekretariatu

Episkopatu, i od samego prymasa Glempa, że Kościół oczekuje, by sprawa została załatwiona przed 1 września.

– Jak do religii przekonał pan ministra Samsonowicza i wiceminister Annę Radziwiłł?

Annę Radziwiłł przekonywał Samsonowicz, a Samsonowicza przekonałem argumentami, które pani przedstawiłem. I jeszcze tym, że teraz musimy się skoncentrować na tym, by zasady dobrowolności uczęszczania na religię były zagwarantowane i żeby w szkołach nie doszło do żadnej dyskryminacji niewierzących. Wydałem nawet zarządzenie, że chcę być informowany o każdym przypadku dyskryminacji. Nie było.

– Prof. Samsonowicz protestował?

Nie. Był człowiekiem naprawdę bardzo dobrze mnie rozumiejącym i wobec mnie ogromnie lojalnym. Bardzo dobrze się z nim współpracowało. Do dzisiaj zresztą, gdy spotykam nauczycieli, mówią mi, że za moich czasów mieli najlepiej. Odpowiadam im wtedy: to zasługa prof. Samsonowicza.

– Ktoś w rządzie okazał się nielojalny?

Czy pani musi mi takie pytania zadawać?

Są różne stopnie lojalności. Gdy człowiek wie, że zawsze i w każdej sytuacji można na kims polegać, i sytuacje, które określiłbym – niepełnej spolegliwości.

No, palenie dokumentów było wyłomem w tej lojalności.

– To minister spraw wewnętrznych gen. Kiszczak, a prezydent Jaruzelski?

W rozmowach z gen. Jaruzelskim był jeden temat, do którego on ustawicznie wracał,

temat stanu wojennego. pan był więziony – mówił – więzili pana moi ludzie. Panie prezydencie – odpowiadałem mu – nie musimy do tego wracać. On mi tłumaczył, że stan wojenny był konieczny, bo to, co się działo w Polsce, rozwalało ją, bo radzieckie naciski, groźba zakręcenia kurka z gazem. Słuchałem tego i kwitowałem: zostaliśmy przy swoich zdaniach.

– Nie chciał pan dyskutować?

O czym?! Uczestniczyłem w organizowaniu spotkania trzech w 1981 r.: Glemp, Jaruzelski, Wałęsa. Oni w ostatniej chwili chcieli je odwołać. Mówiłem im: nie róbcie tego, wymowa tego będzie straszna. To nieprawda, że myśmy rezultaty tego spotkania storpedowali. Myśmy chcieli uznania „Solidarności” jako partnera, drugiego obok Kościoła. Oni zaś chcieli sprowadzić „Solidarność” do roli jednej z trzydziestu organizacji w proponowanej przez nich radzie.

– Po co pan kandydował na prezydenta?

Nieprawdopodobnie trudna decyzja: kandydować czy nie. Męczyłem się nad nią wiele tygodni.

– W tych 16 miesiącach najtrudniejsza?

Było wiele. Najbardziej chyba przeżyłem strajki w więzieniach.

– Na samym początku.

Mieliśmy sygnały, że może tam dojść do samosądów wobec więźniów niepopierających strajków. Trzeba było wprowadzić do więzień siły porządkowe. Bardzo ciężkie dla mnie decyzje. Po więzieniach jeździli wtedy na moją prośbę Jan Olszewski z Władkiem Frasyniukiem.

Ciężkie było też dla mnie wyobrażenie sobie, że wielkie przedsiębiorstwa zaczną padać. W pewnym momencie, na początku 1990 r., już po wejściu ustaw wprowadzających gospodarkę

rynkową, mój przyjaciel i doradca Waldemar Kuczyński powiedział do mnie: co jest, powinny już padać, a nie padają! Tak wynikało z rachunku ekonomisty. Że niewydajne przedsiębiorstwa muszą upaść. Dostałem gęziej skórki. Wiedziałem, co to może oznaczać – zwolnienia z pracy.

– Prof. Trzeciakowski, szef rady ekonomicznej Rady Ministrów, powiedział, że pracę może stracić jedna trzecia załóg.

To była wypowiedź ostrzegawcza.

Dla mnie był to wielki moralny dylemat. Przecież odzyskanie suwerenności dokonało się dzięki strajkom wielkich zakładów pracy w 1980 r. To one przecież wywalczyły „Solidarność”.

Liczyłem na to, że rozruch gospodarki wolnorynkowej będzie równoważyła polityka społeczna.

– Co zdecydowało, że pan kandydował na prezydenta?

Znalazłem się w sytuacji, w której każde rozwiązanie było złe. Gdybym nie kandydował i stałoby się to, co zapowiadał Wałęsa, wszyscy by obwiniali mnie, iż dlatego, że nie kandydowałem.



Abp. Bronisław Dąbrowski i Tadeusz Mazowiecki przed Sejmem
(3 maja 1991). PAP/CAF- IRENEUSZ RADKIEWICZ

– **Wojtek, Pana syn, co radził?**

Był przeciwny.

– **Adam, Michał?**

Adam – za. I Michał też.

Mówiłem moim przyjaciołom, że moje kandydowanie podzieli „Solidarność”. Na co mi odpowiadali, że „Solidarność” już jest podzielona.

O tym, że miałem rację, przekonałem się w czasie pierwszego wyjazdu wyborczego do

Poznania. Stanęliśmy w Kutnie, podeszli do mnie ludzie z kwiatami. A obok stała druga grupa i patrzyła na mnie spode łba, niechętnie. I wtedy zrozumiałem, że podzieli.

– Przeczekać, wystartować za pięć lat, a nie wtedy, późną jesienią 1990 r.

Sondaże wtedy były dla mnie i dla rządu rewelacyjnie dobre. Składałem wizytę w Kanadzie połączoną z wizytą w Stanach i ówczesny premier Kanady przywitał mnie słowami: „Chcę poznać premiera, który ma 80 procent poparcia”. On miał wtedy 17.

Z wielu stron słyszałem: musisz kandydować.

Nie doceniłem tego, że z symbolami nie można wygrać. A to Wałęsa był symbolem.

Mówiła pani o upokorzeniu. Dotkliwie było dla mnie to, że ja przegrałem nie z Wałęsą, lecz z Tymińskim. Człowiekiem, który zjawiał się nagle.

– Przyjechał z Peru.

Politycznie stworzonym i inspirowanym nie wiadomo przez kogo. I spory odłam społeczeństwa uwierzył jego obietnicom. A wszyscy kandydaci w tej kampanii walili przede wszystkim w mój rząd.

Natomiast w całej tej prezydenckiej historii zostałem w jednym niezrozumiany. Kiedy natychmiast po przegranej podałem się do dymisji. Ludzie jej nie zrozumieli i powiedzieli: obraził się. Nieprawda. Moja dymisja powodowana była tym, że uważam, iż są standardy zachowań, w demokracji obowiązuje zasada: przegrałeś, odchodzisz.

– A później był telefon z... ?

To było tuż przed Bożym Narodzeniem. Jeszcze Wałęsa nie powołał nowego rządu i pełniłem nadal funkcję premiera. Została mi przekazana informacja. O telefonie, bardzo ważnym

telefonie. Z przesłaniem do mnie i do Wałęsy, żebyśmy dalej z sobą współpracowali.

Odpowiedziałem, że jestem gotów, i po świętach Bożego Narodzenia złożyłem wizytę w Belwederze.

Wiedziałem, że współpraca moja z Wałęsą jako prezydentem nie będzie łatwa, że trudno mi będzie zachować suwerenność rządu, bo to, że rząd rządzi, dla mnie było kanonem. Uważałem jednak, że mam coś dalej do zrobienia i byłem gotów zostać. Oczywiście, Wałęsa musiałby uczynić jakiś gest w stosunku do mnie zakopujący rowy z kampanii wyborczej.

Nie padło ani jedno słowo. Powiedziałem więc coś, co pozwalało mu domyślić się, że przychodzę nie z własnej inicjatywy. Na co usłyszałem z lekceważeniem: A tam! To takie kościelne gadanie.

Wałęsa zapowiedział, że w najbliższych dniach złoży mi rewizytę w URM-ie, ale nigdy do niej nie doszło.

– Trudno odejść?

Trudno, tak.

– Bo?

Władza, podobnie jak polityka, wciąga, na pewno.

– Zmienia?

Odpowiedzialność czyni człowieka poważniejszym, głębszym. Jako człowiek wierzący powiedziałbym, że jest coś takiego jak łaska stanu, która polega na tym, że człowiek uzyskuje jakieś dodatkowe siły.

– Upaja?

Kiedy po latach spotkałem się z Gorbaczowem, przyjechał do Polski odebrać nagrodę tygodnia „Polityka”, ja też ją dostałem, odbieraliśmy razem. Z dziś już nieżyjącą panią Raisą Gorbaczowową jedliśmy obiad. Przy obiedzie Gorbaczow opowiadał o swoich wyjazdach zagranicznych, jak tłumy go tam witają, i że w Rosji – mówił – też tak niedługo będzie. Wtedy zadałem sobie pytanie: czy ja również mam takie złudzenia? Czy miałem kiedykolwiek? Czy mnie też trudno było przyzwyczaić się do tego, że odszedłem?

Gdy byłem premierem, starałem się wytworzyć w sobie taką filozofię: mam postępować tak, jakbym na tym stanowisku był wiecznie, czyli muszę podejmować decyzje perspektywiczne, długofalowe, a równocześnie powinienem być gotowy do odejścia następnego dnia, muszę mieć świadomość, że w każdej chwili mogę gabinet premiera opuścić.

– Brakuje potem tłumów, oklasków?

Nie, to nie problem tłumów, choć nie chcę swego myślenia uogólniać. Dla mnie był to problem zakończenia pewnej misji czy roli, jaką pełniłem, która znikła, gdy odszedłem. Człowiek ma żal, że jej nie może wykonywać. Na początku jest pustka i konieczność przestawienia się. Człowiek musi znaleźć sobie inne pola odpowiedzialności.

– Znalazł Pan?

No, wie pani. Ciągle jestem zajęty. Bez przerwy mam coś do zrobienia.

– Chciałby pan przeżyć to jeszcze raz?

Na pewno chciałbym jeszcze móc coś pożytecznego dla Polski zrobić. Natomiast, czy przeżyć to jeszcze raz? Jak powiem, że nie – to pani powie: minoderia, bo każdy by chciał. Jak powiem, że tak – to powie mi pani, że żyję złudzeniami. Więc właściwie jest to pytanie, na które w mojej sytuacji nie powinno się odpowiadać.

Ale mamy już demokrację, a różnica pomiędzy systemem demokratycznym a systemem totalitarnym polega także na tym, że w systemie totalitarnym odchodzący polityk był albo skracany o głowę, albo wpadał w nicość. W systemie demokratycznym polityk odchodzący z wysokiego nawet stanowiska może pozostać w życiu publicznym. Ta różnica sytuacji powinna określać mentalność polityków. Funkcja jest czymś czasowym. I mimo że bardzo się chce, by trwała dłużej, zazwyczaj trwa krócej, niż się sądzi.

A gdy się kończy, człowiek znowu zaczyna chodzić po ulicach. Spotykani ludzie się dziwią. Pan tak sam, na ulicy? – pytają. No, oczywiście, chodziłem i chodzę, dlaczego mam nie chodzić. A na ulicy spotyka pani ludzi, którzy się uśmiechają, kłaniają, kiwają albo mijają obojętnie. I spotyka pani też ludzi, którzy gotowi są podejść i mówić nieprzyjemne rzeczy.

– Często?

Nie, bardzo rzadko.

Posłowie



Podziwiam Teresę Torańską jeszcze od czasów liceum, gdy podkradłem mamie wydaną w drugim obiegu książkę „Oni”. Polski nastolatek w latach 80. nie miał wielu okazji do obcowania z dziennikarstwem wysokiej klasy, ale chyba nie tylko dlatego ta książka robiła tak piorunujące wrażenie.

Wywiady Torańskiej, jej unikalny styl, uprzejma nieustępliwość i przygotowanie do rozmowy sprawiające, że rozmówca nie ma szans na schowanie się za wykręty i ogólniki - to do dzisiaj jest coś, co można stawiać za wzór dziennikarzom starym i młodym. Ja ciągle czytając Torańską czuję, jak dużo jeszcze muszę się w tym zawodzie nauczyć.

Kupienie obu książek w wersji papierowej jest dziś praktycznie niemożliwe, pozostaje polowanie po serwisach aukcyjnych i antykwariatach. Ale Teresa Torańska znów, tak jak 30 lat temu, jest w awangardzie i przygotowała piękną wersję cyfrową. A więc teraz dziennikarze mają się z czego uczyć, jak powinien wyglądać dobry wywiad - a wszyscy inni autorzy, jak powinien wyglądać dobry ebook...

Wojciech Orliński

O Autorce



Teresa Torańska (ur. 1 stycznia 1944 w Wołkowysku) – polska dziennikarka i pisarka.

Ukończyła prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 70. współpracowała z tygodnikiem „Kultura”, później także z paryską „Kulturą”. Jest autorką książki pt. „Oni”, zawierającej rozmowy z byłymi komunistycznymi decydentami i dygnitarzami na temat ich oceny dokonań socjalizmu w Polsce. Wywiady te przeprowadzała w okresie stanu wojennego. Była także autorką talk-show „Teraz Wy” w TVP 2 i cyklu wywiadów telewizyjnych z działaczami komunistycznymi, m.in. z prezesem Radiokomitetu w latach 1972–1980, Maciejem Szczepańskim, jednym z twórców gierkowskiej propagandy sukcesu.

Odnaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2001). W 2000 za książkę „Oni” otrzymała Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Ksawerego Pruszyńskiego. Jest pierwszą laureatką Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad prasowy (nagrodzona za rozmowę z gen. Wojciechem Jaruzelskim).

Obecnie pracuje w „Dużym Formacie”, dodatku do „Gazety Wyborczej”, gdzie przeprowadza wywiady z czołowymi postaciami polskiej sceny publicznej. Mieszka w Warszawie.

Twórczość:

- Europa za 100 dolarów – wspólnie z Andrzejem Górkotem, Wydawnictwo Sport i Turystyka 1975.
- Chłopcy z tamtych lat – współautorzy: Jakub Kopeć i Janusz Wilk-Białożej, Krajowa Agencja Wydawnicza 1978.
- Widok z dołu – Iskry 1980.
- Oni – II obieg wydawniczy: Przedświt, Warszawa 1985, Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, Kraków 1985, wydanie emigracyjne: Aneks, Londyn 1985; po 1989 roku liczne wznowienia. W przygotowaniu wersja cyfrowa - e-book na iPada i inne tablety.
- My – pierwsze wydanie Most 1994, wznowienia.
- Byli – Świat Książki 2006.
- Są. Rozmowy o dobrych uczuciach – Świat Książki 2007.

- Jesteśmy. Rozstania '68 – Świat Książki 2008.
- Śmierć spóźnia się o minutę – Biblioteka Gazety Wyborczej, 2010.

(za: Wikipedia)



Autorka z mężem – Leszkiem Sankowskim.

Notka bibliograficzna



Copyright © Teresa Torńska & iSource S.A., Warszawa 2012

